

Roz Bailey

IMPREZOWE DZIEWCZYNY

(Party Girls)

Część pierwsza

Niech nikt nie widzi

*Są rzeczy, które nigdy się nie zmieniają.
Wystarczy popatrzeć na Nowy Jork...*

Ta do cna wyświechtana fraza piosenki brzęczała uparcie w głowie Zoey, gdy pociąg, zbliżając się już do Penn Station, wjechał w dudniący, ciemny tunel. Cholerne miasto! Miasto, które nigdy nie śpi. Jeśli mogę tu, mogę i wszędzie. Taką przynajmniej mam nadzieję.

Zoey McGuire zagapiła się na swoje odbicie w oknie pociągu. Długie, brązowe włosy, tu i ówdzie połyskujące czystym złotem. Duże, okrągłe, piwne oczy, teraz nawet niezbyt zaczerwienione; to dziś udało się jej uniknąć kolejnego napadu płaczu. Cera młoda i świeża, dzięki lekkim rumieńcom nie za blada. No i ten zuchwale zadarty, irlandzki nos.

Naprawdę jednak ważne było to, czy wygląda na kobietę, która się właśnie rozwodzi? Na zagubioną, zabłąkaną w labiryncie życia duszyczkę? Nie? Na tej wyspie aż roi się od nieudaczników i przegranych wszelkiej maści; to miejsce w sam raz dla niej!

Gdy dzwoniła do matki, by powiadomić ją o swych planach i powziętym postanowieniu, Lila McGuire (*secundo voto* Carter) powiedziała jej, że zachowuje się i mówi jak nastolatka, która właśnie nawiała z domu. „Wierz mi, skarbie, bynajmniej nie bronię Nicka, ale czy uciekając przed zaistniałą sytuacją i wynikającymi z niej problemami, nie okazujesz braku dojrzałości? Mężczyźni zawsze mieli, mają i będą mieli romanse, a kobiety muszą przy nich trwać i walczyć o nich...”

... Albo udawać, że nic się nie dzieje, pomyślała z goryczą Zoey, wracając pamięcią do lat dziecińczych i tych niezliczonych służbowych podróży tatusia. Jego niewierność była w domu tematem tabu; nigdy, aż do jego śmierci, nie odważyła się porozmawiać o tym ani z nim, ani tym bardziej z matką – z uporem podtrzymującą i pielęgnującą wizerunek szczęśliwej amerykańskiej żony i pani domu. Tak było kiedyś i tak jest teraz, przy nowym mężu (Harve Carter) i w nowym domu (segment na Florydzie). Zoey jednak zdecydowała, że nie będzie powtarzać błędów swych rodziców. – Nie mogę kontrolować zachowań Nicka, mamus – odpowiedziała wtedy matce, powtarzając bezwiednie zdanie, które ze sto razy słyszała już od swej terapeutki. Całe szczęście, że Harve wywiózł matkę aż na Florydę; stamtąd mogła wtrącać się w życie córki tylko telefonicznie.

Gdy pociąg ze zgrzytem i wizgiem zaczął hamować na Penn Station, Zoey poczuła nagłe ściśnięcie w dołku: nerwy, przeczucie, strach, a może wszystko naraz? Mamcia w pewnym sensie miała rację: Zoey nie była gotowa na Nowy Jork; Nowy Jork w ogóle nie mieścił się w jej planach. A winien wszystkiemu był ten drań Nick Satamian, jej prawie już były ślubny. Drań. Gnojek. Dupek. To przez niego Zoey musiała teraz zmierzyć się z planem B. Oraz C. Oraz D.

Poczuła krople potu na czole; odgarnęła włosy i rozpięła górne guziki wełnianego płaszcza, zdecydowanie za grubego i za ciepłego na nowojorski marzec. Nie zdobyła się na zostawienie go w domu z obawy, że Nick odda go do opieki społecznej, na bazar dobroczynny albo wręcz podaruje go swej nowej flammie. A wtedy to już by mnie naprawdę szlag trafił, pomyślała Zoey, zbierając włosy i pospiesznie spinając je wydobytą z kieszeni spinką. Istotnie, przez ostatnie miesiące Nick wręcz kipiał pomysłami – jak by tu dokuczyć Zoey, zranić ją do żywego, obrazić jak: najobrzydliwiej. A pomysłów mu nie brakowało: Nick ogłaszający wszem i wobec, że szaleje za tą swoją pindą. Nick blokujący ich wspólne konto. Nick odsyłający Zoey na małżeńską rentę – 700 dolarów miesięcznie. No tak, Nikuś-Bzykuś, fiut i dupek używał sobie do woli. Ale od dziś – koniec z tym! Od zaraz.

Zebrała bagaże, jakoś precyzyjnie się z nimi przez drzwi pociągu, zeskoczyła na peron, prosto w coś lepkiego. Podniosła nogę by stwierdzić, że z obcasa zwisa okazały glut żółtej gumy. Kurczę, jej nowiuteńkie, śliczne botki z mięciutkiego, brązowego zamszu... Sądziła, że wzięcie ich na podróż i spacer po mieście to wybór rozsądny i praktyczny, ale najwyraźniej była niepoprawną optymistką. Może należało sprawić sobie kilka par plastikowych ochraniaczy na buty, takich jakie widziała u pracowników z salonu Mercedesa, dokąd zwykle zabierała samochód Nicka na przegląd. Samochód na przegląd. Samochód do myjni. Dobry Boże, co się porobiło z jej życiem. Nie tak dawno była dziewczyną z Manhattanu, potem – jeszcze przed trzydziestką – młodą, obiecującą pisarką, figurującą na liście bestsellerów w *New York Times*. Kiedy to się zmieniło?

Minęło już pięć lat, odkąd opuścili Nowy Jork, ona i Nick. Pięć lat pełnych zmian: sukces, małżeństwo, fuzje i hipoteki. Na szczęście Nowy Jork przez te lata prawie się nie zmienił: na peronach Penn Station nadal czuć było przypalony tłuszcz. Gdy ruchome schody wyniosły ją na powierzchnię, jak obuchem uderzyły ją połączone hałasy: łomot sprężarki i pokrzykiwania jakiegoś ulicznego kaznodziei, przestrzegającego obojętny tłum przed czymś strasznym. Apokalipsa? A może podwyżką cen paliw? Jazgot klaksonów, dochodzący z Siódmej Alei, skutecznie uniemożliwiał zrozumienie jego słów.

Marząc o jak najszybszym wyrwaniu się z tego piekła, Zoey potruchtała, ciągnąc z wysiłkiem za sobą walizkę, ku postojowi taksówek. Tu jednak zobaczyła porażająco długą kolejkę oczekujących, na pozór kompletnie obojętnych na otoczenie, w większości przyssanych do swych komórek. Właściwie na Dwudziątą Drugą, gdzie mieścił się apartament Skye, mogła dojechać metrem. Wyrzebała z torebki komórkę i wystukała numer Mouse.

– No, to jestem.

– Kurczę! Gdzie?!

– No, przy Penn Station. Do taksówek jest tak obłądna kolejka, że chyba pójść do metra.

Zoey odchyliła się gwałtownie, by uniknąć zderzenia z jakimś obdartusem o agresywnym wyglądzie.

– Dasz sobie radę z bagażami? Ja to zawsze, jak się pakuję, torby mnożą mi się jak króliki. A

moja koleżanka Sonia, gdy odchodziła od męża, to potrzebowała aż trzech furgonetek na swoją kolekcję rzeźb ogrodowych i ...

– Nie, zabrałam tylko niezbędne rzeczy – przerwała jej Zoey, nie chcąc wkraczać na śliski i zdradliwy teren, jaką byłaby rozmowa o rozwodach i to jeszcze teraz, gdy musiała wlec Siódmą Aleją wszystkie swe dobra ruchome. – Właściwie jedyny zbytek, na jaki sobie pozwoliłam, to mój komputer.

No, to już było kłamstwo, właściwie kłamstewko. Bowiem prawdziwym zbytkiem w jej bagażu była butelka caberneta, którą z mściwą satysfakcją zwinęła z kolekcji Nicka. Nick do znużenia potrafił głądzić o doskonałej jakości gron, z jakich wytłoczono ten trunek, „charakteryzujący się pełnokrwistym bukietem, z subtelnym, acz wyczuwalnym posmakiem wiśni i łupinek orzeszków ziemnych”. Albo coś w tym guście. Chronił więc ów bezcenny nektar na jakąś specjalną okazję, a teraz Zoey z lubością wyobrażała sobie jak to bezpiecznie oddalona o setki mil, wznosi nim toast.

– Ach, ty zawsze byłaś taka rozsądna i praktyczna – powiedziała Mouse. – I w ogóle zważywszy na twoją sytuację wydajesz się aż za bardzo spokojna i opanowana. Powiedz, jak się czujesz.

– Miotam się między tępym odrętwieniem i śmiertelnym przerażeniem.

– A co cię tak przeraża? Powrót do miasta?

– Nie, raczej życie mnie przeraża. Jako całość. Nie, miasto jest w porządku. Potrzebuję odrobiny spokoju, odrobiny szaleństwa i odrobiny... hałasu. – Zoey kończyła zdanie, gdy jej życzenie z nawiązką spełnił transporter, ładujący do pojemnika stopy gruzu, a światła, które się właśnie zmieniły, uniemożliwiły jej ucieczkę z tego miejsca.

– Nie rozłączaj się! – krzyknęła do komórki i rozkaszała się, gdy opadła na nią chmura pyłu.

– Taa... są rzeczy, które się nigdy nie zmieniają... I dzięki Bogu.

– Ale ci się trafiło, jak na zawołanie – odezwała się ponownie Mouse.

– Właściwie nie miałam wyboru – odpowiedziała Zoey, myślami znowu wróciwszy do tej sprawy. Doprawdy, trudno sobie zaplanować właściwy moment na odkrycie faktu, że twój mąż sypia z sekretarką. Właściwie gorzej: sypia z każdą, jaka się nawinie, a z tą zdziwą to on się kocha. I tę zdziwą kocha! A ona, jak ostatnia idiotka, wierzyła mu i ufała, co jedynie czyniło jego zdradę boleśniejszą. Gdy mówił, że pracuje do późna – wierzyła mu. Gdy nawijał o jakimś kliencie, a to w Pittsburgu, a to w Bostonie, a to w Filadelfii, wierzyła, wyobrażając go sobie w pokoju konferencyjnym, z podwiniętymi rękawami, szybko notującego jakieś uwagi i poprawki do negocjowanych kontraktów.

Ona w tym czasie dbała o dom, o samochody, o jego rzeczy, a gdy wracał, zawsze obejmowała go czule, dostając w zamian równie czuły całus.

Boże, ależ byłam głupia, pomyślała.

– Ale naprawdę, to cudowne – wdarł się w jej niewesołe myśli radosny głos Mouse. – Akurat właśnie wróciłam z trasy i chętnie poimprezuję. – Mouse – w dokumentach i na scenie Marielle

Griffin – była w objęździe z przedstawieniem *Dźwięków muzyki*. Grała jedno z dzieci, choć zarazem była przewidziana jako dublerka do roli Marii. Niestety, główna aktorka była zdrowa jak koń – żadnych angin, żadnych chrypek, nawet kostki sobie nie skrzyła ani razu.

– No, a teraz to pracuję w najbardziej czaderskim lokalu na Manhattanie. Mówię ci, dziewczyno, pokochasz klub Vermillion. Wspaniała muzyka, obłądnie drogie drinki i zawsze długi ogonek czekających na wejście. Plus długi rząd karetek dla smarkaczy, co przedawkowali. No co, podoba ci się?

– Taa, to dobry powód, by zakończyć swoje małżeństwo i wrócić do Nowego Jorku – bąknęła niepewnie Zoey.

– No, dobra, ojej, chciałabym podjechać i przywitać cię jak należy, ale przed pójściem do pracy muszę zobaczyć się ze swoim agentem. Gdzie ty właściwie będziesz? Na Czterdziestej Drugiej?

– Na Dwudziestej Drugiej – poprawiła ją Zoey. – Ale nie szalej, tak czy inaczej wkrótce się spotkamy.

– Dzisiaj! Przyjdź do klubu dziś wieczór!

– Nie, chyba raczej nie...

– No, dalej, Zoey, nie marudź. Właśnie tego potrzebujesz.

Czego ja potrzebuję? Żeby mąż do mnie wrócił. Żeby moje życie wróciło do normy. Zoey przygryzła wargę, usiłując jakoś zapanować nad sobą.

– Słuchaj, Mouse, raczej nie licz, że pokażę się w klubie. Na razie... Jestem w takim nastroju, że zepsuję każdą imprezę.

– Nie, nie i nie! Musisz przyjść dziś wieczorem. Będzie Jadę i zadzwonię do Merlina. Przecież on, jak usłyszysz, że wróciłaś, to wywinie koziołka.

Zoey właśnie próbowała tak pokierować walizką, by wyminąć ohydnie cuchnącą kałużę, jednocześnie zastanawiając się, czy aby Mouse się nie myli. To prawda, że Merlin Chong, jeden z jej najlepszych przyjaciół ze studiów, był kimś, za kim najbardziej tęskniła przez te lata, gdy była wzorową amerykańską żoną i rokującą wielkie nadzieje pisarką. Spotkała go raz czy dwa, gdy bywała w mieście, parę razy razem zjedli lunch, lecz on nigdy nie przyjechał do Connecticut, ani na święta, ani na okazjonalnie przez nich organizowane *barbecue*. Co prawda, z uwagi na solennych klientów Nicka, często nie był nawet zapraszany.

– Nie jestem pewna, czy Merlin oszaleje z radości na mój widok.

– A to czemu? Z powodu Nicka? Właściwie o co im poszło? Pobili się czy co? Przez Nicka?

– Możesz przeliterować słowo: „homofob”?

– A... a, to dlatego... – Na chwilę zapanowała cisza, po czym Mouse znowu zasypała ją potokiem słów:

– Kiedyś występowałam z takim gościem. Normalnie świrował, tak się bał gejów, zupełnie jakby wszyscy naraz chcieli się na niego rzucić. Z nikim nie potrafił się dogadać. Myślę, że w końcu wrócił do swojego Kansas albo Kalamazoo, albo jakiegoś innego zadupia na „K”.

– No, dobrze, na razie – powiedziała Zoey, zmierzając ku zejściu do metra. – Schodzę teraz na dół, więc się rozłączę.

– No, to do zobaczyska! – Z telefonu dosłownie tryskał entuzjazm Mouse; Zoey nagle uświadomiła sobie, dlaczego wciąż od tak dawna pozostają przyjaciółkami. Bo na Mouse można było zawsze polegać, zawsze i wszędzie.

Tymczasem Mouse nie przestawała gadać. – Zobaczysz, kumpelko, będzie jak za dawnych, dobrych czasów na uniwerku!

– Tyle, że bez egzaminów i nudnych lektur – dodała Zoey. – No i teraz same płacimy za chatę i wikt.

Co na Manhattanie nie jest takie proste, pomyślała. Jadę wspominała, że raz opchnęła apartament zjedna sypialnią za trzy tysiące dolarów. Trzy tysiące. Przy takich cenach Zoey byłoby stać najwyżej na sublokatorską klitkę w Queens albo na Brooklynie.

Pakując przed zejściem do metra komórkę do torby, Zoey zaniepokoiła się przez moment, czy Skye pamiętała o załatwieniu sprawy z portierem w jej domu. W przeciwnym razie Zoey zostałaby na lodzie, a Skye pozostawała nieosiągalna gdzieś tam, w tokańskim *palazzo*, z jakimś kolejnym leniwym autorem. Nie żeby Zoey nie doceniała wspaniałomyślnej propozycji przyjaciółki. Wszak to Skye Blackwell była jedną z niewielu osób, które wiedziały o katastrofie jej małżeństwa z Nickiem; dowiedziała się tego zresztą tylko dzięki temu, że poty drażyła temat, póki nie dokopała się prawdy. Zoey dobrze pamiętała tę rozmowę. „No, to co cię przyblokowało, moja ulubiona autorko? Jakiś osobisty dołek? Kryzys twórczy? Załamanie nerwowe? Złotko, wszyscy przez to przeszliśmy albo przejdziemy. Mogę ci dać numery paru przemyśłych terapeutów”. A gdy Zoey odpowiedziała, że już chodzi do terapeuty, Skye załapała. „Ach, więc to pan mąż. Rozwód? Czy jeszcze za wcześnie o tym mówić?”.

Zoey nie była wtedy w stanie wykrztusić słowa; siłą powstrzymała dławiący ją w gardle szloch. Nie powiedziała jeszcze nic rodzinie ani większości przyjaciół, tkwiąc w absurdalnej nadziei, że jeśli nie będzie o tym myśleć ani mówić, cały ten koszmar po prostu zniknie.

Skye jednak wydusiła z niej w końcu prawdę i, jak to miała w zwyczaju wzięwszy sprawy we własne ręce, za

oferowała jej swój apartament jako czasowe schronienie. Zoey natychmiast dostrzegła terapeutyczną wartość tej oferty. Dom w Connecticut. Z taką starannością urządzany i ozdabiany, teraz był tylko codziennym, męczącym przypomnieniem, jak piękne i wspaniałe życie sobie zaplanowała i w co się te plany obróciły. Ręcznie malowane dekoracje ścienne, lśniące podłogi z sosnowych desek, basen wyłożony ceramicznymi płytkami; wszystko to teraz krzyczało do niej „Spaprałaś!”. A do tego jeszcze wspomnienia przyjęć, jakie urządzała dla kolegów Nicka z firmy, czy – jeszcze boleśniejsze – ich wspólnych wieczorów przy kieliszku sherry, czy wreszcie – i te już były nie do zniesienia – tych poranków, kiedy kochali się w pierwszych promieniach słońca, wlewających się przez szerokie, francuskie okno do ich sypialni.

Tak, trzeba było stamtąd uciekać.

Zdecydowana jak nigdy dotąd, by mary swego niegdyś wspaniałego życia skutecznie zepchnąć w najciemniejszy kąt umysłu, dziarsko dźwignęła walizkę i zaczęła schodzić do metra. Tak, Manhattan to idealne miejsce, by uciec od przeszłości.

W połowie schodów Zoey przystanęła; idący przed nią mężczyzna pochylił się, charknął i obficie splunął na brudny beton. Dobry Boże, jak fajnie wrócić do Nowego Jorku!

Dlaczego koniecznie chcesz zrujnować nasz wspaniały związek, czyniąc go legalnym?

Merlin Chong usiadł na łóżku, naciągając prześcieradło na nogi. Normalnie uwielbiał te spotkania w hotelu: kilka godzin dzikiego seksu, słodkich przekomarzań i odprężającego masażu, dziś jednak niepokój Josha niepostrzeżenie zatrął całą magię.

A winowajca leżał na wznak, wsparty na poduszce ze złotego brokatu; w miękkim świetle widać było wijący się powoli i z gracją dymek z jego papierosa. Merlin nie znosił tego nałogu, wiedząc, że na dłuższą metę może on Joshowi tylko zaszkodzić, ale w skrytości ducha nie mógł zaprzeczyć, że było coś niezwykle podniecającego w sposobie, w jaki chłopak brał papierosa, zapalał, podnosił do ust...

– Daj spokój, wcale nie chodzi o „legalizację” w tym biurokratycznym znaczeniu – powiedział Josh, gasząc papierosa w popielniczce. – Mam na myśli coś innego. Merl, jak długo jesteśmy razem? Już sześć lat, prawda? Stosując twoją miarę czasu, to jakby dwadzieścia lat wspólnego życia.

Merlin skrzyżował ramiona na piersi; pomyślał o tych dniach, gdy poważna decyzja dotyczyła tego, czy wypić Coronę czy może margaritę? To prawda, nim poznał Josha zakochał się co najmniej raz w miesiącu. Ba, raz na tydzień!

Jedyne dziecko chińskiego ojca i szwedzkiej matki, Merlin zawsze wyróżniał się z tłumu. Było coś osobliwego w połączeniu błękitnych oczu o migdałowym wykroju, silnej, kwadratowej szczęki i czarnych jak gagat włosów. W liceum większość uczniów z jego białej jak lelija klasy uważała go za dziwadło, choć nie był do końca pewien, czy to z racji jego wyglądu, czy też orientacji seksualnej. Za to na pierwszym roku studiów odkrył, że faceci lgną do niego dokładnie z tych samych powodów. Wtedy właśnie zdecydował się na kupienie soczewek kontaktowych w kolorze głębokiego błękitu i przyciął włosy na jeża, z przodu, nad czołem rozjaśniając je tak, by wyglądały jak posypane złotem. Dobrze pamiętał, jak w tej nowej postaci wszedł po raz pierwszy do klubu Iguana. Nagle poczuł, że jest „na fali”; szybko też nauczył się z tego korzystać. Nigdy nie był lekkomyślny i zawsze uprawiał bezpieczny seks; kłopot miał tylko z uprawianiem seksu z tym samym partnerem noc po nocy.

Przyjaciele zawsze mówili mu, że ma niemożliwie wysokie wymagania, i zapewne mieli rację. Problem był w tym, że potrafił on przejrzeć ludzi na wskroś; jak powiedział mu jeden z jego nauczycieli astrologii, po prostu „miał dar”. A ten dar sprawiał, że często nie widział w człowieku niczego, bo też i nic w nim nie było. W efekcie więc Merlin zbyt szybko się nudził i rozczarowywał do swoich partnerów. Nudziły go ich płytkie i powierzchowne poglądy na świat i ludzi, nudziło samolubstwo, ich drobne przywary i bziki: zbyt głośny śmiech, głupkowate przechwałki czy skłonność do zbyt krzykliwych strojów.

I wtedy zjawił się Josh o smutnych, brązowych oczach i zniewalającym uśmiechu. I zmienił w życiu Merlina wszystko. Urodzony w znaku Bliźniąt był, podobnie jak rtęć – metal przynależący do tego znaku – nieuchwytny i pełen sprzeczności. Spróbuj złapać rtęć – przecieknie ci przez palce i umknie. Podobnie Josh. Na zewnątrz zdawał się być uosobieniem zdrowia i prostoty Środkowego Zachodu, w środku natomiast był istnym kłębowiskiem sprzecznych uczuć i namiętności. Choć wywodził się z Minnesoty, tej krynicy prostego i zdrowego życia, Josh miał przeszłość smutną i mroczną. Matka zmarła, gdy był jeszcze dzieckiem, ojciec zaś znęcał się nad dziećmiakami i molestował je, najpierw psychicznie, potem także fizycznie, aż w końcu nastoletni już Josh uciekł z domu. Merlin nasłuchiwał się przerażających historii, jak to Josh po powrocie ze szkoły często zastawał ojca zalanego w trupa. Opowieści te w przedziwny sposób, nieoczekiwanie dla niego samego, obudziły w Merlinie instynkty opiekuńcze. Jednocześnie powoli zaczął godzić się z faktem, że prawdopodobnie nigdy nie uda mu się do końca „zajrzeć” do wnętrza duszy Josha. Godził się z tym, choć jednocześnie nie tracił nadziei, że kiedyś to nastąpi; cóż to było za cudowne i słodkie wyzwanie!

Co więc Joshowi nagle odbiło z tą legalizacją? Coś tu nie pasowało. Pomyślał, że musi sprawdzić horoskop. Może przechodzi jakiś kryzys? Josh tymczasem przeciągnął się, założył ręce za głowę i westchnął.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że po tylu latach rozmawiamy ze sobą w ten sposób. Że nie chcesz być ze mną na zawsze. Gdzie się podział twój romantyzm?

– No, ty akurat nie mów mi o braku romantyzmu – Merlin lekko trzepnęła Josha w ramię. – A kto urządza te romantyczne randki? Ilu facetów może się pochwalić kochankiem, który na randki wynajmuje apartament w hotelu Royal?

– Teraz to już przeginasz. – Josh odgarnął grzywę swych ciemnych włosów, opadających mu na oczy, i wyszczerzył zęby w uśmiechu do Merlina – taki męski i taki chłopięcy zarazem. – Dobry Boże. Ja ci się oświadczam, a ty się cały jeżysz i straszysz.

Merlin podciągnął kolana do piersi i otoczył je ramionami w obronnym geście.

– Ach, i jeszcze ta mowa ciała...

– O rany, przestań wreszcie – powiedział Merlin. – Tak nam się wszystko wspaniale układa. Bywamy w tych samych miejscach, chodzimy do tej samej siłowni, nawet pracujemy razem. Jesteśmy razem, jesteśmy p arą, jesteśmy partnerami, nazwij to jak chcesz... Aleja nie chcę utracić... no... swobody i bez troski naszego związku. Wyobrażasz sobie, że za dziesięć lat będę tkwił w kuchni, w gustownym fartuszku, i czekał, aż wpadniesz do domu z okrzykiem „Kochanie, wróciłem”?

Josh skrzywił twarz w kwaśnym uśmieszku i zapiszczał:

– Ojejku, Rickyyyy!

Merlin, krztusząc się ze śmiechu, padł na łóżko i naciągnął narzutę na głowę.

– Właśnie o to chodzi! Dokładnie tego się, boję!

– Ricky! Wracaj, zabcu! Wiem, że tam jesteś! – piszczał Josh, nurkując pod przykrycie. – A

mały Ricky złapał wietrzną ospę! – Zaczął łaskotać Merlina, a ten pochwycił go w objęcia i tak zaśmiewali się wspólnie, gdy ich nagie torsy ocierały się o siebie.

Gdy wreszcie wyśmiali się do końca, Merlin poczuł jak dobrze jest mu w ciepłe ciało Josha. Stopniowo, zgodnie, niemal w tym samym rytmie ich oddechy zwolniły, a serca zaczęły bić równo i spokojnie, domyślał, że rzadko się zdarza spotkać kogoś, kto ci tak idealnie odpowiada pod każdym względem: fizycznie, psychicznie, emocjonalnie. Poczuł, że powinien chronić to, co ich łączy.

Otoczył ramionami barki Josha, muskając palcami jego napięte mięśnie.

– Kocham cię! Wiesz o tym, prawda?

Josh skinął głową; w jego oczach pojawił się wyraz bólu, a Merlin po raz kolejny zdał sobie sprawę, że nigdy nie potrafi go ukoić.

– Wszystko, o co cię proszę, to żebyś pozwolił, by wszyscy o tym wiedzieli – pocałował lekko Merlina. Potem z westchnieniem wyciągnął się na posłaniu.

– Pragnę cię, teraz i zawsze. I chcę, żebyś i ty też mnie pragnął...

Merlin, przepelniony na nowo odnalezioną czułością, przesunął delikatnie palcem po wargach Josha i szepnął:

– I będę.

Rany boskie, co ja tu właściwie robię? Zoey zadawała sobie to pytanie przez cały czas, gdy, objuczona bagażami, wlokła się chodnikiem Szesnastej Ulicy, oddalając się od Union Square. Po pierwsze, nie mieściło się jej w głowie, że wraca na stare śmieci w ten właśnie sposób. Po drugie, nigdy nie wyobrażała sobie, że jej życie tak nagle i kompletnie wyskoczy z szyn. I to z łomotem. Po trzecie i najważniejsze – okazało się, że nie była nawet w stanie wysiąść na właściwej stacji metra. Na Dwudziestą Trzecią nie mogła dojechać metrem bezpośrednio, bo stacja w centrum była właśnie remontowana. Dotarwszy więc na Union Square uznała, że nie ma już ochoty na dalsze przesiadki, podążyła więc ku Park Avenue. Już miała zamachać na taksówkę, gdy mimochodem spojrzęła na wystawę mijanego właśnie sklepu z męską konfekcją, na której pyszniły się efektownie ułożone, miękkie, flanelowe koszule – maślano-żółte, perłowoszare, bławatkowo-niebieskie. Dokładnie takie, jakie Nick lubił nosić w domu po pracy i w weekendy. Zatrzymała się nagle. Może, skoro już tu jest, kupi jedną dla niego?

Torba na jej ramieniu zaczęła się nagle zsuwać, przywołując ją do rzeczywistości, a wewnętrzny głos przypomniał: do licha, właśnie dziś rano opuściłaś dom! A twój mąż opuścił cię dwa miesiące temu! To koniec waszego związku! Ile jeszcze razy trzeba ci o tym przypominać?

Jasne, wiem, pamiętam, ale tak trudno się poddać i pogodzić z nieuniknionym, pomyślała z goryczą Zoey przymykając oczy przed nagłym podmuchem lodowatego wiatru. Mogła sobie wmawiać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, że trzeba na wszystko co było spuścić wodę i żyć dalej, mogła przekonywać samą siebie, że życie może być normalne, a nawet przyjemne i bez Nicka – wszystko to brało w łeb w zderzeniu z takimi chwilami, jak ta. Gdy nagle wracało wspomnienie miękkiej flaneli, zapachu kremu do golenia, dźwięku stukających o siebie kieliszków z winem – mnóstwa drobnych, zdawało się nieważnych szczegółów, które kierowały jej myśli z powrotem ku Nickowi.

Poznali się na studiach; ona była na anglistyce, on na historii, ale marzył o prawie i gdy dostał się do szkoły prawniczej natychmiast pokazał, na co go stać. Potrafił niezwykle szybko czytać i zapamiętywać teksty, podobnie jak wszystkie ciekawe przypadki, wpadki i precedensy, i to z detalami. W krótkim czasie nauczył się właściwie analizować i porządkować fakty, odpowiednio prowadzić rozmowy i używać zręcznej argumentacji. W rezultacie skończył studia z wynikiem celującym i natychmiast otrzymał mnóstwo ofert pracy od renomowanych firm z Manhattanu.

To był ten Nick, w którym się zakochała: zdecydowany, ambitny i zawsze pewny siebie – w nauce, w pracy, w łóżku.

Brak jej było okrutnie tamtego Nicka. Przez ostatnie dwa miesiące żyła jakby w półśnie,

czując, że utraciła coś bardzo ważnego. Miała wrażenie, że ma teraz tylko połowę życia, połowę mózgu i połowę serca.

Dość! Pozbieraj się wreszcie. Podciągnęła energicznie zsuwającą się z ramienia torbę, zatrzymała przy krawężniku i przywołała taksówkę. Bierz tyłek w troki, Zoey! Jedź wreszcie do Skye. Zbieraj się stąd. Najważniejsze to zrobić pierwszy krok. Potem już jakoś pójdzie.

Dziesięć minut później, zatrzasnąwszy za sobą drzwi taksówki, wciągała bagaże na podjazd przed apartamentowcem Skye – dwudziestopiętrową wieżą ze złocistej cegły i szkła. Na zewnątrz gmach prezentował się dość banalnie, lecz otoczenie wyglądało sympatycznie, pełne delikatesów, straganów z owocami i małych restauracyjek, ciągnących się wzdłuż Drugiej Alei.

Portier właśnie otwierał oszklone drzwi starszej kobiecie z małym, szczuropodobnym psem. – Życzę miłego dnia, pani Van Hone – powiedział, przytrzymując jednocześnie drzwi dla Zoey; zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem kogoś, kto spędził całe życie na ocenianiu ludzi pierwszym rzutem oka.

– Czym mogę służyć?

– Jestem Zoey McGuire, przyjaciółka Skye – wyrecytowała szybko Zoey, próbując przypomnieć sobie wskazówki z emaila Skye:

Powiedz mu, że jesteś moją przyjaciółką. Nie wspominaj, że to ty będziesz opłacała czynsz. Podnajemcy muszą uzyskać zgodę zarządu, a tam siedzą strasznie upierdliwe typy.

– To znaczy Skye Blackwell – dodała, widząc, że spojrzenie portiera nie złagodniało ani trochę. – Z lokalu siedemnaście... – zero – zero. Zatrzymuję się u niej na krótko.

Portier, wciąż świdrując ją wzrokiem, podrapał się po podbródku.

– Pani pozwoli, niech no zajrzę do książki meldunkowej.

– Przeszedł za kontuar recepcji i z dolnej półki wyciągnął ogromną księgę. Podczas gdy on niespiesznie przewracał pomarszczone stronicę, Zoey starała się jakoś zapanować nad rosnącymi w niej niepewnością i paniką, uczuciami ogarniającymi ją zawsze, gdy zasiadała do komputera.

– I ty myślisz, że potrafisz pisać! – złośliwie migał kursor.

– No dalej! Spróbuj! No, rusz się! Tyle tylko, że teraz w jej głowie tłukła się inna obawa: I ty myślisz, że możesz, ot tak, wleźć do cudzego mieszkania? Życ czyimś życiem?

Uciec od tej żalostnej figury, jaką w istocie jesteś? No, spróbuj! Spróbuj...

– Ach, jest. Zoey McGuire, pisarka – portier uśmiechnął się do niej znad księgi. – Jest pani stanowczo za młoda i za ładna jak na sławną pisarkę. Pani Blackwell powiedziała, że mam dać pani klucze i jak to się mówi, rozwinąć czerwony dywan...

– Ojej, nie trzeba, naprawdę – zawołała Zoey, czując, jak jej napięte mięśnie zaczynają się powoli rozluźniać.

– Ależ proszę! Nie mamy tutaj innych sławnych pisarzy! – Portier wstał i ponownie obszedł kontuar, by podać jej klucze. – A może czytałem cośkolwiek paninego? Podrzuci mi pani parę

tytułów?

Teraz przyszła kolej na Zoey, by starannie przyjrzeć się portierowi i oszacować go. Pomięta, biała koszula, ciemne spodnie, ciemnogrnatowy krawat w czerwone grochy. Tak na oko – późna czterdziestka, taki sobie wzrost, czupryna i broda mocno posiwiałe, miłe, niebieskie oczy. Czy taki facet mógł czytać jej książki? Raczej wątpliwe. Zresztą, ilekroć Skye piała na temat tysięcy sprzedanych egzemplarzy („kupowanych, złotko, zarówno przez mężczyzn, jak i przez kobiety!”), Zoey z trudem przychodziło wyobrażenie sobie tych rzesz czytelników. Tysiące ludzi. To znaczy kto? Przyjaciółki jej matki? Członkinie Klubu Książki, prowadzonego przez kuzynkę? Kasjerka ze spożywczego? A może instruktor tenisa z ich klubu? Czy wreszcie ten tu facet, w średnim wieku, chyba Latynos?

– *Strażnik swej córki* – rzuciła niedbale, walcząc z nagłym zaambarasowaniem, które pojawiała się zawsze, gdy rozmawiała o swojej pracy z nieznanymi. Zawsze sprawiało jej trudności mówienie obcym o czymś tak głęboko osobistym. Czuła się wtedy tak, jakby ci obcy nagle zobaczyli jej bieliznę, rozrzuconą niedbale na łóżku, czy coś w tym guście. Dodatkowym problemem było nieuzasadnione przekonanie wielu czytelników i krytyków, że *Strażnik* jest w istocie jej autobiografią; Zoey miała już serdecznie dość ustawicznego wyjaśniania, które partie powieści są fikcją, a które oparte zostały na rzeczywistych wydarzeniach.

Portier, słysząc tytuł, skinął głową, lecz jego roztargnione spojrzenie wyraźnie mówiło, że raczej nie przeczytał dzieła, które w *Newsweeku* streszczono jako „przejmujący obraz skomplikowanych stosunków ojca i córki, która poszukując jego uwagi i uznania, próbuje popełnić samobójstwo”.

– Napisałam też dwie inne – ciągnęła Zoey, czując się nagle jak bezczelna oszustka, podszywająca się pod sławną pisarkę. – *Opiekuna duszy* i *Rzekę światła*.

– O, *Rzeka światła*? Czy to nie był ten film z Seanem Connerym? – Tym razem nie uległo wątpliwości, że portier był pod wrażeniem.

Zoey poczuła, że znów się poci. Odgarnęła nerwowo włosy z czoła. „Ten film z Connerym”. Cóż, wieczna zgryzota współczesnych autorów. Film znają wszyscy, książka zaś, według której go nakręcono, spokojnie pleśnieje na bibliotecznych półkach.

– O, wiedziałem, że coś mi to znajomo brzmiało – oznajmił z dumą portier. – A tak przy okazji, pani McGuire, to jestem Bobby, jakby co. A oni tam na górze to robią jakieś naprawy, coś z prądem. Pani Blackwell uprzedziła panią?

– Tak, oczywiście – odpowiedziała powoli Zoey, ponownie przywołując w pamięci email Skye. Było tam coś o elektrykach i zakładaniu przewodów.

– Jakby pani czegoś potrzebowała, to przy drzwiach jest interkom – dodał Bobby.

Zoey wzięła klucze; zauważyła, że do kółka przymocowany jest brelok z zielonkawego szkła, w kształcie serduszka. Pretensjonalny i romantyczny, czyli dokładnie taki jak Skye.

Kochana Skye, daj jej Boże zdrowie, myślała Zoey, gdy winda unosiła ją na siedemnaste piętro. Przecież bez jej pomocy ... no... nie wiem, gdzie bym się podziela i co ze sobą zrobiła.

Wzdrygnęła się po trosze na samą myśl o ewentualnych możliwościach, po trosze z powodu pracującej na pełnych obrotach klimatyzacji, i wyszła z windy wlokąc bagaż.

Drzwi apartamentu Skye otworzyły się gościnnie, ukazując najpierw obszerny przedpokój, cały obudowany lustrami. Na wprost znajdowała się nieduża, nieskazitelnie biała, nowoczesna kuchnia. Zoey z ulgą upuściła na ziemię wszystkie torby, zrzuciła płaszcz i przeszła do salonu leżącego po lewej stronie holu. Zgodnie ze standardami Manhattanu, był olbrzymi – mieścił w sobie wydzieloną jadalnię i właściwy salon z ogromną, wieloczęściową sofą, przykrytą miękką tkaniną. Całą przeciwległą ścianę zajmowało okno, za którym rozpościerał się Manhattan.

O rany!

Zoey zaparło dech w piersiach. Podeszła bliżej. Rany, cudowne mieszkanie, pełne światła i powietrza, jakby zawieszzone na niebie; ale czy da radę tu pisać? Nagle zatęskniła za domem i swoją pracownią o podłodze z dębowych desek, przykrytych wschodnim dywanem w ciemnoczerwone wzory. Często lubiła przyglądać się tym wzorom i tym różnym odcieniom czerwieni, szukając w labiryncie ornamentów i kolorów słów na wyrażenie myśli i uczuć bohaterów swych książek; stąd też nazywała dywan żartobliwie „przewodnikiem”. Dobrze pamiętała ten dzień, gdy namówiła Nicka do kupienia tego dywanu. Było to na kiermaszu dywanów w ormiańskim kościele w Queens, w parafii rodziców Nicka. Zoey zaciągnęła Nicka na tę wyprzedaż bynajmniej nie po to, żeby coś kupić, ale by pokazać przyszłym teściom, że interesuje się ich dziedzictwem, korzeniami i tak dalej. Sprzedawcy dywanów byli mili, choć nie bardzo sprawnie posługiwali się angielskim, Zoey z kolei znała po ormiańsku tylko parę słów. Gdy rodzice Nicka wdali się w ożywioną dyskusję z dwoma kupcami, ona powędrowała dalej, ku stoiskom, na których wyłożone były mniejsze dywany i dywaniki. I tam właśnie zobaczyła ten miękki dywan, w którego wzorach przeplatały się kolory ciemnoczerwony, wiśniowy, bordowy, czarny i różowy. Na dywanie siedziała dziewczynka z burzą czarnych loków na głowie; przebierała paluszkami po czerwonym labiryncie ornamentu, pomrukując do siebie cichutko.

– Co ona robi? – spytała Zoey Nicka.

– Liczy po ormiańsku – odpowiedział obojętnie Nick. Najwyraźniej chciał już wyjść i ciągle spoglądał ku drzwiom.

Dziewczynka miała najwyżej sześć lat; Zoey uśmiechnęła się do niej. Przez chwilę wyobraziła sobie, że ta mała jest jakby wizją ich własnej małej dziewczynki, dziecka, które ona i Nick mogli mieć. Dziewczynki o ciemnych włosach po Nicku i żywym umyśle po niej.

– Może wzięlibyśmy dywan – poprosiła wtedy Nicka.

– Na głowę upadłaś? Mamy kupować dywan? Masz pojęcie, ile on może kosztować?

– Proszę. – Zoey zarabiała wtedy dość marnie jako asystentka doradcy podatkowego i nienawidziła tej pracy. Nocami pisała swoją pierwszą powieść, nie myśląc nawet jeszcze o tym, czy uda się jej komukolwiek sprzedać tekst. Ale na dywan patrzyła jak na swego rodzaju inwestycję: ukłon pod adresem rodziców Nicka i inwestycję w ich wspólną przyszłość.

– No, proszę – powtórzyła. – Nick, on jest taki śliczny i czuję że jest... no, niezwykle. Nie

wiem, ma w sobie jakąś magię. Wierzę, że przyniesie nam szczęście.

– Ja nie wierzę w takie bzdury, przynoszenie szczęścia i tak dalej – odpowiedział chłodno Nick. – Ludzie sami pracują na swoje powodzenie lub porażkę.

– Och, Nick, daj spokój. Ja zapłacę za ten dywan. No, proszę, zrób mi przyjemność i przyznaj, że jest śliczny.

Nick obrzucił dywan niechętnym spojrzeniem. – Wyrzucone pieniądze. Wyrzucone w błoto. – Te słowa ciągle brzęczały w uszach Zoey, nawet wtedy, gdy jego rodzice dołączyli do nich, ustalili ze sprzedawcą rozsądną cenę i pomogli załadować dywan do bmw. A dywan najpierw ogrzewał i rozświetlał jej sypialnię w Greenwich Village, a potem – stary, dobry przyjaciel – powędrował do jej pracowni w ich wspólnym, jej i Nicka, domu w Connecticut. Wtedy zlekceważyła reakcję Nicka; w końcu to był tylko dywan. Ale był to początek pewnego procesu, który rozmyślnie postanowiła ignorować; gdy nadszedł czas na wybór zaręczynowego pierścionka, domu czy samochodu, Nick jakoś zawsze potrafił prześliznąć się nad jej opinią i skłonić ją, by postąpiła zgodnie z jego postanowieniem.

Może ten dywan był jakimś ostrzeżeniem, a ona go nie posłuchała... Otrząsnęła się ze wspomnień, nadal wpatrując się w widok za oknem. Weź się w garść! Jesteś w Nowym Jorku, tej mekce pisarzy. I na dodatek miękko wylądowałaś w tym pięknym, eleganckim apartamencie. Masz doskonałą okazję, by zacząć wszystko od nowa, choć wciąż pozostaje problem, od czego zacząć.

Gdy studiowała na nowojorskim uniwersytecie, malutkie mieszkanie w suterenie dzieliła z Mouse i Jadę. Była to właściwie nora, ciemna i cuchnąca pleśnią; udało się im wyskrobać wspólnie przynajmniej tyle gotówki, by pozbyć się śmierdzącego dywanu i położyć przyzwoitą wykładzinę. Potem ugadały właściciela, by wymienił nieszczelne okna i pomalował okiennice; w końcu na ostatnim roku studiów stwierdziły, że mieszkają prawie luksusowo, jak na suterene. No, ale apartament Skye to nie była studencka klitka. To było wspaniałe mieszkanie „z widokiem”, jakby powiedziała Jadę. Miało wprawdzie tylko jedną sypialnię, ale ciągnęło się przez całą szerokość budynku, wychodząc i na północ i na południe; z okna, przy którym stała, Zoey widziała Empire State Building, Chrysler Building i ten drapacz chmur na Wschodniej Trzydziestej Czwartej, gdzie kiedyś urzędował jej wydawca, zanim przeniósł się do Flatiron Building. Gdy spojrzała w dół, zobaczyła równą, uporządkowaną linię Dwudziestej Drugiej; żółte taksówki płynnie włączały się do ruchu, a czarny asfalt jezdni i jasne chodniki wyglądały z góry tak czysto i porządnie. Cóż, z wysokości siedemnastego piętra wszystko wydaje się czyste i porządne.

Dlaczego więc, do cholery, nie czuję się tu szczęśliwa? Co mnie uwiera? Otrząsnęła się zirytowana i odwróciła od okna. Ściany salonu – tam gdzie nie było luster – były pomalowane na łagodny, brzoskwiniowy kolor; zauważyła nagle sporo wyborowanych w nich dziur. Cholera, sufit też był cały w dziurach, jakby gdzieś powyżej ryla tunele cała kolonia świstaków. Zaraz, zaraz, co tam było w e-mailu Skye?

Musiałam zlecić wymianę przewodów, bo jeden się sfajczył Ale nie przejmuj się – elektrycy już wszystko zrobili i wynajęłam paru ludzi, żeby załatali dziury.

Cóż, wygląda na to, że jeszcze nie załatali.

Zoey machinalnie podniosła książkę leżącą na stoliku do kawy, i nagle kątem oka pochwyciła swój ruch w wyłożonej lustrami, długiej na prawie 9 m ścianie. Roześmiała się nagle; obciągnęła na biuście swój bladoróżowy kaszmirowy sweterek, obróciła się bokiem, wciągając przy tym brzuch i ściskając opięte džinsami pośladki. Dzięki Bogu, regularnie uczęszczała na siłownię. Przynajmniej tego jednego mogła być pewna – Nick nie rzucił jej dlatego, że się roztyła czy była obwisła.

Choć nie przepadała za lustrami, tutaj jednak – musiała to przyznać – tworzyły one niepowtarzalną scenerię. No dobrze, chyba będzie mogła tu pobyc. Jakiś czas. Zważywszy zamiłowanie Skye do wszystkiego co egzotyczne i niezwykle, mieszkanie urządzone było zaskakująco praktycznie i wygodnie. Tylko dlaczego, u licha, czuła się taka zdołowana?

Zoey, zniechęcona, klapnęła na sofę, cisnęła książkę na podłogę, ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. Cholera, nienawidziła płaczu, nie cierpiała płakać. W rodzinie McGuire'ów emocje trzymało się ostro na wodzy, a Zoey zawsze była dumna z tego, że tak wspaniale kontroluje swe życie. A teraz nie była w stanie ani kontrolować, ani tym bardziej powstrzymać szlochu i łkań, i nie pozostało jej nic innego, jak zwinąć się w kłębek na sofie i ryczeć tak jak wtedy, gdy miała pięć lat i rozwaliła sobie kolano podczas jazdy na rowerze.

Co ja tu robię do ciężkiej cholery?!

Aha, ucieczka. Złapanie oddechu. I może – tylko „może” – odrobina ukojenia.

Była już prawie ósma, a Jadę wciąż tkwiła w biurze z klientem. Nie czuła jednak irytacji – wręcz przeciwnie. Niewiele rzeczy daje się porównać z euforią, jaka towarzyszy zaklepaniu udanej transakcji w handlu nieruchomościami. Poczucie władzy, obietnica wielkiej forsy, wizja rychłego już zamieszkania w jednym z tych wspaniałych apartamentów, którymi obracała – wszystko to sprawiało, że Jadę Cohen kochała tę robotę. Jediną rzeczą, jaka mogła się z nią równać, był seks, choć dla Jadę dorównywał jej ledwo, ledwo. Żaden facet, choćby najprzystojniejszy, najwplywowszy i najbardziej wygadany nie był w stanie wprawić jej w ten szczególny stan, dostarczyć tego osobliwego dreszczu, jakiego doznawała zawsze, gdy wiozła świeżo upolowanego klienta windą ku jego wymarzonemu gniazdku i otwierała przed nim drzwi prowadzące do 100 metrów kwadratowych najwyższej jakości.

Cienkie wargi klienta ułożyły się w coś na kształt uśmiechu; Jadę nie była pewna, czy był to uśmiech zadowolenia z powodu rychłego wejścia w posiadanie zachwalanego przez nią apartamentu ze wspaniałym widokiem na park, czy też z powodu widoku, jaki klient miał tuż pod nosem – jej dekoltu. Na moment zamarła, z piórem w powietrzu.

– Panie Takiyama? Coś przeoczyłam?

Klient oderwał wreszcie wzrok od jej dekoltu i z uszanowaniem skłonił głowę.

– Ależ skąd, Jadę. – Podpisał kontrakt we właściwych miejscach, mówiąc równocześnie. – Po prostu zauważyłem, jakby pani energia była nieco... jakby to powiedzieć... no, uwięziona. Za pozwoleniem – że nie znajduje ujścia, właściwego ujścia. Posiadam pewne doświadczenie w zakresie akupresury i uwalniania energii, dlatego pozwoliłem sobie na tę uwagę.

– Och, doprawdy? – Jadę wyprostowała się w fotelu, wypinając biust w kierunku ofiary. Wprawdzie matka natura obdarzyła ją wspaniałą figurą, to jednak właśnie biust uważała za swój największy atut, wart z pewnością forsy, jaką zapłaciła za te ekstrakimplanty. Mimo że dobijała już trzydziestki piątki, piersi miała nadal jak nastolatka – wysokie, twarde, sterczące.

Leniwym, wystudiowanym i otwarcie zapraszającym gestem założyła za ucho pasmo swych prostych, ciężkich, czarnych włosów.

Pan Takiyama wstał.

– Och, uraziłem panią?

– Ależ skądże znowu.

Podniósł rękę i przycisnął czubki palców do jej dekoltu. – Tu jest punkt energii, konkretnie tej, która wywołuje stres. I pani czuje tu pewien ucisk.

– Tak? – Jadę ostrożnie dotknęła miejsca między piersiami. Chyba nie doceniła pana Takiyamy. Wyglądał na klienta zainteresowanego wyłączeniem biznesem, ale teraz poczuła, że chyba się pomyliła co do niego. Przyciąganie. Pragnienie. Pożądanie! To potrafiła wyczuć na

kilometr.

Pan Takiyama obszedł biurko dookoła i stanął za jej fotelem.

– Tak – powiedział, delikatnie odsuwając jej rękę i kładąc swoją między jej piersi. – Dokładnie tu znajduje się ten punkt energii wywołujący stres. Jest pani bardzo napięta. – Podczas gdy mówił jego ręka zsuwała się wzdłuż jej ciała, niżej, ku zębom.

– Bardzo napięta? – Jadę z trudem powstrzymywała wybuch śmiechu, odchylając się w fotelu i opierając głowę o jego tors. Po prawdzie mnóstwo facetów mówiło jej przedtem, że jest napięta, ale nigdy w takim kontekście. Hmm... I on to nazywa akupresurą? Brzmi dobrze, a jego dotyk jest delikatny i gorący zarazem. No... Darmowy pokaz medycyny Wschodu, połączony z doskonałą macanką.

– Teraz proszę wstać – powiedział nagle pan Takiyama, podnosząc ją z fotela jak lalkę. Jego dłonie ześlizgnęły się na jej brzuch.

– Tu, na podbrzuszu, jest główne źródło pani energii. Czuje ją pani?

– Taaak – westchnęła Jadę, marząc o tym, by jego dłonie powędrowały jeszcze ciut niżej. W zasadzie nie była zbyt dobra w grze wstępnej, ale jak na razie pan Takiyama radził sobie doskonale sam.

Lekko nacisnął jej podbrzusze.

– Czuje pani? To ciepło?

– O, tak. Prawie gorąco. – W moich majtkach, miała ochotę dodać. Kurczę, co robić dalej? Ośmielić go? Ale może to go wystraszy?

– Doskonale – Pan Takiyama cofnął dłonie i odsunął się. Co do... ? Jadę odkręciła się na fotelu z lekkim zawrotem głowy.

– Jeśli ma pani ochotę, możemy pojechać razem do mnie do hotelu i popracować nad pani przepływem energii.

– Pan Takiyama skłonił się z wdziękiem.

– Ach, oczywiście, z miłą chęcią – Jadę skłoniła się również, usiłując jakoś ukryć narastający w niej chichot.

– Jestem... pańską pokorną uczennicą – dodała. – Kurczę, pomyślała, mam nadzieję, że nie zabrzmiało to jak cytaty z niskobudżetowego filmu kopanego.

Gdy brała torebkę, zobaczyła w kalendarzu imię Mouse, zapisane pod dzisiejszą datą. Niech to, miała wpaść dziś wieczorem do klubu Vermillion. Ale ostatecznie klub nie zając. A poza tym... poza tym czasami trzeba wygospodarować trochę czasu na dobre, małe dymanko.

To jest raj, darł się solista rockowej kapeli. – Raj! Raj!

Tłum małolatów darł się wraz z nim, podskakując, podrygując i objając się o siebie. Światła klubu Vermillion rozbłyskiwały na parkiecie czerwono niczym serie z uzi. Mouse obserwowała parkiet, wypatrując, kiedy kolejny bachor padnie jak mucha trafiona gazetą. Przedawkowanie zaczęło już być w Vermillion na porządku dziennym (a raczej nocnym); gówniarze beztrudno mieszały brudną kokainę, marihuanę, ecstazy i całą masę innych prochów i pigułek pobudzających czy antykoncepcyjnych. Tkwiąca za barem Marielle Griffin, dla przyjaciół Mouse, doznała w tym momencie objawienia i to bynajmniej nie za sprawą muzyki, tłumy, ecstazy czy też faktu, że jest już po jedenastej, a żadne z jej przyjaciół jeszcze się nie pojawiło. Nie, źródłem objawienia był problem: kurczę, zabrakło czystych szklanek. I rozwiązanie problemu: rzucić w cholerę tę robotę.

Była aktorką. Śpiewaczką. Grała rolę barmanki i kelnerki. I właśnie dotarło do niej, że ta rola ma swoje granice.

– Co jest? – spytała drugiego barmana, Elvisa, dumnie noszącego długie bokobrody, by jak najbardziej upodobnić się do Króla. – Zmywarka wysiadła?

Elvis przewrócił oczami. – Ano, wysiadła. Ostatnio jak to zgłaszałem, Vince powiedział, że ma na głowie ważniejsze sprawy niż brudne naczynia.

– Gdybym była czystą szklanką, to gdzie bym się schowała? – mamrotała Mouse, odgarniając do tyłu swe oplecione koralikami dredy i wsuwając głowę pod kontuar, by zajrzeć do upchniętych tam skrzynek. Zdażyła doprowadzić inspekcję do końca, gdy zorientowała się, że stoi obok niej menedżer klubu, Vince Gambetti, z zapalem dłubiący wykałaczką w zębach.

– Hej, Vince! Potrzebujemy szkła! I to na gwałt!

– Pogadaj z Jimmym – rzucił jej niedbale Vince, nie odrywając wzroku od tłumy kłębiącego się na parkiecie. – Popatrz se ino! Oni kochają tę kapelę! Ludziska szaleją za takimi kawałkami.

– Vince, który został menedżerem klubu Vermillion tylko dlatego, że właścicielem lokalu był jego brat, miał zwyczaj w kółko powtarzać, jakim to wspaniałym klubem jest Vermillion. Bodaj to być takim szczęśliwym kretyńcem jak Vince, pomyślała kwaśno Mouse.

– Tuu jeest raaj! – zapał znienacka Vince.

– Jeśli tu jest raj, to ja wolę do piekła – wymamrotała pod nosem Mouse, pchając przez kontuar dwa zamówione piwa. Goście obsłużeni, forsa wzięta, kontuar wytarty: nabyła już prawie rutynowych gestów i czasami pracowała niemal jak automat, ale samopoczucia jej to nie poprawiało. Klientela wydawała się dziś nie tylko coraz bardziej smarkata, ale i coraz bardziej wkurzająca. Przez całą noc ta banda gówniarzy rzucała w jej kierunku na przemian to zamówienia, to kretyńskie komentarze i zaczepki; z jakichś niezrozumiałych powodów uważali,

że wszystko im wolno i na wszystko mogą sobie pozwolić.

Mouse wiedziała, że prawdziwe dno, jak zawsze, osiągnie dopiero wczesnym rankiem, gdy kompletnie wykończona zwała się na łóżko. Rany boskie, nawet ta mordęga, gdy była w trasie z *Dźwiękami Muzyki*, to było małe piwo w porównaniu z koszmarnym zmęczeniem i ośpieniem po nocy w barze, gdy miała kompletnie pustą głowę, za to czuła każdą kosteczkę. To kelnerowanie dosłownie wysysało z niej życie. I całą energię, której potrzebowała, by błyszczeć na przesłuchaniach i zdobywać nowe role. Cholera, muszę rzucić tę robotę. Dziś w nocy. Teraz, zaraz.

Obróciła się gwałtownie w kierunku Vince'a i... zamarła. A co z czynszem za ten miesiąc? I tak była kilka setek do tyłu; a przy tym nie miała żadnych widoków na jakąś większą rolę. Och, pieprzyć to!

– Hej, ty, dziewczę w paciorkach! – wrzasnęła jakaś dziewczyna, przewieszając się przez kontuar baru.

Mouse odplaciła dziewczusze jadowitym spojrzeniem. Jako Afroamerykanka nie miała wprawdzie zbyt rozbudowanego kompleksu prześladowanej mniejszości, ale nie zamierzała takiego chamstwa pachnącego rasizmem pozostawić bez należytej odprawy. Choć niewysoka i drobna, Mouse do perfekcji opanowała sztukę miażdżenia zuchwalców spojrzeniem. Elvis wzniosł obie ręce do góry, na znak, że oddaje pole. Dziewucha jest twoja! Świetnie. Zaraz ją załatwię.

Dziewczyna, nadal przewieszona przez kontuar, darła się: – Gdzie nasze ozdobne szklanki?! Zamówiliśmy Manhattany!

Mouse ponownie zmierzyła ją spojrzeniem i użyła Głosu – lodowato obojętnego głosu, jakim głośnik na lotnisku zwykł ostrzegać pasażerów, że parkowanie w strefie czerwonej jest surowo zabronione.

– Niezmiernie mi przykro. Jak na razie, te tutaj to nasze jedyne czyste szklanki w tej chwili, ale jeśli pani sobie życzy „ozdobnych”, może spróbuje pani u Tiffany'ego?

Dziewczyna rozdziawiła buzię, po czym odwróciła się do swojej koleżanki w bajeranckich okularach o prostokątnych szklach. Kurczę, Perry Ellis jak nic. Mouse знаła ten model, bo o mały włos ich sobie nie kupiła, póki nie uświadomiła sobie, jak pioruńsko są drogie; a poza tym właściwie nie musiała nosić okularów. Ale, kurczę, były fajne.

Dziewucha powtórzyła tępo: – U Tiffany'ego? To jakiś nowy klub?

Ta druga w superokularach zaskomlała: – Ale ja chciałam specjalność klubu! – Usłyszawszy nawoływanie z drugiego końca kontuaru, Mouse z ulgą oderwała się od Blond Dziewuchy i Okularków; przeszła dalej, by przyjąć nowe zamówienie. Właśnie wrzucała oliwki do koktajli, gdy na udzie poczuła wibracje swej komórki. Pospiesznie wyplątała aparat z kieszeni fartucha, odsunęła się na wszelki wypadek od Vince'a i podniosła komórkę do ucha.

– Mouse? Tu Jade.

– Co się stało? I dlaczego szepczesz?

– Nie mogę długo rozmawiać – wyjaśniła Jade, układając się wygodnie na miękkiej, słomianej macie, pełniącej funkcję łóżka w apartamencie pana Takiyamy. – Rozumiesz, on jest teraz pod prysznicem. Słuchaj, złapałam fantastycznego Japońca; masz pojęcie, jakie on zna sztuczki? Ćwiczyliśmy jakieś takie gry ruchowe i było bosko.

– Mnie też będzie bosko! – wrzasnęła entuzjastycznie Mouse. – Mój facet zabiera mnie do Tokio na weekend, swoim prywatnym odrzutowcem. A potem wracamy prosto do Hollywood, gdzie on zagra w swoim własnym filmie, który finansuje...

– Ojej, daruj sobie te sarkazmy – odpaliła Jade. – Chciałam tylko, żebyś wiedziała, co jest. To znaczy dlaczego nie przyszłam.

– A... tego... no, dobrze – odpowiedziała Mouse, siląc się na możliwie niedbały ton. – Właściwie to powinnam czuć się zaszczycona. Telefon od ciebie to w końcu ewenement.

Gdy w ich czasach studenckich Jade zdarzało się znikać na parę dni (i nocy), zawsze po powrocie Zoey częstowała ją przemową w tym mniej więcej stylu: „Słuchaj no, ani ja, ani Mouse nie chcemy odgrywać roli twojej mamuski i ogólnie zwisa nam, gdzie i z kim się gzisz, ale zdobądź się przynajmniej na telefon, żebyśmy wiedziały że żyjesz”. Mouse uśmiechnęła się na to wspomnienie, lecz nagle dotarło do niej, że Zoey też ją dziś olała i nie przyszła do klubu. A gdzie, u licha, jest Merlin?

– Wybaczysz mi dzisiejszy wieczór? – dotarło do niej pytanie Jade.

– Dobrze, niech ci będzie. Opuuszczam tobie, Zoey i Merlinowi. No, ty przynajmniej masz dobrą wymówkę.

– Dzięki, Myszko – Jade nadstawiła uszu i usłyszała, że szum prysznic ustął. – Ojej, on chyba zaraz przyjdzie. Spadam, cześć.

Wyłączyła komórkę i wrzuciła ją do torebki, po czym po raz kolejny rozejrzała się wokół siebie.

Gdy pan Takiyama mówił o „swoim hotelu”, Jade nawet nie przypuszczała, że ma on na myśli swój własny apartament na ostatnim piętrze. Gdy w recepcji otoczył go co najmniej tuzin portierów, gnących się w ukłonach, i drugie tyle innych członków personelu, Jade zdziwiła się dlaczego Takiyama chce zamienić to miejsce na mieszkanie na Piątej Alei. Możliwe, że chodziło mu o więcej prywatności. A może traktuje to jako inwestycję. Hmm.... Jade właśnie rozważała, czy jako forma inwestycji mogłyby zainteresować go także inne nieruchomości, gdy Takiyama pojawił się nagle w pokoju – nagi i najwyraźniej gotowy do działania.

Jade uśmiechnęła się zapraszająco.

Sklonił się przed nią; nie był specjalnie przystojny ani przesadnie umięśniony, ale na pewno posiadał rozległą wiedzę na temat stref erogennych.

– Jesteś gotowa na kolejną lekcję? – zapytał.

– I to jak! – wymamrotała pod nosem Jade, opadając na matę. Prawdę mówiąc była już bardzo gotowa.

Takiyama nieoczekiwanie ukląkł i przesunął jej stopy ku sobie.

– Teraz będzie masaż stóp – powiedział, lekko uciskając palce jej prawej stopy, potem przesuwał swoje dłonie ku lewej. Jadę zakwilła. Gdy jego palce zaczęły muskać jej drugą stopę, doznała przedziwnego uczucia, jakby wlatywała w powietrze, całkowicie odłączona od ciała. Była to jej szczególna umiejętność, rodzaj „daru”; potrafiła wtedy wyłączyć umysł i przenieść się całkowicie w świat czysto zmysłowych doznań. Ten jej dar sprawiał, że seks był dla niej zawsze miły, łatwy i dający zadowolenie. Pozwalał jej też – nie przejmując się partnerem – skupić na własnej przyjemności i własnych orgazmach. A ponieważ w ośmiu przypadkach na dziesięć jej partnerzy okazywali się... no, tacy sobie, dar ten był naprawdę użyteczny.

– Podoba ci się ten masaż? – spytał Takiyama.

– Ummm. – Kurczę, podobał się, jak cholera się podobał i może właśnie dlatego chciała więcej. I to zaraz.

– Skarbie! – powiedziała miękko. – To jest cudowne, ale ja chcę ciebie. Teraz. – Takiyama uśmiechnął się, pieszcząc teraz podeszwy jej stóp. – Wiesz, co to tantra? – zapytał. – To sposób na przekształcenie energii seksualnej – obojętnie, jak ją nazwiesz: siłą życiową *chi* czy duszą – w idealny pierwiastek boski. – Mówiąc to przesuwał delikatnie dłonie wzdłuż jej nóg – od stóp, poprzez kostki, kolana i wyżej, doprowadzając Jadę na skraj ekstazy.

– Tak, czuję się bosko – jęknęła. – Wiesz, skarbie, czytałam o tym tantrycznym seksie, ale myślę, że to nie dla mnie... Pospiesz się. Czekam. – Przez kilka następnych minut pozostawało jej tylko powtarzać raz po raz: „Proszę, och, proszę”.

– Jesteś zbyt niecierpliwa – uśmiechnął się wyrozumiale Takiyama.

Po kilku sekundach Jadę dostała wreszcie to, czego pragnęła. I gdy krzyczała z rozkoszy, pomyślała: Olewać te wszystkie punkty energii i przepływy. Orgazm – to jest energia!

Jeśli będę cię słuchać wciąż i wciąż – śpiewała Zoey na całe gardło, aż echo odbijało się od zielonych kafelków łazienki Skye – wtedy wreszcie uwierzę, że wszystko to prawdą jest...

Leniwie przeciągnęła się w wypełniającej wannę pianie i westchnęła. Właściwie nigdy nie lubiła tej piosenki. Aż do dziś wieczór, kiedy natknęła się na nią puszczając na chybił trafił płyty z kolekcji Skye; czuła przy tym, że nadal jej nie rozumie. Dopiero gdy usłyszała frazę *a on kłamał z obojętną twarzą patrząc na me łzy*, podniosła do góry kieliszek z winem, jakby chciała uhonorować trafność opisu. Bo też te słowa tak cholernie pasowały do Nicka – jego zachowania i jej własnej głupoty.

– Wreszcie załapałam – powiedziała do siebie, stuknąwszy kieliszkiem w pustkę, po czym upiła niewielki łyk. Z salonu wciąż rozbrzmiewała ta sama melodia i te same słowa; nastawiła odtwarzacz na powtarzanie, mogła więc słuchać płyty na okrągło, mocząc się w wannie i popijając niespiesznie bezcenny cabernet Nicka. Pałace się wokół wanny świeczki napelniały łazienkę drżącym, migotliwym światłem, wprawiając w niezwykle taniec cienie i blaski na wszystkich sprzętach – nawet komoda rzucała interesujący, choć dziwaczny, nieco przycięzki cień wprost na pojemnik z papierem toaletowym.

– Fascynujące – mruknęła Zoey. Z upiętych na czubku głowy włosów wysunęło się jedno ciężkie pasmo, zwijając się w wodzie jak złocisty wężyk. Niecierpliwym ruchem założyła je sobie za ucho, po czym dokończyła trzeci już kieliszek wina. Całkiem niezłe, pomyślała, choć z drugiej strony, żeby zaraz takie nadzwyczajne... Koniecznie musi powiedzieć Nickowi, że ten jego niezwykle rzadki i niezwykle drogi cabernet to w sumie zwykły sikacz... taa... , musi mu to powiedzieć, gdy tylko zdecyduje się odezwać do niego i rozmawiać z nim po tym wszystkim, co...

Do licha, nie jest jakąś rozdygotaną histeryczką. Nie skreśla ludzi ot tak, bez dania im szansy. Ale Nick zdecydowanie przegiął. No dobra, każdemu facetowi zdarza się popełnić błąd, mieć mały skok w bok, omsknąć się czy coś w tym guście. Potarła nos, zamyślona...

Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie będzie o tym myśleć, nie będzie tego wszystkiego roztrząsać od nowa. Przecież właśnie wybaczyła Nickowi ten cały głupi romans! Nie mogła mu natomiast wybaczyć tego, że on w gruncie rzeczy wcale nie chciał jej wybaczenia – natomiast bardzo chciał mieć Eileen. I Zoey. Obie. „Gdy ją bliżej poznasz, na pewno ja polubisz”, przekonywał. Drań. Dupek. Skurwiel. Samo wspomnienie tej sceny i tych słów sprawiło, że sięgnęła po kieliszek i naląła sobie kolejną porcję caberneta.

Ułożyła się wygodniej w wannie, przeciągnęła z rozkoszą w ciepłej, pachnącej wodzie i zagapiła się na sufit. O kurczę, to niewiarygodne. Cały sufit łazienki też był wyłożony lustrami odbijającymi widok jej ciała wśród kaskady puszystych bąbelków.

Po raz kolejny podziękowała w myślach Skye za użyczenie jej tego mieszkania. Zaraz po południu usiadła do komputera, wysyłając emailem podziękowania do Skye – do Toskanii, Florencji czy gdziekolwiek się ona teraz obraca.

Nie wiem, jak Ci dziękować, że pozwoliłaś mi pomieszkać u siebie. Zdążyłam się już zaprzyjaźnić z portierem i podlać kwiaty. Tu jest cudownie, doprawdy, czuję się jak w domu i chyba dobrze mi się tu będzie pisało – co zapewne odczytałaś prawidłowo jako: „Nie, jeszcze nie mam sprecyzowanego pomysłu na swoją kolejną powieść”. Przepraszam za zwłoką; wiesz, że nigdy dotąd nie zdarzyło mi się zawalić terminu.

Nigdy. Fakt, Zoey stawiała zawsze na wysokości zadania. Prawdziwa profesjonalistka. Póki Nick nie zniszczył i tego.

Wzdrygnęła się na ostry dźwięk sygnału komórki. Kurczę, kto to może być? Wyciągnęła rękę z wanny... i nagle zamarła. A niech sobie dzwoni. Może poczekać. A poza tym to może być....

Nick?

Poczuła nagle łomotanie serca. O Boże, Nick. Chce, żeby wróciła. Tęskni za nią. Nie może znieść ich rozłąki ani chwili dłużej i...

Zoey wyskoczyła z wanny łapiąc pospiesznie komórkę – lecz na panelu, zamiast SATAMIAN, NICHOLAS wyczytała GRIFFIN, MARIELLE. Cholera, to Mysz.

– Halo? – odezwała się słabym głosem.

– Rany, gdzie ty do cholery jesteś? – Głos Mouse zagłuszała łomocząca w tle, wrzaskliwa muzyka. – Już prawie północ, kurczę, a ja tu tkwię sama jak palec.

– Ojej, Mouse, przecież stoisz za barem, nie? No to chyba oczywiste, że stoisz sama?

– Merlin zadzwonił, że jest zbyt zmęczony, a Jadę gzi się z jakimś Japońcem. A ty co?

– A ja co? – Zoey z trudem zebrała myśli. To cholernie drogie wińsko zdążyło mocno przyćmić jej umysł. – No, to trudno tak w jednym zdaniu powiedzieć, co ja...

– Dobra, bierz tylek w troki i przyjeżdżaj, to pomogę ci się streścić.

– Ojej, nie mogę – zaczęła bezradnie Zoey. – Myszko, naprawdę nie mogę. Siedzę w wannie i ... no, i za dużo wypiałam, by prowadzić.

– Przecież nie masz samochodu. Jesteś na Manhattanie.

– No właśnie, jestem. A poza tym, Myszczyko, jestem stara. Trzydzieści cztery jak obszył. Jestem, ee, w średnim wieku, o ile dożyję do sześćdziesięciu ośmiu. Teraz to tylko ziółka i dużo snu...

– Chcesz ziółka? Zrobię ci pinacoladę z bananem.

– Myszko, słoneczko, głowa mi pęka.

– No, dobrze już, dobrze. Porozglądam się w tutejszym tłumie i namierzę paru przyjaciół, którzy wiedzą, jak się bawić.

Zoey oparła głowę o brzeg wanny. – No, to powodzenia w namierzaniu. A w ogóle jest tam ktoś pi razy oko po trzydziestce?

– No, może i jest, ale wątpię. W ogóle tu wszystko jest całkiem inne niż wtedy, gdy myśmy studiowały. Z Greenwich Village wyparowały resztki cyganerii. No i ani śladu po zbuntowanych studentach. Obrośli w tłuszcz, żony, dzieci i dywidendy. A nowi studenci? Prosto z uczelni idą do korporacji, spółek-matek czy spółek-córek. No i poślubiają córki odpowiednich matek i tatusiów. Szkoda gadać.

– Racja. Szkoda.

– Hej! Chodź no tu! – wydarła się jakaś blondynka, powiewając dwudziestodolarówką w kierunku Mouse. O rany. Dziewucha wróciła, niech ją... Mouse próbowała udawać, że jej nie słyszy; zaczęła zbierać szklanki i kieliszki z kontuaru. – Zaraz wracam – rzuciła EWisowi – idę tylko po czyste szkło.

Cofnęła się przezornie do korytarza, wstrzymując oddech. Boże, ależ tu śmierdziało. Wąska przestrzeń zastawiona była już ciasno pojemnikami pełnymi brudnych szklanek. Nic dziwnego, że w barze zabrakło szkła.

– Jimmy! – ryknęła.

– O Jezuniuuu! – usłyszała nagle w słuchawce skomlenie Zoey. – O mało mi bębenków nie rozsadziłaś! Słuchaj, może lepiej zadzwoń jutro, to coś zorganizujemy?

– Dobra, na razie. – Mouse wyłączyła komórkę i wrzuciła ją z powrotem do kieszeni fartucha, po czym wrzasnęła znowu: – Jimmy!! Z kuchni wyjrzała Chandra, jedna z kelnerek.

– Co jest?

– Potrzebuję czystego szkła, do... – prychnęła Mouse, odrzucając na ramię oplecione koralikami dredy. – Gdzie, do cholery, jest Jimmy?

– Oj, chyba jest na zapleczu – powiedziała Chandra, ciskając papierosa na podłogę i rozdeptując go obcasem.

– Pomaga jakiejś dziewczynie.

– To co, nasz Jimmy niańczy teraz ćpunka? – Mouse, wściekła, ruszyła na zaplecze, które tak naprawdę służyło jako rzygownia dla tych wszystkich kretynów, którzy przesadzili z konsumpcją Ecstasy. Właściciel klubu przemykał na to oko, licząc, że zapobiegnie to przynajmniej częściowo przedawkowaniom i powstrzyma policję przed zbyt dużą dociekliwością w sprawie klubu Vermillion, który – jak zresztą wiele innych, podobnych lokali – stał się prawdziwą oazą dla ćpunów i dealerów.

Mouse z rozmachem pchnęła drzwi i – gotowa do awantury – wzięła się wojowniczo pod boki. Jimmy siedział na kanapie i zdawał się jej nie zauważać.

– Może byś łaskawie ruszył tyłek? – syknęła Mouse.

– Zabrakło szkła w barze i...

Jimmy spojrzał na nią przepaszająco; równocześnie głąskał ciemne włosy dziewczyny szlochającej mu na podłokiu.

– Obsunęła się – powiedział. Mimo pozorów twardziela z ogoloną na zero głową i kolekcją kolczyków w uszach, Jimmy wydawał się w tym momencie bezradny i zakłopotany. Właściwie

przerażony.

Mouse, zdenerwowana nieoczekiwaną komplikacją, stanęła nad nimi, przygryzając dolną wargę.

– Co z nią? Przedobrzyła?

Jimmy skinął głową, po czym zwrócił się do dziewczyny.

– Możesz usiąść, Donna? Chcesz może trochę lodu?

– Niece chcę niczego! – wrzasnęła, podrywając się na równe nogi.

Mouse zamarła, rozpoznając prostokątne okulary. Koleżanka dziewczuchy, psiakrew. Zazwyczaj starała się omijać zaplecze szerokim łukiem; niedobrze jej się robiło na widok tych wszystkich rzygających tam gówniarzy, przepuszczających forsy tatusiów na zbyt silne i kiepsko oczyszczone prochy. Teraz, gdy patrzyła na Donnę, zdała sobie sprawę, jak straszliwie nie pasuje do tego obskurnego pomieszczenia, do tego szemranego klubu, do tego całego syfu. Donna mamrotała coś do siebie i szarpała na sobie ubranie, coraz bardziej rozpalona i spocona. Mouse zdała sobie sprawę, że trzeba ją jak najszybciej zawieźć do szpitala.

– Podnieś ją, musi iść – powiedziała Jimmy’emu, kiwając głową w kierunku tylnego wyjścia, gdzie zawsze czekał na wszelki wypadek prywatny ambulans. Jimmy się przestraszył wyraźnie.

– Jesteś pewna? Vince chciał tylko, żeby trochę ochłonęła. Mówił, że powinniśmy w miarę możliwości unikać odsyłania tych szczeniaków do szpitala, poza absolutnie koniecznymi przypadkami...

Sweterek Donny znaczyły coraz wyraźniejsze plamy potu, a jej twarz płonęła jaskrawym rumieńcem.

– No, na okaz zdrowia to ona nie wygląda – stwierdziła Mouse.

– Noo, niby, ee, tak, ale... – Jimmy wyraźnie się zacukał. – Ale Vince mówił...

– Pałę się! – wrzasnęła nagle Donna, przykrywając głowę rękoma; – paalę się!

– Donna... – Jimmy próbował jej dotknąć, lecz odtrąciła go brutalnie.

– Spadaj! – wrzasnęła Mouse. – Ale już!

Jimmy wypadł z pokoju; Donna usiłowała pobiec za nim, kwicząc.

– Nie, nie! Nie mogę! Nie mo... – zaczęła szarpać rękawy swetra, urywając jeden z nich przy okazji. – Ja płonę! – i runęła na ziemię, nadal szarpiąc na sobie ubranie.

Kłęcząca przy niej Mouse zdała sobie nagle sprawę że dziewczyna może umrzeć. I że ona, Mouse, ma to dokładnie gdzieś.

Dobry Boże, dlaczego mnie to nic nie obchodzi?

Nigdy nie przejmowała się zbyttno przypadkami przedawkowania; zakładała zawsze, że naćpaną smarkaterię odwiozą na czas do szpitala na Płukanie Flaków Czwartego Stopnia, po czym odeślą do domciu, by się spokojnie wyrzygały, wyspały i wróciły do klubu następnego wieczoru. I w istocie bachory zawsze wracały, ku obrzydzeniu Mouse. Co świat by stracił wraz z tą tu zaćpaną smarkulą? Czy toto w ogóle kiedyś się zmieni i świat będzie miał z niej jakikolwiek pożytek?

No tak, pewnie nie. Nawet na pewno nie. Ale życie ludzkie to dar od Boga i nie mogę być tu sędzią, pomyślała. Co nie zmienia faktu, że nie potrafię ani zrozumieć, ani współczuć tej dziewczynie, ani reszcie tej zgrai, dobrowolnie wachającej, łykającej lub wstrzykującej sobie cały ten syf.

Donna nagle dźwignęła się na kolana, oparła o barki Mouse i strumień brązowych wymiocin bryznął z jej ust na wykładzinę. Potem nagle jej głowa opadła ciężko i bezwładnie na pierś Mouse.

Starając się zwalczyć nudności, Mouse usiłowała jakoś odciągnąć Donnę od kałuży na podłodze. Pomyślała, że najlepiej będzie, jak ciśnie gówniarę na krzesło i spokojnie wróci do baru. Kto będzie wiedział? Kto cokolwiek zauważy? Cała sytuacja wydawała się nierzeczywista i obrzydliwa, a Mouse nie chciała mieć z nią nic a nic wspólnego. Jednak została. Starając się ignorować smród potu i wymiocin i nie patrzeć na żalną kukielkę w swych ramionach, zaczęła się modlić. Słodki Jezu, wybaw mnie z tego bajzlu. Zabierz stąd bezpiecznie mój biedny tyłek, o Panie.

Świdrujący hałas wręcz rozsadzał głowę Zoey. Zirytowana obróciła się na łóżku i nagle uświadomiła sobie, że to nie jej łóżko i nie jej sypialnia. Światło było tu jakieś ostrzejsze, prześcieradła sztywniejsze, a hałas...

Głowa ciążyła jej nieznośnie. Cholera, ile tego wina zdołała wytrąbić? Mętnie pamiętała, jak wylała ostatki do klozetu; jasnoczerwony strumyczek spływający w dół porcelanowej muszli był jej jakby ostatnim toastem dla wkrótce już byłego męża. Czy też płynną ofiarą spełnioną jego podłym – jak on sam – winem. Miała wtedy miłe uczucie, że spuszcza do klozetu i wino Nicka, i jego samego.

Przetarła oczy; świdrujący hałas rozległ się ponownie. Cholera, to nie dźwiękowe efekty kaca, to prawdziwy hałas. Co się dzieje? Wyśliznęła się z obszernego łóża Skye i podreptała chwiejnie do holu, gdzie ujrzała drabinę, a na niej młodzieńca o smolście czarnych włosach, borującego z zapalem sufit. Był tak pochłonięty pracą, że nawet nie zauważył jej, jak stała przy drabinie w podkoszulku i majtkach, z rozdziawionymi ustami. Cholera, powinna się jakoś ubrać. Ale żeby to zrobić musiałaby zamknąć drzwi, a – jak zauważyła – wiertarka była podłączona do gniazdka w sypialni; zamknięcie drzwi było więc chwilowo niemożliwe.

Boże miłosierny, co zrobiłaby w takiej sytuacji Martha Stewart? Zoey rezolutnie przeczesła palcami rozczochrane włosy i postanowiła zachować się jak właścicielka: w końcu to było jej mieszkanie, no, tak jakby. No i – jak zdołała dojrzeć na tarczy budzika przy łóżku – była dopiero za kwadrans ósma. Rano. Dłonie zaczęły jej się pocić ze zdenerwowania i chyba z gorąca. Nagle całe mieszkanie wydało się jej zbyt przegrzane i zbyt zatłoczone. No nie, do licha, przecież Skye uprzedziła ją o tych fachowcach od przewodów. Czas stawić im czoło.

– Halo? – zakwiliła niepewnie. Wizg świdra całkowicie zagłuszył jej kwilenie. Zatkała na moment uszy, odczekała aż wizg ustanie, po czym spróbowała jeszcze raz.

– Halo? Jest pan stolarzem, jak sądzę? Mężczyzna spojrzał na nią z góry i najwyraźniej się wzdrygnął. Mężczyzna, to za dużo powiedziane; właściwie jeszcze chłopiec, o miękkim, dzieciennym zarysie szczęki i wielkich przestraszonych oczach. Krzyknął coś w głąb holu, w jakimś obcym języku – chyba portugalskim? Zoey знаła hiszpański i francuski, a nawet dzięki rodzinie Nicka – parę słów po ormiańsku, ale to zdecydowanie nie był żaden z tych języków, choć z intonacji domyśliła się, że chłopaczek woła kogoś na pomoc. Istotnie – z salonu wystawił głowę drugi mężczyzna, tak samo jak chłopaczek z drabiny, smolisty brunet o wielkich oczach. Ukłonił się grzecznie Zoey.

– Dziń dybry, pszepani. Jestem Carlos. My tutaj som do poprawy tych uszkodów od przewodów. One się spalili.

– Wskazał w górę. – Nas najęła pani Blajkwel.

– Och, w porządku. – Zoey nerwowo wytarła spocone ręce w podkoszulek; nagle poczuła się zmieszana i zakłopotana. Jak to, kurczę, jest, że na plaży możesz spokojnie paradować w stringach i czuć się swobodnie, ale gdy ktoś przyłapie cię w pidżamie, czujesz się nagle goła jak jakaś nimfa drzewna czy wodna? – To znaczy w porządku, ale jeśli mogę spytać, to o której zwykle zaczynacie pracę?

Smolisty brunet obruszył się wyraźnie – Zawsze na czas, pszepiani. Zawsze na czas.

– No dobrze, to znaczy że zaczynacie, ee, o wpół do ósmej?

Znowu energiczne kiwnięcie głową.

– Zawsze na czas. Czasem nie.

– Słuchajcie, wpół do ósmej to trochę za wcześnie. Moglibyście zaczynać o, no... o wpół do dziewiątej? A jeszcze lepiej, tak bliżej dziewiątej. A najlepiej o dziewiątej.

– O dziewiątej jest dobrze – zgodził się Carlos. – To my zaczynać o dziewiątej?

– O dziewiątej, wspaniale – odetchnęła Zoey z ulgą. Ostrożnie obeszła drabinę i ruszyła do łazienki. Co prawda myśl, że ci dwaj faceci w holu mogą usłyszeć jak susia nie była specjalnie krzepiąca na dzień dobry, jednak natura domagała się swoich praw.

Nareszcie! Teraz szybko: przekręcić klucz, zapalić światło, ściągnąć majtki i wreszcie usiąść! Och, jak dobrze. Przynajmniej przez chwilę, bowiem nagle spojrzała i zmartwiała.

Robal.

Siedział sobie beczelnie na marmurowej półeczce, duży, tłusty, straszny. Ogromny robal.

Zoey zacisnęła powieki i nakryła głowę rękami. Nagle opadły ją wszystkie koszmary dzieciństwa. Włochata stonoga na jej nagim ramieniu. Lepkie nici sieci pająka, w którą nierozważnie weszła w wiejskim domu ciotki. Straszliwe ukłucia czerwonych mrówek, gdy za namową dowcipnych kolegów z sąsiedztwa rozgrzebała ich mrowisko. I karaluchy. Ohydne, tłuste, pełzające wszędzie... O, te stwory były zdecydowanie pierwsze na jej liście Rzeczy, Których Najbardziej Nienawidziła.

No dobrze, cierpi na ostrą insektofobię. Zdarza się.

Ostrożnie otworzyła jedno oko. Robal wydawał się prawie nierealny; jego przezroczyste skrzydełka i zbyt duża głowa sprawiały, że mógłby służyć za model jakiegoś wyjątkowo wrednego Obcego; tak sobie zawsze wyobrażała kosmitów, których hordy atakują bezbronną Ziemię. Cholera, chyba naprawdę do robali należy przyszłość! Zniszczą ludzkość, poczynając od niej, bo ona zaraz tu umrze ze strachu!

Robal obserwował ją uważnie; jego czułki poruszały się lekko, wyraźnie wyczuwając intruza. Zoey nie była wprawdzie entomologiem, ale jej dotychczasowe doświadczenie z różnymi robalami podpowiadało jej, że bestia szykuje się do ataku.

– Jiiii!! – z wrzaskiem wypadła z łazienki. Po drodze złapała torebkę i pomknęła do drzwi wejściowych, wypadając na elegancki, utrzymany w stylu art deco, korytarz siedemnastego piętra i nagle zdała sobie sprawę, że nie ma dokąd pójść! Rozpaczliwie zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu komórki.

Usłyszała za sobą skrzypnięcie otwieranych drzwi.

– Się coś stało, pszepani? – zapytał ostrożnie Carlos. Przestań się trząść kretyńko! – zmusiła się do krzywego uśmiechu.

– Noo, w łazience jest, eee... , wielki robal, a ja, ja... mam, eee... , na wszystkie insekty to coś, znaczy coś, no, coś...

– Aha. – Carlos w mig pojął sytuację. – Nie bać się. Rozpłaszczę to zaraz, pszepani.

Zoey ponownie zamknęła oczy, ze wszystkich sił starając się przegnać z umysłu obraz gigantycznego, rozpłaszczanego robala.

– Dzięki, Carlos, wielkie dzięki! – powiedziała słabym głosem, wystukując jednocześnie numer Jadę.

– Halo?

– Jadę, przepraszam, że dzwonię tak wcześnie; wiem, że ty późno wstajesz, bo... tego... , przepraszam raz jeszcze, ale musiałam zadzwonić, bo to... , no nagły wypadek, eee...

– Złotko, zwolnij kapinkę – Jadę wydawała się mocno zaspana. – Gdzie jesteś?

– No, w holu, przed mieszkaniem Skye i... właśnie dlatego dzwonię. Potrzebuję twojej pomocy.

– Eee... A tak w ogóle to która godzina?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała – Zoey przeczesła palcami włosy, założyła nieposłuszne pasemko za ucho i oparła się czołem o ścianę. – Chodzi o to, że... no, eee... , musisz mi zaraz znaleźć nowe mieszkanie. Bo właśnie dziś... Ja... ja nie mogę tam wrócić, Jadę. Za żadne skarby!

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

– Skarbie, pamiętasz, co ci mówiłam o rynku mieszkaniowym, gdy wyprowadzaliście się z Nickiem z Manhattanu, a ja radziłam ci wtedy zatrzymać twoje mieszkanie?

Zoey skinęła machinalnie głową. – No, tak, tak. Mówiłaś, że to dżungla i w ogóle, i że to rynek, gdzie warunki dyktują sprzedający i wtedy Nick nalegał, żebyśmy z tego wyciągnęli maksimum korzyści, i...

– Taaa... – Jadę najwyraźniej ziewnęła. – A dzisiaj skarbie, ten rynek jest jak... no, nie wiem, z czym to porównać, ale sytuacja jest bilion, nie, co ja mówię, trylion razy gorsza! To tyle, jeśli chodzi o nowy lokal. Taaa. Znaczą się stoisz teraz w holu, przed tym wspaniałym mieszkaniem Skye... Ciekawe, co też cię z niego wykurzyło?

W ciszy, która zapadła, Zoey słyszała nieomal bicie własnego serca.

– Niech zgadnę... – kontynuowała Jadę. – Zobaczyłaś w mieszkaniu Skye jakiegoś robala, tak?

No tak, jęknęła w duchu Zoey, o jej insektofobii wiedzą wszyscy, a zwłaszcza najlepsze przyjaciółki.

– No, to był taki, eee... taki robal, co wylazł z rury chyba. Ogromny. Jak mały pies.

Jadę westchnęła głęboko.

– Poczekaj chwileczkę, skarbie. Zaraz oddzwonię. Pozwól mi tylko zrobić sobie kawę.

Podczas gdy ciało Merlina idealnie wykonywało czynności wynikające z funkcji recepcjonisty hotelu Royale, jego myśli błądziły zupełnie gdzie indziej. To był jeden z plusów tej roboty. Siedem lat praktyki sprawiło, że perfekcyjnie wypełniając swoje obowiązki, miał zarazem czas i sposobność, by pomartwić się o Zoey.

Właściwie wszystkiemu była winna Mouse. Najpierw przesłała mu trzy wiadomości, potem zadzwoniła do hotelu, gdzie wreszcie dopadła go w recepcji, a teraz wisiała na telefonie, streszczając mu nie mającą końca historię wszystkich nieszczęść, jakie zwały się na biedną Zoey.

– No, wiesz, ona jest całkiem zdołowana. Ten kutafon Nick łaskawie odpala jej jakieś absolutnie nędzne alimenty. A ona jeszcze na domiar wszystkiego ma kompletną blokadę, no, rozumiesz, niemoc twórczą, więc nawet nie jest w stanie napisać cegokolwiek dla zarobku. No i niby ma to mieszkanie, to znaczy może tam mieszkać, ale kto wie, jak długo i jeszcze zgadnij co się jej przytrafiło dziś rano...

Merlin, widząc zbliżającego się do recepcji Dave'a, swego zwierzchnika, rzucił obojętnie profesjonalnym tonem do słuchawki: „Ogromnie mi przykro, ale dziś wieczorem mamy komplet rezerwacji. Czy mogę zaproponować inną datę?”

– O rany, dobrze, dobrze, rozumiem – trąkotała dalej Mouse. – Ale słuchaj, co się jej przytrafiło. Obudziła się dziś rano i znalazła w mieszkaniu takiego ohydneho robala, że prawie zwała stamtąd schodami pożarowymi. Słuchaj, ona naprawdę ma problemy i musimy się jakoś wszyscy zebrać, no, żeby ją jakoś wesprzeć, żeby wiedziała, że przyjaciele są przy niej, co by się nie działo...

– Wspaniały pomysł – odpowiedział roztargnionym głosem Merlin. Przez szklaną ścianę mógł obserwować nowo przybyłych gości. Oj, to chyba sam pan Chenowitz! Milioner, który zawsze zajeżdżał przed hotel najtańszą furgonetką, wynajętą na lotnisku, i nosił zazwyczaj dzinsy i podkoszulki rozdawane na targach czy wystawach.

– No to jak, przyjdiesz? – naciskała Mouse, po raz nie wiadomo który podając mu adres. – Siedemnaste piętro. Zapisaleś?

– Nie trzeba, mam fotograficzną pamięć – zażartował.

– No, to nie mów potem, że zapomniałeś. Przyniosę jakiś browarek, a jak już się wszyscy zbierzemy, to zamówimy chińszczyznę.

Dave nachylił się za plecami Merlina; wyglądało na to, że chce coś wpisać do komputera. Jednak po kilku kliknięciach po prostu znieruchomiał ze wzrokiem wlepionym w monitor. Cholera, szpieguje mnie, niech go, sprawdza co robię, uświadomił sobie nagle Merlin.

– Doskonale, mam nadzieję, że będzie pan zadowolony – rzucił do słuchawki.

– O rany, wiem, że ten twój szef stoi gdzieś koło ciebie, ale lepiej pokaż się dziś wieczór.

Zoey cię potrzebuje. Jeśli olejesz to spotkanie, przysięgam, że będę cię ścigać, dopadnę i zakatrupię.

– Będę miał to na uwadze. Życzę miłego wieczoru!

– Merlin pospiesznie się rozłączył, po czym, wzięwszy głęboki wdech, serdecznie przywitał pana Chenowitza.

– Merlin, chłopcze! Miło cię tu widzieć! O mało nie odwołałem rezerwacji, gdy przeczytałem, że hotel w styczniu przeszedł w inne ręce. – Pan Chenowitz zsunął na kontuar recepcji swego malutkiego, wyrafinowanego laptopa i prawie przewiesił się przez ladę, by ucisnąć Merlinowi dłoń. Merlin nie widział, ale poczuł, jak za jego plecami Dave uśmiecha się promiennie z aprobatą. Świetnie, może będzie z tego jakaś podwyżka w przyszłym miesiącu. Dave klepnął Merlina przyjacielsko w ramię, po czym wycofał się do pokoju za recepcją.

– Nie ma powodu do obaw, panie Chenowitz – oznajmił Merlin i gładko wyrecytował tekst, powtarzany klientom od paru miesięcy: – Zmiana właściciela wyszła wszystkim tylko na dobre! Poprawią się warunki na siłowni, wymieniane są meble i wyposażenie, w restauracji jest nowy, czterogwiazdkowy szef, a nowi właściciele mieli tyle oleju w głowach, by zatrzymać najlepszych członków personelu, którzy zawsze zapewniali panu najwyższej klasy obsługę – jak choćby mnie.

– Miło mi to słyszeć – powiedział pan Chenowitz, sięgając do kieszeni. – No, to się chyba zamelduję.

– Już się tym zająłem, proszę pana – odpowiedział Merlin. – Pański asystent zadzwonił wcześniej i wszystko jest już załatwione. – Jeszcze tylko to – podał Chenowitzowi etui ze złotymi brzegami i dwoma kluczami wewnątrz. – Apartament ambasadorski dla pana, jak zwykle. Mogę zawołać Abdula, żeby pana odprowadził, ale pamiętam, że woli pan zawsze iść sam.

– Faktycznie, wolę – pan Chenowitz wyłuskał z portfela pięćdziesięciodolarowy banknot i podał go przez kontuar.

– Dzięki, Merlin.

– Dziękuję bardzo i z radością witamy pana ponownie, panie Chenowitz.

Gdy Chenowitz zmierzał już do windy, Merlin zdał sobie sprawę, że jest już prawie piąta, a to oznacza, że zbliża się koniec jego zmiany. Przebiegł szybko wzrokiem po liście rezerwacji dla VIP-ów, zapisując przy okazji uwagi na temat upodobań i szczególnych wymagań co ważniejszych gości. Zdażył jeszcze, nim o wpół do szóstej jego zmiana dobiegła końca, zameldować dwóch kolejnych klientów i wykonać parę telefonów. Już się zbierał, gdy zza kontuaru recepcji dobiegł go znajomy głos.

– Cześć, przystojniaczku.

– Cześć i nawzajem.

Nawet nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że to Josh; zawsze, gdy był w pobliżu, Merlin odczuwał znajome miłe łaskotanie gdzieś w okolicy serca. O, jak dobrze, dzięki ci, Boże.

Możliwe, że dlatego się jeszcze sobą nie znudzili, bo pracują na różnych zmianach i nie przebywają ze sobą cały boży dzień. Przyzwyczajenie, znudzenie i zniechęcenie zawsze były dla Merlina największym problemem w jego związkach uczuciowych: tak strasznie szybko męczyli go ludzie.

Josh zaczął pracę na wieczornej zmianie zaledwie przed paroma miesiącami. Gdy nowi władcy hotelu Royale rozpoczęli w styczniu nabór nowych pracowników, Merlin wręcz zachęcił Josha do złożenia podania i użył wszystkich swych wpływów, by ten wylądował w recepcji, przy bezpośredniej obsłudze gości; praca na widoku, z ludźmi, pomagała Joshowi w pewnym stopniu panować nad ciemną stroną jego natury, wydobywając zarazem wszystko, co w nim było jasne i promienne.

– Co tam pichcisz, skarbie? – Josh przysunął się do Merlina i, śledząc monitor, ukradkiem uszczypnął kochankę w pośladek.

Po czym cofnął dłoń i złożył ręce na kontuarze.

– Kocham cię – szepnął do Merlina; jego piwne oczy były głębokie i aksamitne.

– Ja też cię kocham – Merlin zgarnął z lady kilka świstków z pospiesznie nagryzmołonymi uwagami i cisnął je do kosza. – Jak ci minął dzień?

– W porządku. Byłem na siłowni, potem dałem się wykorzystać starszej pani Birnbaum i zrobiłem jej zakupy.

– Sophie Birnbaum, zamieszkująca piętro nad nimi w Greenwich Village, twierdziła, że ma osiemdziesiąt osiem lat; Josh z ochotą świadczył jej różne drobne uprzejmości, narzekając przy tym na nią bez końca.

– Aha, i była do ciebie wiadomość w poczcie głosowej. Mouse zwołuje na dziś wieczór wszystkich nowojorskich snobów, by zjawili się u Zoey. Co z nią?

– Mąż ją rzucił – odpowiedział krótko Merlin, nie chcąc zagłębiać się w szczegóły, po czym pieszczotliwym gestem strzepnął jakiś pyłek z rękawa granatowego blezera Josha. W hotelowym uniformie Josh wyglądał jak wzorowy brytyjski uczeń w przepisowym mundurku, udający się na niedzielną mszę. Merlina osobiście widok ten zachwycił i podniecał.

– No, to wyobrażam sobie – powiedział Josh, poprawiając krawat. – A w ogóle, jakie to było małżeństwo? Wyszła za niego dla pieniędzy czy z miłości?

– Myślę, że z miłości – odpowiedział Merlin, czując się odrobinę nieswojo. Biedna Zoey, co ona teraz musi przeżywać. Pamiętał ten okres, gdy zakochała się w Nicku, i ich nie mające końca dyskusje: czy poddać się uczuciu całkowicie i bez reszty, czy raczej starać się zachować kontrolę nad uczuciami. Wtedy Zoey była raczej sceptyczna wobec takich „zobowiązań na całe życie”. Zabawne, teraz przyszła kolej na niego.

Stuknął palcem monitor komputera.

– Pan Chenowitz zainstalował się właśnie w apartamencie ambasadorskim, ale nie zdążyłem zadbać o barek i przegryzki...

– To znaczy... Stoliczna i M&Msy? – spytał Josh.

– Tak, ale koniecznie z orzeszków ziemnych. Aha, i pamiętaj, że trzeba nakarmić papuzkę pani Van Cleef. No, a na piątym piętrze jest znowu, niestety, cała załoga z linii Platter Air.

Z sobie wiadomych tylko powodów piloci tej linii zawsze podczas pobytu w hotelu zamawiali niemal wszystkie prostytutki z okolicy. Ani Merlina, ani Josha to specjalnie nie gorszyło, lecz innych gości owszem; ilekroć piloci stawali w hotelu, do recepcji spływał potok skarg na dziwki w windach i na korytarzach.

– Pysznie! – zarechotał sarkastycznie Josh. – Zawsze możemy powiedzieć, że właśnie kręca tu *Pretty Woman 2*.

Merlin skończył z komputerem i z ulgą wyprostował się, próbując rozruszać nieco zeszywniałe palce.

– No, to spadam.

– Zaczekaj. – Josh nagle dotknął jego ramienia i zapytał z dziwnym wyrazem oczu: – Pójdiesz tam dziś wieczór? Do Zoey?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział Merlin, siłąc się na możliwie nalżejszy ton; wiedział już, co będzie dalej.

– Proszę cię, nie idź – Josh nerwowo obracał w palcach pióro, które machinalnie podniósł z lady. – Nie, żebym nie lubił Zoey. Naprawdę, uważam, że jest słodka i przemiła. Ale, sam wiesz Merlin, nie możecie być znów najlepszymi przyjaciółmi, tak jak kiedyś. Bo teraz jestem ja – twój piękny, choć tajemniczy, młody kochanek, który... nie może doczekać się powrotu do domu, gdzie będziesz czekał, elegancko owinięty w celofan albo cały w bitej śmietanie, albo w czymś równie smakowitym...

Merlin uśmiechnął się. Jest dobrze, wszystko gra; „chemia” między nim a Joshem jest silniejsza niż kiedykolwiek...

– Jeśli chodzi o dzisiejszą noc, głosuję za syropem czekoladowym...

– Uwielbiam go. – Josh, wyraźnie odprężony, uśmiechnął się szeroko.

Merlin wycofał się na zaplecze. Stał przed lustrem, przyglądając włosy. Rozjaśniony kosmyk sterczał butnie, ostro kontrastując z resztą smolistej czupryny. Szklą kontaktowe pogłębiały naturalny, ciemny błękit oczu.

– Ale tak poważnie – zawołał nagle Josh. – Pójdiesz zobaczyć się z Zoey?

– Nie dziś – odpowiedział wolno Merlin. Jeszcze raz popatrzył w lustro, w swoje niezwykle błękitne oczy. Oczy, które kłamały.

Rany, ten lokal jest super! – zawyrokowała Jade. Krążyła po apartamencie Skye, raz po raz przemierzając kolejno wszystkie jego pomieszczenia.

– Nawet z tymi robalami w wannie to istotny klejnot! Z widokiem na dwie strony i te parkiety, i portier... niech ja skonam! Ile Skye ci za to policzyła?

– Siedemset miesięcznie – odchrząknęła z kuchni Zoey.

– Ale to tajemnica, bo gospodarz nie wie, że je podnajmuje.

– Weszła do salonu, podrzucając w ręku otwieracz do butelek. – Łap!

– Siedemset? Zesz ty, mogłabym za taki lokal wydusić ze trzy tysiące albo i więcej! Skarbie, złapałaś Pana Boga za nogi! A, przy okazji – gdzie się obraca ta niebiańska istota, znaczy ta Skye?

– To mój wydawca, Skye Blackwell. Teraz jest we Włoszech, w *palazzo* jakiegoś literata. Obstawiam, że stoi nad nim jak kat nad dobrą duszą, przepraszam, jak muza, i wydusza z niego tekst, strona po stronie.

– Naprawdę? – Mouse sprawnie odkapslowała butelkę Corony i podała ją Zoey. – A ten sławny literat to kto?

Zoey pociągnęła łyk piwa.

– Mmm... nie bardzo wiem, Skye nie chciała powiedzieć. Ale musi to być bardzo kasowy autor, skoro wydawnictwo posyła ją do jego *palazzo* na parę miesięcy.

Podeszła bliżej do Mouse i musnęła palcami jej włosy.

– Świetnie ci w tej fryzurze. No i szalowe są te paciorki.

– Prosto z Indii. Słodkie, prawda? Dziewięciu godzin trzeba na taki fryz. Postanowiłam, że na jutrzejsze przesłuchanie odpicuję się na etnicznie, no, wiesz, powrót do korzeni itepe – Mouse potrząsnęła dreadami i przyjrzała się krytycznie Zoey.

– Co z twoimi włosami? Tylko mi nie mów, że te pasemka to od słońca!

– Niezłe, co? – Zoey przeczesła włosy palcami, odrzucając je do tyłu. – Tylko dwieście dolarów. To znaczy ciągle nie wiem, czy dobrze zrobiłam, ale musiałam jakoś przykryć siwiznę.

Tak naprawdę to dawno chciała już je obciąć, ale Nick jej nie pozwalał. Parę lat temu, gdy tylko trochę je skróciła na lato, Nick wyglądał jakby to jemu coś obcięto. Przez całe lato nucił piosenkę Beach Boysów z refrenem: *Gdzie podziałaś swe sploty? Gdzie się podziała dziewczyna, którą znałem?* Wtedy Zoey podcięła sobie włosy po raz ostatni.

– Okna wyglądają na nowe, a instalacja elektryczna chyba była ostatnio wymieniana – Jade, wciąż jeszcze w zawodowym transie agentki od nieruchomości, spacerowała wzdłuż ściany z oknami; jej szpilki od Prądy rytmicznie postukiwały o parkiet. – Doprawdy, to mieszkanie to prawdziwy klejnot. Gdyby pojawiło się na rynku, złapałabym je dla siebie. Fajnie. Boże,

błogosław Skye i tego włoskiego literata, że dzięki nim masz wspaniałe mieszkanie i to w chwili, gdy go naprawdę potrzebujesz. Zamów tylko jakiegoś specjalistę od robali i ciesz się luksusami Casa Skye, póki możesz.

– Portier powiedział, że gość od robali przychodzi za dwa tygodnie i już go umówiłam, żeby do mnie zajrzał – Zoey wzdrygnęła się na samo wspomnienie insekta w łazience.

– Podobno te żyjątka z kanalizacji nie są brudne tak jak karaluchy... – pocieszyła ją Mouse. Otworzyła kolejną butelkę Corony, podała ją Jadę i kontynuowała rześko:

– ... Woda je przyciąga; pewnie roją się we wszystkich rurach w tym budynku.

– Myszą, rany boskie, chcesz żebyś dostała zawału? – Zoey wzdrygnęła się jeszcze gwałtowniej. – Dojdzie do tego, że będę się bała wysiusiać, bo wciąż będę miała przed oczami wizję jakiegoś ohydneho, tłustego żuka, który wypływa z muszli i gryzie mnie w... no, nieważne.

Mouse i Jadę wymieniły spojrzenia i zgodnie ryknęły śmiechem. Zoey nadała się. Mouse klepnęła ją lekko w ramię.

– O rany, rozchmurz się, skarbie. Jak sobie wyobraziłam ciebie na sedesie i tego robala... No, nie mogę... – znowu parsknęła śmiechem.

– Dobra, śmiecie się, śmiecie, czemu nie? – Zoey padła na kanapę i przyłożyła chłodną butelkę do rozpalonego policzka. – Nabijajcie się ze mnie do woli, ale uprzedzam, że gdy osiągnę sukces i stanę się sławna, zacznę przestawać tylko z ludźmi, którzy doświadczyli tego, co ja...

Mouse wycelowała w nią palec.

– Ty *jesteś* sławna i odniosłaś sukces.

– Tak sądzisz? – Zoey pociągnęła łyk piwa. – To dlaczego jestem taka skotłoniona, sfiżdźiała i zborsuczona?

Zabrzączał interkom.

– Hurra, to na pewno Merlin – Zoey poderwała się z kanapy i pomknęła do holu.

– No tak, dołuj się, dołuj! Widzę, że przed nami ciężka przeprawa z tobą i twoją chandrą, złotko – zawołała za nią Jadę. I dokończyła zwracając się już tylko do Mouse.

– Pomyśleć, jedyne, co straciła, to tylko te dwieście funtów żywej wagi tego nieudacznika, swojego męża, a szaleje tak, jakby to było Bóg wie co...

– Słyszałam! – krzyknęła Zoey z holu. – Wielkie dzięki, Jadę. Wiedziałam, że zawsze mogę liczyć na twoje całkowite niezrozumienie.

Portier zakomunikował przez interkom, że przybył pan Merlin Chong; Zoey poprosiła, by wpuścił go na górę.

Merlin. Jej pierwsza przyjaźń zawarta na studiach. Jej wciąż najlepszy, obok Jadę i Mouse, najbliższy przyjaciel. Poznali się na samym początku pierwszego roku, gdy wszystko wokół było nowe i przerażające; przypadkiem usiedli obok siebie w ostatnim rzędzie ławek w ogromnej sali wykładowej Economics 101. Sala była zatłoczona, duszna i przegrzana, akustyka fatalna, choć inauguracyjny wykład asystent zdawał się tym w ogóle nie przejmować. Najpierw Merlin pożyczył od niej pióro, którym i tak nic nie zanotował. Potem podzielił się z nią torebką pistacji.

Nim ten pierwszy wykład się skończył, byli już przyjaciółmi.

Zoey nerwowo wyskubała jakiś kłaczek z rękawa swetra; nagle poczuła się niepewnie na myśl, że zaraz zobaczy Merlina. Właśnie teraz. Ostatni raz widziała się z nim w listopadzie; zjedli razem lunch i długo rozmawiali, ale wtedy wszystko było inaczej. Ona była szacowną meżatką, spotykającą się z dawnym kolegą ze studiów podczas okazjonalnej wyprawy do miasta. Dziś była cieniem dawnej siebie – jakby przemaszerowała po niej cała armia robali, która objadła ją do czysta z ciała. I zostawiła klekoczący szkielet.

Jezu! Wzdrygnęła się po raz kolejny. Muszę przestać myśleć o tych robalach, bo zeświruję.

– Zoey, zamówmy już jakieś żarcie. Kiszki mi marsza grają – usłyszała za plecami głos Mouse. – Ustalone, co i gdzie zamawiamy?

– Na tablicy w kuchni są adresy i menu – odpowiedziała Zoey. – Trzy chińskie, jedno tajskie i jeszcze jakieś mieszane meksykańskie i włoskie.

– Istna Kuchnia Narodów Zjednoczonych – zachichotała Jadę. – Ja chcę chińszczyznę.

– Ja też – przytaknęła Zoey. – W Connecticut nie uświadczysz przyzwoitej chińszczyzny.

– W Connecticut nie uświadczysz niczego przyzwoitego – prychnęła Mouse.

– No, może poza ubezpieczeniami i korkami. Ile razy jechałam przez Connecticut, zawsze były korki, bez względu na porę.

Mouse wyrosła i wychowała się w Rhode Island; wciąż jeszcze jeździła od czasu do czasu na północ, na święta i różne rodzinne uroczystości.

Rozległo się stukanie do drzwi; Zoey rzuciła się do nich. Otworzyła je na oścież i szeroko rozpostarła ramiona na powitanie Merlina.

– Hej, Merlin! Jak fajnie znów cię zobaczyć. Merlin z uśmiechem, choć nieco sztywno, odwzajemnił jej uścisk.

– Słyszałem, że nawiałas z domu? – Mimo że wypowiedział te słowa z idealnie wyważoną żartobliwą troską, Zoey poczuła, że coś ścisną ją w gardle.

– Dobrze słyszałeś – powiedziała szybko. – Fakt, jestem... , że tak powiem, na gigancie – dokończyła i odwróciła się szybko, zanim Merlin mógł zobaczyć jej twarz. Prawie biegiem ruszyła do kuchni i wsadziła głowę w otwarte drzwi lodówki, udając, że pilnie czegoś szuka; za plecami słyszała wesołe głosy Jadę i Mouse, witające Merlina. Mouse, dobra barmanka, od razu przystąpiła do rzeczy.

– Mamy Coronę i Sama Adamsa – powiedziała – no, i Alka Seltzer na wszelki wypadek.

– Dawaj Adamsa – zdążył powiedzieć Merlin, zanim Jadę powlokła go w głąb mieszkania, by pokazać mu wszystkie wspaniałości apartamentu Skye.

Zoey, wzięwszy głęboki oddech, odkapslowała kolejne zimne piwo i dołączyła do Mouse, która właśnie pośpiesznie zakreślała kolejne dania na kartce z chińskim menu.

– Mmm, odsmażany ryż z krewetkami... pierożki... chyba jarskie... żeberka... ; trzeba koniecznie sprawdzić, czy w daniach z kurczakiem nie używają przypadkiem ciemnego mięsa... Nie cierpię ciemnego mięsa. Wolisz ryż biały czy brązowy?

– Brązowy – odpowiedziała machinalnie Zoey. – A w ogóle to oficjalnie i uroczyście zostawiam ci wolną rękę w zamówieniach. Zrób mi niespodziankę.

– Dobra. Hej, załoga! – wrzasnęła Mouse w kierunku holu. – Dzwonię, by zamówić wreszcie jakieś chińskie żarełko, więc zgłaszajcie życzenia, bo inaczej będziecie jedli to, co ja lubię!

– Zamów coś pikantnego i żeby było tofu – odkrzyknął Merlin.

– I żeberka! – dodała Jade.

Zoey dołączyła wreszcie do Merlina i Jade, którzy, zakończywszy zwiedzanie, usadowili się na kanapie w salonie, sącząc swe piwa.

– Przyszedełś w samą porę – mówiła Jade do Merlina.

– Właśnie mieliśmy rozbierać Zoey na czynniki pierwsze i spsyoanalizować jej życie.

– Doprawdy? – Zoey spojrzała na Jade z ukosa, po czym pociągnęła solidny łyk piwa. – W takim razie lepiej się pospieszcie, bo jak się przejadą po mnie adwokaci Nicka, to niewiele zostanie do tej analizy.

– NikuśBzykuś – zarechotała Jade.

Mouse wybuchnęła śmiechem. – Merlin też się roześmiał.

– No, nie powiesz chyba, że nie wiedziałaś, jaką twój mężuś ma u nas ksywkę? – zawołała Jade.

Zoey, by zyskać na czasie, poprawiła się na kanapie, podwijając nogi pod siebie. – No, nie wiedziałam, ale muszę przyznać, że jest bardzo... stosowna. I obrazowa.

– Mówiłem, że się jej spodoba – zachichotał Merlin.

– No, a... co właściwie planujesz dalej, Zoey?

– Wiem, muszę coś zrobić. Wniosłam o rozwód, ale Nick, niestety, mnie ubiegł. Jego prawnik zamroził wszystkie nasze aktywa i oszczędności, i nawet moje tantiemy. Przyparli mnie do muru. Nick co dwa tygodnie inkasuje tłuste pobory, a ja tylko nędzne siedemset dolarów miesięcznie...

– Kurczę, jak on śmie? – oburzyła się Mouse. – W końcu to też twoja forsa!

– Nick twierdzi, że to on mnie utrzymuje. Odkąd spłacił hipotekę, myśli, że nasz dom w Connecticut należy całkowicie do niego. Zapomniał tylko, że sporą część spłacałam ja, ze swoich tantiem. No i on – w przeciwieństwie do mnie, wniósł do małżeństwa forszę rodziny, więc uważa, że wszystkie nasze aktywa należą do niego.

– Aktywa, dupa błada! – wrzasnęła Jade. – Znosiłaś jego kłamstwa przez tyle lat! Już choćby za to należy ci się więcej niż połowa.

Merlin machinalnie skubał nalepkę na butelce.

– Masz zamiar walczyć o swoje, mam nadzieję? – spytał na pozór obojętnie.

– No, oczywiście, że tak, to znaczy nie tyle ja, co moja prawniczka. Właściwie wszystko zostawiłam na jej głowie, bo sama już nie mam siły użerać się z Nickiem ani się z nim układać. Postanowiłam teraz skupić się na... no... na reszcie swego życia...

Przez moment ta „reszta życia” zamajaczyła jej przed oczami. Znużona, oparła głowę na

oparciu kanapy.

– Najpierw muszę gdzieś zarobić trochę forsy, potem znaleźć jakiś własny kąt, bo Skye nie będzie mnie tu trzymać wiecznie. A potem zdecyduję, co zrobić z resztą swego życia...

– A kiedy zamierzasz zacząć? – prychnęła Mouse. – Ja zastanawiam się nad tym od trzydziestu trzech lat...

Zabrzączał interkom. Zoey zerwała się z ulgą.

– Hola, hola, nie tak szybko! – Jadę podniosła się również i zastąpiła jej drogę. Włosy lśniły jej jak futro czarnej pantery. – Nie wywiniesz się, póki nie opowiesz wszystkiego nam z detalami, o NikusiuBzykusiu.

– Świetnie – odpowiedziała Zoey, biorąc od Mouse dziesięciodolarówkę na zapłacenie dostawcy. – Nie ma to jak obnażanie duszy nad wieprzowiną na słodko-kwaśno.

W ciągu paru minut stół w pokoju jadalnym Skye zapełnił się mnóstwem papierowych pojemników z sałatkami i dodatkami oraz pokrytych folią tacek z gorącymi daniami. Zoey nałożyła sobie szczodłą porcję warzyw na parze i kurczaka w orzeszkowej panierce; Merlin dorzucił jej kilka kawałków pikantnie przyprawionego tofu, które okazało się pyszne w połączeniu z warzywami. Wszyscy zgodnie zrezygnowali z dużego stołu i poklękali – prawdziwie po chińsku – wokół niskiego stolika w salonie.

– Mój ojciec byłby ze mnie dumny – zachichotał Merlin, sprawnie operując pałeczkami. – Chociaż wszystkie te potrawy mają z prawdziwą chińską kuchnią tyle wspólnego, że zawierają ryż.

– Wiesz, czasami ci zazdroszczę – powiedziała Zoey. Merlin przewrócił oczami. – No, wiesz...

– Zazdroszczę ci tego, że jesteś tak bardzo przywiązany do swego dzieciństwa i że ... eee... że masz... eee... świadomość swych... eee... korzeni. Ja o swoim dzieciństwie i o swoich przodkach nie wiem prawie nic, a mojej rodzinie to chyba całkiem zwisa. Kiedyś zapytałam tatę o naszych irlandzkich przodków i wiecie co, powiedział mi tylko, że jesteśmy potomkami jakiegoś kryminalisty, chyba nawet mordercy, McGuire'a. To był prawdziwy cios w moje dwunastoletnie, naiwne serduszko. Nawet nie wiem, czy to była prawda, czy powiedział to tak sobie, czy też może chciał mnie po prostu zaszokować, dość, że przestałam drażnić temat przodków.

– Jeśli chcesz korzeni, dziedzictwa i przodków, to zapraszam na Paschę do domu moich starych – powiedziała Jadę, zwijając w palcach ryżowy placuszek – tata może już nie bardzo wierzy w Boga, ale modlitwy paschalne odmawia w pełnym wymiarze, a cała ta cholerna, uroczysta wieczerza ciągnie się godzinami.

– Przecież bywałam u twoich rodziców na wieczerzy paschalnej – obruszyła się Zoey. – Pamiętam, że jedzenie było pyszne.

Merlin zręcznie pochwycił pałeczkami kolejną kostkę tofu.

– Dziewczyny, ile razy przyjdzie wam chęćka na świętowanie Dnia Chińsko-Szwedzkich Amerykanów, jestem do dyspozycji – wszystkie jesteście mile widziane.

– Dzięki – wymamrotała Zoey z pełnymi ustami i uśmiechnęła się do niego.

– Nie chciałabym wam popsuć tej etnicznej biesiady pod hasłem „Amerykanie wszystkich nacji łączcie się”

– odezwała się Mouse – ale może już dość tych pierdoł. Przejdźmy do rzeczy. Zoey, powiedz wreszcie, do cholery, co z tobą? Jak sobie radzisz z tym wszystkim?

Zoey z trudem przełknęła zapychający jej usta kęs kurczaka i pociągnęła łyk piwa; poczuła, że znów ścisną ją w gardle.

– No, wydaje mi się, że jakoś sobie radzę.

– Znaczą się z Nickiem to już skończone na amen?

– Mouse potrząsnęła głową, jakby nie wierzyła, że coś takiego może nastąpić.

– No, tak – Zoey porwała kolejny kawałek kurczaka, czując, że wraca uczucie zmieszania i niepewności. – To znaczy nie. No, nie wiem. Chciałabym, żeby to nie był koniec. Choć po tym wszystkim co zrobił, rozum mówi mi, że to ostatni drań, który nie tylko mnie nie kocha, ale nawet chyba nie wie, co znaczy kochać.

Mouse kiwnęła głową.

– O, i tak trzymać, dziewczyno! Teraz tylko musisz uważać i nie pozwolić draniowi...

Zoey nagle oklapła i bezradnie opuściła głowę na blat stolika.

– O Boże. Nie mogę... tak z nim skończyć...

– Kurczę blade! – Mouse złapała ją za ramiona i porządnie, choć czule potrząsnęła. – Kurczę, nie mów tak! Nie powiesz chyba, że wciąż go kochasz?

– Koocham – wymamrotała cichutko Zoey. – Dobrze, nazwij mnie skończoną kretynką, ale wciąż go kocham...

– Zdarza się – odezwał się pojednawczo i zarazem akceptująco Merlin.

– Miłość... – głos Jadę aż drżał z obrzydzenia. – Co to, do nagłej cholery, jest ta miłość? Wzajemny pociąg? Pożądanie? Fakt, że jesteś w stanie przeżyć z kimś dłużej niż rok, nie zamordowawszy w tym czasie swojej ukochanej drugiej połowy? A może to tylko pragnienie bycia kimś... , no... efektywnym, na zasadzie: patrzcie – Jak mi świetnie-w tym kapeluszu? Miłość to blaga, pic i fotomontaż, i im szybciej to zrozumiesz, Zoey, tym szybciej będziesz mogła wejść w normalny, partnerski związek bez poczucia winy i bez tych wszystkich uczuciowych bredni. I będzie ci kompletnie zwiślało, że facet permanentnie zostawia podniesioną deskę sedesu, albo że upycha swoje karty z gwiazdami baseballu w twojej toalecie.

– Ale... ja, no... ja wierzę w miłość – zaprotestowała słabo Zoey.

– No i popatrz, dokąd cię to zaprowadziło – ucięła ostro Mouse.

Zoey podniosła głowę znad stolika i spojrzała na zatroskane twarze trójki przyjaciół.

– No, dobrze, jestem w kompletnej rozsypce, częściowo z własnej winy, ale nie mogę tego wszystkiego, ot tak, strzepnąć. Doskonale wiem, więcej, jest dla mnie jasne jak słońce, że Nick to kłamliwy, wredny drań i dupek... Rozum mówi mi, że nasz związek to już przeszłość, że wszystko diabli wzięli, ale... tak trudno wyrzec się, tego, no... porywów serca, czy ja wiem... Jak ostatnia idiotka, wszystko – całe swoje życie, przyszłość, uczucia – zainwestowałam w Nicka i teraz, bez niego, boję się, że dla mnie wszystko się już skończyło: miłość, związki...

– Nie przesadzaj, skarbie – wpadła jej w słowo Jadę.

– W końcu jesteś atrakcyjna, inteligentna, no i dość sławna. Na pewno spotkasz kogoś odpowiedniego. Ja z marszu służę ci paroma numerami telefonów.

– Nie chodzi mi o seks ani o randki – gwałtownie zaprotestowała Zoey. – Raczej o to że... no, zawsze wierzyłam, że są ludzie sobie przeznaczeni: przez los, gwiazdy, nieważne. I że gdy już

natrafisz na tę swoją drugą połowę, to trzeba na nią chuchać i dmuchać. No i na co mi przyszło? Spotkałam tą swoją drugą połowę, tego przeznaczonego mi przez los, a on okazał się draniem i dupkiem.

– To nie twoja wina – powiedział łagodnie Merlin.

– Nie możesz przecież kontrolować jego postępów...

– Nie wiem, może jednak mogłam – Zoey zebrała włosy w węzeł i spięła go dwiema palcami. – Może gdybym była bardziej... no nie wiem... troskliwa, gdybym się tak całkowicie nie wyłączała wtedy, gdy pisałam... Może gdybyśmy zostali w mieście, zamiast wynosić się na przedmieścia, jak ci wszyscy modni *yuppies*... Albo gdybym była trochę bardziej... no, gdybym przejawiała więcej inicjatywy w łóżku...

– Możesz się tak zastanawiać i katować bez końca – skrzywił się Merlin. – A co by było, gdybyś nigdy nie spotkała Nicka? To także spowodowałoby, że twoje życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

– Natomiast co do twojej teorii, że są ludzie sobie przeznaczeni ... blablabla, to myślę, że po prostu mylisz pożądanie z takim hmm... romantycznym wyobrażeniem miłości. – Jadę energicznie machnęła w powietrzu obgryzionym do czysta żeberkiem. – A to, moja droga, jest tylko mk i tyle.

– Przecież jedno z drugim nie ma nic wspólnego – zaprotestowała Zoey. – Pomyśl o tych wszystkich facetach, których znasz i spotykasz. Wszyscy superatrakcyjni, mają świetne posady, są błyskotliwi i uroczy, ale z drugiej strony, jak przychodzi do umawiania się z nimi na randki, to coś nie gra, nie zaskakuje, nie iskrzy – bo w istocie szukamy tej szczególnej chemii, czyli idealnego połączenia pociągu seksualnego i intelektualnego, że już nie wspomnę o jakimś minimum wspólnoty zasad i poglądów, żeby nie pozagryzać się nawzajem. No i jak często zdarza się nam trafić na takie idealne połączenie? Mnie zdarzyło się dwa razy w życiu; chociaż Brian Masiello, ten mój pierwszy idealny facet, właściwie się nie liczy, bo to było jeszcze w liceum, a on idealnie pasował do moich fantazji o buncie nastolatków i takich tam... No i właściwie nigdy nie byliśmy ze sobą ... Boże drogi, co to właściwie było?

– Jak to co? Idealne połączenie – zachichotała Mouse.

– Ale chyba rozumiem, o co ci chodzi. To fakt, a nie miałam porządnej randki od czasu zburzenia muru berlińskiego, bo autentycznie nie sposób trafić na to jak mówisz idealne połączenie. A przecież wciąż obracam się wśród mężczyzn – w teatrze, w klubie, na siłowni, na próbach, na przesłuchaniach... Co prawda, większość facetów z branży teatralnej to geje, a znowu ci z klubu są dla mnie trochę za młodzi; w ogóle faceci w okolicach dwudziestki to z reguły dupki żołądne...

Merlin zachichotał, a usta miał wypchane ryżem, zakrztusił się i rozkaszał.

– Oj, nie bierz tego do siebie, złotko – powiedziała Jadę.

– Nie biorę do siebie i wcale się nie obrażam – odpowiedział, gdy się wreszcie wykaszał. – Prawdę mówiąc, uważam, że to, co mówiła Mouse, to święta racja.

Jadę oblizwała kostkę zeberka i rzuciła ją na talerz.

– A ja w ogóle nie kupuję tych bajek o „przeznaczonych sobie” i „drugich połowach”. To wszystko brednie. Jeśli spojrzeć na ludzi jako gatunek, to można się tylko dziwić, że instytucja małżeństwa w ogóle istnieje. Przy takiej różnorodności zachowań, a jeszcze biorąc pod uwagę fakt, że każde z nas jakoś się rozwija i zmienia... Jak można się w ogóle spodziewać, że dwoje ludzi dogada się, co chcą oboje zjeść na obiad, a co dopiero...

– potrzęsnęła wojowniczo głową i czarne pasma włosów zatańczyły wokół jej twarzy. – Niby dlaczego mam co wieczór mieć ochotę na lody waniliowe? A może wolałabym orzechowe albo malinowe? Z migdałami. Krem toffi albo karmelowy? A może w ogóle nie chcę lodów, tylko mam ochotę na sernik albo szarlotkę, albo...

Merlin starannie osuszył usta serwetką i zwrócił się do Zoey.

– A propos, masz jakieś lody w zamrażalniku?

Jadę, niezrażona i wyraźnie nakręcona, perorowała dalej, zwracając się już bezpośrednio do Zoey.

– I przestań się wreszcie obwiniać o rozpad swojego małżeństwa. Twoim jedynym błędem było marnowanie czasu dla tego dupka. Ale teraz już jesteś wolna – i to właśnie dzięki Nikusiowi-Bzykusiowi. Spójrz na to jako na swe wyzwolenie: nowy początek, nowe możliwości, nową szansę. I pomyśl, że odtąd twoje dni nie będą już takie szare i beznadziejnie przewidywalne...

– Aleja właśnie chciałabym, żeby były przewidywalne – zaprotestowała słabo Zoey.

– Teraz wszystko jest możliwe – entuzjazmowała się Jadę. – No i co najważniejsze, możesz teraz bzykać się z kim ci się żywnie spodoba, że tak powiem, w każdym miejscu i o każdej porze...

– Ależ to soczyście zabrzmiało – zachichotała Mouse.

– Rzeczywiście – Merlin pociągnął łyk piwa. – Prawdę mówiąc, Jadę, myśleliśmy, że już wyrosłaś z tych swoich puszczałskich teorii...

Jadę wojowniczo zadarła podbródek i uśmiechnęła się zadowolona z efektu, jaki wywarły jej słowa.

– Mówcie sobie co chcecie, ale to seks rządzi wszystkim i nad wszystkim panuje. Kiedy wy, dziewczyny, dacie wreszcie spokój z tymi romantycznymi bzdurami i zaczniecie się zdrowo cieszyć seksem?

– Jestem za! – Mouse klasnęła w dłonie i podrzuciła głową tak, że wszystkie jej koraliki głośno zagrzechotały.

– Proszę wsiadać! Pociąg, hihhi, pośpieszny, to znaczy, hihhi, miłosny, odjeżdża! – Odwróciła się i mrugnęła do Zoey.

– To co, skarbie, zabierasz się z nami? Bo tobie w tej chwili naprawdę potrzeba kawałka chłopca, który zapewni ci solidne barabara...

– O rany, przestań! – rozchichotała się nagle Zoey.

– Naprawdę, dziewczyny, nie mówię, że tego nie lubię, co to, to nie, ale teraz to ja sobie po prostu nie mogę wyobrazić, że to robię. A jedyny facet, przed którym mogę się rozebrać, to mój ginekolog; tak się składa, że to facet, bo moja lekarka jest chwilowo na macierzyńskim.

– Eee tam... – parsknęła Mouse. – Oczekaj troszkę, kotku, sama zobaczysz. Jak tylko przestaniesz myśleć o tym dupku, twoim mężulku, wszystko się zmieni. Twoja karma się zmieni...

Merlin strzelił palcami.

– Mogę ci postawić horoskop. Dobrze jest czasem wiedzieć, co i jak, z astrologicznego punktu widzenia.

– No, nie wiem... – Zoey wzdrygnęła się lekko. – Wiesz, te wszystkie historie z gwiazdami i kartami zawsze trochę mnie przerażały. Jestem prawie pewna, że jak spojrzysz w mój horoskop, to zobaczysz, że wpadam pod samochód albo spada na mnie jakiś zdezelowany sputnik, albo coś w tym guście.

– Znaczy na wszelki wypadek, wolisz nie wiedzieć? – zakpił Merlin. – O słodka niewiedzo, jakżeś błogosławiona.

Ponieważ Zoey chwilowo zaniemówiła, wtrąciła się Mouse.

– To może byś zajrzał w mój horoskop? Dowiedziałabym się, kiedy u mnie wreszcie się coś zmieni. O, czy na przykład jutro będę miała dobry dzień? Bo właśnie jutro mam superwazne przesłuchanie, do nowego musicalu. Są tam superrole dla pięknych Afroamerykanek, takich jak ja.

– Naprawdę?! – Zoey złożyła ręce do oklasków. – No to połamania nóg, Myszeczko! Kto wie, może to twoja naprawdę ogromna szansa...

– I to jaka! – Mouse wytarła usta serwetką i wydeła swe gładkie, pełne, ciemne wargi. – Mam już potąd tego barmaństwa i tego motłochu, który muszę obsługiwać. Banda rozwydrzonych i rozpuszczonych bachorów, którym wydaje się, że wszystko im się od życia należy i to podane na srebrnej tacy – od stuhektarowych apartamentów po najwymyślniejsze narkotyki...

– Powiedz raczej, że masz potąd bycia po niewłaściwej stronie baru – podsumowała Jadę. – W końcu i my byliśmy kiedyś zgraną grupą imprezowych dziewczyn; a niektóre z nas nimi pozostały...

Mouse wzruszyła ramionami nadąsana.

– Ee, tam! Myśmy nigdy nie rozrabiały tak jak dzisiejsza, pozał się Boże, młodzież; nawet z prochami potrafiłyśmy sobie jakoś poradzić bez strat w ludziach i sprzęcie... Ale dzisiaj... cała ta Ecstasy to jakieś koszarne gówno, a ci smarkacze jakby w ogóle nie dbali, że to gówno może ich zabić, bo im się wydaje, że to może się przydarzyć tylko innym. Banda bezmózgich idiotów. Wczoraj w nocy jedna z dziewczyn w klubie przedawkowała. Patrzyłam na nią, jak rzyga, przerażona, rozdygotana i prawie nieprzytomna... – Mouse przysłoniła na moment oczy wymanikiowanymi palcami. – I mam tego potąd, o! Patrzyłam na nią, wiedziałam, że jak nie

może kopnąć w kalendarz, i wiecie co? Kompletnie mi to zwisało.

– Może my w ogóle obojętniejemy i stajemy się nieczuli? – zauważył Merlin.

Mouse potrząsnęła głową – Cholera, ja t e ż byłam przerażona. Ale potem, raz-ciachciach, odesłaliśmy dziewczątko karetką do szpitala i po herbacie. W końcu podsyłamy im te zaćpane półzwłoki każdej nocy. A właściciel klubu to nawet nie bardzo chce, żeby ich wzywać, no, chyba już w absolutnie podbramkowej sytuacji, bo jak trafią na ostry dyżur, to ich tam rejestrują i policja ma powody, by węszyć wokół Vermillion, czy nie odchodzi tam jakaś grubsza dilerka. A to znaczy, że mogą zacząć robić właścicielowi koło pióra...

– U nas w hotelu też raz mieliśmy takiego jednego, bożyszczę rapu... Przedawkował w jednym z apartamentów – przypomniał sobie chłodno i bez emocji Merlin. – Nie byłem przy tym, dzięki Bogu, i cieszę się, że nie zdarzyło się to podczas mojej zmiany. Ale nigdy nikomu nie przydzielam tego pokoju. Sama myśl, że ktoś tam umarł, przyprawia mnie o dreszcze. Jakby duch tego gościa wciąż się tam pałętał.

Jadę starannie wytarła zatłuszczone palce w serwetkę, cisnęła ją na stół, po czym wygodnie wyciągnęła się na kanapie.

– Za bardzo się tym wszystkim przejmujecie. Jeśli ktoś ćpa, to prędzej czy później zaćpa się na śmierć – wszystko jedno, czy to jakaś małolata, czy gwiazdor rapu – a ty nie możesz zrobić nic, żeby go powstrzymać, ale to ich strata i ich wina, a nie twoja. Ja tam ćpunów nie żałuję i ty, złotko – zwróciła się do Mouse – też nie powinnaś.

– Przeraziło mnie to, że spojrzałam, no, w głąb siebie, i znalazłam pustkę. Zero współczucia, zero jakichkolwiek uczuć dla tych wszystkich ludzi – powiedziała cicho Mouse.

– Mysz, daj spokój! Nie trwoń czasu i energii na rozpamiętywanie tego wszystkiego. I lepiej pomyśl sobie, że ten klub to jeszcze jedna scena – na której ty grasz rolę sprawnej i obojętnej barmanki. A wracając do zasadniczego tematu, to znaczy seksu, tu muszę wam powiedzieć, że właśnie uprawiałam najbardziej zdumiewający i fantastyczny seks w moim życiu, z facetem, który dokonywał cudów z kontrolowanym oddechem i relaksującym masażem. Nie jestem specjalnie mocna w tych wszystkich tantryzmach, ale rzecz polegała na skupieniu się na mięśniach brzucha i oddychaniu. On to nazwał moją energią seksualną, ale cokolwiek to było, po prostu... no... eksplodowałam! – Jadę poprawiła się na kanapie; jej czarne włosy rozsypały się na białym pokrowcu. – Tak naprawdę to najpierw on eksplodował, ale to już inna historia...

– No, tylko nie to! Tylko nie twoja kolejna seksepopeja, Jadę! – Merlin ostentacyjnie spojrzał na zegarek. – Możesz się streszczać? Ja rano idę do pracy.

– Dobra, dobra, nie zgrywaj się – Jadę zerwała się z kanapy i stanęła za Merlinem, chwytając go za ramiona i potrząsając nim lekko. – Wszyscy posłuchacie i wszyscy będziecie zachwyceni, bo... bo moje życie seksualne jest pasjonujące!

– Mmm, może trochę z lewej... – zamruczał Merlin, przymykając oczy.

– Skarbie, marnujesz czas – zachichotała Mouse puszczając oko do Jadę. – O jego odprężonko to dba słodki Joshuś...

– Racja – Jadę zdjęła ręce z ramion Merlina i cofnęła się. – Zapomniałam, że jesteś jedynym wśród nas, który ma stałego partnera.

– Który robi doprawdy cudowne masaże – podsumował Merlin. – Namówiłem go w końcu, żeby zaczął chodzić do szkoły masażu. I chodzi od zeszłej jesieni.

– To są szkoły od tego? – zainteresowała się Mouse. – Jeśli tak, to zgłaszam się na ochotnika, pod warunkiem, że będzie miał zadane do domu...

– Od tego są partnerzy – Merlin wstał z kanapy, przeciągając się. – Chyba muszę już iść. Dzięki za włączenie mnie do seansu rozdeptywania NikusiaBzykusia na drobny grysik.

– Poczekaj chwilę – zawołała Mouse. – Musimy się koniecznie spotkać w klubie któregoś wieczora w tym tygodniu. Wisicie mi to.

– Po tym wszystkim, cośmy usłyszeli o tej budzie – Jadę przewróciła oczami. – Nie mogę się doczekać.

– No, Jadę – powiedziała Mouse. – Jak cię znam, nigdy nie przepuścisz okazji do balangi z darmowymi drinkami.

– Co racja, to racja, tu mnie masz – poddała się Jadę. To co, może w czwartek?

– ^W ten czwartek? – Zoey udała, że się namyśla. – Zdaje się, że rrie mam żadnych spotkań w kalendarzu. Przynajmniej do przyszłego tysiąclecia.

– To jesteśmy umówieni. – Mouse wycelowała palec w Merlina. – I lepiej, żebyś tym razem nie nawalił.

Merlin podniósł w górę ręce, na znak kapitulacji, i pomaszerował w kierunku drzwi. Już lata temu zrozumiał, że sprzeciwianie się Mouse jest czystą stratą czasu i energii: zawsze stawiała na swoim.

Gdy Zoey podążyła za nim, Jadę ponownie podeszła do okna, aby podziwiać widok, Mouse zaś nastawiła nową płytę.

Zoey zauważyła, że Merlin znów zmarkotniał. Jakby coś go gryzło.

– Co z tobą? – zapytała wprost. – Wyglądasz, jakbyś właśnie usłyszał, że przysięgli ogłosili wyrok: „Winny”.

– Właśnie, winny. – Merlin przymknął oczy i westchnął.

– Faktycznie jestem winny. Powiedziałem Joshowi, że nie spotkam się z wami dziś wieczór. Bo prawda jest taka, że on jest o ciebie zazdrosny.

– Coo? – Zoey osłupiała. – O mnie? Skąd mu to przyszło? Czy to znaczy, że zdecydowałeś się na dokonanie wielkiej zmiany w swoim życiu? Twoja matka będzie zachwycona. Zawsze mnie lubiła.

– I wciąż cię lubi. To raczej mnie nie może znieść.

– Merlin potrząsnął głową. – Rozumiesz, Josh wie, że nas oboje łączy coś specjalnego, coś, z czym on nie może rywalizować, i to go gryzie.

– Aha. Czyli tak ogólnie, dla ciebie byłoby lepiej, gdybym pozostała szczęśliwą mężatką, gdzieś w Connecticut.

Merlin jakby zastanawiał się przez chwilę, po czym potrzęsął głową.

– Nie, daj spokój. Tęskniłem za tobą. – Nagle przygarnął ją do siebie i mocno uściskał. Zoey poczuła, jak całe jego napięcie i niepewność gdzieś odpływają.

– No, ale muszę pomówić z Joshem. Jakoś się ułoży.

– Mam nadzieję. Nie chcę, żeby sobie pomyślał, że go oszukujesz, skoro w istocie wcale go nie oszukujesz – zaplątała się.

– Nie martw się, będzie dobrze – wyprostował się; jego intensywnie niebieskie oczy rozblęskły tym światłem, które tak dobrze pamiętała z okresu studiów. – A w ogóle to witaj z powrotem, na starych, nowojorskich śmieciach. Jesteś zupełnie jak jedna z bohaterek *Survivora*. Udało ci się uciec ze złotej klatki amerykańskiego małżeństwa.

– Mój Boże, obyś miał rację.

Wieczorem, zmywając naczynia i pakując do lodówki resztki chińszczyzny, Zoey doznała nagle dziwnego uczucia – jakby lekkiego ukłucia czy łaskotania na karku, mówiącego aż nadto wyraźnie, że nie jest sama. Hmm...

Zesztywniała, po czym łypnęła nerwowo w kierunku szerokich drzwi kuchennych, przez które dobrze było widać cały apartament. Dziwne.

Schyliła się, by otworzyć klapkę zmywarki i... wtedy go zobaczyła. Kolejny robał truchtał szybko po podłodze kuchni.

– Jiiii! – jak oparzona rzuciła się ku drzwiom. Tu trochę się opanowała. Co takiego mówiła Jadę? Aha, coś takiego: „Jesteś sama, ale nie bezbronna. W końcu jesteś większa od każdego robala”. No tak. Wprawdzie nie zdobędzie się na zbliżenie się cło tego czegoś na tyle, by to rozdeptać, ale może to jakoś uwięzić i trzymać, póki nie zjawi się ktoś, kto zabije to paskudztwo. Taak, powstrzymywanie i zachowanie dystansu\ – to bardzo rozsądna polityka.

Pośpiesznie przetrząsnąwszy kuchenną szafkę, znalazła wreszcie sporą, metalową misę, która wydawała się idealna do uwięzienia robala. Żeby tylko nagle nie podskoczył i nie rzucił się na nią albo nie odleciał. Rany boskie, czy te robale w ogóle latają?! Albo skaczą?

– No, no, bądź grzeczny, zostań na miejscu – zaczęła łagodnie przemawiać do insekta, powolutku się do niego zbliżając. – Tylko się nie ruszaj i wszystko będzie dobrze... – Z obrzydzeniem pochyliła się nad ohydny, tłustym, czarnym stworem i...

Pac! Udało się! Przykryła robala miską, która natychmiast zaczęła nerwowo podrygiwać i pobrząkiwać głucho, kręcąc się po podłodze. Wreszcie wróg był w potrzasku.

Zoey z ulgą wypuściła powietrze z płuc. Dobra nasza, pierwsza bitwa wygrana. Teraz trzeba tylko wynająć kogoś, kto dokończy dzieła... Zdecydowanym krokiem ruszyła do telefonu, po czym cofnęła się i dla pewności położyła na misce jeszcze grubą książkę. Czort wie, jak silne jest to uwięzione pod miską bydle; lepiej nie ryzykować, że się wyśliznie.

Ani Jadę, ani Mouse nie odbierały telefonu – pewnie dlatego, że było już dobrze po północy. Zoey pomyślała, że Mouse – chcąc się wyspać – na pewno wyłączyła telefon, natomiast udało się jej w końcu dopaść Jadę. – Kurczę, Zoey, dzwoń do portiera i powiedz mu, żeby przysłał kogoś na górę – zawarczało w słuchawce. – Założę się, że Skye daje im sowite napiwki na święta, a poza tym faceci uwielbiają takie sytuacje typu dziewczyna w opresji...

– Tak sądzisz? – Zoey podejrzliwie łypnęła okiem w kierunku miski. – Wiesz, wolę nie rozrabiać za bardzo, w końcu jestem tu tylko sublokatorką i to nielegalną...

– Oni o tym nie wiedzą. Łap za telefon, zadzwoń na dół i przedstaw swoją straszną sytuację. Tylko nie zapomnij o... oj, zaczekaj... – Jadę najwyraźniej zwracała się teraz do kogoś innego – Tak, kochanie. Jeszcze minutkę i... uuf... – Nagle zachichotała.

– Jadę? Jesteś sama? Przepraszam, głupio pytam. Kto to taki, ten twój japoński mistrz od tantry?

– Nie, to Chuck, mój przyjaciel z szóstego piętra.

– A cóż to znowu? – to było najwyraźniej do owego Chucka, po czym Jadę parsknęła śmiechem w słuchawkę.

– Bita śmietana? Mądry chłopczyk. Słuchaj Zo, muszę kończyć. Ja... uuu, jak miło... Słuchaj, Zoey, oddzwonię rano, wtedy pogadamy...

– W porządku – Zoey była nieco zmieszana. Usłyszała jeszcze, jak Jadę się rozłącza. Pośpiesznie.

Idąc za radą Jadę, zadzwoniła do portiera; obiecał, że przyśle na górę nocnego stróża tak szybko, jak to będzie możliwe. Uff. Wszystko okazało się łatwiejsze niż sądziłam, pomyślała Zoey, pośpiesznie naciągając dres.

Dwie godziny później, i po czterech kolejnych, bezowocnych telefonach, usadowiła się w holu; włączyła laptopa w gniazdko przy drzwiach wejściowych i siadła na podłodze – z dala od kuchni. Postanowiła pracować przez całą noc i przy okazji czuwać, czy aby intruz nie wyrwał się na wolność.

Wpatrywała się tępo w pusty monitor laptopa. – Cholera, dlaczego nie jestem w stanie napisać nawet jednego zdania?

Weź się w garść. Pisz cokolwiek. Byle co. Potem albo się przyda, albo się wyrzuci.

Wklepała jakieś drętwe zdanie o pogodzie. O rany – pomyślała zdesperowana, rrra\$! być ze mną całkiem źle, skoro piszę o pogodzie...

Usunęła napisane zdanie i ekran znowu był pusty.

Pusty.

Czyściutki.

Bez jednej literki.

Rany boskie, co się ze mną dzieje? Skąd ta blokada? No, nie kryguj się, kobieto, tylko spójrz prawdzie w oczy. To nie blokada. To najzwyczajniejsza pustka. Nie mam nic: uczuć, pragnień, życia... i nic dziwnego, że Nick chce się rozwieść: po co mu ta pusta kukła, ten manekin bez życia.

Kursor na monitorze mrugał do niej zdecydowanie złośliwie, jakby chciał przekazać: „Koniec, kotku, koniec. Twoja kariera pisarska poszła w diabły. Lepiej poszukaj jakiejś uczciwej roboty, choćby ekspedientki w spożywczym, bo na gwałt potrzebna ci jest żywa gotówka”.

Była już prawie trzecia nad ranem, gdy wreszcie zjawił się stróż i zajął się robalem. Potem poszedł sobie, a Zoey wyłączyła komputer; rozumiała, że na razie nic nie wymyśli, a tym bardziej nie napisze.

Może, jak mówią, sen przyniesie radę, pomyślała. Już po robalu, mogę spokojnie zasnąć, a jak się obudzę, będę miała w głowie wszystko: postacie, akcję, intrygę i parę istotnych detali. W czasie studiów to zawsze skutkowało: przespać się z pomysłem, a rano nie było problemu z

wymyśleniem zgrabnego zakończenia opowiadania czy odpowiednio zwięzłego streszczenia pracy dyplomowej. Wszystko wskazywało na to, że jej umysł pracował na pełnych obrotach wtedy, gdy jej świadomość była wyłączona.

Wśliznęła się do gładkiej, chłodnej pościeli w ogromnym łóżu Skye i powoli odpłynęła w niezmierzone przestrzenie snu – swoje ostatnie schronienie.

Jade przewróciła się na łóżku. Oczy miała jeszcze zamknięte, ale już nie spała; było jej zimno i czuła się dziwnie – jakby cała się lepiała. Czerwone cyferki, mrugające na ikonce budzika, ogłaszały wszem i wobec, że minęła 4.23. Czyżby się zdrzemnęła? To zdecydowanie nie było w jej stylu. Zazwyczaj po miłym, szybkim numerku ubierała się i znikwała; bez marudzenia i straty czasu na pieszczoty i całuski. Liczyła się osiągnięta satysfakcja.

Uniosła głowę i spojrzała na swoje nagie ciało, do połowy zaplątane w skłębione prześcieradło KChuckowego łóżka. Już wiedziała, skąd się wzięło to uczucie lepkości; to pamiątka po wspaniałej orgii z bitą śmietaną, którą Chuck wyciskał z tuby na jej brzuch i uda, po czym zlizywał długo i z apetytem. Bardzo długo i z wielkim apetytem. Cały Chuck – pełen niezwykłych pomysłów, taki zabawny i hm... , kreatywny w łóżku, totalnie wyluzowany i jakby mało było tych wszystkich zalet – mieszkający w tym samym domu. Jade podniosła się, usiadła na łóżku i rozejrzała się wokół, próbując zlokalizować różne części swej garderoby, rozsiane malowniczo po pokoju. Bluzka zwisała ze stojącego na sztorc roweru Chucka. Spódnica wałała się na podłodze, pantofle – szykowne szpilki od Prądy – znaczyły trakt ku drzwiom sypialni.

Jade nigdy nie odczuwała ani zdegustowania, ani poczucia winy po przypadkowych na ogół łóżkowych igraszkach – czy to z Chuckiem, czy z jakimkolwiek innym mężczyzną. Dziś jednak, gdy w półmroku zbierała swe ciuchy i ubierała się pospiesznie, poczuła, że ogarnia ją – niezwykle dla niej – uczucie pustki. Pustki prawie bolesnej.

Co się dzieje?

Noc była przecież wspaniała. No, prawie... Najpierw udana transakcja z wynajęciem kolejnego apartamentu jako ukoronowanie pracowitego dnia. Potem – miłe i zabawne spotkanie ze starymi i serdecznymi przyjaciółmi. Wreszcie bombowy seks z dwoma superorgazmami, ugarniowanymi bitą śmietaną...

Co tu, kurczę, nie gra?

Uczucie pustki i obrzydzenia nasiliło się, gdy wysliznęła się z mieszkania Chucka i zjeżdżała windą w dół do siebie. Gdy dojechała na swoje piętro, już bez skrępowania bezgłośnie płakała, a otwierając drzwi swojego mieszkania z trudem powstrzymywała łkanie. Zatrzasnęła za sobą drzwi i padła na podłogę w holu, zwijając się w kłębek jak wystraszone dziecko.

Szorstka wykładzina drapała ją w policzek; w przyćmionym świetle hol wyglądał ponuro, obskurnie i beznadziejnie. Zasługiwała na więcej. Jako jedna z najlepszych agentek od nieruchomości w całym Nowym Jorku i okolicach, mogła mieć o wiele lepsze i piękniejsze mieszkanie.

Dlaczego więc, do ciężkiej cholery, nie zadba o siebie, tylko bezustannie troszczy się o wygody innych?

Czuła się pusta i zimna; choć z niechęcią, ale musiała przyznać, że brak jej pana Takiyamy. Może nie tyle jego osoby, ile jego niezwykłych umiejętności budzenia w niej tych odczuć, których istnienia u siebie nawet nie podejrzewała.

Tak, to było to, pomyślała. Ten śmietankowy seks z Chuckiem był bezbarwną, nudną przewalanką. Beznadziejna rutyna, i seks, i orgazm. Dno. A raczej wręcz przeciwnie: coś wyjątkowego, naskórkowego. A prawdziwa satysfakcja miała swoje źródła znacznie głębiej.

Jade chwiejnie dźwignęła się na czworaki, pospiesznie otarła łzy. Takiyama był chyba żonaty, ale dotąd taki stan rzeczy nigdy nie był dla niej przeszkodą. Teraz też nie będzie; teraz ma prawdziwą, głęboką motywację. Jej wędrówka w poszukiwaniu sensu życia zyskała wyraźny cel; a był nim prawdziwy, najprawdziwszy, kosmiczny seks.

Uszy Zoey przeszył zgrzytliwy, przenikliwy hałas, porównywalny chyba tylko z warkotem wiertarki dentystycznej. Otworzyła ostrożnie jedno oko, z trudem przypominając sobie, gdzie jest.

Ach, to sypialnia Skye; słońce zaczynało już przesączać się przez rolety. Budzik wskazywał 7.42.

O Boże, znowu ten wizg! Zoey gwałtownie usiadła na łóżku. Czyżby to ci cholerni fachowcy od przewodów? Energicznie wyplątała się z pościeli i podreptała do holu. No, tak. Carlos stał na drabinie i pracowicie borował w suficie.

– Dziń dybry, pszepani – uprzejmie skinął głową.

– Nie bardzo. To znaczy, nie tak wcześnie. Carlos... – udała, że zerka na nieistniejący zegarek na ręku. – Carlos, jest strasznie wcześnie. Mówiłeś, że zaczniecie o dziewiątej, pamiętasz?

– O dziewiątej – przytaknął, po czym przystąpił do obszernych wyjaśnień. Niestety, po portugalsku.

Zoey nerwowo przeczesała palcami rozczochrane włosy. Boże, muszę wyglądać jak czarownica.

– Przepraszam, ale nie rozumiem ani słowa z tego co mówisz.

Carlos wzdrygnął się.

– Pani Skije Blokfel, ona nas wynajęła – wyjaśnił.

– No, tak, wiem. Ale czy nie możecie zaczynać pracy troszeczkę później?

– My pracujem na suficie.

– W porządku – Zoey, zrezygnowana, odwróciła się, przetarła oczy i pomaszerowała z powrotem do sypialni. Wśliznęła się pod kołdrę i naciągnęła poduszkę na głowę – swoją biedną, skołataną i kompletnie pustą głowę, w której nadal nie chciał się wykluczyć żaden choć trochę sensowny pomysł na nową powieść. Z drugiej strony, czegoż można wymagać po czterech godzinach snu. Westchnęła, wtulając mocniej nos w miękką bawełnę powłoczki. Przy odrobinie szczęścia udusi się, zanim ci cholerni fachowcy zrobią sobie przerwę na kawę, i wreszcie będzie miała spokój.

Słodki Jezu, modliła się w duchu Mouse, czekając na zmianę świateł na skrzyżowaniu Czterdziestej Dziewiątej i Broadwayu, Słodki Jezu, Panie mój, bądź przy mnie i opromień mnie swoją łaską podczas tego przesłuchania. Uczyni ze mnie narzędzie swojej wielkości, o Boże...

Dramatycznym gestem odrzuciła do tyłu poły swej czarnej, aksamitnej peleryny; sprawdziła, czy klamra paska jest na swoim miejscu i nie przekreśliła się. Klamra o skomplikowanym wzorze, wysadzana drobnymi, połyskującymi sztrasami o turkusowym odcieniu, dobrana była specjalnie do turkusowego sweterka ze śmiałym dekoltem w serek i do koloru paciorków we włosach. Jak masz tylko parę minut na zrobienie oszałamiającego wrażenia, postaraj się, by kolory mówiły za ciebie. Krótka, czarna spódniczka elegancko opinająca jej kształtną pupę też powinna zadziałać. Wprawdzie Bozia nie dała jej wzrostu, ale za to nie pożałowała innych walorów, a Mouse potrafiła je wyeksponować.

Wokół niej zgęstniał tłum turystów i przechodniów; sznur samochodów zakorkował skrzyżowanie, blokując wszelki ruch. Klaksony wyły jak oszalałe; ktoś ją popchnął, lecz Mouse zignorowała to. Żadnego rozpraszania się na niepotrzebne piskówki; muszę zachować spokój i skupienie, by zabłysnąć na tym cholernym przesłuchaniu, tak że wszyscy padną. Słodki Jezu, to może być najważniejsza rola w całym moim życiu. Dzięki ci, Panie, że w łaskawości swojej doprowadziłeś mnie tak daleko i...

Ktoś z tyłu napał na nią, niemal ocierając się o jej pupę – czymś twardym i sztywnym...

– Co jest, kurwa?! – wrzasnęła, odwracając się gwałtownie, by przyjrzeć się zbrojeńcowi.

Zbrojeńcem okazała się tęga kobieta w grubym, pikowanym płaszczu; drgnęła gwałtownie, a jej przesadnie umalowane oczy rozszerzyło nieklamane przerażenie.

– Ojej, przepraszam panią – wyjąkała, nerwowo miętosząc ogromną klamrę przy pasku płaszcza; to chyba nią tak napała na tyłek Mouse. – Naprawdę nie chciałam pani popchnąć.

– Och – Mouse wzięła głęboki wdech, po czym z ulgą wypuściła powietrze, rada, że nikt nie próbował jej obmacywać, że to tylko nieporozumienie i nic jej nie zdenerwuje przed tym najważniejszym w jej życiu przesłuchaniem.

– Nic się nie stało, to ja przepraszam.

Zeszła z krawężnika na pasy, upewniając się, że stoi na białej linii – na szczęście. Na śniadanie zjadła dziś płatki zbożowe z jabłkami i cynamonem; to danie zawsze zapewniało jej fart. No i miała dziś na sobie swoje „szczęśliwe” czarne majtki firmy Barely There; takie same nosiła w dniu, w którym dostała rolę w *Dźwiękach muzyki*. Nie żeby była przesadna; nic z tych rzeczy. Ale, jak to mówią – szczęściu trzeba pomóc.

W teatrze, przed salą prób, kłębił się zbity tłum zdenerwowanych i podekscytowanych aktorów płci obojga; prawie wszyscy kopcili na potęgę i gdy przepychała się przez ciżbę, dym z

drogich i tanich papierosów prawie zatkał jej gardło. Nie rozpoznając w tłumie nikogo znajomego, Mouse pchnęła drzwi i wśliznęła się do środka, przechodząc z jasnego, słonecznego dnia w ciemny, cuchnący pleśnią korytarz. Za sobą usłyszała stukot butów do stepowania; widać któryś z kandydatów próbował wytańczyć sobie drogę do wymarzonej roli. Mouse zadrżała. Cholera, nie wzięłam swoich „stepówek”, pomyślała. E tam, w końcu nie zamierzam popisywać się tańcem, bo to akurat nie mój atut, a poza tym w musicalu o Kolei Podziemnej nie należy chyba oczekiwać numerów ze stepowaniem?

– To jest po prostu stworzone dla ciebie! Wręcz idealne dla ciebie! Można by pomyśleć, że autor pisał scenariusz z myślą o tobie! – entuzjazmował się parę dni temu jej agent, Mel Lansky.
– To o nieszczęśliwej miłości, niesprawiedliwości społecznej i wyzwoleniu – takie połączenie *Showboat* z *Hairl* – Hmm. *Showboat* i *Hairl* Cokolwiek to znaczyło, zareagowała entuzjastycznie, przypominając Melowi przy okazji, że przecież grała już w *Hair* – rolę Abe’a Lincolna. Była chyba najmniejszym i najczarniejszym Abe Lincolnem w dziejach teatru, ale w końcu ideą tego przedstawienia było możliwie zajebiste i niekonwencjonalne ujęcie.

To nowe przedstawienie będzie chyba bardziej konwencjonalne; tak przynajmniej zgadywała, wpisując się do notatnika wyłożonego na stole w holu i posyłając szeroki uśmiech siedzącemu za stołem bardzo młodemu asystentowi.

– Ma pani zdjęcia? – spytał chłopaczek.

Mouse wydostała z torby turkusową kopertę (kolor! kolor!) – Mam i zdjęcia, i spis swoich ról. A w ogóle jak leci?

– Tak sobie – odpowiedział młodzieniaszek. – Proszę usiąść. Wezwiemy panią za parę minut.

Na składanych krzeselkach siedziały dwie inne aktorki. Mouse, starając się nie oceniać potencjalnych rywek, usiadła obok, po czym zaczęła przeglądać teksty i nuty piosenek, które przygotowała na przesłuchanie: jedną z *Ragtime*, drugą z *Porgy and Bess*. Mitno woli zerkała jednak raz po raz na sąsiadki i nagle ze zdumieniem zauważyła, że ciemnoskóra dziewczyna ma w skrzydełku nosa diamentowy ćwieczek. Cholera. Coś takiego! Przecież od tego można dostać zapalenia zatok z komplikacjami. A ta druga wyciągnęła swe długie (o rany, jakie długie!) nogi, trącając przy tym stopy Mouse. Cholera, zrobiła to specjalnie?

– Oj, przepraszam – powiedziała długonoga; Mouse posłała jej uśmiech pod tytułem „nie przejmuj się, ja ci na pewno nie zagrażam”.

Aktorzy. I aktorki. Chyba najbardziej zapatrzone w siebie istoty ludzkie na tym padole. Dzięki Bogu, ja taka nie jestem, pomyślała Mouse. Drzwi sali przesłuchań otworzyły się nagle; wymaszerowała przez nie młoda, efektowna dziewczyna, ubrana w kombinezon w lamparcie wzorki. Jej okazały biust prawie rozsadał cienki materiał.

O słodki Jezu, proszę, nic do niej nie mam, ale niech jej nie wybiorą, modliła się gorąckowo Mouse. Panie, ty wiesz najlepiej, jak ciężko pracowałam, by dostać się na to przesłuchanie; wiem, że mnie nie opuścisz, nie pozwolisz, by mnie odrzucili, Panie, ufam ci.

I tak, czekając na swoją kolejkę, Mouse sumiennie dzieliła swój czas na modlitwy i studiowanie przygotowanych piosenek. W końcu wezwano ją.

W pierwszym odruchu starała się odszukać wśród przesłuchujących fotografa Eliego Graya; niestety, nie było go tam. No to przystępujemy do planu B – należało ustalić kto w tym gronie naprawdę rządzi. Uważnie zlustrowała wzrokiem siedzące za stołem trzy osoby: czarnoskórego mężczyznę o sztywnych, srebrzystych włosach, kobietę o karnacji brunatnej jak orzech kokosowy, w staroświeckich, belferskich okularach, i wreszcie jedyne białego w tym gronie, faceta z wielką, nieforemną głową, który bez charakteryzacji mógłby zagrać Neandertalczyka.

Belferzyca pochwyciła jej spojrzenie; Mouse szybko przywołała na twarz jak najradośniejszy i najśłodszy uśmiech; gdyby to był film rysunkowy z jej ust wyfrunęłyby chmary serduszek, kwiatusków i złotych gwiazdek, które zawirowawszy wokół sali, kompletnie oczarowałyby całą trójkę, łącznie z Neandertalczykiem.

– Pani godność? – zaskrzypiał Neandertalczyk, gdy podawała pianicie swoje nuty.

– Marielle Griffin, i... tego... chciałam państwu pogratulować... , te wszystkie wiadomości o waszym przedstawieniu wskazują, że będzie to coś fascynującego... – zaczęła nawijać szybko i zdecydowanie; kurczę, muszę ich z marszu oszołomić i pozyskać. A poza tym każdy jest łasy na pochwały, nawet ci ważniacy producenci. – Wszyscy już o tym mówią i są absolutnie podekscytowani...

Srebrnowłosy uśmiechnął się. Belferzyca z uwagą notowała coś w swoich papierach. Neandertalczyk pokiwał głową i pochylił się do przodu.

– A właśnie, co tak wszystkich ekscytuje? – zapytał. Uuu... myśleć, myśleć! I to szybko! Cholera, nie spodziewała się takiego pytania.

– Noo... głównie to, że będzie... , że to jest wspaniały obraz... eee... kultury czarnych i, eee... wyzwolenia... – serce waliło jej jak młotem, gdy nerwowo usiłowała sobie przypomnieć, co też Mel mendził na ten temat ... – O, już jest! Dobra nasza!

– No więc, fascynujące będzie takie połączenie *Showboat* i *Hair*... , a jak państwo pewnie zdolali zauważyć w moich dokumentach, byłam na tournée po Europie właśnie z najnowszą adaptacją *Hair*, to było absolutnie oszałamiające...

– *Hair!* – Neandertalczyk podrapał się w głowę, spojrzał tępo na blat stołu, potem zaś na Srebrnowłosego, który lekko wzruszył ramionami.

O cholera! Coś nie tak! Powiedziałam coś nie tak! Mouse próbowała jakoś opanować ogarniające ją uczucie paniki, gdy Belferzyca skinęła na pianistę; ten natychmiast zaczął grać pierwsze takt *Summertime*.

Mam śpiewać! No to do dzieła! Dobry, słodki Jezu, błagam cię, o Panie, niech twój duch spłynie na mnie, modliła się w duchu, jednocześnie prostując się dumnie, nabierając powietrza w płuca i atakując pierwsze akordy przejmującej, gorzko-słodkiej melodii.

Belferzyca wyprostowała się na krześle, słuchając uważnie. Mouse wiedziała, że co jak co, ale głos nigdy jej nie zawiedzie: był jak zawsze czysty, mocny, zdecydowany. Ciało Mouse

kołysało się rytmicznie w takt melodii, idealnie z nim zgrane. Gdy skończyła, pianista natychmiast zaczął grać melodię z *Ragtime*; z nią również poszło gładko. Na pewno. Na pewno.

– Dziękuję za poświęcenie mi uwagi – wyrecytowała z wdziękiem podchodząc do stołu i ściskając dłonie wszystkich trojga, przy okazji patrząc każdemu z nich głęboko w oczy, starając się, by w jej spojrzeniu znalazły się wymieszane we właściwych proporcjach zaufanie i pokora; tego nigdy za wiele w tej branży, gdzie im większy idiota, tym bardziej rozdęte ego.

– Wiem, że przesłuchujecie masę aktorów, ale pozwólcie sobie państwo powiedzieć, że... eee, że ja po prostu czuję, z całego serca, że będę najlepsza w roli, w której mnie obsadzicie i doprawdy, to dla mnie zaszczyt i wiele oczekuję po współpracy z producentami o takiej, jak wasza, reputacji, no... że... wiele się od was nauczę... – Szczerłość tych wyznań nie mogła budzić żadnych wątpliwości. Na koniec uprzejmie skinęła głową na pożegnanie i pożeglowała do wyjścia.

Słodki Jezu, jestem najlepsza, spraw, by oni to zauważyli...

Najlepsza, najlepsza, najlepsza... – powtarzała sobie cały czas, idąc przez Times Square. Nawet gdy stała na peronie metra, powtarzała sobie w myślach dalej niczym magiczną mantre: Jestem najlepsza. Najlepsza. Najlepsza.

Och, dobry Boże, spraw, by mnie wybrali...

Nie dostałam roli. Te słowa, bez żadnego wstępu, rzuciła Mouse do telefonu, gdy wreszcie Zoey go odebrała.

Nie był to najlepszy moment. Zoey, rozłożywszy się na swym nowym miejscu pracy – ogromnym łożu Skye – była myślami zupełnie w innym świecie. Właśnie intensywnie przeżywała rozpacz chłopca, który w śnieżnej zamieci zgubił swój saksofon, a wraz z nim zarówno widoki na oszałamiającą karierę, jak i jedyny środek samorealizacji.

– Kto mówi i która godzina, tak w ogóle? – zapytała rozkojarzona – To ja! – Usłyszała w słuchawce gniewny głos Mouse. – Nie dostałam się do tego musicalu. Do *Kolei Podziemnej*.

– Ojej, nie mów tak – Zoey uświadomiła sobie, że wygłasza to zdanie już po raz któryś z kolei, w ciągu tych paru ostatnich dni. Nerwowo złapała ołówek i zaczęła bezmyślnie uderzać nim miarowo w pikowaną, czerwono-różową narzutę na łóżku. – Może jeszcze nie podjęli ostatecznej decyzji. To, że do ciebie nie zadzwonili, nie musi znaczyć, że...

– Wybrali jedną z dziewczyn ze stajni mojego agenta. A jemu jakoś udało się zdobyć pełny spis obsady i mnie w nim nie ma! I ten bęc wał kazał zadzwonić do mnie swojemu asystentowi, wyobrażasz sobie? Nie chciało mu się nawet ruszyć tyłka, żeby zadzwonić samemu.

Zoey wytarła spotniałe nagle dłonie o nogawki džinsów.

– Myszko, naprawdę strasznie mi przykro. Rany boskie, to okropnie niesprawiedliwe! Nie wiem naprawdę, jak ty sobie radzisz w takich sytuacjach; przecież w twojej branży to musi być na porządku dziennym. No, ale ty jesteś silniejsza ode mnie...

– Teraz to jestem tylko wściekła i to bardzo. Te palanty źle wybrały i nie wyjdzie im to na dobre, ale – kurczę – mnie też. Wyobrażasz sobie, ile może być teraz w dyspozycji ról dla niedużych Afroamerykanek?

– Ojej, Myszą... A tak w ogóle, gdzie teraz jesteś?

– W klubie. Możesz tu wpaść dziś wieczór?

– Dziś wieczór? – Zoey przygryzła wargę i spojrzała na siebie i swój „roboczy” strój – dzinsy i starą, uniwersytecką bluzę. Niech to, akurat przypięła się do komputera; nie znosiła takiego nagłego odrywania się od pracy.

– Zoey, proszę – jęknęła w słuchawce Mouse, chyba czując na odległość jej wahanie. – Jestem tak zdołowana, że czuję, że jeszcze chwila, a przewieszę się przez bar i wygarnę tym wszystkim ubawionym chłopcom i dziewczynkom, co myślę o nich, o ich tatusiach i dziadziusiach do dziesiątego pokolenia wstecz.

Zoey z ociąganiem wygramoliła się z łóżka. Trudno, trzeba ratować przyjaciółkę i jej tyłek. – Postaraj się wstrzymać jeszcze trochę z tą przemową. Będę za pół godziny.

Na kolejne tygodnie Zoey popadła w ustaloną i właściwie nudną rutynę cichej rozpaczy i

łagodnego zniechęcenia do wszystkiego. Każdego ranka wyrywały ją ze snu dźwięki jak nie świdra, to młota: ekipa Carlosa kuła i borowała na potęgę. Po tym brutalnym przebudzeniu reszta poranka przebiegała raczej przygnębiająco jednakowo: pośpiesznie ubierała się w ciasnej garderobie Skye, po czym spędzała rano na picu kolejnych i zbyt wielu kaw, gapiąc się tępo w ekran komputera, próbując między jedną a drugą kawą zacząć coś pisać. Zdołała naszkicować mnóstwo „próbek”, w których nieciekawe postacie miały się w kompletnie nieciekawych sytuacjach. Nie była w stanie wykrzesać z siebie najmniejszej choćby iskry zainteresowania dla tych żalonych figur i ich dennych problemów. Część tych poronionych płodów kasowała gdzieś w okolicach pory lunchu; inne przeżywały na tyle długo, że w końcu lądowały w pliku „Dokumenty”. Nazbierało się tego już sporo, lecz tak naprawdę żaden z tych pomysłów nie trzymał się kupy. Czasem Zoey czytała je od nowa, wciąż i wciąż, odnajdując w nich jakieś ukryte dotąd zalety; tak, myślała, to byłaby świetna powieść... do napisania przez kogoś innego. Ona sama nie była w stanie zmusić się do zainteresowania swymi własnymi postaciami i dylematami, którym z jej woli postacie te musiały stawić czoła.

Popołudnia były jeszcze gorsze od poranków. Łomoty i wizgi ekipy remontowej osiągały punkt szczytowy; w całym mieszkaniu nie było ani skraweczka miejsca zapewniającego choć odrobinę prywatności. Miała uczucie, że oto nadchodzi koniec świata i że spotyka ją on w cudzym mieszkaniu. Parę razy zmusiła się, by wyjść wieczorem i spotkać z przyjaciółkami w Vermillionie, gdzie ogłuszający hałas i tłum młodzieży przypominały jej aż nazbyt okrutnie, że jest już za stara na takie rozrywki.

– Powiedźcie, czy gdy my byliśmy na studiach, w klubach też tak strasznie głośno grano? – spytała (a właściwie wy wrzeszczała pytanie), gdy pewnej nocy wszyscy kiwali się nad barem sącząc przyrządzone przez Mouse margarity. Merlin kiwnął wtedy potakująco i coś powiedział – nie była pewna, do niej czy do Josha, którego cały czas czule obejmował w tali. Bowiem jakoś – choć Zoey nie dowiedziała się jak – udało mu się przekonać Josha, że nie musi i nie powinien być zazdrosny o Zoey, i ciągał przyjaciela na prawie wszystkie spotkania w barze. Ku zdumieniu Zoey, Josh, gdy już znalazł się w grupie, wydawał się odprężony. Z zainteresowaniem słuchał jej opowieści o inwazji robactwa na apartament Skye; wymieniali też między sobą – ze szczerem, jak się zdawało, rozbawieniem – anegdoty o rozmaitych wyczynach i wyskokach Merlina.

Szczególnej rozrywki dostarczała przyjaciółom Jadę. Jednego wieczoru zaszyła się na zapleczu z barmanem EMsem; czas, jaki tam spędzili, jasno dowodził, że chodziło o naprawę szybki numer. Innym razem urwała się z lokalu w towarzystwie dwudziestolatka, kurzącego drogie cygara; wszystko wskazywało na to, że Vermillion był jednym z etapów jego wyjątkowo burzliwego wieczoru kawalerskiego. Eskapady Jadę sprawiły, że Zoey zaczęła je – z czystej ciekawości – odhaczać w kalendarzu, ale i tak nie mogła nadażyć. Właściwie nie byłoby źle pójść w jej ślady – myślała czasem – i, wedle własnych słów Jadę, cieszyć się seksem bez zobowiązań. Wkrótce jednak zauważyła, że Jadę poluje teraz na mężczyzn z jakąś nową, nieznaną wcześniej pasją; coś się w niej zmieniło, choć Zoey na razie nie potrafiła określić co to właściwie było.

Wokół własnego życia seksualnego Zoey ani nie potrafiła, ani nawet nie miała ochoty się zakrzętać. Nie wdawała się w rozmowy z nieznanymi, podczas wieczorów w klubie trzymała się swojej małej grupy przyjaciół, nie strzelała oczami wokoło. Zresztą, właściwie nie odczuwała braku seksu. No, czasami, gdy kątem oka złowiła widok pary całującej się na ulicy albo oglądając filmowe uniesienia, odczuwała coś w rodzaju... dyskomfortu. Ale w zasadzie wiodła całkowicie cnotliwy żywot cnotliwej niewiasty, dobrowolnie zamkniętej na siedemnastym piętrze swej wieży. Wieży, która, niestety, wciąż była narażona na podstępne ataki nieprzyjaciela. Robale trzymały się twardo.

Mimo częstych wizyt fachowców od dezynsekcji i nabycia znacznej liczby pojemników z Raidem (który zasmrodził całe mieszkanie), noce Zoey co jakiś czas urozmaicało nagle pojawienie się zupełnie fantastycznych stworów, wypełzających z wnętrza systemu kanalizacyjnego. – Te robale, kurczę, lubią panią – stwierdził pewnej nocy portier, wynosząc ubite potwory w papierowej torbie. – Chyba je pani przyciąga, no... , jak magnes.

– Pewnie tak – odpowiedziała wtedy, zmuszając się do uśmiechu. Dowcipasy stróża na temat jej lęków przed insektami wkurzały ją okrutnie, lecz znosiła je pokornie; nie daj Boże, gość się obrazi i nie zechce już zgłaszać się na jej rozpaczliwe alarmy w ciągu nocy.

I tak toczyły się sprawy, gdy marzec miał się ku końcowi; tak samo beznadziejnie i ponuro jak na początku. Zoey zaś równie beznadziejnie i ponuro zmagła się z tymi samymi wciąż problemami: ekipą remontową, swoją niemocą twórczą, wreszcie z robalami. Wszystko to przytłaczało ją i wykańczało.

Od czasu do czasu próbowała wyzalić się Skye, wysyłając jej oględnie zredagowane emaile. Odpowiedzi Skye były pełne zachwytów nad Toskanią, wspaniałą kuchnią w domu owego tajemniczego autora i urodą tamtejszych zachodów słońca. W końcu Zoey nie wytrzymała, wysyłając żałosny email, na który Skye odpowiedziała ze szczerym rozbawieniem.

Pozostawiam Twojej bujnej, jak przystało na pisarkę, wyobraźni, jak wykorzystać twórczo problem roboli, na przykład przedstawiając je jako atakujące nas istoty z innego wymiaru? Twoje dramatyczne opisy tych małych bestyjek są doprawdy zabawne. A tak na marginesie – po prostu truj je systematycznie – osobiście albo wzywaj stróża. Ja załatwiałam je zwykle za pomocą jakiejś grubej książki. Trzask, prask i zostaje mokra plama, a sprzątaczką już sobie poradzi. No, ale biorąc pod uwagę Twoje fobie, ten sposób odpada; może zresztą i lepiej, bo mam pewność, że nie zapaskudzisz miazgą z roboli mojego luksusowego wydania Wojny i pokoju.

Co do Carlosa – niestety, jeśli nie masz zaliczonego przyspieszonego kursu portugalskiego, wszystkie próby kontaktu z nim to strata czasu. Zaletą Carlosa jest fakt, że pracuje za grosze, prawdę mówiąc na czarno. Zarząd o tym nie wie, więc się nie wygadaj.

Skoro twoja niemoc twórcza tak trwa i trwa, to może potrzebujesz więcej czasu? Stop, nie, zapomnij o tym! Mamy termin, złotko, nieprzekraczalny termin! Pozwól, że coś ci podrzucę pod rozwałę. Najlepsza jesteś, bez dwóch zdań, w takich osobistych historiach z romansem w tle; w

końcu żadna z Twoich powieści nie miała takiej obłądnej sprzedaży, jak Strażnik swej córki; ta historia kończyła się tak szczęśliwie i ten słiczny romans w klinice odwykowej... Pisz więc o romantycznej miłości z odrobiną seksu, zobaczysz, Że się rozkręcisz. Jeśli moje rady cię nie zainspirują, zapomnij o nich. Na razie sznuruję buzię i zostawiam Cię, byś podążyła za swym natchnieniem.

Zoey zagapiła się tępo w ekran komputera; kursor znów mrugał na nią złośliwie.

Napisać coś romantycznego? I seksownego? Kurczę, ale jak?! Jak, skoro cała jestem jednym wielkim, złamanym sercem? Te wszystkie zachody słońca i toskańskie smakołyki musiały się Skye rzucić na mózg. A może to przez to czerwone wino, które Włosi doją niczym wodę. Tak czy inaczej, rady Skye nadawały się obecnie do potłuczenia o kant. Napisanie teraz czegoś o miłości przekracza moje możliwości, pomyślała gorzko Zoey.

W takim razie, o czym mam pisać? O czym mam pisać? O czym mogę pisać? O czym jestem w stanie pisać?

Zoey zerwała się na równe nogi i zdecydowanie odwróciła się plecami do komputera.

Podreptała do kuchni i otworzyła drzwi lodówki. Zasada numer 238, do stosowania w przypadku blokady twórczej: gdy ci nie idzie – przegryź coś.

Może mi przypomnisz jeszcze raz, po co właściwie to robimy? – spytała Zoey Merlina, gdy oboje schyleni, z uwagą przyglądali się swym stopom i dwóm parom butów z łyżwami; ich języki i rozwiązane sznurowadła zwieszały się na boki, nadając butom wygląd wściekle rozwartych paszczy. Josh, który zdążył już się obuć i zasnurować, rozpoczął właśnie na lodowisku swą dziewiczą jazdę.

– No, wiesz, Josh lubi te rzeczy – odpowiedział Merlin, mocując się z butem. – Tenis, pływanie, narty...

– Bardzo pięknie. I zdrowo. Ale gdy mówiłam, że chcę się z wami spotkać, miałam na myśli drinka, no ewentualnie kolację. Ostatni raz jeździłam na łyżwach, gdy miałam 14 lat, a i wtedy robiłam to tylko po to, by Brian Massiello mógł mnie łapać, ile razy padałam na lód, a starałam się padać jak najczęściej.

Zapachy i dźwięki unoszące się tu, w Chelsea Pierś, cofnęły ją daleko wstecz, aż do tamtych czasów.

– Dasz sobie radę. Właściwie to powinnaś uważać się za szczęściarę. Przy ładniejszej pogodzie pewnie musielibyśmy zasuwać na rowerach stąd aż do Battery Park. To zresztą nie ucieknie; może w przyszłym miesiącu?

– Pysnie. Dobrze wiedzieć, co mnie czeka – Zoey wcisnęła wreszcie stopę w but, który wydawał się straszliwie ciężki i niezgrabny.

– Hej, jak leci? – zawołał nagle Josh, wykręcając przed nimi zgrabny piruet.

Jego ciemne oczy błyszczały, policzki zaróżowiły się zdrowo.

– Zoey dawno już nie jeździła na łyżwach – wyjaśnił Merlin, sznurowując swój drugi but.

Rany, jak on to zrobił tak szybko? Wydawał się taki zwinny i zręczny, gdy pochylał się nad swoimi kostkami.

– Chłopcy, wy tu chyba bywacie na okrągło – olśniło nagle Zoey.

– Boże mój, jesteście zawodowcami, tylko utajnionymi! Ćwiczcie układy taneczne na następną olimpiadę?

Josh roześmiał się. – Mam poważne zastrzeżenia do tej dyscypliny. Może jestem purystą, ale uważam, że nic nie dorówna klasycznej jeździe figurowej. – Klęknął u stóp Zoey i zaczął sznurować jej buty, mocno, a zarazem delikatnie. – Fakt, przychodzimy tu kiedy tylko możemy, tyle że lodowisko ciągle zajmują drużyny hokejowe albo profesjonalni łyżwiarze figurowi, więc dla publiczności jest ono dostępne rzadko i nieregularnie.

– Och, doprawdy? – Zoey była lekko zszokowana widokiem klęczącego Josha, sznurowającego jej buty; tak wyobrażała sobie kiedyś, robiącego to samo Briana Massiello. Eh, marzenia, marzenia... było minęło. Gesty Josha były takie... no, osobiste, jego zachowanie tak opiekuńcze...

Od tej strony zupełnie go nie znała.

– Powiedz, czy nie za ciasno – poprosił, dociągając sznurowadła.

– Lepiej niech będzie ciaśniej, będziesz się pewniej trzymać – poradził Merlin.

– Jest dobrze, w sam raz; całkowicie na was polegam – odetchnęła z wdzięcznością Zoey. –

Tylko proszę, obiecacie mi, że jak się wywrócę i nie będę mogła wstać, nie porzucicie mnie tu na łaskę losu.

Josh roześmiał się, a Merlin podał jej rękę i ostrożnie powiódł ku lodowej tafli.

– Nie bój się, to okaże się znacznie łatwiejsze niż pamiętasz – Josh delikatnie poklepał ją po ramieniu. Znów miły gest. Co też Merlin nagadał o niej temu chłopakowi, że jest taki słodki?

Na miękkich kolanach, trzymając się kurczowo bandy lodowiska, Zoey weszła na lód i odetchnawszy głęboko ruszyła przed siebie. Pierwsze kroki były mocno niepewne, ale po paru minutach nogi jakby same przypomniały sobie podstawowe ruchy. Jakie to proste, powtarzała sobie w duchu; wyobraź sobie, że ślizgasz się w skarpetkach po parkiecie, i pójdzie jak z płątka...

Josh na wprost niej zwinnie holendrował do tyłu; rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał ją ośmielić. – Świetnie ci idzie! – zawołał.

Merlin ślizgał się tuż przy niej, może nie tak zgrabnie i elegancko jak Josh, ale niewątpliwie mocno trzymał się lodu.

Tego wieczoru lodowisko nie było zbyt zatłoczone. Pary trzymające się czule za ręce zataczały koła i ósemki, na środku tafli co wprawniejsi łyżwiarze ćwiczyli skoki i figury, a dwie grupki nastolatków bezustannie przekrzykiwały się, raz po raz wybuchając śmiechem.

Zoey zgrzytała zębami, niezdarnie posuwając się do przodu.

– No dobra, ślizgam się. Jakoś. Ale za Chiny nie mogę się w tym dopatrzeć jakiejś rozrywki.

– Podziwiam twoje poczucie humoru – Josh uśmiechnął się szeroko. – No, ale w końcu jesteś pisarką. – Odwrócił się zwinnie i pomknął naprzód; wykręcił zgrabną ósemkę wokół jakiegoś niemrawego łyżwiarza, po czym wykonał wyjątkowo udany obrót i skok.

Zoey aż zaniemówiła z podziwu.

– Rany, Merlin, twój chłopak to istny Brian Boitano. Merlin uniósł brew.

– Tyle że śliczniej szy.

Zoey przyglądała się jeszcze przez chwilę popisom Josha, po czym ruszyła dalej. Rozbrzmiewająca nad lodowiskiem rockowa muzyka pomogła jej nieco w skoordynowaniu ruchów i mimo że wciąż czuła się denerwująco niepewnie, zaczęła się rozsmakowywać w powolnej, ostrożnej, ale coraz płynniejszej jeździe. Nagle jakiś nastolatek w hokejowym kombinezonie wyskoczył tuż przed nią; Zoey, która z trudem utrzymała równowagę, zirytowana wrzasnęła:

– Patrz, gdzie jedziesz, baranie jeden! – Ku jej bezbrzeżnemu zdumieniu, chłopak odwrócił się i grzecznie przeprosił.

Merlin wybuchnął śmiechem.

– No, z przyjemnością zauważam, że wreszcie zaczynasz przypominać prawdziwą

dziewczyne z wielkiego miasta: pyską, przebojową i nie dającą sobie w kaszę dmuchać. Na zaczepkę odpyskiwać, na szturchnięcie odpowiedzieć kopem i w ogóle nie brać jeńców. Jak to miło widzieć cię znów w formie. I miło, że jesteś z powrotem.

– Wiesz, chyba wreszcie zaczęłam się czuć tam jak w domu. Może dlatego, że znów dobrze śpiam – ci cholerni fachowcy przestali mnie wreszcie zrywać z łóżka bladym świtem.

– To udało ci się w końcu z nimi dogadać?

– Nie w tym rzecz. Po prostu pewnego pięknego poranka nie przyszli, choć robota jest jeszcze w lesie. Ten portier, Bob, powiedział mi, że zarządca wyniuchał, że pracowali bez pozwolenia i zabronił ich wpuszczać, niech mu Pan Bóg to wynagrodzi. Napisałam o tym do Skye, pytając, co robić, ale na szczęście jeszcze nie odpisała.

– Czyli los podarował ci chwilę spokoju – zauważył Merlin.

Muzyka umilkła nagle i z głośnika popłynęła wiadomość.

– Panie i panowie, przerywamy na chwilę, by skierować waszą uwagę na tablicę świetlną, gdzie za chwilę pojawi się niezwykle ważna wiadomość od Toma dla Celii.

Zoey odwróciła się i spojrzała w górę. Na tablicy wyświetlił się wielki napis: „Celio, czy wyjdiesz za mnie? Kocham, Tom”. Większość łyżwiarzy zamarła w bezruchu – czy to z uszanowania, czy ze zdumienia, tego Zoey nie była pewna. Nagle jakaś dziewczyna szybkim ślizgiem przemknęła przez taflę, wpadła w ramiona swego Toma i pocałowała go w same usta. On, roześmiany, uniósł ją w górę, po czym oboje pomachali wszystkim obecnym.

– No, wygląda na to, że Celia powiedziała „tak” – zazgrzytał radośnie głośnik. – A zatem gratulacje i życzenia wszystkiego najlepszego dla naszej młodej pary!

– Popelniasz błąd, Celio – przewrócił oczami Merlin.

– Wychodzić za palanta, który marnuje forszę na oświadczyzny na tablicy świetlnej?

– Oj, nie bądź taki zblazowany – zaśmiał się Josh.

– Uważam, że to było bardzo romantyczne...

Reszty ich dialogu (było tam coś o pokrętnej naturze Kozioroźca i że Kozioroźcem rządzi Saturn) Zoey słuchała jednym uchem, goniąc wzrokiem za Tomem i Celią, którzy zgodnym ślizgiem zmierzali do wyjścia. Pewnie pójną teraz do domu i będą się kochać, i wspólnie snuć słodkie marzenia o szczęśliwej przyszłości.

– Czasami myślę, że wolałabym być głupia i szczęśliwa – powiedziała głośno, zanim zdążyła pomyśleć, co właściwie znaczą te słowa. – Nie chciałabym nikogo osądzać, ale myślę, że byłoby miło i pięknie żyć sobie, nie zastanawiając się ciągle nad kształtem i poziomem własnej twórczości, nie przejmując się opinią krytyków i nie zamartwiając z powodu opuszczenia ważnego wernisazu. Zamiast tego kolacja o piątej, a potem na kanapę, żeby obejrzeć sobie *Milionerów* albo coś równie głupiego.

Znowu rozległa się muzyka; Josh i Merlin milczeli przez chwilę.

– Chyba wszyscy jesteśmy przeklęci... – odezwał się wreszcie Merlin. – Nie żebyśmy w ogóle mogli być szczęśliwi, ale dlatego, że szczęście dostępne jest nam tylko w odmierzanych

dawkach, w krótkich błyskach... satysfakcji, przyjemności, nawet ukojenia czy odprężenia... Cóż... – otoczył Zoey ramieniem, przerywając na chwilę. – A ty, moja droga, niestety, nie jesteś głupia. I to jest twoje przekleństwo.

– Dobra, dobra, nie wymagam przecież śpiewanego telegramu czy czułych słówek, umieszczonych w oknie wystawowym w Macy's – warknął Josh i dodał: – Nie trzeba być głupcem, by zwyczajnie cieszyć się życiem. – Po czym odwrócił się gwałtownie i odjechał, zostawiając Zoey zmieszaną i zakłopotaną.

– Co mu odbiło? – zapytała niepewnie.

– Chyba ja – odpowiedział chmurnie Merlin. – Wiesz, on miewa humory, ale zwykle nie dąsa się zbyt długo. Pstryk, i już jest jak nowy.

Zoey ulżyło trochę.

– Jak długo już jesteście razem? – spytała.

– Sześć lat.

– Naprawdę? No, to już jesteście prawie jak; stare małżeństwo.

– I właśnie tego się boję...

Zoey chętnie podrażyłaaby ten temat, lecz przerwał im pager Merlina;

– To z pracy – wyjaśnił i szybko ruszył do wyjścia z lodowiska, by zadzwonić.

Lód zazgrzytał tuż obok; to Josh podjechał do niej.

– Naprawdę nieźle radzisz sobie z tymi łyżwami – powiedział; jego ciemne oczy lśniły.

– To dlaczego czuję się jak słoń na wrotkach? Josh uśmiechnął się.

– Cieszę się, że przyszałaś tu dzisiaj. Czekałem na właściwy moment, by porozmawiać z tobą o Merlinie. Wiesz, on potrafi być taki... Wiem, że mnie kocha, ale za nic nie chce się wiązać na serio – Josh wykrzywił się komicznie i zapisał efektownie. – I co ja mam robić, droga doktor Zoey?

Zoey roześmiała się. Nie do wiary, że to ten sam chłopiec, o którego mrocznej i bolesnej przeszłości tyle słyszała od Merlina.

– Wiesz Josh, zupełnie nie znałam cię z tej strony.

– Bo to mój *image* specjalnie na użytek turystów i gości hotelowych – zażartował. – Ale Zo, ja naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Możesz jakoś przekonać Merlina? Wy tłumaczyć mu, że jestem najlepszą rzeczą jaka mu się w życiu przytrafiła?

– Josh, on to wie.

– To dlaczego nie chce... Ile razy wspominam o małżeństwie, on zgrywa się na Marlenę Dietrich – odrzucił głowę w tył, spoglądając na nią żałośnie.

Zoey uśmiechnęła się, zrozumiałwszy nagle co takiego Merlin zobaczył w tym chłopcu.

– Wiesz, myślę, że Merlin się... zląkł. Nie, nie ciebie. Myślę, że przestraszył się swoich własnych uczuć. Wiesz, jakie on ma... no... opory przed stałymi zobowiązaniami, on się chyba boi, że, no... że to może zmienić wasz związek na gorsze...

– Och, Zoey, on cię tak szanuje i ty go tak dobrze znasz; proszę, porozmawiaj z nim.

Przekonaj go, że małżeństwo to... to coś dobrego...

– No, wiesz, Josh... – Zoey pokręciła głową. – Nie wiem, ile ci Merlin o mnie powiedział, ale niech ci wystarczy fakt, że właśnie jestem w trakcie rozwodu i to wrednego rozwodu. Wierzę w miłość i w małżeństwo. Wierzę w kochanków przeznaczonych sobie przez gwiazdy i że każdy gdzieś kiedyś znajdzie tę swoją drugą połowę... Wierzę w to i to jest właśnie mój problem. Wierzę w coś, co dla mnie właśnie przestało istnieć. Jako zdradzona i porzucona żona, kiepsko nadaję się na propagatorkę tego całego „... i że cię nie opuszczę aż do śmierci, blabla-bla... „. Josh nie wydawał się przekonany – Ee, tam. W końcu ten rozwód to nie twoja wina. Wszyscy wiedzą, że ten twój Nick to dupek. Porozmawiasz z Merlinem?

Zoey zatrzymała się, by złapać oddech.

– No, dobrze, w końcu czemu nie? Zrobię co w mojej mocy, ale proszę, nie obiecuj sobie zbyt wiele – Myślę, że wy dwaj jesteście dla siebie stworzeni, a te wszystkie opory Merlina nie mają żadnego związku z tobą.

– Dzięki Zoey! – Josh pochylił się ku niej, z ciepłym blaskiem w brązowych oczach. – Jesteś wspaniałą przyjaciółką i myślę, że zawsze będziesz. Dla nas obu. A jak wszystko pójdzie dobrze, będziesz idealną matką dla naszego dziecka.

– Coo? – Zoey nagle straciła równowagę i zatańczyła na lodzie, rozpaczliwie próbując utrzymać się na nogach. Niestety, nie udało się jej i z łomotem runęła na lód, boleśnie obtłukując sobie siedzenie.

Josh pochylił się i wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać, lecz coś w wyrazie jego twarzy znowu ją przeraziło. Czyżby serio myślał o dziecku... swoim i Merlina... i z nią jako matką zastępczą? Rany boskie, wiele razy marzyła o macierzyństwie, ale o zastępczym – nie!

– Powiedz, że to był tylko żart – zakwiliła słabo.

– Jasne, że tak! – zachichotał Josh!

– Hmm... więc wystarczył miesiąc czy coś koło tego, żebyś od roli wzorowej małżonki wykrochmalonego na sztywno prawnika z Connecticut przeszła do roli zastępczej matki, oferującej swe łono dla dziecka miłości pary gejów? Nieźle, jak na początek – powiedziała Jadę, gdy następnego dnia Zoey dodzwoniła się wreszcie do jej biura.

– Wiesz, on powiedział, że tylko tak żartował – zaprotestowała Zoey. Podwinęła nogi, sadowiąc się na ogromnym łożu Skye w pozycji lotosu. Z tego miejsca mogła widzieć Zeckendorf Towers przy Union Square; machinalnie zaczęła się zastanawiać, czy zaczął już działać znajdujący się w tamtej okolicy wiosenny targ farmerów. Dobrze byłoby zaopatrzyć się już w świeże jabłka, domowe ciasta, sery i kwiaty. Chyba już na dobre poczułam się w Nowym Jorku jak w domu, pomyślała.

– Sądzę, że Merlin lepiej... och, przepraszam, Zoey. Skarbie zaczekaj chwilę, nie rozłączaj się – Jadę urwała rozpoczętą właśnie perorę. To była właśnie główna niedogodność telefonicznych rozmów z nią, gdy była w pracy: Jadę sumiennie dzieliła wtedy czas między przyjaciółkę i pół tuzina jazgoczących klientów.

W telefonie kliknęło i Zoey usłyszała głos Jadę.

– Tak, oczywiście, panie Swersky. Z prawdziwą przyjemnością pokażę panu ten jedyny w swoim rodzaju penthouse, dziś po południu, o...

– Jadę, to ja... Zoey.

– Ojejku, złotko, przepraszam, ale mam tu urwanie głowy. Zaczekaj minutkę. – Zoey cierpliwie czekała, gdy nagle rozdzwonił się domofon; ponieważ miała na nogach tylko skarpetki, dopadła drzwi wspianiałym ślizgiem.

– Jest Scott Peterson tu do pani – poinformował Bobby. – To przedsiębiorca budowlany, ma dokończyć ten remont dla pani Blackwell.

– Ach, tak. Dobrze – odpowiedziała Zoey; miała w tej chwili ochotę walnąć głową w ścianę. A dopiero co zaczęła cieszyć się odrobiną spokoju i prywatności! Niech to szlag! Dostała wprawdzie od Skye emaila o tym nowym fachowcu, ale spodziewała się, że załatwienie tego zajmie Skye przynajmniej parę tygodni; w końcu była gdzieś na końcu świata, w jakimś zakazanym *palazzo*... No cóż, widać to byłoby za dużo szczęścia na raz...

– No, już jestem, ale i tak zaraz muszę gnać – odezwała się nagle w słuchawce Jadę. – Słuchaj, zanim zapomnę: jesteś wolna dziś wieczór? Pomyślałam, że może wybierzesz się ze mną na małe polowanko na mieszkanko. Konkretnie mieszkanko dla mnie; od Bóg wie kiedy gadam o znalezieniu czegoś nowego, ale wciąż nie miałam czasu... A jak ty sama, przy okazji, wypatrzysz coś dla siebie, to będzie przyjemne z pożytecznym...

– Hm, to brzmi zachęcająco – odparła z namysłem Zoey, oczyma duszy widząc już swoje

małe, własne, przytulne mieszkanie, bez robali i fachowców. To co, mam przyjechać do ciebie do biura?

– Jasne. A potem skoczmy coś przegryźć. Dzwonek u drzwi zadźwięczał natarczywie, więc Zoey pośpiesznie rzuciła do telefonu: – Ktoś dzwoni do drzwi, muszę kończyć, do zobaczenia – i gwałtownie otworzyła drzwi, zamierzając raz dwa rozmówić się z tym kolejnym, pożałuj Boże, fachowcem...

W drzwiach stał...

O Boziu, oczy niebieskie, jak... O rany, ale bary...

O mamuniu...

Zoey poczuła, że twarz jej płonie ognistym rumieńcem. Tymczasem Błękitnooki uśmiechnął się sympatycznie i wyciągnął rękę.

– Cześć, jestem Scott Peterson; mam tu dokończyć remont – powiedział. Jego dłoń była silna, ciepła i gładka. Zupełnie inna niż sękaty, pełne odcisków i wiecznie spocone dłonie Carlosa i jego syna.

– Eee, cześć – wpuszczając go do środka Zoey w pomieszczeniu starała nie wpatrywać weń nazbyt nachalnie. Zdążyła więc zauważyć tylko błękitną kurtkę baseballową, z naszytym na plecach napisem: „Scott Peterson Usługi Stolarskie”. On zaś odwrócił się ku niej, skłonił lekko głowę i ponownie przyjaźnie się uśmiechnął. Poczuła się tak, jakby od lat znała i lubiła tego Scotta Petersona.

– Wyobrażam sobie, że nie jest pani zachwycona, że ktoś tu się będzie kręcił i hałasował, ale obiecuję, że będę tak cichutki i niezauważalny, jak tylko potrafię. Może powie mi pani od razu, jakie godziny pracy pani odpowiadają, dostosuję się do pani rozkładu dnia...

Zoey o mało nie rzuciła mu się na szyję.

– To... tto... to wspaniale – zająknęła się niczym speszona nastolatka. – Rzecz w tym, że jestem pisarką i... ii... cenię sobie... eee... samotność, eee... twórczą samotność...

– O, pisarką – Scott uśmiechnął się szeroko. – To... niezwykle. Moje dzieciaki będą zachwycone. Zawsze, gdy pracuję u kogoś sławnego są tak podekscytowane, jak wtedy gdy montowałem drzwi u takiego aktora, który grał Steve’a w *Blue Clues*...

Zoey potrząsnęła głową.

– O Boże, nawet nie wiem, kto to taki...

– O, będzie pani wiedziała, jak będzie pani miała własne pędraki – powiedział pogodnie Scott. – Pozwoli pani, że rzucę okiem na stan robót? Wiem, że wpadłem zniecka, ale...

– Ależ proszę, nie ma sprawy – odpowiedziała Zoey. – Może kawy? Albo czegoś innego? – spytała, żywiąc cichą nadzieję, że grzecznie podziękuje, gdyż nie miała w domu ani kawy, ani niczego innego. Pośpieszne wyprawy do pobliskiego Starbucka były częścią jej porannego rytuału.

– Ach nie, dziękuję bardzo – odpowiedział, przechodząc w głąb mieszkania. Co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, gęste, krótko obcięte blond włosy, odsłaniały kształtne uszy. Lekko

opalony, pewnie dużo pracuje na świeżym powietrzu – pomyślała Zoey, sycąc wzrok widokiem przystojnego mężczyzny, zręcznie wspinającego się na drabinę.

Przestań natychmiast – nakazała sobie surowo. – Przestań się ślinić i fantazjować. Facet jest żonaty i przyszedł do roboty, przyhamuj więc to swoje zgłodniałe libido, kobieto.

– W porządku – powiedział Scott Peterson, zakończywszy inspekcję. – Jeśli to pani odpowiada, zejdę teraz na dół po narzędzia i biorę się do roboty. Im szybciej zacznę, tym szybciej się mnie pani stąd pozbędzie.

– Ależ nie ma sprawy – powiedziała machinalnie Zoey. Gdy wychodził, oparła się nagle osłabła o drzwi, wlepiając oczy w jego kształtne pośladki w niebieskich dżinsach. Śledziła jego ruchy, gdy zmierzał do windy.

No, dobra, facet jest absolutnie poza zasięgiem. Nie dotykać! Ręce precz! Ale pomarzyć wolno.

Skarbie, porządne fantazje seksualne od czasu do czasu wychodzą tylko na zdrowie – pocieszyła Zoey Jadę, gdy wioząca je taksówka mknęła Ósmą Aleją. – Ja osobiście robię to na okrągło, to znaczy na okrągło fantazjuję. A już zwłaszcza, gdy trafia się taki kawałek ciała... któż by się oparł?

– On jest żonaty – przypomniała surowo Zoey, zarówno Jadę, jak i sobie. – I dzieciaty.

Jadę wzruszyła ramionami.

– Tym lepiej. Nie rzucisz dla niego przyjaciół, by ponownie zaszyć się w głuszy Connecticut. Zoey uśmiechnęła się.

– Tu mnie masz! – z niejaką melancholią pomyślała, że Jadę ma całkowicie odmienny pogląd na to, jaki powinien być idealny związek. A Skye ma najwyraźniej całkowicie odmienny pogląd na to, jaki ma być idealny stolarz. W swym ostatnim emailu dała wyraźnie do zrozumienia, że jest wściekła z powodu wywalenia Carlosa i wkurzona na zarząd, że się wtrąca.

Ten facet, polecony przez zarząd, słono sobie liczy; pilnuj go, czy cholera pracuje za tę forszę. Zarząd kocha zatrudniać różnych nieudaczników, lamagi, które gdzie indziej nie mogą znaleźć pracy; chyba wypełniają jakąś misję w celu obniżenia stopy bezrobocia. Tak czy siak, proszę cię, miej oko na tego całego Scotta: czy nie kradnie mojej biżuterii albo nie wynosi wideo. A jak tam walka z robalami? Udało się? Wiem, że te paskudztwa są wyjątkowo odporne...

W istocie wydawało się, że ostatnia wizyta specjalisty od robali zakończyła się sukcesem: wróg najwyraźniej ustąpił z pola walki. Zoey mogła więc cieszyć się perspektywą miłego wieczoru z Jadę, bez obawy, że po powrocie do domu natknie się znowu na jakiś intruzów.

– Dokąd jedziemy najpierw? – zwróciła się do Jadę.

– Absolutnie oszałamiający lokal z zapierającym dech widokiem w Lincoln Center. Dwie sypialnie, dwie i pół łazienki, cena śmiesznie niska, tylko pół miliona, właśnie obniżona.

– Miliona? – Zoey opadła szczęka. – Dobry Boże! Możesz sobie na to pozwolić?

– No, nie, ten lokal to sprawdzam dla klienta, ale przy okazji obejrzymy sobie w sąsiedztwie miłe mieszkanie z jedną sypialnią, kiepskim widokiem i niedziałającym kominkiem, żeby nam się w głowach nie przewracało...

Wysiadły z taksówki. Zoey zapatrzyła się na mężczyznę prowadzącego na smyczy sapiącego spaniela; wchodzili do przeszklonego holu w pobliskim apartamentowcu. Tuż obok, w eleganckim, staroświeckim domu z piaskowca, z ciemnoczerwonymi drzwiami, jasno oświetlone okno frontowego pokoju pozwalało zobaczyć wnętrze.

– Zawsze ciekawiło mnie, jak to jest w domach innych ludzi, jak żyją, jak mieszkają –

powiedziała do Jadę. W istocie pasjonowała się tym już od dziecka. Gdy jeździła z rodzicami na wakacje, czy to nad chłodne, spokojne jeziora Michigan, gdzie spędził dzieciństwo jej ojciec, czy też do dziadków na Florydę, Zoey z pasją studiowała mijane domy, żalując, że nie ma w oczach rentgena, by zajrzeć do ich wnętrza. Jakież emocje i namiętności ukrywały te stateczne domostwa, gdzie kobiety wieszały pranie w podwórzach, mężczyźni kosili trawniki, a dzieci szalały wokół na rowerach?

– Uwierz mi na słowo – Jadę wyciągnęła z portfela dziesięciodolarowy banknot – nigdy nie jest tam tak miło i sympatycznie, jak ci się wydają. Zresztą, nawet najbogatsi straszliwie zaniedbują i zapuszczają swoje mieszkania. Taka Doris Duke miała w swoim penthousie stare zdezelowane klimatyzatory na oknach. A gdybyś zobaczyła te wytarte dywany i łuszczącą się farbę w domach co poniektórych sław... Mówię ci, ludzie potrafią żyć jak w chlewie. – Zapłaciła taksówkarzowi i odwróciła się do Zoey ponownie. – No, to idziemy.

Apartament w Lincoln Center istotnie miał widoki zapierające dech w piersi, lecz ponieważ nie był jeszcze wykończony, ze swymi stiukowymi sufitami, gołymi ścianami i banalnymi wykładzinami robił wrażenie dość bezduszne, by nie rzec martwe. Zoey – mimo szczerych wysiłków – nie mogła sobie wyobrazić, że można tu poczuć się jak u siebie, w domu, zwinąć się na kanapie, by poczytać książkę czy sączyć poranną kawę w pierwszych promieniach słońca.

Przewidująco obrzydzone przez Jadę „miłe mieszkanko w sąsiedztwie” okazało się przytulną komórką względnie szufladą. – Cholera, na tym piętrze w XIX wieku musiały być same służbówki dla pokojówek czy podkuchennych, a potem porobili tu mieszkania – stwierdziła Jadę, która szybko przemierzyła ciasne pokoiki i skreśliła lokal definitywnie. – Przeczuwałam, że to będzie coś takiego. – Przytrzymała drzwi i pokiwała na Zoey. – No, raz-raz, zbieraj się. Mamy dziś wieczór jeszcze parę mieszkań do obejrzenia.

Przy Piątej Alei obejrzały wspaniały apartament – a właściwie dwa apartamenty tworzące duplex. Nowiutkie, jak spod igły łazienki, wyłożone błękitnymi kafelkami, były w porządku, ale pokoje okazały się zdaniem Jadę zbyt małe i za ciasne. Mieszkanie z dwiema sypialniami w United Nations Plaża miało z kolei „niepowtarzalny wdzięk akademika” – jak to określiła, krzywiąc się na podejrzane zapachy, docierające z kuchni.

W pobliżu centrum Jadę bezlitośnie zdyskwalifikowała poddasze w Tribeca oraz suterенę w Chelsea, którą z powodu ścian z gołych cegieł nazwała – „przystanią dla podstarzałych hipisów”.

Metażę, widoki i lokalizacje kolejnych mieszkań zlały się w końcu w umyśle Zoey w jedną mętną smugę. Przysiadła na szerokim parapecie okna sutereny, masując obolałe skronie. Spodziewała się po tej wycieczce przeglądu przytulnych zakątków i inspirujących widoków, zamiast tego osaczyły ją ohydne tapety, nieszczelne okna i obrzydliwe zapachy.

– Biorąc pod uwagę jak je opisano, wszystkie te lokale są... , no, mocno rozczarowujące – powiedziała do Jadę. – Możesz nazwać mnie nieuleczalną optymistką, ale, szczerze mówiąc, liczyłam na więcej.

– Jesteś optymistką, to fakt, ale nie będę tego wykorzystywać przeciw tobie. – Jadę

pociągnęła ją za rękę, zmuszając do zejścia z parapetu. – No, rusz się! Mamy jeszcze do sprawdzenia jeden lokal, tym razem nie dla mnie, ale dla mojego klienta.

– O rany, ale zgłodniałam. Muszę coś wrzucić na ruszt. *Nachos*. Krewetki. I parę cosmopolitanów. Albo margarity.

– Wytrzymaj jeszcze trochę. Ten lokal jest tuż-tuż; możemy tam dojść piechotą. A potem stawiam ci kolację w Vermillion. Akurat Mouse ma dziś dyżur.

– No, niech ci będzie – zgodziła się Zoey. – Ale tylko ten jeden lokal, dobrze?

Wprowadzając Zoey do wyłożonego wiśniowym drewnem przedsionka eleganckiego budynku w Chelsea, Jadę z lubością wsłuchiwała się w stukot swych obcasów. Eleganckie obuwie stanowiło część jej osobowości, a od kiedy zajęła się nieruchomościami, a dokładnie od dnia, w którym po raz pierwszy zaprezentowała apartamenty klientom, szpilki od Prądy, chodaki od Izaaka Mizrahi, pantofelki z wężowej skóry czy seksowne sandały z cienkich rzemyków, dźwięki, jakie wydawały, stukając o parkiety i płytki, przypominały jej, że to ona jest tu panią, od niej wszystko zależy. Kochała swoją pracę, choć gdy dwanaście lat temu stawiała w niej pierwsze kroki, nawet nie wyobrażała sobie, że stanie się ona jej pasją i powołaniem. W końcu niewiele dziewczyn u progu kariery marzy akurat o prowizjach od metrażu i od widoków. Z kolei matka upominała ją bez ustanku: – Co w dzisiejszych czasach da ci ta twoja socjologia? Co to w ogóle za studia? Chcesz być pracownicą socjalną? Czarno to widzę, Bubalah. – Jadę też to wtedy czarno widziała.

Portier dał im klucze; ruszyły na dwunaste piętro wykładaną drewnem i mosiadzem windą.

– To zajmie tylko minutkę – powiedziała Jadę, przekręcając klucz w zamku. – Mam takiego klienta z Los Angeles...

Pchnęła drzwi, weszła i zamarła z zachwytu na widok wspaniałej, właściwie majestatycznej, złożonej kopuły. – O rany! Nie spodziewałam się czegoś aż tak fikuśnego w tym budynku.

Wchodząc dalej, człowiek przenosił się do innego świata. Kręte schody prowadziły do wyposażonego w liczne okna półpiętra z drewnianymi balustradami. W salonie był – jak najbardziej czynny – kominek, wyłożony biało-niebieskimi, holenderskimi kafelkami. W bibliotece wzdłuż ścian ciągnęły się półki z ciepłego, gładkiego afrykańskiego mahoniu. Kuchnia wyglądała na świeżo odnowioną; szafki z gruszkowego drewna i lśniąca armatura zapraszały do wnętrza. Całą podłogę pokrywały parkiety, dwie ogromne sypialnie były zarazem wygodne i przytulne.

– No, tak, to rozumiem, to jest lokal – westchnęła Zoey głaszcząc oprawne w skórę grzbiety książek w bibliotece.

– Tu od razu czujesz się jak w domu.

– Faktycznie, jest cudowny – zgodziła się Jadę; przechadzała się po pięknym chińskim dywanie, wspominając mimochodem podobny pokój z czasów swego dzieciństwa.

– Przypomina mi mieszkanie dziadka w Bostonie ... – Zabawne, pomyślała, że zapachy cytrynowego wosku i tytoniu fajkowego mogą przywołać aż tyle wspomnień. Często, siedząc na

dywanie podobnym do tego tutaj, Jadę słuchała długich i dziwacznych opowieści dziadka. Często też zdarzało się jej drzemać na wielkiej sofie przed kominkiem albo razem z babcią pić herbatę z malutkich filiżaneczek ozdobionych deseniem z różanych pączków...

– Kurczę, gdybym miała te trzy miliony, sama bym g° kupiła – westchnęła. Naprawdę by kupiła. W tym miejscu czuło się jakieś silne, osobliwe wibracje, coś, czego zazwyczaj nie odczuwała w oglądanych taśmowo mieszkaniach. No cóż, pysznie dla klienta z L. A. , kiepsko dla niej – – No, teraz możemy coś przetrącić – powiedziała do Zoey, otrząsając się z chwilowego rozmarzenia. Jeszcze raz obrzuciła mieszkanie tęsknym spojrzeniem i stanowczo zatrzasnęła za sobą drzwi.

W klubie Vermillion nie było jeszcze zbytniego ruchu, więc Mouse mogła podać im kolację przy barze: były i nachos, i koktajl z krewetek, i sałatka Cezara. Gdy Mouse przynosiła kolejne dania, a Zoey próbowała opowiedzieć jej o obejrzanych właśnie mieszkaniach, Jadę wysłiznęła się do saloniku dla pań, by odbyć kilka rozmów z klientami i wyznaczyć spotkania na następny dzień.

Przy okazji próbowała wywołać pager pana Takiyarny – już po raz któryś, Od ich ostatniego spotkania, kiedy to uprawiali seks na okrągło, całą noc, aż do świtu, dzwoniła do niego niemal co dzień. Tamtego ranka pan T. próbował zakończyć ich związek, oznajmiając, że wkrótce przyjeżdża z Japonii jego żona.

– Mnie to nie przeszkadza – oznajmiła mu wtedy, odprężona i nasycona.

On jednak tylko uklonił się nisko, po czym odwrócił się i po prostu wybył z jej mieszkania.

Kurczę, żółtek jeden, zrujnował jej życie, kompletnie wytrącił z równowagi. Myślała, że intensywna praca, to ukochane „polowanie na apartamenty”, pozwoli jej wrócić na stare tory: codziennie nowe miejsca, nowi mężczyźni, nowe perspektywy... Niestety, jak dotąd – nie działało.

Kurczę blade, niech go zaraza, Japońca cholernego... Jadę wyłączyła komórkę, gotując się ze złości i frustracji. Powinien zadzwonić. Nie może go stracić. Nie żeby chodziło o niego samego: chodziło o ten absolutnie zdumiewający seks. Wróciła do baru, nerwowo przygryzając dolną wargę.

– Co z tobą? – zagadnęła Mouse, nalewając dwa świeże cosmopolitany do wymyślnych kieliszków w kształcie litery Y.

Jadę przysiadła na barowym stołku i swoim zwyczajem zadarła podbródek.

– Nic. Absolutnie nic. – Nie była gotowa na omawianie swoich problemów, a już na pewno nie tu, w tancbudzie dla około dwudziestolatków...

– Nie martw się – powiedziała Mouse. – W końcu znajdziesz apartament w sam raz dla siebie...

Zoey coś mruknęła, odgarniając włosy, chyba coś o wieczorze panińskim, Jadę jednak, choć próbowała wymamrotać jakąś odpowiedź dla Mouse, poczuła, że głos więźnie jej w gardle i że ogarnia ją panika. Rany boskie, od lat się tak nie czuła. Taka... bezradna. Zdołowana. Co się z nią

dzieje, u licha?

W końcu to tylko facet. Tylko facet. I ty go ani nie kochasz, ani nawet nie uważasz, żeby był przesadnie przystojny, myślała. W końcu łączy was tylko seks, a seks możesz mieć z każdym innym facetem. Z każdym innym. Z każdym innym. To dlaczego tak za nim tęsknię? Dlaczego nagle boję się, że już nigdy nie poczuję się tak... dobrze?

– Jadę? – Zoey nachyliła się i przyjrzała się jej uważnie. – Hej! Co jest? Coś z tobą nie tak. Co się stało?

Zatroskanie Zoey nieoczekiwanie sprawiło, że wszystkie uczucia, które Jadę dotąd dusiła w sobie, nagle – wzmocnione i zwielokrotnione – uwolniły się i, zanim zdała sobie z tego sprawę, wybuchnęła rozpaczliwym szlochem.

– Nie... nie mogę... – czuła, że oczy ma pełne łez, a łkanie zatyka jej gardło. – Po prostu... czuję, że... cholera, wydaje mi się... , jakby moje życie się skończyło... , jakby wszystko się skończyło...

Zasłona jedwabście gładkich, czarnych włosów opadła na pochyloną nad barem twarz Jade, czerwoną i zapuchniętą od płaczu. Widok ten – zwłaszcza w zestawieniu z mrugającymi wokół światłami i rozwrzeszczaną, podrygującą w rytm muzyki bandą rozbrykanych nastolatków, tradycyjną klientelą klubu Vermillion – wydał się Zoey zarazem żalony i nieprawdopodobny. Wręcz nieodpowiedni.

Jadę bowiem nigdy nie płakała. Zerwania z kolejnymi partnerami nie dawały jej ku temu powodu, jako że zwykle zrywającą była ona. Dzięki zapobiegliwości dziadków i funduszowi powierniczemu nigdy też nie musiała się kłopotać, z czego zapłaci czynsz. Zoey wróciła pamięcią do lat studenckich: wszystkie traumatyczne wydarzenia – od testów ciąży wy eh, przez lęki związane z AIDS, aż po ten okropny dzień, kiedy okradziono ich mieszkanie – Jadę przyjmowała z całkowitym, graniczącym z nieczułością spokojem.

– Ojej, Jadę – Zoey położyła jej rękę na plecach, próbując rozmasować napięte mięśnie. Prawdę mówiąc, nie miała zielonego pojęcia, dlaczego Jadę tak zniecka pękła; ostatnio skupiała się głównie na własnych problemach i nie zauważyła, że przyjaciółka ma swoje, kto wie, czy nie większe... – No, skarbie, już dobrze, naprawdę. Cokolwiek się stało... będzie dobrze.

– Nie będzie – zakwiliła Jadę. Po policzkach spływały jej strugi łez, ciemne od rozpuszczonego tuszu.

Zoey pośpiesznie podsunęła jej chusteczkę.

– No nie, doprawdy, jestem ciemna jak tabaka w rogu. Ale tak się zaryłam w to własne, spaprane życie, że... no, nie wiedziałam, że z tobą coś nie tak...

– To wszystko przez pana T. – załkała Jadę, do reszty rozmazując tusz. – No, zerwał ze mną, a ja nie mogę pozwolić, żeby odszedł, po prostu nie mogę i to mnie przeraża. – Bezradnie potrząsnęła głową. – Cholera, robię się namolna, zaczynam zachowywać się, jak te stuknięte baby, prześladowające swoich byłych... Facet chce się zmyć, a ja chcę go zatrzymać za wszelką cenę. I to wcale nie dlatego, że go kocham czy coś takiego... Kurczę, chodzi tylko o seks.

– A, to ten twój facet od tantrycznego seksu? Jadę kiwnęła głową.

– To jest aż tak dobry?

Jadę przytaknęła ponownie; po policzkach popłynęły jej nowe strumienie łez.

– No, no, poczekaj. – Zoey postanowiła jakoś opanować sytuację. – Pomyśl przez chwilę, tak chłodno: Czy nie mówiłaś, że jest kościsty? Kościsty i wyniosły? Całkiem jak ten nasz profesor filozofii, pamiętasz... ?

Jadę, wciąż we łzach, zaśmiała się. – Owszem. Ale nie mówiłam też, że to wszystko, no, ja i on, ma jakiś sens.

– Niech ci będzie – Zoey kuła żelazo póki gorące. – Zastanawiam się tylko, czy rzeczywiście

nie ma innych facetów, równie dobrych w te klocki. Ja, no cóż... , nie wiem zbyt wiele o tym tantrycznym seksie, tyle tylko że czytałam o paru sławnych parach, które podobno go próbowały i... polubiły. To podobno jakaś taka, no... trzydniówka, tak? To znaczy, że musisz czekać trzy dni aż ... dojdiesz?

– No, niezupełnie tak, jak mówisz, ale istotnie... to jest zawsze bardzo powolne i ... takie medytacyjne... i, ojej, takie satysfakcjonujące. On potrafił przez godzinę tylko mnie dotykać, cały skupiony na mnie. Moja *yoni*, tak to nazywał. – Jadę podniosła wzrok; w oczach wciąż szklily się łzy. – Wiem, co o mnie myślicie, że jestem dziwka i szmata...

– No, coś ty...

– Nie ma sprawy, dziewczęta. W końcu ja nigdy się nie wstydziłam swoich postępów i czułam się dobrze... no... w swojej skórze. – Jadę wyprostowała się na stołku i wojowniczo zadarła podbródek. – Po prostu lubię seks, Zoey, i myślę, że nie ma w tym nic złego. A z panem T.... to nie tak, że ja chcę jego. Chcę tylko seksu z nim. Dobry Boże, czy to tak zaczynają wszystkie te szurnięte baby... ?

– Ależ nie, daj spokój Jadę. Nie jesteś dziwką i nie jesteś szurnięta... Wydaje mi się tylko, że za bardzo skupiłaś się na niewłaściwym aspekcie tego nowego... no, związku; może to nie najlepsze słowo, ale nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. Zależy ci na tym facecie, ale, jak sama mówisz, nie tyle na nim, ile na tym nowym sposobie uprawiania seksu... To ciebie naprawdę interesuje, a nie pan T. jako taki. Czyli – musisz szukać. Rozglądać się. Badać...

Jadę bezmyślnie pokiwała głową.

– Myślę, że powinnam spróbować...

Zoey szybko podała jej drinka. – No i pomyśl o tym pod tym właśnie kątem: jak już zagłębisz się w ten problem, możesz potem stać się, hmm... nauczycielką dla każdego faceta, z którym pójdiesz do łóżka. A jak będziesz ekspertem od tantrycznego seksu, to w każdy swój nowy związek wniesiesz to... doświadczenie. Możesz, moja droga, szkolić, znaczy... trenować facetów, żeby byli lepsi w łóżku. Masz szansę zostać Wielkim Guru Tantrycznego Seksu na Manhattanie... – uniosła swego drinka w toaście. – No, co o tym myślisz?

Jadę prychnęła. – To lubię. – Trąciła się szklanką z Zoey i wychyliła swego cosmopolitana jednym długim łykiem.

Zoey ostrożnie sączyła swego drinka. Mam nadzieję, że dobrze jej doradziłam, pomyślała. Po czym odezwała się niespodziewanie:

– Wiesz, myślę, że też muszę się przyjrzeć temu tantrycznemu seksowi. Nie żeby go zaraz uprawiać, w ogóle nie sądzę, że jeszcze kiedyś w życiu... ale... to może być ciekawy materiał...

– Dam ci znać, do czego doszłam – obiecała jej nieco bełkotliwie Jadę. Cisnęła wymiętoszoną chusteczkę na kontuar baru i ześliznęła się z wysokiego stołka.

– Zaraz wracam.

Gdy Jadę podążała w kierunku toalety, Zoey zapatrzyła się bezmyślnie w tłum. Niektóre pary całowały się. Jakiś facet chyba spierał się o coś z EMsem, barmanem; grupka dziewcząt stała tuż

przy parkiecie tanecznym, stłoczone i smętne niczym uczennice, które na bal maturalny przyszły bez pary. Zoey wróciła wzrokiem do całujących się par. Na pewno, nim wstanie świt, zdążą się pokochać i to parę razy, jak amen w pacierzu, pomyślała. Zawsze uważała siebie za osobę rozważną, ale może tylko tłumiała w sobie swe prawdziwe popędy i uczucia? Większość ludzi w tym klubie na pewno regularnie uprawia seks. A niektórzy być może poznali już rozkosze sadomaso czy tego – jak mu tam, tantrycznego seksu...

– Jesteś naiwna. Tak, bardzo naiwna – mruknęła półgłosem sama do siebie. Gdzieś obok pojawiła się Mouse, pytając:

– Gdzie Jadę?

– Poszła zadzwonić. – Zoey sięgnęła do torebki, szperając w poszukiwaniu pióra. W głowie jej poczał się nagle formować pomysł na powieść i nie chciała, by równie nagle uleciał.

– Jeszcze jedna kolejka?

– Jasne. – Podczas gdy Mouse mieszała drinka, Zoey zaczęła pośpiesznie notować na serwetce:

Tantryczny seks – główne postacie motywowane przez seks.

Seks jako podstawowa potrzeba – tak jak pożywienie, tlen etc.

Ludzie uprawiają seks, kretynko!

Tylko ty nie.

– Co to takiego? – zainteresowała się Mouse – Parę szkiców do nowej książki – odpowiedziała Zoey. Mam nadzieję, dodała w myślach.

– Och, doprawdy? No i jak ci idzie?

– Na razie wcale... Ale, pewnego dnia, wyobrażam sobie. ... – Zoey wyrzuciła ramię do przodu, naśladując start odrzutowca – siup i pooszło! Przełom. Na pewno.

– Czytałam kiedyś o jednym artyście, który kompletnie stracił szwunk. Był taki przybłokowany, że nawet nie mógł chwycić za pędzel...

– I? – ponagliła ją Zoey, licząc na szczęśliwe zakończenie.

– Ach, to był koniec jego kariery – powiedziała pogodnie Mouse, wrzucając kostki lodu do shakera. – Albo może zamienił ręce? – Nagle, rozjaśniła się i wycelowawszy polakierowany na niebiesko paznokiec w Zoey, dokończyła rozpromieniona. – Tak, to było to. Złapał pędzel w drugą rękę i zaczął malować, no, wspaniale. Zdaje się, że to był jakiś sławny facet. Może Michał Anioł?

– Akurat. – Zoey wetknęła zabazgraną serwetkę do kieszeni. Wciąż rozmyślała o seksie jako... hm... temacie. Wszyscy go uprawiają. To dlaczego ona nie miałaby o tym pisać?

Dwa tygodnie później Zoey mogła sobie pogratulować – spłodziła już prawie dwieście stron opowieści o namiętym i mrocznym zarazem związku niewidomej kobiety i jej sąsiada, niezwykle utalentowanego terapeuty. Bohaterka, była pianistka Armine Nakashian, nienasycona modliszka (wedle jej własnych słów), straciła wzrok w tragicznej kraksie samochodowej, po której usunęła się z życia i zaszła w swym mieszkaniu na Brooklynie. Wtedy pojawia się Quinn Carroll, solidny i poważny młody terapeuta, który – po odbytym stażu na uniwersytecie w Kansas – właśnie wrócił do domu, by zaopiekować się swą schorowaną matką. Quinn zaczyna odwiedzać Armine, przy czym, ucząc ją na nowo życia w mroku i pogodzenia się ze ślepotą, traktuje te wizyty zarazem jako ucieczkę od męczącej codzienności małego światka matki.

I coś się tu kluje, pomyślała Zoey, przelatując po raz któryś już z kolei plik. Na każdej prawie stronie rysuje się delikatna na razie, misterna sieć wzajemnej fizycznej fascynacji i „chemii” między Armine i Quinnem. Co prawda gdzieś od piątej strony zaczęły się schody: akcja zaczęła się rwać, pojawiły się widoczne gołym okiem luki. Między dwojgiem bohaterów było jak na razie tylko mnóstwo intensywnie odczuwanego pożądania i wstępnych, raczej terapeutycznych macanek, prowadzących oczywiście i nieuchronnie do scen erotycznych i seksu – ale te akurat fragmenty postanowiła dopisać później. To znaczy szkice tych scen były w zasadzie gotowe. Co więcej, było to coś znacznie mocniejszego niż słodkointelektualny romans, którym zakończyła *Strażnika swej córki*. Ale ilekroć próbowała napisać scenę erotyczną i opisać seks Armine i Quinna, tłum ukrytych w jej głowie cenzorów zmuszał ją do naciskania przycisku z hasłem *Delete*.

A co będzie, jeśli mamcia zechce to przeczytać, a zechce na pewno. A jeszcze, nie daj Boże, w swoim klubie książkowym w Boca?

A co na to zakonnice i księża z parafii Św. Róży z Limy, gdzie Zoey uczęszczała do katolickiej szkoły? No dobrze, większość siostr pewnie przeszła na emeryturę, albo i powymierała; zostało tam jednak kilka miłych, dobrych i sympatycznych katolickich dziewcząt z ósmej klasy, z którymi Zoey wciąż była w kontakcie – a wiele z nich miało już nastoletnie pocięchy. A ciocie i wujkowie, spotykający się na rodzinnych spędach, a dzieciaki portiera Bobby’ego, a te wszystkie przerażające typy, wyszukujące twe nazwisko w książce telefonicznej, by potem przez telefon odczytywać ci wybrane fragmenty z twojej książki?

Tak więc w miejscu każdej potencjalnej sceny miłosnej Zoey stawiała na razie serię gwiazdek i brnęła dalej w zawikłaną historię uczuć łączących obie postacie. Pisało się jej tak dobrze i szybko, że nie chciała przerywać, lecz po tygodniu wytężonej pracy przerywanej tylko wypadami do Starbucka i odbiorem zamówionych dań na wynos, przy delikatnym akompaniamencie stale słyszalnego hałasu, jaki robił przy pracy Scott – Zoey stwierdziła, że nie

może już dłużej olewać Mouse, zwłaszcza że wezwanie, jakie od niej nadeszło, było krótkie, jasne i subtelne: „Bierz dupę w troki i przyjeżdżaj”.

Spotkały się na późnym lunchu w Vinyl Diner na Pięćdziesiątej Czwartej Zachodniej, blisko miejsca, gdzie Mouse miała kolejne przesłuchanie do przedstawienia typu off Broadway. Mouse przysłała pierwsza. Zoey pomyślała, że coś jest nie tak, widząc, jak przyjaciółka macha do niej od zajętego przez siebie stolika. W restauracji, pewnie z uwagi na wiosenną już aurę, otwarto okna, i popołudniowe, kwietniowe słońce kładło się na stolikach migotliwymi, żółtobladymi plamami. Niestety, przez otwarte okna do wnętrza wpadał także dość silny wiatr, wzdymając serwetki pod sztućcami i dzwoniąc szklankami. Zoey dotarła do stolika i zobaczyła, że Mouse...

– Ojej! Wspaniała fryzura! Wyglądasz jak... jak księżniczka z bajki.

Dziś bowiem Mouse miała nowe uczesanie: długie, wspaniałe loki spływały jej miękko na ramiona. Na słowa Zoey przybrała istic księżęcą pozę, a długie pukle zatańczyły wokół jej twarzy.

– Zwykle wydłużenie włosów. Pięćset dolców i prawie pięć godzin u fryzjera.

– No, ale efekt... Jestem pewna, że na przesłuchaniu pospadali z krzesel z zachwytu. Jak poszło? Padali trupem z wrażenia?

– Ci faceci byli martwi, zanim się tam zjawiłam – powiedziała kwaśno Mouse. – Rola była zupełnie nie dla mnie, a te typy od castingu ledwo mnie zauważyły, wpatrzeni byli głównie we własne pępki. Ale to wszystko przez mojego agenta. Nie powinien marnować mojego czasu, posyłając mnie na casting do ról, które kompletnie mi nie leżą. Powinam go z miejsca wywalić i tyle...

– Ale to przecież on załatwił ci tę rolę w *Dźwiękach muzyki* – zaprotestowała Zoey. – No, i pamiętaj, że teraz na Broadwayu panuje prawdziwa posucha. Tylko cztery premiery nowych musicali ...

– Widzę, że ktoś tu czytał *Times* 'a.

– Od deski do deski – przyznała Zoey, otwierając menu; okładki zdobiły podobizny gwiazd. Zoey miała Lindę Ronstadt, a Mouse Eltona Johna. – No więc, co tu dają?

– Do wyboru, do koloru. No i na moją kieszeń; ty wiesz, że od lutego w ogóle nic nigdzie nie grałam? – Mouse potrząsnęła głową, jedwabiste loki zafalowały.

– Naprawdę Zo, nie wiem już, co robić. Jak podliczam dochody do oświadczenia podatkowego, to wychodzi na to, że prawie połowa moich zarobków bierze się z tego kelnerowania. Jeszcze trochę i w rubryce „zawód”, zamiast „aktorka”, będę pisała „kelnerka”, bo tak naprawdę jestem nią...

– Och, Myszko – Zoey wahała się przez chwilę: podnosić przyjaciółkę na duchu w stylu dziarskiej czirliderki, czy też przyłączyć się do jej uzalania się nad sobą? W końcu zdecydowała się na wariant pierwszy. – Wiesz, każdy ma takie no... chude dni ... nie żeby lata, ale... spójrz na mnie. Pamiętasz, ile czasu trwała moja blokada, jak długo nie byłam w stanie napisać pół zdania? Tak bywa...

Mouse spojrzała w górę, jakby odpowiedź bujała się na suficie, na wielkim żyrandolu w stylu art deco.

– Znacznie łatwiej przetrzymać takie, jak mówisz, chude dni, gdy masz dwadzieścia pięć lat i możesz sobie wmawiać, że twój talent czeka jeszcze na swego odkrywcę. No, a potem w końcu ktoś cię odkrywa, ale ról dla ciebie nie ma. Potem chwytasz jakieś małe rólki, byle jakie. W tym czasie dobijasz trzydziestki i...

– Dobrze wiesz, że masz talent – zaprotestowała Zoey.

– Nikt nie ma takiego głosu jak ty. Masz prawdziwie sceniczny głos, który wciska ludzi w fotele...

– Tak, tak, to dar od Boga i wiem, że nie dostałam go bez jakiegoś powodu – Mouse nadal była pochmurna.

– Ale czasami wydaje mi się, że On piętrzy na mojej drodze zbyt dużo gówna... Nie, żebym się skarżyła...

– Boże, uchowaj! – Zoey kartkowała z roztargnieniem menu. – My nigdy nie narzekamy, nigdy się nie skarżymy.

– Mimo żartobliwego tonu rozmowy, wyczuwała w głosie Mouse cień depresji czy poczucia klęski. Zastanowiła się przez chwilę, co właściwie mogłoby uwolnić Mouse od tego nastroju. Bo w jej uzdolnienia i talent nie wątpiła. Poza tym matka natura dała jej urodę i ten naprawdę cudowny głos. Dlaczego więc jej telefon nie urywał się od propozycji? Dlaczego ignorowali ją producenci i agenci castingów? Przypomniała sobie, jak ktoś powiedział, że Mouse ma głos starej jędzy, a ciało niewinnej debutantki czy coś w tym rodzaju. Może, pomyślała Zoey, w tym tkwi cały problem? Może to sprawa kontrastu tej drobnej, dziewczęcej postaci z dojrzałym, bogatym, zmysłowym głosem?

Zamówiła w końcu zupę z dyni z orzeszkami iquesadille; Mouse wybrała curry z ciecierzycy i tofu. Zupa była pyszna; Zoey delektowała się jej bogatym smakiem, żałując prawie, że tyle czasu zmarnowała, żywiąc się owocami, niskotłuszczowymi bułeczkami i tajszczyzną na wynos. Gdyby urozmaiciła swój jadłospis, jej wena twórcza z pewnością by na tym zyskała. Poza tym w poszukiwaniu nowych, ciekawych potraw musiałaby trochę powłóczyć się po mieście, przy okazji obserwując ludzi, gromadząc obrazy i pomysły...

– Muszę trochę więcej wychodzić – powiedziała na głos.

– Co? Aha. A nie mówiłam? Od tygodni nie pokazujesz się w Vermillion. Jadę uważa, że znów jesteś w depresji, a Merlin wyraził się, że „lizesz swoje rany”.

– Prawdę mówiąc, oboje mają po trochu rację, choć to właściwie już minęło. – Zoey wzdygnęła się, gdy kelner zaczął z hałasem zamykać okna. – Właściwie to haruję teraz jak wół. A, przy okazji, mówiłam ci, że fachowcy ranne ptaszki już sobie poszli? A ten gość, co przyszedł na ich miejsce, jest bardzo miły. Spokojny, nienarzucający się. A nawet czasami, gdy pracuję, przynosi mi kawę.

– Przynosi ci kawę?! – Mouse uśmiechnęła się szelmowsko. – Uch, to brzmi bardzo

podejrzanie. Powiedz jeszcze, że jest przystojny, a zrozumie, czemu od tyłu dni nie wysuwasz nosa z mieszkania.

– O, jest wspaniały – powiedziała ze szczerym entuzjazmem Zoey, wspominając z lubością, jak atrakcyjnie prezentował się Scott dziś, gdy wychodziła na spotkanie z Mouse. Pas z narzędziami zwisał mu na biodrach niczym pas kowboja, obciążony szybkostrzelnymi coltami, błękitne oczy lśniły nawet przysłonięte ochronnymi goglami, a mięśnie tak mu cudownie grały pod bawełnianym podkoszulkiem... Powiedział jej: – „Cieszę się, że pani wreszcie wychodzi. Będę musiał dziś rozwalać tę gipsową ścianę i narobię straszliwego bałaganu”. Zaraz na początku swej pracy zainstalował jakąś zmyślną maszynę przeciw pyłowi i kurzowi, więc po skończonej pracy zostawiał lokal zawsze czysty i uporządkowany. Doprawdy, był ideałem. Staranny, uważający, miły i – rany! – tak fajnie było na niego patrzeć...

– No, to by wszystko wyjaśniało. Nic dziwnego, że stałaś się, hihhi, pustelnicą. A długo to już trwa?

– Cóż, Scott pracuje od ponad dwóch tygodni, ale to zupełnie nie jest to, o czym myślisz! Przede wszystkim on jest żonaty, więc nic z tych rzeczy, sama rozumiesz... Ale ja lubię mu się przyglądać, gdy pracuje... – to naprawdę fascynujące...

– Doprawdy? – Mouse robiła wrażenie szczerze zdziwionej. – Kto by pomyślał, że młotek i gwoździe mogą być seksowne? Muszę się dokładniej przyjrzeć swojemu fachowcowi od kabli, jak przyjdzie następnym razem.

– Zgoda, może to dobitnie świadczy o moim życiu seksualnym, a raczej o jego braku, ale nie poradzę na to, że lubię na niego patrzeć. No, i rozmawiamy. Niewiele, ale codziennie. Takie pogaduszki o pogodzie, o tym, co znowu zmalował burmistrz, że ceny paliw lecą w górę jak rakietę i że topnieją lody na obu biegunach. Czasami rozmawiamy też o jego dzieciach; dwukrotnie kończył pracę wcześniej, bo chciał zdążyć na jakiś ich szkolny popis, a raz musiał któreś zawieść do lekarza. Nigdy nie wypytuje mnie o moje pisanie, i to też uważam za wspaniałe, a ja nie wypytuję go o postęp prac ani dlaczego Carlos marudził tak długo, a nie właściwie nie zrobił...

– A, skoro już mowa o pisaniu – Mouse uniosła widelec.

– Jak ci idzie?

– Świetnie, jak po maśle, aż trudno uwierzyć, bo czasami mam wrażenie, że większość czasu poświęcam na przyglądanie się Scottowi. Ale przy nim dobrze mi się pracuje. – Zoey, żując skrawek szpinakowej quesadilli, przypomniała sobie nagle to popołudnie, gdy tkwiła przy komputerze, a Scott pracował w holu. Starła się nie patrzeć na niego bez przerwy, w końcu jednak poddała się, odwróciła oczy od monitora i zapatrzyła się w Scotta stojącego na drabinie... Przypomniała sobie zręczne i wyważone ruchy jego silnych, opalonych dłoni...

– Wiesz, fascynują mnie jego dłonie – powiedziała głośno do Mouse. – Silne, ale delikatne, dobrze utrzymane, bez odcisków i blizn. I ma takie długie, piękne palce: lubię patrzeć jak przytrzymuje gwóźdź albo wkreca śrubę... – roześmiała się. – No trudno, lubię na niego patrzeć i

myślę, że jemu to też sprawia przyjemność. I taki to nasz maleńki, przyjacielski flircik, ot co.

– Hm – Mouse kpiąco uniosła brew. – Trelemorele, ale gołym okiem widać, że masz ochotę na coś więcej. I potrzebujesz czegoś więcej. Wiesz, jeśli zależy ci na szybkim numerku z klasą robotniczą, to tuż obok jest wielka budowa. Cała armia facetów w kaskach i ten cały majdan żurawi, dźwigów, rusztowań itepe.

Zoey roześmiała się – To co, pójdziemy tam, żeby ich sobie obejrzyć?

– dworowała dalej Mouse. – Tak na raz-ciachciach?

– A co się dzieje z Shane'em? – Swego czasu Mouse spotykała się z tym producentem płyt, wiecznym nocnym Markiem o leniwym uśmiechu...

– Chyba wrócił do swojej starej i bachorów, tym razem na dobre.

– O, szkoda.

– Ee, tam. Może był i seksowny na swój sposób, ale nic by z tego i tak nie wyszło. On ciągle bujał w obłokach, a ja zawsze wiedziałam, że kiedyś będę chciała czegoś więcej niż... No i to „kiedyś” już jest, tu i teraz, czyż nie?

– Oj, jest – westchnęła Zoey. – Wiesz co, zróbmy coś całkiem nieprzemyślanego. Zapiszmy się do jakiejś siłowni, najlepiej na kursy reformowanej jogi, a potem się wypiszmy...

Mouse potrząsnęła lokami – Spójrz uważnie, skarbie, czy to jest uczesanie na siłownię? Nie, kiciu, to jest fryzura w sam raz na talkshow Dave'a Lettermana. – Zoey wprawdzie czuła, że Mouse żartuje, lecz nagle zapaliła się do tego pomysłu.

– No, to chodźmy tam, może załapiemy się na jakieś bilety? Przecież to niedaleko stąd... – rzuciła okiem na rachunek, po czym z kieszeni dzinsów wysupłała dwudziestodolarówkę. Jak to jest, że teraz wszystko na tym świecie kosztuje dwadzieścia dolców? Kolacja, lunch, pralnia chemiczna – wszystko za dwudziestaka...

– No, to chodźmy – zgodziła się Mouse, wstając z krzesła. Zoey przyjrzała się z podziwem jej strojowi: obcisłym legginsom w lamparci wzorek i luźnemu swetrowi, w których wyglądała seksownie, ale bynajmniej nie prowokacyjnie. Zresztą zawsze podziwiała styl i klasę, z jaką Mouse potrafiła dobierać i nosić ciuchy: kiecka, która na innej kobiecie wisiałaby jak szmata, na Mouse zaczynała falować i migotać.

Idąc wzdłuż Pięćdziesiątej Czwartej, minęły pełen łoskotu i jazgotu plac budowy. Mouse ponownie zaczęła bezlitośnie kpić z Zoey i jej zauroczenia budowlańcami; znęcała się tak nad nią, póki nie doszły na miejsce.

Na sali wszystkie miejsca były już zajęte, woźny poradził więc Mouse, by stanęła w kolejce.

– Jeszcze czego – prychnęła Mouse.

– No, to po prostu się przespacerujmy – zaproponowała Zoey, podwijając rękawy swetra. Właściwie chciała już wracać do domu, żeby pracować, ale czuła, że powinna zostać i wspierać Mouse.

– No, proszę, przejdźmy się, a ty zrobisz na wszystkich szalone wrażenie tą swą nową grzywą – zaczęła nalegać.

Mouse znów potrząsnęła głową; burza loków zatańczyła na wietrze. – Nagle sobie przypomniałam dlaczego jesteśmy kumpelkami, droga kumpelko. – Włożyła ciemne okulary i obie, ramię w ramię powędrowały przed siebie przez Broadway.

Oto my, dwie dziewczyny z Manhattanu, idące środkiem miasta w promieniach wiosennego słońca, pomyślała Zoey. Wiatr zakręcił zmiętymi gazetami na chodniku. Spojrzała w górę: między drapaczami chmur widać było wąski pasek błękitnego nieba. Poczła nagle całą potęgę i cały ogrom tego miasta.

– Wiesz, kocham Nowy Jork – powiedziała do Mouse. – On trzyma nas w kupie, czy na wozie, czy pod wozem...

– Cudownie – burknęła Mouse, odciągając przyjaciółkę spod kół przejeżdżającej taksówki. – Cudownie i pięknie, nawet jeśli nie mam zielonego pojęcia, o czym ty, do cholery, mówisz.

Część druga

Witaj Wielki O!

– Ależ się wpakowałam! – użaliła się nad sobą w głos Zoey, nerwowo spoglądając na budzik stojący na nocnym stoliku Skye. Kurczę, już wpół do szóstej; a ona o siódmej powinna być w Metropolitan Museum. Na razie jednak miotła się po domu bez sensu; to gryzła koniec ołówka, to przegarniała sobie włosy. Ołówek był już mocno zjedzony, a włosy, wysunawszy się z naprędcie upiętego koka, sterczały na wszystkie strony. O rany, muszę wziąć prysznic, muszę się ubrać i... muszę, absolutnie koniecznie i bezapelacyjnie muszę dokończyć tę cholerną stronę!

Jej palce ponownie zatańczyły na klawiaturze komputera.

A taki miała dziś dobry dzień. Taki... produktywny. Dokopała się wreszcie w stworzonych przez siebie postaciach kilku sympatycznych cech, udało się jej też dość plastycznie opisać owo dramatyczne wycofanie się Armine na margines życia... I to wszystko w jeden dzień. Jej nowe dzieło – któremu nadała tytuł *Czule miejsca* – powoli nabierało realnych kształtów, mimo wciąż ziejących w nim dziur, tam gdzie miały być sceny miłosne... Zoey była już gotowa wysłać Skye tę wstępną wersję w całości. Będzie miło zaskoczona, pomyślała, nadal zawzięcie żując ołówek. Spodziewa się zaledwie planu, projektu, więc na pewno będzie zachwycona, widząc, ile udało się jej napisać i jak sobie świetnie radzi z dala od Nicka i wszystkiego, co się z nim wiązało...

Tak, muszę to skończyć i wysłać... Ale dziś wieczorem Mouse ma występ i zorganizowała darmowe bilety dla całej bandy; nawet Merlin z Joshem przyjdą. No to jak ona, Zoey, mogłaby nie przyjść? Zadzwoił telefon; więc Zoey, nadal pisząc jedną ręką, drugą złapała słuchawkę.

– Halo?

– Mam nadzieję, że już jesteś w drodze – odezwała się Mouse.

– Eee... jeszcze nie, ale wiesz, tak mi się dziś dobrze pracowało, że...

– Nawet nie próbuj myśleć o tym, że się wykręcisz – przerwała Mouse. – Masz tu być o siódmej!

Rozłączyła się.

– Cóż, trudno, moja miła – mruknęła Zoey pod adresem Armine, kliknęła w ikonkę „Zachowaj”, i wygramoliła się z łóżka.

Z salonu, gdzie wciąż pracował Scott, dochodziły miarowe dźwięki – to stuk młotka, to warkot piły. Zazwyczaj Zoey starała się nie urządzać ablucji w czasie, gdy Scott był w mieszkaniu, tym razem jednak czuła, że naprawę potrzebuje prysznic.

Pospiesznie zrzuciła swój „roboczy” strój – dzinsy, skarpety i starą uniwersytecką bluzę; narzuciła krótki, biały szlafrok kąpielowy, przewiązała w talii pasek i wysliznęła się z sypialni.

Możesz spokojnie pójść do klubu, rozerwać się, spotkać z przyjaciółmi, przekonywała samą siebie, ale w głowie miej cały czas swoją powieść i jej bohaterów. Niech będą z tobą cały ten czas, niech ci towarzyszą, niech przemawiają do ciebie. Gdy jutro rano siądziesz znów do

komputera, ich myśli i słowa same spłyną ci do koniuszków palców i pisanie pójdzie jak z płatka...

Powtarzając sobie te słowa, przemknęła przez hol i weszła do łazienki. Ciekawe, co też Mouse zaśpiewa dziś wieczorem? I czy Josh ciągle chce poślubić Merlina? No i jak tam idzie Jadę w jej badaniach...

Zaprząnięta tymi myślami, machinalnie przekręciła kontakt, podeszła do umywalki... i cofnęła się jak oparzona, wydając pełen przerażenia pisk.

Gdy cofnęła się ku drzwiom, adrenalina buzowała w jej żyłach, serce zaś waliło jak młotem, objając się z łoskotem o żebra: czuła ten łomot w uszach. Czuła, że brakuje jej tchu...

– O, Boże!...

– Co się stało? – Scott nagle zmaterializował się tuż za nią, delikatnie dotykając jej ramienia. Następnie podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Umywalka. Robal.

– A to mały huncfot – powiedział, wymijając ją i zbliżając do potwora...

Zoey, wycofawszy się do holu, usłyszała tylko głośne plaśnięcie i szum wody w sedesie. Ostrożnie zajrzała do łazienki: Scott, pochylony nad umywalką, mył ręce, spokojny, barczysty, dzielny pogromca robala. Płochliwie zerknęła na opasujący jego biodra pas z narzędziami, zastanawiając się, który z tych dziwnych dingsów posłużył do unicestwienia potwora...

Przełknęła ślinę i z niejakim trudem wykrztusiła.

– Ja... ja... mam... tę, no... fobię, eee...

– Wcale się nie dziwię – odpowiedział, zakręcając kran i wycierając dłonie w jeden z wykwintnych szaro-wiśniowy eh ręczników Skye (oczywiście w stylu art deco). – To prawdziwe paskudztwa.

Zoey przyłożyła dłonie do wciąż łomoczących skroni.

– Dobrze się pani czuje? – Scott ponownie dotknął jej ramienia. – Wygląda pani, jakby miała zemdleć.

Jego dłonie obsunęły się nieco i Zoey zachwiała się nagle. Nie, wcale nie zamierzała zemdleć, ale pomyślała, że tak miło i bezpiecznie czuje się w jego ramionach. Jednak przy okazji szlafrok niebezpiecznie się rozchylił, a pasek rozluźnił i... spadł. Wzrok Scotta przesunął się z jej twarzy na szyję i niżej... I zanim zdążyła pojąć co się dzieje, rozchylił szlafrok całkowicie i delikatnie dłonią nakrył jej pierś.

Wciągnęła gwałtownie powietrze; to wcale nie było... niemiłe. Wcale a wcale. Scott wpatrywał się uważnie w jej twarz, szukając przyzwolenia. O tak, pomyślała, przytulając się do niego całym ciałem. O tak. Nie była w stanie wydobyć głosu, ale mogła go pocałować. Jego wargi były miękkie i wilgotne... , a skóra na jego piersi napięta i twarda, tak jak sobie zawsze wyobrażała. Przywarła do niego mocniej. Pas z narzędziami trochę ją uciskał, tu i tam... Czuła się tak, jakby opuściła swe ciało i przyglądała się całej scenie z boku, gdy wziął ją na ręce i niósł do sypialni. Słodki Jezu, jak to możliwe? Jak to się stało, że... Przecież ledwo znam tego faceta...

Nieważne, nieważne, nieważne, dźwięczało w jej głowie, gdy ostrożnie położył ją na łóżku i

zręcznie pozbył się pasa z narzędziami. Wszystko nieważne, on jest mężczyzną, ty – kobietą i tak właśnie to się odbywa... To właśnie jest seks. Ludzie uprawiają seks, kurczę, wszyscy to robią, więc dlaczego ty nie masz tego zrobić, tylko ten jeden raz, zwłaszcza że tak bardzo go pragniesz, a on najwyraźniej pragnie ciebie...

Kurczę blade, cholerni cenzorzy, wyłączcie się, zamknijcie. I to zaraz! Potem już tylko mogła powtarzać w myślach to jedno słowo: jest cudownie, cuuudownieeee, cuuu... nie powinno się zdarzyć, ale jest cuuu...

Klik.

– Spóźniłaś się, bo pieprzyłaś się ze stolarzem? – donośny głos Mouse odbijał się echem w wysokich sklepieniach prawie gotyckich przedsionków Metropolitan Museum.

Zoey wzdrygnęła się, wyobrażając sobie nagle, że oto całe przyjęcie zamarło jak na stopklatce: kieliszki z winem zawisły w powietrzu, zespół muzyczny przerwał w pół taktu, zamilkli swingujący rewelersi, wszyscy zaś w napięciu czekają, aż ta niegrzeczna dziewczynka odpowie na pytanie z tym brzydkim słowem na „p”... ,lecz gdy otworzyła oczy, zobaczyła, że impreza kręci się w swoim rytmie: tłum gości interesował się głównie zapelnionym przekąskami stołem. Wszyscy pchali się po koktajle krewetkowe i młode ziemniaczki z kawiozem i kwaśną śmietaną.

Merlin i Josh zaczęli klaskać. Zoey dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że te oklaski to dla niej.

– Dzielna dziewczyna! – wykrzyknął Josh z oczami skrzącymi się śmiechem.

– Oto cała nasza kochana Zo – dołożył Merlin. – Przede wszystkim zadbać o potrzeby pomocy domowych i pracowników najemnych...

Mouse za to była wciąż dotknięta do żywego i nie zamierzała jej odpuścić.

– Cholera, wkręcę cię na lewo na taką wielką i ważną imprezę dobroczynną, a ty olewasz mój występ, bo wolisz bawić się w doktora z... z podręcznym?

– Jezu, litości! – Zoey zakryła oczy dłońmi, na moment izolując się od przyjęcia, tłumy i całej reszty. – Ja sama jeszcze nie wiem, co mam o tym sądzić i jak mam się czuć i na pewno nie jestem gotowa na to, by być celem waszych mniej lub bardziej śmiesznych dowcipów.

Jadę cisnęła ogonek krewetki na srebrną tacę, niesioną przez przechodzącego obok kelnera. – Skarbie, jeśli to my mamy ci powiedzieć, co sądzić i jak się czuć, to ten facet spieprzył sprawę.

– Nie, nie, od... tej strony było... świetnie. Chodzi mi o to, że on jest żonaty, a ja – przynajmniej w świetle prawa – wciąż jestem mężatką, więc ten związek nie ma żadnej przyszłości. – Usiłując jakoś pozbierać rozsypane myśli, Zoey wygładziła machinalnie koszulowy rękaw swej czarnej sukienki i nerwowo chwyciła w palce mały, diamentowy wisior w kształcie serca; diament od jej wkrótce-już byłego męża. Mocno ścisnęła diament, zastanawiając się, ile by za niego dostała, gdyby go sprzedała.

– A w ogóle między mną a Scottem to właściwie nie jest żaden... no... związek – zaczęła się płatać – to znaczy, już więcej tego... eee... nie zrobimy. To był taki no... chwilowy, no... fuks. Uratował mnie przed tym strasznym robalem, no i byłam mu wdzięczna i... no, dobrze, przyznaję, że moja wdzięczność jakby... wymknęła się spod kontroli. A teraz muszę się uporać ze swoim katolickim sumieniem i poczuciem winy, i...

– Katolickie poczucie winy? Doprawdy? – Josh wydawał się mocno zaintrygowany. – A

kiedy to ostatni raz byłaś w kościele?

Zoey wzruszyła ramionami – Ojej, nie wiem – pewnie w dzień konfirmacji albo coś takiego. Nie jestem specjalnie pobożna, to nie o to chodzi, to jest raczej, no, zakorzenione we mnie, w moim umyśle czy też duszy, jak kto woli. A poza tym nigdy nie sypiałam z kim popadnie – nawet przed poznaniem Nicka. Jeśli chodzi o seks, zawsze byłam trochę... , no, konserwatywna...

Jadę machnęła ręką, jakby strzepywała problem.

– Nie zaczynaj znowu, nawet nie próbuj analizować, dlaczego, jak mogłam i blablabla. Najważniejsze: czy jest dobry?

Nagle wszystkie oczy zwróciły się ku Zoey, ona zaś zmieszana, odpowiedziała po namyśle. – Myślę, że w ogóle nie powinno się o tym rozmawiać. – Zacisnęła stanowczo usta, czując jednocześnie, jak pełne i obrzmiałe są jej wargi. Obrzmiałe od pocałunków. Całe jej ciało wciąż jeszcze dźwięczało i śpiewało, jakby ów dopiero co uprawiany seks był próbą strojenia dawno nieużywanego instrumentu...

– No, nie zawsze – zaprotestowała Jadę. – Ja na przykład uprawiałam parę razy seks bardzo publicznie, i to było wspaniałe. Na plaży w Southampton. W łazience w samolocie. O, i w czytelnicy w bibliotece.

– To ty w ogóle byłaś w środku w bibliotece? – Josh bardzo sugestywnie udał zdziwienie. – Nie sądziłem, że kiedykolwiek przeczytałaś jakąkolwiek książkę, droga Jadę.

– A ja nie sądziłam, że w ogóle pamiętasz, jak mi na imię, drogi Joshu – odcięła się Jadę.

Josh zamarł na moment; Merlin uspokajająco położył mu rękę na ramieniu.

– No, już dobrze, pozwólcie, że was sobie przedstawię. Josh, pamiętasz to Jadę, straszna jędza.

– Właściwie to nie pamiętam, ale to jedno słówko „jędza”, odświeżyło mi pamięć – odwzajemnił się Josh.

– O rany, dajcie spokój chłopcy i dziewczynki – przerwała im zniecierpliwiona Mouse. – Przestańcie sobie dogryzać i skupcie się raczej na Zoey i jej, hi, hi, hi, fachowcu. – Odwróciła się ku Zoey. – No, mów, jaki był. Doszłaś? Znaczy miałaś... ?

Zoey, podnosząca właśnie do ust kieliszek z winem, o mało się nie zakrztusiła. Przełknęła wino z trudem, myśląc w popłochu, jak wykręcić się od odpowiedzi, lecz nagle zdała sobie sprawę, że jest bez szans.

– Czy ja... eee... ? Oczywiście, że tak. W istocie to aż dwukrotnie, skoro już koniecznie chcecie wiedzieć.

– Dwukrotnie... – Mouse wygładziła na biodrach swą elegancką, czerwona spódniczkę, po czym podniosła kieliszek. – No, zdarzało mi się dojść dwukrotnie, czasem nawet trzykrotnie, kiedyś tam, w tych dobrych, starych czasach, gdy miałam z kim uprawiać seks.

Jadę przewróciła oczami.

– Zawsze znajdzie się ktoś, z kim można uprawiać seks, problem w tym, że wy, moje miłe, ciągle chcecie czegoś więcej niż sam, czysto fizyczny związek. Wam w głowie od razu

zobowiązania, małżeństwo, hipoteka i bachory. – Odwróciła się ku Zoey. – Dziękuj Bogu, że uniknęłaś tej pułapki pod tytułem: „dzidzius”. Jak się dasz w to zrobić, definitywnie stracisz członkostwo w konsorcjum „Imprezowe Dziewczyny, Spółka z Nieograniczoną Nieodpowiedzialnością”. Jakbyś teraz miała dziecko, nie mogłabyś... – urwała nagle i badawczo przyjrzała się Zoey. – Poczekaj. – Uniosła nieco obszyty dżetami rąbek swej wytwornie prostej spódnicy w kolorze kości słoniowej i okrążyła Zoey, nadal mierząc ją podejrzliwym spojrzeniem.

– Co? O co chodzi? Coś mi się przyklepiło do obcasa? A może jakiś kretyln przyczepił mi coś na plecach?

– Hm, to jest coś... , coś jakby innego... – oświadczyła powoli Jadę. – Jakby...

– Chyba wiem, co masz na myśli – Merlin pokiwał głową, wpatrując się w Zoey z taką samą uwagą jak Jadę. – Nasza Zoey stała się cokolwiek inną kobietą.

Jadę uśmiechnęła się filuternie, upijając nieco wina z kieliszka. – Oj, wiem ci ja, wiem, co to takiego – zanuciła, jakby recytowała dziecinny wierszyk. – To zadowolenie.

Czyste, całkowite, kobiece zaspokojenie. Satisfakcja jednym słowem. – Zoey znów poczuła się zakłopotana; może były to jeszcze resztki tych niezwykłych wrażeń, jakich doznała parę godzin temu? Wspomnienia napłynęły nagle i tak intensywnie...

– Ty, popatrz tylko, ona się czerwieni – zachichotała Mouse zwracając się do Jadę.

– Ja tylko przypominam sobie... no... eee... , niech to szlag. – Zoey dopiła szybko resztę wina i podała Joshowi pusty kieliszek. – Poproszę o jeszcze jeden. A potem jeszcze jeden, jeśli już mamy rozmawiać o tych rzeczach. Dobrze, katolickie dziewczyny nie dyskutują o seksie i orgazmach na trzeźwo. – Spojrzała na swych przyjaciół i dodała stanowczo: – Jeśli już musicie wiedzieć, to powiem wam, że Scott był wspaniały. Nawet więcej niż wspaniały. Ten facet sprawił, że po prostu... eksplodowałam. – Znowu zaczerwieniła się na wspomnienie tego wszystkiego, czego doświadczyła w jego ramionach. – Z Nickiem nigdy tak nie było, to znaczy zdarzało mi się dojść, ale...

– To nazywa się orgazm, skarbie – przerwała Jadę. – Witaj, Wielki O!

Wszyscy się roześmieli, tylko Zoey nie mogła pozbyć się uczucia zażenowania. Czowała, że jej twarz znów płonie rumieńcem. Tyle czytała, i w gazetach, i w książkach, o ludziach swobodnie opowiadających o swoim życiu seksualnym i o swoich seksualnych potrzebach, ale zawsze uważała ich za jakiś odrębny gatunek, jakąś nację bardzo, bardzo odległą od jej, w sumie dość mieszczańskich, zasad.

Merlin nie przyłączył się do ogólnego chichotu. Odsunął się od Josha i stanął obok Zoey.

– W porządku – powiedział spokojnie. – Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz. Nie każdy jest taki jak Jadę. – Gdy Zoey niepewnie potrząsnęła głową, Merlin ciągnął dalej: – Nie chcesz o tym mówić. – Okej, ale to nie znaczy, że nie będziemy tego robić. Nie ma w tym nic złego. W końcu seks to istotny, normalny i zdrowy element ludzkiego żywota. Mamy płuca, by oddychać, żołądek, by trawić pożywienie i genitalia, by odczuwać przyjemność. No, oczywiście, są ludzie, którzy używają ich tylko do reprodukcji, ale to już ich problem i ich błąd.

– Masz rację, całkowitą rację – zawołała Zoey. – Przyznaję, wciąż jeszcze tkwię po uszy w tych nastoletnich zasadach moralnych z czasów przed Nickiem. – Potrząsnęła głową, ogarniając spojrzeniem tłum elegancko ubranych, rozmawiających półgłosem gości i stoły zalane łagodnym blaskiem świec. – Jestem chyba największą naiwniaczką w sprawach seksu, jaką kiedykolwiek spotkaliście...

– No, ale wygląda na to, że zaczynasz nadrabiać zaległości, i to galopem – zauważyła Mouse. – Szkoda mi tylko, że straciłaś mój występ...

– Była fantastyczna – przyznał Josh. Mouse wdzięcznym gestem zebrała fałdy swej sutej, satynowej spódnicy i ukłoniła się.

– Naprawdę żałuję, Mouse – powiedziała Zoey najszczerzej, jak potrafiła. – Założę się, że byłaś najlepsza...

– Była, była – potwierdziła Jadę, wznosząc swój kieliszek pod adresem Mouse i nagle uśmiechnęła się szeroko. Jej wzrok powędrował przy tym gdzieś dalej, ponad ramieniem Mouse, i nagle uśmiechnęła się. – Nie patrzcie w tamtą stronę, ale wydaje mi się, że zmierza ku nam Donald Tarrant, miliarder i przedsiębiorca.

Zoey odwróciła się lekko, by zerknąć na rzeczonoego Tarranta: wydawał się wyższy i bardziej rumiany niż na zdjęciach prasowych.

– Mówiłam: nie patrzcie! – syknęła Jadę.

– Ojej, wielkie rzeczy, jakby facio nie wiedział, że jest sławny – prychnęła Mouse, łapiąc w przelocie z tacy serowego ptysia. – Jakby ludzie nie odwracali się na każdym kroku, by gapić się na niego z nadzieją, że potrząśnie drzewkiem z forszą i sprawi, że parę dolców sfrunie im do kieszeni.

– Hm – Jadę uśmiechnęła się tajemniczo i lekko odwróciła się ku nadchodzącym.

– Jak dzisiejszy wieczór? – Uśmiech Tarranta był tak lśniący i niepokalanie biały, że Zoey nie miała wątpliwości: musiał wybielać sobie zęby.

– Och, cudowny – odpowiedziała swobodnie Jadę. – A co u pana? – Lekko skłoniła ku niemu głowę i dodała konfidencjonalnie – Co słyhać u Anity? – Anita Tarrant, młodziutka blondyneczka z Palm Springs, była aktualnie przykuta do łóżka, gdzie miała pozostać aż do narodzin swego pierworodnego.

– Och... Ma się doskonale, miło, że pani pyta – odpowiedział Donald.

Jadę lekko dotknęła jego ramienia.

– Proszę przekazać jej moje najlepsze życzenia, dobrze?

– Oczywiście, przekażę, jeszcze raz dziękuję – zapewnił Donald; ukłonił się lekko, po czym jego świta pohołowała go dalej.

– No, nie do wiary! – Mouse aż zakrztusiła się. – Ty znasz Donalda Tarranta?

Jadę wzruszyła ramionami.

– Wiem o nim tylko to, co przeczytałam w gazetach, ale, jak widać, to wystarczyło, żeby mu wcisnąć kit – podążyła wzrokiem za orszakiem znikającym właśnie na zakręcie schodów. –

Kurczę, , fatalnie, że ona akurat spodziewa się dziecka. Byłby wcale niezłą zdobyczą, ale faceci, których żony właśnie są przy nadziei, robią się tacy sentymentalni...

– Nie wierzę, że byłąbyś zdolna do romansu z żonatym, no, z ojcem rodziny, powiedziała Zoey.

Wszyscy jak na komendę odwrócili się ku niej.

– Zaraz, zaraz – Josh aż wzniosł ręce do góry. – Czegoś tu nie rozumiem. I kto tu się przymierza do przyszywania przyjaciółce szkarłatnej litery?

Zoey poczuła, że szczęka jej opada.

– Dobra, macie mnie – przyznała potulnie. – Przyganiał kocioł garnkowi, a sam smoli. Ale to się więcej nie powtórzy. Nigdy, przenigdy. Słowo harcerskie.

„To” powtórzyło się zaraz następnego dnia.

Zoey twardo postanowiła, by w ogóle nie wspominać o tym, co się wydarzyło między nią a Scottem poprzedniego dnia, wychodząc ze słusznego, jak mniemała – założenia, że oboje dali się ponieść chwilowym hmm... emocjom i za nic nie chciała, by się tłumaczył lub, co gorsza, przeproszał. Gdy więc przyszedł rano do pracy, powitała go miłym uśmiechem, jak gdyby nigdy nic, on zaś spytał, czy może ma ochotę na kawę, po czym wrócił z dwiema parującymi filiżankami mieszanki Starbucka. Każde z nich zajęło się swoją codzienną pracą: on podążył do salonu, by kontynuować roboty przy suficie, ona zaś rozsiadła się na łożu Skye i wróciła do rozkwitającego coraz śmieiej romansu Armine i Quinna. Wszystko było jak dawniej, dzień jak co dzień, praca jak każdego innego dnia... tyle tylko, że Zoey za nic nie mogła się skupić na pracy; nie mogła też przestać myśleć o Scotcie.

Upinając w kok nieposłuszne loki, spojrzała w okno. Chmury wisiały na niebie niczym zwiewne zasłony; Zoey ni stąd, ni zowąd przypomniała się jej teściowa, która miała zwyczaj wieszać firanki i portiere wszędzie, gdzie tylko się dało. Cóż, jej rozstanie z Nickiem miało także niewątpliwie i dobre strony: mogła tęsknić za nim, ale na pewno nie za tą jego upiorną, upierdliwą rodziną.

Z salonu dobiegły ją zgrzytliwe dźwięki jakiegoś narzędzia: Scott pracował. Seksowny, wspaniały, cudowny Scott. Prr... stop! Stop! Podrapała się po nosie i niechętnie wróciła wzrokiem do komputera. Siedź na tyłku, Zoey, i skup się, nakazała sobie surowo.

Piekło jest podobno wybrukowane dobrymi chęciami.

Złapała filiżankę i przemknęła przez hol, ukradkiem rzucając wzrokiem na wspaniale płaski i twardy brzuch Scotta, gdy tak stał wyprostowany na drabinie, uważnie przyglądając się czemuś na suficie. O rany, jego pierś była tak twarda i gorąca pod jej dłońmi i tak cudownie było czuć to ciało przy swoim...

Dość tego! Przestań natychmiast, nakazała sobie jak najsurowiej. Podreptała do kuchni pod dość marnym pretekstem dosłodzenia kawy. Jestem beznadziejna, pomyślała.

Hałas w salonie nagle ustał. Zoey podniosła wzrok, machinalnie mieszając kawę... zobaczyła Scotta stojącego w drzwiach.

Zrobił krok i wszedł do kuchni, a ona z hałasem upuściła łyżeczkę; zdążyła jeszcze odstawić filiżankę, zanim przypadła do niego i objęła go ciasno, przywierając doń całym ciałem.

– Mmm – z ust jego wyrwał się rozkoszny, niski pomruk. Wspięła się na palce, by go pocałować. Pachniał kawą. I smakował kawą.

– Czy chcesz – zapytała, będąc właściwie pewna odpowiedzi.

Skinął głową. – Chodź. – Chwycił ją za rękę i pobiegł korytarzem ku sypialni, ciągnąc ją za

sobą. Roześmiała się uszczęśliwiona.

– Tak ci spieszno?

– Bardzo – odwrócił ku niej twarz; wokół jego oczu zauważyła drobne zmarszczki, gdy też się roześmiał, też był szczęśliwy. – Bardzo mi spieszno być z tobą...

Gdy godzinę później zadzwonił nagle telefon, Zoey leżała rozciągnięta na łóżku, gapiąc się w komputer, wciąż od nowa smakując wspomnienie minionych chwil...

– Zoey? Tu Skye – dobiegł ją rażny głos, który sprawił, że błyskawicznie wróciła do przytomności. – Dzwonię, bo chcę się dowiedzieć, jak tam ten nowy stolarz?

– Nowy stolarz? – Rany boskie, pomyślała w popłochu Zoey, czując, że twarz jej płonie, skąd, u licha, Skye wie, że z nim spałam? No tak. Nie tylko korzystam z jej mieszkania, ale jeszcze uwodzę jej stolarza i pieprzę się z nim w jej wyłożonej lustrami sypialni...

– Czy to, twoim zdaniem, ktoś godny zaufania? – ciągnęła Skye. – Chciałabym, żeby cały ten bałagan z remontem skończył się zanim wrócę...

– Stolarz? Eee... – Do wciąż nieco zamulonego umysłu Zoey dotarło wreszcie, że Skye chodzi wyłącznie o młotek, gwoździe i taśmę... – Och, on jest świetny, naprawdę wspaniały – powiedziała, przeczesując palcami wzburzone loki. – Jest tu dopiero od paru dni, ale jeśli chcesz znać moje zdanie, powiem ci tylko, że zrobił już kawał dobrej roboty. Szybko, czysto i z wielką dbałością o detale.

– Mówisz poważnie? – Merlin upuścił menu na stół i wlepił w Zoey te swoje niewiarygodnie błękitne oczy. – W cztery dni... cztery razy?

Przytaknęła, lekko odwracając głowę, by zobaczyć, kto też sadowi się w boksie tuż za nimi. Spotkali się w tej niewielkiej kawiarni położonej prawie naprzeciwko hotelu Merlina, wykorzystując tych kilka chwil, zanim rozpocznie on swą zmianę w recepcji.

Zoey wciąż czuła się nieswojo i niepewnie, przyznając się, że prowadzi – jakby to powiedzieć – regularne życie płciowe.

– No, to jesteś teraz bardzo zajęta dziewczyną – zakpił łagodnie Merlin. – A my tu myślimy, że siedzisz po uszy w tej swojej nowej książce. Mouse była wściekła, gdy nie zjawiłaś się na jej nocnej zmianie w Vermillion. Jej się chyba wydaje, że wszyscy jesteśmy zobowiązani dotrzymywać jej towarzystwa i wspierać ją moralnie, gdy, biedactwo, musi mieszać drinki dla kolejnego pokolenia Młodych Republikanów...

– Noo, trochę pisałam, ale... jakoś... znajdowałam czas na... eee... – zaplątała się – no, na Scotta.

Merlin roześmiał się. – Cudownie. Trafił ci się niezwykle fachowy fachowiec, że tak powiem...

– Eee... , no tak. – Zoey wróciła pamięcią do dzisiejszego poranka, gdy Scottowi nagle przyszła chętka, by kochać się na podłodze na wprost tych ogromnych okien w salonie. Odbicie ich nagich, splecionych ciał, nałożone na szybie na sylwetkę Empire State Building, dało wówczas Zoey nie znane jej dotąd poczucie siły, niemal władzy, co skończyło się tym, że po raz pierwszy nie obawiała się przejąć inicjatywy w ich wzajemnych pieszczotach, a to, do czego okazała się zdolna, lekko ją zdumiało.

– Hej! – wyrwał ją z rozmyślań głos Merlina. – Ziemia do Zoey, czy mnie słyszysz?

– Och, przepraszam – wzięła głęboki oddech i potrząsnęła głową. – Po prostu wciąż nie mogę uwierzyć, że to robiłam. Czysty seks. Nieskrępowany. Wyłącznie fizyczny.

– I znów mówisz o tym jakby to było coś brzydkiego i zakazanego. Czyżby twoja matka nigdy z tobą nie rozmawiała... o tych sprawach? No wiesz, ptaszki to robią, i pszczołki...

– Mamcia dała mi broszurkę z opakowania na tampony i tyle. Ale masz rację. Ciągłe nie mogę się pozbyć tych wiktoriańskich poglądów, że seks przed ślubem jest be, nie mówiąc już o tym, jak bardzo be jest uprawianie seksu z praktycznie obcym facetem i jeszcze czerpanie z tego przyjemności. Nie wiem, chyba urodziłam się w niewłaściwym stuleciu.

– Poniekąd – Merlin skończył wreszcie studiować menu.

– Wezmę koktajl truskawkowy i wegetariańskiego burgera.

– Co, tu też szaleje BLT?

– Nie wiem. Jestem jaroszem od dwóch lat...

– Kiedy to się stało?

– No, nie wiem, po prostu się stało. – Merlin w roztargnieniu szczypał diamentowy ćwieczek wprawiony w płatek ucha. – Tak jakoś... polubiłem te wszystkie strączkowe i sojowe produkty, a zabijanie zwierząt i gotowanie mięsa wydało mi się takie... barbarzyńskie. Niecywilizowane.

– Zawsze myślałam, że cywilizacja to właśnie gotowanie mięsa, a nie żarcie go na surowo – zauważyła Zoey.

– Ale, chyba też wezmę tego wegetariańskiego burgera...

– No to utrzymasz linię i formę na olimpiadę...

Zoey odgarnęła włosy i uśmiechnęła się. – Ach, dobrze, że to powiedziałaś. To pozwoli mi bez wstępów i kręcenia przejść do zasadniczego powodu, dla którego zaciągnęłam cię na ten lunch. – Przechyliła się nad stołem i ujęła Merlina za przegub dłoni. – Josh prosił mnie, żebym pogadała z tobą o tym waszym... związku partnerskim czy jak tam to się nazywa. – Widząc, że Merlin szeroko otwiera oczy, pośpiesznie dodała. – Wiem, wiem i powiedziałam mu, że na tej planecie jestem chyba najmniej odpowiednią osobą do udzielania porad sercowych, zwłaszcza w tak poważnych sprawach i akurat teraz, ale on tak nalegał... A z drugiej strony, wiem przecież, że on szaleje za tobą i że obaj tworzycie wspianą parę. No więc, skąd te twoje wahania? Przecież kochasz Josha?

– Ty znowu swoje – Merlin wydawał się nieco zirytowany. – Nie w tym rzecz. Tak jestem szczęśliwy z Joshem. To prawda, cenię sobie nasz związek. Ale też – stety czy niestety – patrzę na to jak typowy Koziorożec, widząc jednocześnie obie strony medalu. I nie wiem, czy tak naprawdę wierzę w miłość, zwłaszcza w taką... , no... w twoim pojęciu, gdy ktoś się zakochuje albo odkochuje, gotów jest oddać życie za kogoś kogo kocha albo pozwala ukochanej osobie traktować się jak, z przeproszeniem, wycieraczka. Czasami myślę, że ludzie za miłość biorą swe własne słabości: ślepe przywiązanie, poczucie zależności, różne obsesje w końcu.

Zoey niepewnie pokiwała głową, zastanawiając się pod którą z tych kategorii podpada ona sama, nie chciała jednak drążyć tego problemu zbyt głęboko.

– No wiesz... Nigdy nie pomyślałam o żadnej z tych rzeczy, gdy wychodziłam za Nicka. A może powinnam była...

– Może. Ale nie, to nie leży w twojej naturze. Jesteś Rybą i jako Ryba jesteś całkowicie pogrążona w swoim własnym świecie marzeń i snów, nie potrafisz zrozumieć moich wahań i oporu. Josh potrafi, bo jest spod znaku Bliźniąt i potrafi wczuć się w... ambiwalencję uczuć. A wracając do mnie, myślę, że moja natura Koziorożca sprawia, że jestem jak... no, koza na postronku. Zawsze szarpiąca się, by gdzieś pomknąć, ale w istocie tkwiąca w miejscu...

– Wiesz, myślę, że ty sam jesteś swoim najgorszym wrogiem – skonstatowała Zoey.

Merlin w zamyśleniu pogładził złocisty kosmyk nad czołem.

– Nie chciałbym zepsuć tego co między nami jest, a boję się, że gdy zechcę to nazwać lub jakoś... no... określić albo zalegalizować, że... to wystawia związek na zbyt wielką próbę. Każdy

związek.

Zoey ponownie pokiwała głową. Kelnerka zaczęła ustawiać przed nimi talerze.

– No dobrze, jak zwykle masz rację. Wygląda na to, że te wszystkie twoje wahania są uzasadnione i logiczne. I w związku z tym nie wiem, dlaczego Josh z taką determinacją popycha cię do zrobienia czegoś, czego najwyraźniej nie chcesz zrobić. – Wzięła z talerza płatek słodkiego ziemniaka, po czym zamarła na chwilę. – No, ale z drugiej strony, doskonale rozumiem Josha, i jego pragnienie, by uczynić wasz związek... rzeczywiście.

– Chcesz chyba powiedzieć „zinstytucjonalizowanym”?

– Nazwij to, jak chcesz, ale Josh jest w tobie zakochany i chce, by ta jego miłość stała się oficjalnie i legalnie wiadoma wszystkim, w jedyny sposób, jaki znamy w tym mieście. W końcu to tylko „umowa partnerska”, o co więc tyle hałasu?

– Ojej, nic nie rozumiesz. Na tym się nie skończy. Joshowi marzy się wielka gala z kwiatami, tłumem gości w smokingach i tortem, no, normalne wesele.

Zoey drgnęła.

– No, dobrze, zapomnij o wszystkim, co mówiłam. Ale jeśli chodzi o, no, zaangażowanie, nie, zobowiązanie, to...

– Znowu te słowa na „z”.

– Zamknij się wreszcie i wysłuchaj mnie do końca. Przecież pamiętam cię z naszych studenckich czasów. Mogłeś mieć wtedy wszystkich facetów w Nowym Jorku, i to nie tylko studentów. Pamiętasz tego profesora... ?

– Nudziarz.

– No, właśnie. Mogłeś mieć każdego. Nie masz pojęcia, jak ci zazdrościłam. A ty każdym kolejnym partnerem szybko się nudziłeś... Aż spotkałeś Josha. Czy zdarzyło ci się... , od tego czasu, no... czy byłeś z kimś innym?

– No, nie, nie tak naprawdę...

Zoey, trochę zirytowana, wycelowała w niego widelec.

– Wybacz, ale „nie tak naprawdę” to coś jak „prawie dziewica” albo „być trochę w ciąży”.

Merlin starannie przeżuwał kęs burgera. Chyba chciał zyskać na czasie.

– To było raz, kiedyś, taka krótka przygoda z gościem hotelowym. Z Maxem Divine.

– No, nie! – Zoey z trudem przełknęła jedzenie. – Ze Stukniętym Maxem? Nawet nie wiedziałam, że on był gejem.

– Raczej „bi”, tak sędzę. No, ale to był tylko... no tylko epizod. A cały czas jest i liczy się tylko Josh. I jak mówiłem, nasz związek jest dla mnie czymś ważnym i cennym. I nie chcę wystawiać go na niebezpieczeństwo.

– Rozumiem cię, ale przecież małżeństwo nie musi... to znaczy, raczej może go umocnić.

Merlin spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– No, dobrze, nie jestem autorytetem, jeśli chodzi o szczęśliwe małżeństwa... Ale nie chciałabym, żebyś przez to wszystko stracił Josha.

– Tego się nie obawiam.

– No, dobrze, zapomnij więc na wieki wieków naszą rozmowę i wszystko, co w niej powiedziano. Powiem Joshowi, że zrobiłam, co w mojej mocy, i że, niestety, pozostało mu tylko żyć z tobą w grzechu, aż po kres waszych dni.

Merlin przewrócił oczami.

– Ech, ty i to twoje katolickie sumienie...

Gdy Zoey wróciła do domu, Scotta już w nim nie było. Szybko przebrała się i wskoczyła na łóżko, zdecydowana napisać jeszcze parę stronik zanim depresja i Tylenol powalą ją ostatecznie na pościel.

Przebiegając wzrokiem kolejne, napisane już strony, doszła do miejsca, gdzie zamiast tekstu czerniły się rządki gwiazdek. Tu miała być scena miłosna. Zawahała się przez chwilę. Możliwe, że już dojrzała, by ją napisać. Zaczęła powoli, od czasu do czasu przymykając oczy, by wyobrazić sobie, co czuła Armine, gdy Quinn dotykał jej po raz pierwszy, gdy jego dłoń wędrowała od jej włosów, w dół, ku smukłej szyi i niżej, i jeszcze niżej...

Doznania Armine okazały się niesłychanie dobrą pożywką. Zoey puściła wodze wyobraźni, wczuwając się w pierwszy dotyk ciepłej dłoni, potem ciepło drugiego ciała, rozkosznie drapiące włosy porastające męską klatkę, narastające napięcie... .

Taak. Zdecydowanie była gotowa do napisania tej sceny i wszystkich następnych. Dzięki Scottowi. Przymknęła oczy i westchnęła. Tak, to wszystko dzięki Scottowi.

Merlin wrócił do domu około północy, więc ostrożnie otwierał drzwi, spodziewając się, że Josh od dawna już śpi. W hotelu słyszał, jak ludzie mówią o jakimś samolocie i katastrofie. To, co usłyszał, sprawiło, że chciał sprawdzić i potwierdzić te wieści, ale sam, tylko dla siebie.

Cisnął sweter na fotel, rozluźnił krawat i włączył *New York 1*, by posłuchać wiadomości. Ściszył telewizor; wciąż jeszcze leciały reklamy. Potem prognoza pogody. Wreszcie główne wydanie wiadomości. Więc to prawda, samolot, którym lecieli Max Divine i jego zespół, runął na ziemię. Zginęło dwóch pilotów i cały zespół – poza perkusistą, który urwał się do domu, by zobaczyć się z żoną. Max nie żyje. Ot, tak. Po prostu.

Merlin potarł dłonie, by je rozgrzać, po czym przycisnął gorące dłonie do twarzy, potem położył je na oczy, wreszcie na głowie. Tego, co usłyszał, nie przyjął do wiadomości. Wciąż zdawało mu się wręcz niemożliwe, nieprawdopodobne, że Max nie żyje. Jak mógł umrzeć, odejść, przestać żyć człowiek tak pełen życia, tak twórczy, choć zarazem czasami tak dziwny i niezrozumiały, człowiek, którego muzyka poruszała serca i umysły ludzi we wszystkich zakątkach świata? Jak to możliwe? Gdyby istniał Bóg czy też jakikolwiek inny władca wszechświata, z pewnością nie dopuściłby do unicestwienia czegoś tak pięknego i wyjątkowego. A co z reinkarnacją? Merlin oparł się wygodnie o poduszki kanapy. Mam nadzieję, że istnieje. Byłoby cudownie gdzieś kiedyś spotkać ponownie ducha Maxa...

Nie, wcale nie tęsknił za ponownym spotkaniem z Maxem po to, by... Nie. Te ich dwa wspólnie spędzone dni wystarczyły Merlinowi aż nadto, by zrozumiał Maxa, jego pasję życia, lęki, obawy i nadzieje... Więcej nie chciał.

Nagły szelest w sąsiednim pokoju przypomniał Merlinowi, że Josh nic nie wie o jego przygodzie z Maxem i byłby wkurzony, gdyby Merlin powiedział mu o tym teraz. Tak, pewnie by się wściekł i jeszcze zagroził, że odejdzie. Nie, nie podzieli się z Joshem swoim żalem czy buntem, musi to przeżyć sam, cokolwiek by to nie było.

Ponownie opadł na kanapę. Co właściwie czuje? Próbował zebrać myśli...

– Hej – usłyszał z sypialni głos Josha. Po chwili przyjaciel przysiadł przy nim na poręczu kanapy; jego flanelowe bokserki otarły się o policzek Merlina.

– Wyglądasz na wykończonego. Dlaczego nie idziesz do łóżka? – łagodnie położył dłoń na policzku Merlina.

Merlin przymknął oczy, przytulił mocniej twarz do dłoni Josha, takiej gładkiej, takiej ciepłej. On wprawdzie nie wiedział, co się dzieje z Merlinem, ale wiedział, że Merlin go potrzebuje. Jego ciepło i wrażliwość były idealnym dopełnieniem chłodnej logiki i rezerwy Merlina. Byli partnerami.

Jeśli tak jest, na co ja właściwie czekam? – pomyślał Merlin, wstając i biorąc Josha w ramiona. I nagle zrozumiał.

Przytulił Josha mocniej, tak mocno, że tamten aż jęknął. – Co robisz?

– Och, sam nie wiem – odpowiedział, nagle szczęśliwy, Merlin. – Niczego już nie wiem i to jest wspaniałe.

Josh uniósł brew i powiedział tylko – Cokolwiek... – po czym nachylił się, by go pocałować.

To był długi dzień; dwa podpisane kontrakty i trzech ważnych klientów, szukających skromnego mieszkanca, tak w granicach trzech milionów dolarów. Teraz wszyscy już wyszli, lecz Jadę wciąż była w biurze i wisiała na telefonie.

– Zapewniam panią, że to świetne rozwiązanie... – przekonywała jedną ze swych kosztowniejszych klientek, aktorkę, która rozstała się właśnie z mężem, też zresztą aktorem, i próbowała znaleźć nowy dom dla siebie i kilkorga swych dzieci, właśnie na Manhattanie.

– No, nie wiem – odpowiedziała tamta. Emily Turner na ekranie miała niezwykły, wieloodcieniowy głos, natomiast „na żywo” był to żalony, sklamrzący głosik i Jadę zastanawiała się, czy Emily zdaje sobie z tego sprawę.

– Boja tak bardzo martwię się o dzieci. Nigdy przedtem, wie pani, nie mieszkaliśmy na Wschodnim Wybrzeżu i...

Blablabla, pitupitupitu... Jadę wstała i zaczęła chodzić po pokoju z telefonem przy uchu, przewracając oczami. Zauważyła, że na jednym z biurków ktoś zostawił napoczęte pudełko czekoladek; nerwowo pochwyciła jedną, podczas gdy Emily Turner niestrudzenie brzęczała jej przy uchu.

– Wiem, wiem, oczywiście – potakiwała mechanicznie Jadę, odwijając folię z czekoladki. – To trudny okres dla pani i dla dzieci, ale zapewniam, że Manhattan to idealne miejsce, by zacząć wszystko od nowa, a poza tym znam odpowiednie osoby w komitetach rodzicielskich we wszystkich tutejszych szkołach...

Przysiadając na moment na krześle Devlina, Jadę przez moment pozwoliła, by to dręczące ją od pewnego czasu poczucie beznadziei ogarnęło ją całą. No dobrze, uporała się jakoś z tym, że być może już nigdy nie spotka się z panem T., a nawet – idąc za całkiem rozsądną sugestią Zoey – postanowiła kontynuować własne studia nad tantrycznym seksem. Jak na razie problem polegał na tym, że trzeba było wyuczyć technik, stosowanych przez pana T., jakiegoś innego faceta. I tu zaczynały się schody. Strome. Choć na brak chętnych do uprawiania seksu partnerów nie mogła narzekać, to do nauki ci partnerzy już tacy chętni nie byli. Dwóch spasowało, gdy tylko zaproponowała im spróbowanie czegoś troszkę odmiennego. Trzeci – cep kompletny – myślał, że Jadę chce go nawracać na jakąś egzotyczną wiarę, czwarty zaś był po prostu śmierzącym leniem. Mimo tych niepowodzeń, Jadę wciąż zdecydowana była znaleźć adepta chętnego do nauki tantrycznego seksu. Prawdę mówiąc, nie bardzo miała inne wyjście, jeśli chciała liczyć na jako tako przyzwoity seks w dającej się przewidzieć przyszłości.

Pan T. naprawdę spaprał jej życie.

Bleblebleble... Emily gędziła i sklamrzyła; Jadę mechanicznie żuła czekoladkę, kręcąc się na obrotowym krześle Devlina. W myślach już kilka razy wrzasnęła do Emily: „Przestań

sklamrzeć”, „Idź do terapeuty!” i na finał „Czy myślisz, że obchodzą mnie te twoje gówniane problemy?”. W realnym świecie natomiast cierpliwie słuchała, słuchała, słuchała...

Na biurku Devlina walał się najnowszy numer magazynu *Forbes*; Jadę rozpoznała na okładce twarz Donalda Tarranta. Poniżej biegł tytuł: „Lista Dziesięciu Najważniejszych Miliarderów”.

Miliarderów? Czyżby? Jadę szybko otworzyła magazyn na właściwej stronie. Tak, Donald był na tej liście, ale przecież sama go skreśliła i to w przedbiegach. A pozostali? W artykule wspomniano o ich stanie cywilnym – trzeba się przyjrzeć. Hmm. Warto się przyjrzeć. Artykuł zawierał też liczne fotografie, przedstawiające brzuchatych facetów w słonecznych okularach z tłustymi włosami i głupkowatym wyglądem. Taak, kandydatów do konkursu na Mister Ameryka raczej tu nie ma, ale z paru – jak się wydaje – dałoby się coś zrobić. Porządne strzyżenie w Marcellos i wyprawa do Brooks Brothers mogłyby zdziałać cuda...

Z telefonem wciąż przy uchu i magazynem w ręce, Jadę podeszła do swojego biurka i sięgnęła po teczkę. Trzeba się zbierać. Dobrze byłoby przekąsić coś w klubie razem z Mouse. Przy odrobinie szczęścia Emily może wreszcie skończy gadać, zanim dojadę do Vermillion, pomyślała.

Siedziała już w taksówce, jadącej w kierunku centrum, gdy nagle poczuła, że musi to zrobić. – Emily, przepraszam, ale musimy się rozłączyć – powiedziała, po czym przyciszonym głosem kazała kierowcy jechać dalej, Dziewiątą Aleją do Chelsea. – Przepraszam – zwróciła się ponownie do aktorki – ale jest w centrum jedno miejsce, które chciałabym obejrzeć dziś wieczór, może nada się dla ciebie – skłamała bez zmużenia oka. – Tak, tak, właśnie tam jadę.

– Jadę. Do biblioteki dziadka... do saloniku babci...

– pomyślała Jadę, patrząc na krople deszczu spływające po szybie taksówki. Nie wracała do tego zaczarowanego apartamentu w Chelsea od czasu tamtej wyprawy z Zoey; wstrzymywała się z pokazaniem go klientowi z obawy, że on porwie ten apartament z marszu i brutalnie obrabuje ją z marzeń. Tak, wiedziała, że cena tego lokalu znacznie przewyższa jej możliwości finansowe, ale wciąż nie mogła wyrzucić go z pamięci. Prawdę mówiąc myślała o nim bez ustanku. Jasna cholera, co się z nią stało? Nigdy dotąd nie przeżywała takich lęków, strachów, niepewności i zagubienia, w żadnej postaci i w żadnej formie. A teraz, nagle i ze wszystkich stron, osaczały ją i śmiało podnosiły swe ohydne łby. Była zbrzydzone swym mieszkaniem, niezaspokojona seksualnie i potwornie znudzona swą pracą.

Portier wręczył jej klucze do lokalu 10-G i po chwili Jadę – zrzuciwszy pantofle w przedpokoju – weszła do zaczarowanego mieszkania. Znowu ogarnęło ją to dziwne, miłe uczucie, jakby przyszła do domu, do miejsca, gdzie jest ciepło i bezpiecznie. Już zapomniała, jakie to uczucie; nie doznawała go wszak od tak dawna, właściwie od tych dawno minionych lat dzieciństwa i odwiedzin w bostońskim domu dziadków. Wędrując przez kolejne pokoje, Jadę uświadomiła sobie, jak bardzo brakowało jej tego ciepła i bezpieczeństwa, które odczuwała niegdyś tylko w domu dziadków. Niczego takiego nie doznała w źle rozplanowanym i

nieprzytulnym apartamencie rodziców przy Fresh Meadows w Queens. Wiecznie kłócący się, wyklinający się nawzajem i wypominający sobie bezustannie prawdziwe i urojone wady, Enid i Aaron Cohenowie nie potrafili w najmniejszym stopniu stworzyć swojej córce takiego ciepłego i bezpiecznego domu.

Opieka, czułość... nigdy tego od nich nie zaznała. Choć biorąc pod uwagę wychowanie, jakie odebrała jej matka, nie było w tym nic dziwnego. Jadę nie poznała nigdy państwa Fałkowskich, rodziców swej matki, zamieszkałych na Greenpoint imigrantów z Polski. Zginęli oboje w katastrofie samochodowej na autostradzie na Long Island, gdy wracali do domu po odstawieniu swej dziesięcioletniej córki na kolonie letnie. Matka Jadę o swych rodzicach powiedziała tylko tyle, że byli to ludzie z zasadami i bardzo staroświeccy. Gdy Jadę chciała dowiedzieć się o nich czegoś więcej, oczy matki stawały się dziwnie chłodne i roztargnione: jakby ona sama nigdy nie miała naprawdę szansy poznać bliżej swoich własnych rodziców.

Natomiast w ojcu Jadę cnoty jego rodziców przerodziły się w swoją własną karykaturę: ich duma u Aarona wyrażała się w totalnym zaabsorbowaniu własną, cenną osobą, ich pracowitość u niego stała się obsesją pracy, ich stanowczość wyrodziła się w tępy, ośli upór. Najgorsze jednak było to, że bez śladu zaginęły gdzieś, cechujące dziadków Jadę, ciepło, czułość i życzliwość. Na nic takiego nie było miejsca w osobowości Aarona Cohena, człowieka, który większość czasu spędzał – pod pretekstem pracy, pracy i tylko pracy – poza domem. A jeśli już się w domu pojawiał, spodziewał się, że będzie obsługiwany i należycie hołubiony, tak przez żonę, jak i przez córkę. Jadę przypomniała sobie nagle pewien wieczór, gdy – pod nieobecność matki – musiała ugotować kolację i podać do stołu. Skończyło się na tym, że przypaliła kurczaka i rozlała jabłkowy sos na dywan w jadalni, ojciec zaś tym razem pohamował swój zazwyczaj krewki temperament, burcząc tylko, jaką okropną żoną będzie w przyszłości...

Jadę, przechodząc przez jadalnię do kuchni, pomyślała z goryczą, że na swój sposób miał rację. Trzydziestka już stuknęła, a ja wciąż nie mam męża... Jej rodzice wciąż mieszkali w Queens, ale Jadę nie była u nich co najmniej od roku.

Jadę usamodzielniała się wiele lat temu, ale wciąż nie miała domu. No, miała swoje mieszkanie, ale było to właściwie tylko miejsce, gdzie spała, uprawiała seks, brała prysznic i przebierała się. A teraz – gdy weszła do tego apartamentu w Chelsea, po tylu innych apartamentach jakie zwiedzała i oglądała w całym Nowym Jorku – z jakichś powodów czuła, że to miejsce woła do niej, wzywa ją. A ona potrzebowała domu, miejsca, które by ją przygarnęło i otuliło... ten apartament w Chelsea był takim właśnie miejscem. Do diabła, nawet z tą jego obłąkaną ceną.

Przysiadła na obitej wzorzystym chintzem kanapce, stojącej w wykuszu kuchennego okna, i położyła teczkę na granitowym blacie stołu. Wyciągnęła notatnik i pióro oraz, zmiętoszony nieco, magazyn *Forbes*.

– Szczęściarze z was, dupki – prychnęła, zerkając raz jeszcze na zdjęcia miliarderów. – A my, biedacy, musimy pracować, by żyć...

Starannie wyliczyła i podsumowała w notatniku swe aktywa: mieszkanie, udział w letnim domku w Hamptons, pakiet akcji... no i biżuteria, przeważnie zresztą darowana jej przez bogatych kochanków. Po spisaniu całej listy postukała nerwowo piórem w notatnik i potrzęsła głową. Po pierwsze, nawet gdyby spieniżyła wszystko, co było na liście – nie starczyłoby. Po drugie – żal byłoby się jej rozstawać z wieloma drobiazgami. A poza tym na wiele z tych drobiazgów naprawdę ciężko pracowała – choćby na tę diamentową bransoletkę od tego samolubnego, wrednego sukinsyna, Lenny’ego Pushkina.

Ponownie spojrzała na stronę z fotografiami miliarderów. – Właściwie dlaczego nie mielibyście mi przysłać czeku, chłopcy?

Miliarderzy gapili się na nią – jedni obleśnie, inni z uśmiechem, jeszcze inni całkiem bez wyrazu i bez wątpliwości tępo. Jadę uważniej przyjrzała się jednemu z tych bardziej fajtłapowatych. – Tak, założę się, koleś, że w łóżku jesteś do bani – zachichotała. – Ale ja mogę dać ci kilka użytecznych wskazówek...

Fajtłapa na zdjęciu uśmiechał się głupawo. No tak, ten facet w łóżku jest z całą pewnością do bani. A poza tym jest pewnie tak zajęty tłuczeniem forsy, że nie znajduje już czasu, by ćwiczyć i udoskonalać swe seksualne zdolności. Ale ona, Jadę, może mu pomóc. A w zamian będzie miała ten apartament, swój dom, no i męża miliardera, który będzie ten dom z nią dzielił...

Taak, to nie jest zły pomysł... wcale a wcale....

– No to mam z głowy miliardera numer jeden, – zakomunikowała Jadę przez telefon Zoey. – Elliot Van Dornę, szycza z Gemini Enterprises. Wpadłam na niego, gdy byłam na kolacji z Emily Turner u Elaine, no... i hm... , wydawał się zainteresowany.

– Van Dornę? Nigdy o nim nie słyszałam. Ale, wiesz co, lepiej nie spiesz się za bardzo... – Zoey kliknęła myszką, by zabezpieczyć swój dzienny urobek, po czym z niejaką ulgą oderwała wzrok od komputera. Naniósła właśnie kilka zmian w ostatecznym szkicu; w tej fazie pracy zawsze panicznie bała się, że nagle zdarzy się brak prądu, jakiś superzłośliwy wirus czy zwykła awaria komputera i owoce jej wielotygodniowej harówki rozplyną się w nicłość. A tu jeszcze Jadę musiała zadzwonić. Odkąd poinformowała przyjaciół o swym sprytnym planie „Jak poślubić miliardera”, regularnie zdawała im raporty z pola walki.

– To znaczy, co: zaproponowałaś mu drinka czy też, darując sobie uświęcony tradycją rytuał randkowania, po prostu go spytałaś, czy się z tobą ożeni?

– Nic z tych rzeczy – westchnęła Jadę. – Wykreśliłam go z listy na amen.

– Co, tak od razu? – Zoey była naprawdę zaskoczona.

– A co z nim jest nie tak?

– Za tłusty i zbyt obleśny. Na pierwsze teoretycznie można coś poradzić, na drugie – absolutnie nie.

– No tak, to trudne – zgodziła się Zoey. – Możesz zawlec faceta do ołtarza, ale czasem nie sposób go odmienić.

– Właśnie. Ale nie zniechęcam się. W końcu na liście jest jeszcze paru do sprawdzenia, a poza tym mam jeszcze listę milionerów. Ostatecznie moje wymagania nie są wygórowane: porządny seks i apartament za trzy miliony dolarów.

– Zawsze byłaś praktyczną dziewczyną, Jadę. Taką... mocno stąpającą po ziemi.

– Otóż to. A poza tym dziś wieczór mam wreszcie randkę z panem T. On wprawdzie ciągle coś tam gędzi o tej swojej żonie, ale udało mi się go przekonać, by był moim przewodnikiem po Świecie Tantry. W najgorszym razie uda mi się wydusić z niego parę sesji. A jak ci idzie pisanie?

– Wspaniale. Muszę jeszcze ostatni raz przejrzeć tekst, zanim prześlę go Skye. Może nawet dzisiaj.

– Cudownie, że się z tym tak uwinęłaś, skarbie. Byłam naprawdę ostro wkurzona na Nicka, że przez niego miałaś tę całą blokadę twórczą.

– Oj, nie jestem pewna, czy tak do końca była to tylko jego wina. – Zoey rozprostowała nogi i wyciągnęła się wygodnie na łóżku. Wciąż była w szlafroku kąpielowym, gdyż dopiero co wzięła prysznic, by być gotową na przyjście Scotta. Stukot młotka w salonie mówił jej, że wciąż jeszcze ciężko pracuje.

– Nadal bronisz tego kutafona Nicka?

– No, nie... właściwie to od paru tygodni w ogóle o nim nie myślę, bo, no... , byłam zaangażowana, jakby to powiedzieć, gdzie indziej. – Spojrzała w kierunku drzwi sypialni. Czyżby słyszała kroki Scotta w holu?

– „Zaangażowana”, to chyba nie jest właściwe słowo, skarbie. Powiedz raczej, że uprawiałaś dobry, przyzwoity, staroświecki seks...

Zoey spojrzała ponownie ku drzwiom sypialni i nagle poczuła przyływ adrenaliny. Scott stał tam, w drzwiach, nagi – nagi... nagusieńki, przyodziany tylko w swój pas z narzędziami.

– Złotko? – głos Jadę zdawał się dobiegać gdzieś z bardzo daleka. – On tam jest? Teraz?

– Mhmmm. – Zoey przewróciła się na bok, rozwiązując pasek szlafroka. Specjalnie dla Scotta włożyła dziś liliowe satynowe majteczki i odpowiedni do nich staniczek. Scott, wyraźnie pod wrażeniem, podszedł do łóżka. Zoey czuła ciarki na całym ciele. Jak ten facet to robi, że w ciągu sekundy jest... jest gotowa.

Przez ostatnie dwa tygodnie praktycznie darowali sobie wszelkie gry wstępne: oboje byli gotowi od razu...

– On tam naprawdę jest? – dociekała. – W pokoju?

– Mhmmm.

– No, to do dzieła, dziewczyno. O moich sprawach porozmawiamy później.

– Mhmmm – Zoey wyłączyła telefon i wstała, zrzucając omdlewającym gestem szlafrok. Cholera, nigdy nie robiła niczego takiego z Nickiem; chyba te lustra w sypialni Skye obudziły w niej aktorkę, grającą całkiem nową i jakże podniecającą rolę. I to z jakim partnerem...

– Ubrałaś się tak dla mnie... ? – zamruczał. – Podoba mi się...

Skinęła głową. – A ty rozebrałaś się dla mnie – podeszła bliżej, złapała mocno za pas z narzędziami i przywarła do niego całym ciałem. – Też mi się to podoba...

Zoey postanowiła wykorzystać efektowne, nagie wejście Scotta w swej powieści; no, oczywiście bez pasa na narzędzia. Wizja rozmowy niewidomej, nieświadomej sytuacji Armine z nagim Quinnem stojącym w drzwiach, wydawała się jej, no, pociągająca, nawet, hm, lekko perwersyjna. Należało to tylko dopracować.

Następnego dnia wzięła się ostro do pracy. Jeszcze raz, strona po stronie, przejrzała swoje dzieło, po czym zabrała się za robienie wydruku. Jej obawy, czy drukarka Skye okaże się kompatybilna z jej laptopem okazały się niepotrzebne: wszystko szło jak po maśle. Z uczuciem satysfakcji i zadowolenia wyrównała stos kartek. Nareszcie koniec. Napisała nową powieść. Przeczytała przypadkowy fragment i przygryzła wargę. Dobre czy do kitu? Nie, nie będzie się teraz nad tym zastanawiała. Trzeba po prostu spakować to cholerstwo i wysłać, wysłać jak najszybciej! No tak, spakować. W mieszkaniu Skye nie znalazła ani odpowiednio dużych kopert, ani kartonu. Ale na poczcie pewnie będą mieli. Chwilowo związała stos kartek opaską na Włosa i zaczęła się pospiesznie ubierać. Czarna spódniczka, czarne botki, czarna skórzana kurtka.

– No to do jutra – rzuciła w przelocie Scottowi, wychodząc.

– Uważaj na siebie – zawołał za nią. Taki miły. Taki grzeczny. Taki dobrze wychowany. Aż trudno uwierzyć w to, co wyprawiał z nią trzy godziny wcześniej...

Wysłanie tekstu odbyło się nad podziw szybko i sprawnie. Urzędniczka pocztowa, drobniutka Azjatka, wydawała się wprost zachwycona powierzonym jej zadaniem.

No, a teraz do Vermillion. Trzeba to uczcić.

– Oto wreszcie nadszedł kres długiego i surowego odosobnienia Zoey McGuire – zawołała tryumfalnie Mouse, wznosząc toast szklanką piwa imbirowego. Jadę w podobnym geście wzniosła do góry kieliszek z margaritą, koniuszkiem języka próbując kryształków soli połyskujących na jego krawędzi.

– No, a teraz, gdy skończyłaś pisanie nowej książki, co zamierzasz dalej ze sobą zrobić? – spytała.

– Na razie planuję wychodzenie z domu co najmniej raz w ciągu dnia...

– O ile Scott wypuści cię z łóżka – zauważyła Mouse, chichocząc.

Zoey też się uśmiechnęła. Nawet dość szeroko.

– A tak w ogóle planuję odpocząć, zrelaksować się i na nowo cieszyć się Nowym Jorkiem. Wciąż narzekaliście, że nie dość często mnie widujecie? No, to teraz, mówię wam, że się ode mnie nie opejdziecie. Będę tu co wieczór, by wsuwać te darmowe *nachos* i od czasu do czasu urządzać awantury przy barze.

– Zamierzasz regularnie jadać te ohydne *nachos* – zatroskała się fałszywie Jadę. – Czyli nie żartowałaś, gdy mówiłaś, że jesteś splukana?

– No, jeszcze nie, ale wkrótce mogą być. Właściwie to powinnam zadzwonić do mojej prawniczki i dowiedzieć się, jak sprawy stoją. A może leżą? Dotąd zupełnie nie miałam do tego głowy, bo byłam zajęta książką.

– Grunt, że książkę skończyłaś i spodziewam się, że zarobisz na niej kupę forsy – powiedziała Mouse. – Ja mam jutro kolejne przesłuchanie i postanowiłam, że tym razem będę spokojna jak puls nieboszczyka. Pomyślałam sobie, że być może poprzednio za bardzo się przejmowałam i to mogło wystraszyć tych wszystkich ważniaków na przesłuchaniach.

– Ciekawa teoria – zauważyła Zoey. – Kto wie, co się tam dzieje w głowach tych wszystkich sponsorów i producentów. No, ale mamy całą noc na ułożenie planu batalii.

– Wierz mi, skarbie, już go mam.

– Ja też mam dobre wieści – wtrąciła Jadę. – Jeden z moich miliarderów przyjeżdża w przyszłym tygodniu do Nowego Jorku na jakiś ważny szczyt na Wall Street, a moja znajoma tam robi, na tym szczycie, za sekretarkę, i ma umożliwić mi spotkanie z nim.

– Naprawdę? – Zoey przyjacielsko trzepnęła Jadę po ramieniu. – Należy ci się premia za determinację w dążeniu do celu. Nawet nie sądziłam, że wytrwasz w tym postanowieniu. W końcu, w czasie studiów zmieniałaś cele i priorytety przeciętnie co tydzień.

– W czasie studiów co tydzień to ona zmieniała chłopaków – mruknęła Mouse.

– I nadal to robię – odparła z dumą Jadę. – Ale, faktycznie, dobrze się czuję w tych łowach na miliardera. Nie wiem czemu, ale naprawdę mam w tej sprawie, no, dobre przeczucia. Złowić nadzianego faceta, zapoznać go ze wszystkimi cudami tantrycznego seksu i pozwolić, by kupił mi to mieszkanie... Jestem pewna, że to wszystko razem nie bez powodu przydarzyło mi się właśnie w tym okresie mojego życia.

– Ba, ten okres życia to jest... , hm, wiek średni – ponownie zamruczała Mouse.

– Co?! – Jadę odwróciła głowę tak gwałtownie, że aż jej lśniąco czarna grzywa zatańczyła wokół twarzy – co powiedziałaś?

Zoey, czując narastające napięcie, położyła jej uspokajająco dłoń na ramieniu.

– Jadę... Myszą... dziewczyny, słuchajcie, wszystkie miałyśmy ostatnio trudne dni, no i... nie zawsze nam szło... – przerwała, podnosząc swój kieliszek z margaritą. – Ale teraz pora na sławę, szczęście i bogactwo – dla nas wszystkich.

– Co racja, to racja! – przyłączyła się do toastu Mouse, stukając się z nią swoją szklaneczką. Upiła mały łyk, po czym smętnie zapatrzyła się na parkiet taneczny.

– Niech tak się stanie – Jadę wychyliła swą margaritę, po czym spojrzała na zegarek.

– No, spadam. Nie mogę pozwolić aby pan T. czekał. – Wetknęła torebkę pod ramię i wstała... – No, to co, dziewczyny? Do jutra?

– Do jutra – powiedziała Zoey, siadając z powrotem i zatapiając się z przyjemnością w hałaśliwej muzyce, błyskających światłach i słodkiej goryczy cudownej, przyrządzonej przez Mouse margarity.

Przez kilka następnych tygodni życie Zoey toczyło się wedle nowego rozkładu: rano kawa i seks ze Scottem, potem przebieżka do parku na Union Square i z powrotem, prysznic, potem długi spacer ulicami Nowego Jorku w poszukiwaniu natchnienia i pomysłów, potem darmowa kolacyjka w klubie Vermillion i długie, wieczorne godziny przy barze spędzone na pocieszaniu znów zdołowanej Mouse bądź wymianie złościwości z Jade, a niekiedy też z Merlinem. Od czasu do czasu robiła wycieczki do muzeów lub towarzyszyła Mouse na przesłuchaniach. W sumie dni miała wypełnione. Po miłosnych igraszkach ze Scottem z niejaką ulgą wysyłała go do domu, a po powrocie z klubu miała dla siebie całe łóżko, w którym zapadała w zdrowy, relaksujący sen. Kiedyś – akurat w samym środku namiętnego kochania się ze Scottem – nagle uświadomiła sobie, że już chyba definitywnie rozstała się ze swoim poprzednim życiem. Jakoś udało się jej uporać z tym, co wydawało się najtrudniejsze: nie tyle z zaakceptowaniem faktu, że Nick okazał się zdradzieckim draniem i dupkiem, ile z przyznaniem, że tego nie zauważyła, a raczej świadomie nie chciała widzieć, żyjąc w stworzonym przez siebie świecie fantazji równie stabilnym co bańka mydlana... Dlaczego ta myśl przyszła jej do głowy akurat teraz, zastanowiła się, przyglądając się sobie, to znaczy sobie i Scottowi odbitym w lustrze... I nagle dotarło do niej, co straciłaby, gdyby nadal pozostawała „szczęśliwą” żoną Nicka. Tę ekstazę. Cały ten seks. Nawet jeśli było to doznanie czysto fizyczne, bez cienia emocjonalnego zaangażowania, to było dobre. Dobre. Wspaniałe. Och, Nick, dziękuję!

Jestem obmyta, gotowa i chętna, by nauczyć się wszystkiego o tym twoim tantrycznym seksie – oznajmiła Jade, uwodzicielsko odrzucając włosy w tył. Pan T. skinął głową. Zauważyła głębokie bruzdy wokół jego oczu. Nie, wcale nie był przystojny, z tą swoją bladą skórą, wąskimi ustami i strzechą czarnych, sztywnych włosów. Dlaczego więc uważała, że jest przystojny? Może dlatego, że tak na nią działał? Bo ona znowu była gotowa, by uczyć się tych jego sztuczek.

– Opróżniłaś pęcherz? – zapytał nieoczekiwanie pan T., klękając przed nią. Jade, naga, leżała rozciągnięta na słomianej macie, którą pan T. przyniósł ze sobą do jej mieszkania.

– O, tak! – uśmiechnęła się, przebiegając dłońmi po swych nieskazitelnie kształtnych piersiach i idealnie płaskim brzuchu. Choć pytanie nieco ją zaskoczyło. Pan T. potrafił być czasami taki... dokładny. A ona bardzo chciała, by już zaczęli.

– Tej nocy skupimy się na twym uświęconym, sekretnym miejscu, a moje dotknięcie przy pełnym pęcherzu może sprawić, że nie utrzymasz moczu – oznajmił beznamiętnie i rzeczowo.

– W porządku, rozumiem – odpowiedziała Jade. Taak, w tych tantrycznych naukach i ćwiczeniach z panem T. nie było nawet szczypty romansu. Uznała, że to nawet lepiej.

– Zatem dobrze – ciągnęła, wyprężając się na macie. – Skup się na tym moim sekretnym miejscu, gdzie, mam nadzieję, znajduje się klucz do największego, najogromniejszego, najpotężniejszego orgazmu. Orgazmu takiego, żeby ziemia się zatrzęsała.

– Powinnaś myśleć o swym orgazmie jak o swoistym seksualnym oczyszczeniu. Skoncentruj się na swych odczuciach. Twój umysł jest teraz w stanie idealnego spokoju i równowagi. Jedyne, co powinnaś czuć, to to, co się dzieje w twym sekretnym miejscu.

Jade uniosła się lekko, wspierając się na łokciu.

– Skarbie, to naprawdę miłe, że nazywasz to miejsce sekretnym i uświęconym, ale to tylko, nie bójmy się tego słowa – vagina. Albo, jeśli wolisz, cipka. Albo piczka. Albo kuciapka. Śmiało, nie obrażę się.

Pan T. potrząsnął głową.

– Nie, to całkiem coś innego. Tę część ciała nazywamy *yoni*.

– To znaczy eee... łechtaczka?

– Nie, pozwól, że ci to bliżej wyjaśnię. Łechtaczka osadzona jest niczym bezcenny klejnot na samym szczycie twojej *yoni*.

– Klejnot? – Jade uniosła brew. – Kurczę, jakież to stosowne określenie.

– Twoje sekretne miejsce jest ukryte głęboko wewnątrz – ciągnął pan T., usadowiwszy się na macie między jej nogami. – Gdy dotyka się go po raz pierwszy, może to być bolesne dla niektórych kobiet, nawet przerażające. Dla ciebie, jak sadzę, nie będzie to stanowiło problemu.

– Do dzieła, skarbie – powiedziała Jade z zachęcającym uśmiechem.

Jego dotyk z początku wydał się jej osobliwym połączeniem badania ginekologicznego z zabawą w doktora, lecz nie przejęła się tym, oczekując cierpliwie dalszego ciągu. I nie zawiodła się. Wkrótce zaczęło przenikać ją cudowne, przedziwne, gorzko-słodkie uczucie czegoś...

– Ooo... – usłyszała swój własny jęk, jakby pochodzący od zupełnie innej kobiety, z innego wymiaru.

– Powiedz mi, kiedy mam przestać, jeśli stanie się bolesne – powiedział z kurtuazją pan T.

– Och, nie... to jest tylko... inne. Robiłam to już, ale nikt jeszcze tak mnie nie dotykał. – Wzięła głęboki wdech, będąc w tym momencie jak nigdy świadoma swego ciała i swej własnej seksualności. Każdy kolejny, delikatny wstrząs prowadził ją wciąż dalej i głębiej w przedziwny świat wypełniony światłem i niezwykłą energią duchową.

– Czy czujesz energię? – spytał pan T. – Zobacz, jak białe światło spływa w dół od czubka twojej głowy. Ono jest jak płynna energia, która dociera do twojego mózgu, twoich oczu, twojej twarzy, szyi i płynie wciąż w dół, przez całe twoje ciało.

– Taak – westchnęła. Rany, to zdumiewające, co ten facet potrafi dokonać jednym tylko palcem. Było zupełnie inaczej niż wtedy, gdy zdawało się, że jej umysł, oderwany od ciała, odpływa gdzieś w nieznane. Nie, teraz pozostawała jak najbardziej w sobie; to całe jej ciało zdawało się ulatywać, lekkie jak piórko, i płynąć gdzieś w przestrzeni.

– Teraz poczuj, jak światło obmywa twoje ciało, lecząc je i odnawiając poprzez seksualną energię.

Zamknęła oczy i pogрузzyła się we wszechogarniającej rozkoszy...

– To płynne światło wybuchnie wewnątrz ciebie – jego głos dobiegał teraz jakby z oddali. – Obserwuj ten wybuch. Zatrzymaj tę wizję. Zobacz siebie w całym blasku. Nad twoją głową tworzy się kosmiczna aureola energii. Widzisz ją?

– Tak! – wykrzyknęła, czując jak łyzy spływają jej po policzkach, a całym ciałem wstrząsa cudowny dreszcz. – Tak, tak, tak...

Dziś absolutnie, ostatecznie i bezapelacyjnie nie będę uprawiać seksu, pomyślała Zoey, zakręcając prysznic i wychodząc z kabiny na łazienkową matę. Pospiesznie podreptała do sypialni, by się ubrać, zanim Scott przyjdzie z poranną kawą. Wciągnęła dżinsy i białą, bawełnianą koszulę (którą zwinęła z szafy Nicka) i podwinęła za długie rękawy do łokcia. Tego ranka była zdecydowana wyjść z domu, zanim cokolwiek się znowu wydarzy. Nie żeby nie chciała już się z nim kochać, ale nagle ów codzienny rytuał z porannym seksem (z wyjątkiem weekendów) wydał się jej nieco... męczący. Scott, inaczej niż Nick, nie zniechęcał się nawet wtedy, gdy miała okres i choć ich igraszki pod prysznicem sprawiały, że czuła się niewiarygodnie wręcz dopieszczona i usatysfakcjonowana, to jednak... co za dużo, to niezdrowo, stwierdziła. A poza tym wszystko stało się takie... przewidywalne... regularne, zbyt mechaniczne i jakby nieco wyprane z emocji ...

Hmm... Właśnie dokładnie tych samych słów mogła użyć na opisanie swego pożycia z Nickiem. Choć nie, jednak nie dokładnie tych. Ich pożycie było, przynajmniej z jej strony, pełne namiętności i pasji. Teraz zaczęła się zastanawiać, czy Nick dorównywał jej wtedy w tej pasji, czy tylko tak się jej wydawało? Czy naprawdę ją kochał i odczuwał takie samo namiętne pożądanie, czy to tylko ona przypisywała mu swoje własne uczucia?

Siedząc przy biurczku Skye, machinalnie zapinała kolejne guziki koszuli. Taak, gdy przychodziło co do czego, to zwykle Nick był inicjatorem, bo zazwyczaj to jemu pierwszemu przychodziła ochota. Zoey z niejaką przykrością przypomniała sobie – totalnie nieudaną – próbę z uwodzicielskim tańcem, którą podjęła pewnego niedzielnego popołudnia, gdy wrócili do domu z weekendu w Hampton. Przebijając się wtedy w sypialni, spostrzegła nagle, jak zabawne – i seksowne? – wydają się ślady, jakie na jej opalonym ciele pozostawił skąpy kostium kąpielowy. Pod wpływem nagłego impulsu złapała wtedy biały, jedwabny szal, wsunęła stopy w srebrzyste sandałki i posuwistym krokiem wbiegła do salonu, gdzie Nick właśnie oglądał mecz baseballu w telewizorze.

– Popatrz, jak zabawnie się opaliłam – stanęła przed nim, a jej wzrok bezgłośnie błaga! go, by na nią spojrzął. Zatrzepotała szalem, obróciła się dookoła...

– Doprawdy? – nawet nie podniósł wzroku.

– Nick... – stanęła między nim a telewizorem – Nick, nie chcesz popatrzeć?

Jego twarz zmarszczyła się w pełnym niesmaku grymasie.

– Popatrzę sobie później. Nie widzisz, że oglądam mecz?

Zoey założyła ręce na piersi i wzdygnęła się na tamto wspomnienie. Odczekała chwilę, by się uspokoić. No, dobrze, Nick nie był ideałem, ale w końcu każdy człowiek ma swoje wady. Z całą pewnością jednak w ciągu tych wszystkich lat, które spędzili wspólnie, podczas miłosego

aktu dawał z siebie wszystko...

Wszystko? I to była miłość?!

Cokolwiek to było, wyjaśniła sama sobie po raz nie wiadomo który – minęło. Dziś otwiera się przed nią zupełnie inna, nowa droga. Dziś musi zdobyć się na zachowanie swojej... seksualnej niezależności od Scotta, nawet jeśli miałyby to wymagać przyspieszonego wyjścia z domu. Ostatecznie zawsze może pójść na kawę z Jade, wpaść do Muzeum Sztuki Współczesnej, albo zajrzeć do Muzeum Sztuk Telewizyjnych i przypiąć się do video, by pooglądać sobie stare sitcomy.

– Albo możesz wziąć laptopa do biblioteki i zacząć szkicować nową powieść – zamruczała do siebie. Z nagłym postanowieniem strzepnęła jakiś zapomniany pyłek z wieka laptopa, otworzyła go i zaczęła sprawdzać pocztę. Ciągle nic.

No, dobrze, zapomnijmy o bibliotece. To może muzeum albo kawiarnia? Tyle jest miejsc, gdzie można, siedząc godzinami nad cappuccino, przyglądać się ludziom. A to bardzo cenne ćwiczenie dla pisarki, nawet jeśli kawa kosztuje aż trzy dolary. Wraz z kurczeniem się jej zasobów, Zoey ćwiczyła się w poznawaniu Nowego Jorku możliwie jak najtaniej. Widowiska na Broadwayu i kino były już poza jej zasięgiem, za to muzea okazały się wciąż dostępne, a to dzięki niegdysiejszemu odruchowi Nicka, by zapisać ich oboje do wszelakich możliwych towarzystw kulturalnych typu *nonprofit* na Manhattanie. Gdyby nie pochodzące z tych towarzystw karty muzealne, obecnie dla jej coraz bardziej okrojonego budżetu nawet te symboliczne opłaty za wstęp byłyby zbytnim obciążeniem.

Scott w salonie mieszał jakiś klej, gdy przechodziła obok, kierując się do wyjścia.

– Dzień dobry! – przywitał ją z uśmiechem.

– Hej! dzięki za kawę! – Zoey zdjęła wieczko z parującego, papierowego kubka. – Jak leci? Wychodzę na minutkę... na spotkanie z moim agentem – skłamała gładko.

Scott uprzejmie skinął głową, uważnie wpatrując się w sufit. – Prawie tu skończyłem. Jest jeszcze trochę drobnych robótek w sypialni i przy szafach w holu, ale właściwie poza tym zrobiłem wszystko, co do mnie należało. Pod koniec tygodnia będziesz mnie miała z głowy.

– Och! – Zoey klapnęła na kanapę i upiła mały łyk kawy. Czarnej i gorzkiej. Zazwyczaj dodawała do kawy mleko i słodzik, ale w tej chwili orzeźwiający łyk takiej właśnie kawy, czarnej i gorzkiej, wydawał się stosownym uzupełnieniem nowiny oznajmionej przez Scotta. Taak. Co teraz? Dopić kawę i wyjść? To oczywiście, że jego obecność tutaj i cały ten remont nie miały trwać wiecznie...

– Masz teraz kogoś na widoku? – zapytała, mając na myśli inne zlecenie, gdy nagle zorientowała się, jak dwuznacznie to zabrzmiało. – To znaczy... chodzi mi o nową pracę...

– O, pracy mi nie brakuje. Większość czasu spędzam na kombinowaniu, jak zgrać różne obowiązki.

– W to nie wątpię – powiedziała Zoey, zabrzmiało to jednak nieco impertynencko, choć nie chciała być złośliwa. W sumie w ich życiu ze sobą nie było miejsca na dyskusje, analizy, nawet

na intymniejsze rozmowy. Nigdy nie padło magiczne „kocham cię”, nie było wzajemnych żalów czy wyrzutów, żadnych aluzji do ich miłosnych uniesień z poprzedniego dnia. W sumie Zoey to odpowiadało; marnowała kiedyś czas na rozmyślanie i roztrząsanie swojego związku z Nickiem... Teraz w jej umyśle nie było zakątka, gdzie dałoby się upchnąć ewentualne analizy jej ostatnich seksualnych zapasów ze Scottem.

Scott tymczasem usiadł przy niej, otworzył swoją kawę i upił łyk. Jego błękitne oczy spoglądały na nią znad kubka – takie przyjazne, ciepłe i... tak seksowne zarazem...

Och, nie. Nie. Nie dzisiaj. Przecież obiecała sobie.

Z drugiej strony obietnica została złożona zanim dowiedziała się, że kończy się remont i odchodzi. A teraz... znowu poczuła między nogami znajome łaskotanie, jej wargi pełne, miękkie i ciepłe były gotowe do pocałunków, a skóra na całym ciele, nagle niezwykle wrażliwa, z niecierpliwością czekała na jego dotyk.

A, do diabła z tym wszystkim! W końcu on tu będzie jeszcze tylko parę dni.

Ostrożnie odstawiła kubek na stolik.

– Spędziliśmy razem kilka przyjemnych chwil – wymamrotała, wyciągając mu Tshirt z za paska dżinsów. Scott również ostrożnie odstawił swój kubek i uniósł ramiona w górę, pozwalając się rozebrać.

– Będzie mi tego brakowało – mruzczała dalej Zoey, kontynuując to, co rozpoczęła.

Uśmiechnął się i przyjrzał się jej spod półprzymkniętych powiek.

– Mnie też. Jesteś taka piękna...

Zoey zdecydowanie i szybko porzuciła i zerwała z siebie koszulę Nicka.

– Chyba podaruję ci coś, abyś mnie na zawsze zapamiętał.

Mam dziś spotkanie z moim agentem – oznajmiła Mouse przez telefon Zoey. – Muszę wreszcie dojść, dlaczego wyszukuje mi takie porabane role. Matrony w podeszłym wieku. Albo przechodzonej panny na wydaniu. Kurczę, jestem aktorką, a nie manekinem.

– Nie bądź dla niego zbyt surowa – Zoey siedziała na łóżku w spodniach od dresu i sportowym topie; wciąż nie mogła się zmobilizować do tego, by wstać, ubrać się i jak zwykle pójść pobiegać po parku.

– Postaram się być, jak zazwyczaj, niewiarygodnie czarującą Marielle Griffin, droga przyjaciółko. A tak w ogóle to co dzisiaj porabiasz?

– Jeszcze nie wiem. Może wybiorę się na małą rundkę po śmietnikach, pozbieram trochę butelek i wymienię je w punkcie skupu na coś pożytecznego. Albo jeszcze lepiej nazbieram dobrych, przegryzionych, śmierdzących śmieci, zawiozę je do Connecticut i wsypię do samochodu Nicka. Cholera, coraz gorzej u mnie z forszą i to mnie strasznie dołuje.

– Biedactwo moje. Pożyczyć ci trochę forsy?

– Nie, Myszko, dziękuję. Wiem, wiem, że mogę na ciebie liczyć, ale dopóki nie będę musiała starać się o miejsce w przytułku, wolę nie zaciągać żadnych pożyczek. W końcu mam dochody ze swojego pisarstwa, ściślej mówiąc, miałam tantiemy i całkiem przyzwoite oszczędności, tylko że ten kutas, mój mąż, zamroził mi wszystko...

– No i co masz zamiar zrobić?

– Doprawdy, nie wiem. Próbowałam się dodzwonić do Natalie, mojej prawniczki. Ale akurat była w sądzie, a choć prawnik Nicka też był w sądzie, jakoś nie mogli się skontaktować...

Zoey opadła na łóżko i podniosła stopy w górę, przypominając sobie jedną z pozycji z lekcji jogi. Takie ćwiczenie podobno wzmacnia mięśnie brzucha, choć człowiek wygląda wtedy jak przewrócony na plecy żółw.

– A jak tylko dobiore się do swojego konta, zapisuję się na siłownię. Te... no... ćwiczenia ze Scottem utrzymywały mnie w formie, ale odkąd go nie ma, zaczynam się czuć rozlazła i oklapnięta.

– Brak ci go? – spytała Mouse. – Mów prawdę albo nic nie mów.

– Ba, sama nie wiem – Zoey wpatrywała się w pajęczynę na suficie. – Nie, chyba jednak nie. To było trochę tak, jakby Scott był, no, facetem wynajętym do określonego zadania. To znaczy do seksu. Świetnego i cudownego, i wspaniałego, i co tylko chcesz seksu, ale na samym seksie nie buduje się związku.

– No, lepiej, żeby Jadę tego nie usłyszała.

– A, Jadę... – Zoey podciągnęła kolana do piersi. – Dzisiaj ma to swoje spotkanie z kolejnym miliarderem, nie? Właściwie powinnam zadzwonić i życzyć jej powodzenia.

– Jadę nie potrzebuje życzeń, tylko zapasu gumek na resztę swoich dni.

– Ależ jesteś wredna, Myszą. Taka młoda, a tyle jadu...

– Wiem, wiem. Słuchaj. Muszę kończyć, właśnie wchodzę do westybulu. Pożyczysz mi powodzenia?

– Zawsze i wszędzie – odpowiedziała Zoey. Niech jej się tym razem powiedzie, pomyślała. Od kiedy wróciłam na Manhattan, biedna Mysz ma ciągle martwy sezon, a ja już nie mogę patrzeć, jak się szarpie i coraz bardziej traci wiarę w siebie.

Rozłączyła się i postanowiła jeszcze raz sprawdzić swoją pocztę elektroniczną. Znalazła trzy listy i email od Skye, zatytułowany „KONIEC BLOKADY TWÓRCZEJ”.

O rany, Skye wreszcie przeczytała jej tekst! Zoey usiadła wygodniej i zaczęła czytać.

Kochana Zoey, po wszystkich naszych dyskusjach o twojej artystycznej blokadzie i twoim frywolnym mężusiu (a może już byłym?), możesz sobie wyobrazić moje zdumienie i zaskoczenie, gdy otrzymałam Twoją przesyłkę, a w niej nową powieść. Alleluja! Nie mogę wprost wyrazić, jak byłam zachwycona, że w końcu przewalczyłaś wszystkie trudności i na powrót odnalazłaś swoją muzę.

Tekst ogromnie mi się spodobał, naprawdę. Kurczę, jest o niebo sensowniejszy niż wypociny tego włoskiego geniusza, z którego zresztą muszę wyduszać strona po stronie. To coś jakby wyciskać wodę z kamienia.

Droga Zo, zdecydowanie otworzyłaś nowe horyzonty w literaturze kobiecej. Czułe miejsca to doprawdy niezwykle interesujący wkład do współczesnej powieści erotycznej – absolutnie cudowny i smakowity.

Nie chcę Cię niepotrzebnie straszyć, bo sama wiesz, że jestem najwierniejszą z Twoich fanek... , wszelako, jako Twój wydawca, nie jestem przekonana, czy publikacja tej książki jako nowej powieści Zoey McGuire, to posunięcie rozsądne i korzystne dla Twojej kariery. Problem w tym, czy naprawdę masz zamiar przerzucić się na pornografię? Jeśli tak, mogę wpisać Czułe miejsca na naszą listę specjalną. Z drugiej strony, jeśli zależy ci na renomie Twojego nazwiska i opinii, radzę ci: odłóż to na razie na bok i pomyśl o czymś nowym. Czymś bardziej patetycznym, ostrym, a zarazem ciepłym...

No nie! Nie, nie i nie! Zoey z irytacją szarpnęła pasmo włosów. Nie może pisać teraz nowej książki! Potrzebuje forsy, już teraz, zaraz!

Email Skye kończył się rozsądną radą.

Jeśli jesteś zainteresowana wydaniem Czułych miejsc pod pseudonimem, to poproś swoją agentkę, żeby się kolo tego zakreśliła. Jestem pewna, że znajdzie się ktoś, kto chętnie wyda ci tego typu rzecz.

Zoey gapiała się w email i w jego nagłówek. Skye wspomniała o jej agentce, Robin Buckner. No tak, trzeba przynajmniej zawiadomić Robin o istnieniu *Czułych miejsc*. Muszę wydrukować

dla niej kopię, pomyślała, wyskakując z łóżka i sprawdzając papier w drukarce Skye. Tak, wydrukować kopię i posłać Robin. Niech się koło tego zakręci. Niech to sprzeda. Kurczę, nie mogę pozbierać myśli...

Włączyła drukarkę i podreptała do holu, starając się przynajmniej w ten sposób uciec od beznadziei, która nagle zawisała nad sypialnią, zupełnie jakby ten email wyssał stamtąd całe powietrze. Cholera, dlaczego najpierw nie wysłała do Skye planu powieści? Pisała szybko i bezmyślnie, opowiadając historię postaci, których nie zdążyła nawet dobrze poznać, próbowała przenieść na papier te wszystkie bredzenia Jade...

Gdy drukarka wypuła ostatnie stronicę, Zoey włożyła tenisówki, Tshirt i miękką bawełnianą bluzę i wyszła z mieszkania. Urządziła sobie małą przebieżkę na pocztę, potem pobiegła ku Union Square, a tam potruczała niespiesznie po wąskich alejkach parku. Obiegając drzewa, klomby i kwietniki, starała się wyrzucić precz ze swej głowy to ohydne słowo.

Odrzucenie.

– Powiedz Melowi, że mi przykro, ale nie dojdziemy do porozumienia – rzuciła Mouse w kierunku recepcjonistki, całą siłą woli zmuszając się do tego, by być uprzejmą. Właściwie to miała ochotę złapać tę wypacykowaną lalę za ohydną, plastikową tabliczkę identyfikacyjną, którą tamta miała zawieszoną na szyi, potrząsnąć nią solidnie i przykazać, by nigdy więcej nie używała błękitnego cienia do powiek. Miała ochotę wybić te kretyńskie, oszklone drzwi, wparować do gabinetu Mela i przypomnieć mu, że to on wyznaczył jej spotkanie i że wkrótce gorzko pożałuje utraty Marielle Griffin.

Nic z tych rzeczy, Mouse słynęła z opanowania i powściągliwości. Wchodząc do westybulu, posłała portierowi ciepłe spojrzenie i obdarzyła go swoim wypróbowanym, życzliwym uśmiechem. Zawsze tak było: uważała, że musi się trzymać, udawać, że wszystko idzie jak po maśle, by otaczający ją ludzie czuli się dobrze, nawet jeśli ona sama w głębi duszy czuła się fatalnie. Czy taka na przykład Zoey w ogóle wie, jak bardzo ona, Mouse, ma dość tego ciągłego odrzucania i że zamierza zrezygnować z aktorstwa? Czy Jadę zdaje sobie sprawę, że ona, Mouse, nie była z żadnym mężczyzną już od ponad roku? I nie chodzi nawet o sam goły seks: nie było żadnych randek, pocałunków, ciepła czyjegoś ciała tuż obok. Doprawdy, pomyślała z goryczą, tak byłam zajęta troskami i kłopotami innych, że zapomniałam o swoim własnym życiu.

Stukot jej obcasów na posadzce westybulu i wywołany przezeń pogłos sprawił, że nagle wzięła głęboki wdech i pełnym głosem zaśpiewała:

– Łasko niezmierna! Jak słodkie są twe słowa, jaką pociechę niosą mnie, nieszczęsnej. Kiedyś zgubiłam ścieżkę, lecz teraz ją odnalazłam. Ślepa kiedyś byłam, lecz teraz przejrzałam...

Przeciągnęła ostatnią frazę, swingując.

Strażnik za jej plecami zaklaskał. Dwie panusie w uniformach, przechodzące nieopodal, rzuciły jej lodowate spojrzenia.

Mouse pchnęła drzwi i wyszła na zewnątrz. Znowu ogarnęło ją uciucie frustracji. Dobry Boże, co ja takiego złego zrobiłam? Słodki Jezu, pomóż mi w tej ciężkiej chwili, ilekroć bowiem próbuję, zamykają mi drzwi przed nosem i powoli zaczynam mieć dość. Dobry Boże, słodki Jezu, czy mnie słyszysz? Czy ty w ogóle słuchasz?

– Panie Boże – rzuciła nagle przed siebie, w przestrzeń. – Zaczynam odnosić wrażenie, że my dwoje nie nadajemy na tej samej częstotliwości.

Wiedziała, że nigdy nie porzuci swojej wiary w Boga, ale czasami miewała trudności z wyczuciem Jego obecności i opieki...

Szła powoli przez Madison i na chwilę przystanąła na rogu Pięćdziesiątej Trzeciej; słońce

grzało już tak mocno, że naprawdę czuło się wiosnę. Tego akurat miejsca w Nowym Jorku nie lubiła, ze względu na drapacze chmur mieszczące urzędy i drogie sklepy. Dwaj mężczyźni w eleganckich garniturach prawie zepchnęli ją z chodnika; przesunęła się bliżej ściany budynku i zapatrzyła w okno wystawowe jakiegoś biura podróży, na którym pyszniły się dwa plakaty: z palmą i karaibskim krajobrazem oraz z wieżą Eiffla.

A może zostawić Nowy Jork w cholerę i otworzyć bar na plaży, na jakiejś karaibskiej wysepce? Może już czas, żeby coś zmienić w swoim życiu? Uświadomić sobie, że jest już za stara, by grać Tygrysią Lilię w *Piotrusiu panie* czy dziecię z chóru w *Południowym Pacyfiku!* Czas, by spojrzeć prawdzie w oczy i przyjąć do wiadomości, że przekroczyła trzydziestkę (nie wczoraj), a jej kariera zmierza donikąd? Tak, chyba już czas stać się kimś odpowiedzialnym i dorosłym.

Nadal wpatrywała się w okno biura podróży i we własne odbicie. Błyski słońca na szybie zdawały się wprawiać w ruch jej długie loki. Jakiś człowiek, siedzący wewnątrz przy telefonie, rzucił jej zaciekawione spojrzenie. Pomachała mu przyjaźnie i ruszyła dalej.

Tak, pora coś zmienić. Przypomniała sobie o tym wspaniałym salonie fryzjerskim na Piątej Alei. Jak on się nazywał? Bijou's? Balto's? Coś w tym guście. Jak go odnajdzie, to sobie przypomni. Ruszyła więc przed siebie Pięćdziesiątą Drugą. Gdy wszystko zawiodło i wszystko spartoliłam, nowa fryzura może odmienić wszystko i nadać życiu nowy sens.

Recepcjonistka w Becko's lekko się zdenerwowała, gdy Mouse zażądała widzenia z Sergem, fryzjerem, który czesał ją, gdy grała w *Hair*. Nudziła tak długo, aż wreszcie Serge pojawił się z nożycami w dłoni.

– Hej – powiedział miło, choć niepewnie. – Czy my się znamy... ?

– Marielle Griffin, z *Hair*.

– Ach tak, oczywiście! – Serge uściskał ją i z dubeltówki cmoknął w oba policzki. – Jak to miło znów cię zobaczyć!

Mouse uśmiechnęła się, mile ujęta tym, że ją zapamiętał.

– Potrzebuję nowego strzyżenia, nowej fryzury. Czegoś absolutnie nowego. I od razu pomyślałam o tobie. Co mi radzisz? – odrzuciła głowę w tył, potrząsając długimi lokami, aż rozsypały się jej na ramionach.

– Wspaniałe włosy! Będę zachwycony, mogąc cię uczesać. Ale... chcesz dzisiaj?

– Absolutnie. Im wcześniej, tym lepiej.

Serge zajął do ogromniej książki na ladzie recepcjonistki.

– No, jesteśmy strasznie zajęci, ale skoro nalegasz, to jakoś cię wcisnę. Siadaj na razie, Deirdre poda ci coś do picia. – Pochylił się i ponownie ucisnął dłoń Mouse. – Za parę minut możemy zaczynać.

Gdy Serge zniknął za ścianą z luksferów, recepcjonistka odwróciła się do Mouse z sympatycznym uśmiechem.

– Co mogę podać do picia?

– Och, poproszę o wodę. – Gdy Deirdre podążyła na zaplecze, Mouse z ulgą opadła na obciągniętą skórą kanapę. Przyjrzała się marmurowej posadzce i ozdobnemu sufitowi, z przyjemnością zaczęła wsłuchiwać się w dyskretną muzykę w stylu New Age. Tak, to było idealne miejsce, by odmienić swe życie.

Założyła nogę na nogę; czarna spódnica miękko opadła na jej brązowe, zamszowe botki. Taak, nowa fryzura, to jest to, czego jej właśnie potrzeba. Czyż jest lepszy sposób, by odmienić i przeobrazić kobietę?

Tak, nowa fryzura. Tego jej właśnie potrzeba.

– Zaczekaj jeszcze chwilę, nakazał sobie Merlin, stojąc tuż za Joshem w kolejce w przedsionku Empire State Building. Myślamy bowiem już wybiegał w przód, ku chwili, gdy stanie przed Joshem i zada mu to pytanie, i wyciągnie z kieszeni swojej skórzanej kurtki obciążone aksamitem pudełeczko. Josh był chyba trochę zirytowany jego naleganiami na tę wyprawę na szczyt budowli, szczególnie że za parę godzin miał swój kurs masażu; Merlin jednak się uparł.

– Dzisiejsza widoczność to dwadzieścia mil – poinformował strażnik stojących w kolejce. Na szczęście amatorów podróży na szczyt nie było dziś zbyt wielu i kolejka posuwała się dość zwawo.

– Wciąż nie rozumiem, co cię napadło z tą wycieczką – marudził Josh, gdy winda wiozła ich do głównego obserwatorium. – Mogliśmy poczekać, aż obaj będziemy mieli wolny wieczór. A poza tym obaj jesteśmy nowojorkami, więc chyba nie musimy bawić się w turystów we własnym mieście.

Siwowłosa dama w czerwonej czapce z daszkiem i napisem BABUNIA z PASADENY odwróciła się i rzuciła im karcące spojrzenie; Merlin w odpowiedzi tylko się uśmiechnął. Specjalnie wybrał dzień, gdy Josh miał na wieczór inne plany. Wiedział bowiem, że gdyby obaj mieli wolny wieczór, pewnie potem poszliby TO oblać i w końcu wylądowaliby w łóżku. A on nie chciał dziś żadnego seksu. Nie dziś.

Winda przyhamowała tak szybko, że Merlinowi zadzwoniło w uszach. Następnie drzwi otworzyły się i wyszli na taras widokowy. Łagodne światło zapadającego zmierzchu i orzeźwiający wietrzyk sprawiły, że Josh wyraźnie się odprężył, a twarz mu pojaśniała.

– O rany... Ależ to jest wspaniałe! – zawołał z entuzjazmem jak uczeń. Merlin uśmiechnął się tylko, czując, jak wiatr targa mu włosy. Był tu już kiedyś ze szkolną wycieczką, ale teraz spojrzał na rozpościerające się w dole miasto jakby na nowo, czując, że i on jest częścią jego wielkości i siły. Manhattan z góry wyglądał jak dziecinny model miasta ze szkła i stali, z prostą siatką ulic, z rzekami i portem.

– Spójrz na Central Park! – zawołał Josh, wskazując na prostokątną plamę zieleni. – O rany, ale wielki. I to w samym środku miasta... wprost nie mogę uwierzyć, że dotąd tego nie splantowali, by postawić jeszcze parę drapaczy chmur.

– Tak, to cudowne miasto – powiedział Merlin, zaciskając palce na pudełeczku w kieszeni. – I chcę, aby to było nasze miasto – wyjął aksamitne pudzeczko i otworzył je, pokazując ukryty wewnątrz pierścień: złotą obrączkę z małym okrągłym diamentem pośrodku. Josh pobladł nagle. Merlin powiedział szybko, jakby bał się przeoczyć właściwy moment.

– Chcę być z tobą na zawsze, Josh. Kocham cię.

– O Boże! – Josh podniósł obie dłonie do twarzy. – Nie mogę uwierzyć... i to właśnie tutaj. Czyż to nie jest to miejsce, gdzie ludzie najczęściej się sobie oświadczają? Nie mogę w to uwierzyć... Przycisnął zaciśnięte pięści do oczu, po czym odetchnął głęboko.

Merlinowi prawie zbierało się na płacz. Nigdy jeszcze nie widział Josha tak podnieconego, tak oszołomionego.

– Zaczekaj... nie uważasz, że powinieneś jednak uklęknąć? – Josh oparł dłonie na ramionach Merlina, jakby chciał go nakłonić do przyklęknienia, po czym nagle porwał go w objęcia.

– O mój Boże! Ja też cię kocham. – Pochylił się i wziął z rąk Merlina aksamitne pudełeczko. – Pozwól, że przyjrzę się temu kamieniowi. I nie mów mi, że wybrałeś coś poniżej diamentu Hope.

– Diament Hope jest przeklęty, nie pamiętasz?

– No tak, podobno – Josh wsunął pierścień na palec.

– Jest śliczny i bardzo dobrze się na mnie prezentuje. Merlin uświadomił sobie, że wciąż się uśmiecha; jakby czas zamarł, a on razem z nim. – Jeśli ci się nie podoba, mogę kazać przerobić go na kolczyk – powiedział, biorąc przyjaciela za rękę.

– Och, nie... – Josh odegrał krótką pantomimę z umykaniem dłoni – to wszystko... czego pragnąłem. Od zawsze.

– Podniósł dłoń, by przyrzeć się pierścieniowi, prezentując go zarazem z dumą stojącej obok parze turystów.

– Czyż nie jest piękny? Właśnie się zaręczyliśmy.

– Aaa... gratuluje... – powiedziała kobieta. Jej towarzysz uprzejmie skinął głową, chyba lekko spłoszony, lecz Josh zdawał się tego nie widzieć.

– Jesteśmy gejami – wyjaśnił. – Oglądaliście chyba *Klatkę dla ptaków*?

Mężczyzna strzelił palcami. – A, ten film z Gene Hackmanem, tak?

– No, właśnie.

Para odeszła, by podziwiać widoki na wschodniej stronie, Josh zaś wrócił do podziwiania pierścionka.

– Pomyślałem, że zadzwonię do Fitzroya i odwołam dzisiejszą lekcję. No bo i jaka to strata? W końcu to dzień naszych zaręczyn!

– Ależ nie, nie odwołuj – odradził mu Merlin łagodnie.

– Powinieneś tam pójść. Ten kurs jest ważny dla ciebie i w dodatku tak świetnie ci idzie, ale możesz wszystko skiepszyć, jeśli naruszysz program.

Josh położył upierścienioną dłoń na sercu.

– Dzięki, Merl. Dzięki, że zawsze wierzyles i wierzysz we mnie.

Merlin poczuł ściskanie w gardle. Nagle pomyślał o swej matce; błyskotliwej, inteligentnej kobiecie, nie ulegającej emocjom i nie okazującej emocji. Wobec wszystkich dziecinnych strachów Merlina stosowała nie uspokajające głaskanie po główce, lecz chłodne i logiczne wyjaśnienia: strachy nie istnieją, a księżyc na pewno nie spadnie z nieba i nie roztrzaska się o

ziemię. A ojciec? Surowy i staroświecki, zawsze podejrzliwie patrzący na te wszystkie zachodnie wymysły. Między takimi rodzicami, w domu Chongów nie było miejsca na emocje i uczucia. Żadnych płaczów z powodu rozbitego kolana czy złamanego serca; żadnego pobłażania, nawet dla słusznego gniewu wobec jaskrawej niesprawiedliwości.

I Merlin w końcu opanował i zdusił swe emocje, ukrywając je głęboko pod grubymi pokładami inteligencji, sarkazmu i brawury. Pomogło mu to bezpiecznie przetrwać lata szkoły i studiów, i te wszystkie przygody jednej nocy z nieodstępującym widmem AIDS w perspektywie. A potem zjawił się Josh i pokonał, przełamał, rozerwał tę jego stalową zbroję.

Josh sprawił, że zaczął na nowo odczuwać szczęście, gniew, zazdrość, wściekłość – i miłość. Całe morze miłości. Patrząc na przyjaciela, zapragnął naraz z całego serca przytulić go i zapłakać w jego ramionach. Czuł, że w gardle narasta mu łkanie, którego nie jest już w stanie powstrzymać.

– Och, przestań! Przestań! – zawołał Josh. – Przez ciebie, ty draniu, i ja się rozbeczę. – Przycisnął dłonie do skroni i ciągnął – Merlin, wciąż nie mogę uwierzyć, że to wreszcie się stało, ale skoro już się stało, chcę cieszyć się tą chwilą. Ty jesteś dla mnie wszystkim i tylko ciebie pragnę. I chcę cię zapewnić, że resztę swego życia spędzisz w cudownym, oszałamiającym upojeniu.

– Dzięki. Spodziewam się.

Josh ścisnął mocno dłoń Merlina. – O, nie. Żadnych takich, nigdy więcej. To jest moment, by powiedzieć „tak”. I być pewnym.

Merlin czuł lzy napływające do oczu.

– Tak. Jestem pewny.

– O rany, musimy zacząć planować ślub i wesele – zawołał radośnie Josh. – Coś miłego i intymnego.

– I niedużego, mam nadzieję.

– O tak, coś niedużego i z klasą – zgodził się Josh. – Takie miniprzyjątko tylko dla tych paru setek najbliższych przyjaciół.

Zoey przepychała się przez tłum wypełniający salę Vermillionu, zastanawiając się, czy w ogóle warto było, – wchodzić. Dzięki niepowtarzalnej atmosferze tej spelunki, jej ubrania cuchnęły dymem. Obcasy butów były lepkie od zaświnionej podłogi i po raz pierwszy chyba w życiu zaczęła odczuwać objawy niestrawności, z całą pewnością dzięki popisowym daniom tutejszej kuchni: *nachos* i skrzydełkom. No, ale wciąż była tu Mouse, miała też przyjść Jade („oczywiście o ile wcześniej nie zakoszę jakiegoś miliardera z Wall Street, bo wtedy spędzę noc na drenowaniu jego konta”); także Merlin obiecał, że wpadnie. Klub, choć bez dwóch zdań szemrany, był wciąż miejscem ich spotkań.

Rozglądając się za przyjaciółmi, Zoey ściągnęła blezer i odwinęła z szyi kołnierzyk bluzki. W klubie, mimo wczesnej pory, powietrze było już ciężkie i duszne od dymu i spoconych ciał. Gdzie jest Mouse? Za barem tkwił Elvis, a obok niego jakaś drobna blondyneczka z...

Zoey zamrugnęła oczami, po czym jeszcze raz spojrzała na blondynkę za barem. To była Mouse.

– Rany boskie, spójrz tylko na siebie! – przechyliła się przez ladę, by uściskać przyjaciółkę.
– Twoje włosy!

– Obsmyczyłam je – powiedziała ponuro Mouse. – Obsmyczyłam i utleniłam. I co o tym sądzisz?

– Nie kupuję i nie przyswajam! – Zoey potrząsnęła głową; lekko zszokowana nie bardzo wiedziała, jak powiedzieć Mouse, że uwielbiała jej ciemną, gęstą grzywę. Teraz jej sarnie oczy, pięknie uformowane kości policzkowe i sztucznie słodki uśmiech wydawały się – w zestawieniu z tą białą, krótką czuprynką – dziwnie niezgrane.

Mouse z nieprzeniknionym wyrazem twarzy odkapslowała dwie butelki Corony i wcisnęła do ich wąskich szyjek ćwiartki limonek. Wzięła od klienta dziesięciodolarowy banknot, po czym ponownie odwróciła się ku Zoey.

– Nie podobają ci się.

– Nnie, to znaczy...

– Nie podobają ci się, bo są okropne. – Mouse wydeła usta i zamrugnęła gwałtownie, po czym odwróciła się, by ukryć łzy wzbierające w oczach.

– Myszko, nie martw się, proszę... – Zoey miała ochotę przeskoczyć bar i poklepać przyjaciółkę po plecach. – To tylko taki ... eee... wizerunek. Jak weszłam, to nawet cię nie rozpoznałam. Może to... zadziała na twoją korzyść. Może sprawi, że ludzie spojrzą na ciebie pod... eee... nowym kątem. Może teraz ci wszyscy reżyserzy na castingach zobaczą twoje... nowe możliwości...

– Tak sądzisz? – Mouse nie wyglądała na przekonaną.

– Nigdy nie wiadomo. Myślę, że to... – Zoey poczuła nagle, że ktoś popycha ją gwałtownie, przerywając jej wypowiedź w pół słowa.

– Kolejkę dla mnie, i to już – zawarczało wielkogłowe, ryże babsko, z twarzą pokrytą złotym pyłem.

– Przepraszam? – Zoey spojrzała na nią zimno. Wprawdzie Vermillion zasłużenie cieszył się szemraną opinią, ale to, jej zdaniem, nie wykluczało dobrych manier.

– Kurczę blade, co wy sobie myślicie, jedna z drugą? Stoicie tu sobie i kłaskacie, a moi znajomi czekają na drinki – ryży babon mocniej napał kościstym tyłkiem na kolana Zoey, zwracając się bezpośrednio do Mouse. – Pracujesz tutaj laluniu, czy tylko stoisz i próbujesz udawać Little Richarda?

– Spoko, Blaszy Dzwoneczku. Złość piękności szkodzi. Złóż zamówienie – a może chcesz przedtem skoczyć do damskiego kibla i umyć facjatę? Chyba jak rozpylałaś swój czarodziejski pył, rączka ci się omsknęła.

Ruda prychnęła, lecz najwyraźniej bardziej zależało jej na drinkach niż na kłótni.

– Dwa budweisery, czerwone wino, Dziki Indyk z lodem i trzy brzoskwiniowe daiquiri.

– Nie mamy brzoskwiniowych. Mogą być truskawkowe albo limonkowe.

Ruda przewróciła oczami.

– Niech będą truskawkowe.

Zoey usunęła kolano spod tyłka babsztyla. Bezcelna gówniara, pomyślała. Podczas gdy Mouse szykowała zamówione drinki, Zoey starała się nie patrzeć na jej nową fryzurę, przypominającą kosmate nylonowe futerko. O żesz ty, wygląda na to, że wszyscy mają zły dzień. Jej – po tym przykrym emailu od Skye – dołożyła swoje Robin Buckner, agentka, dołując ją jeszcze bardziej.

– Zoey, to jest ... eee... bardzo specyficzny rynek i nie orientuję się w nim dobrze – mówiła bez przekonania, co czuło się nawet przez telefon. – No, możemy to zareklamować jako ... eee... bardzo seksowny romans...

– Cokolwiek, byle się sprzedało – odpowiedziała Zoey. – Rzecz w tym, droga Robin, że jestem splukana i pilnie potrzebuję żywej gotówki. Nie chcę się zagłębiać w szczegóły, ale właśnie się rozwodzę i mój mężuś wziął mnie na krótką smycz, innymi słowy: płaci mi grosze.

– Och, doprawdy? Ale to właśnie może być dla ciebie korzystne. Jeśli wydasz tę książkę pod pseudonimem, nie będzie nawet wiedział, że napisałaś coś nowego.

Taak, zabawne byłoby wykiwać Nicka, ale w tej chwili Zoey była w stanie myśleć tylko o braku pieniędzy; bała się także, że znów popadnie w twórczą blokadę. Udana sprzedaż, nawet pod pseudonimem, dowartościowałaby ją moralnie i materialnie, utwierdzając w przekonaniu, że potrafi się utrzymać ze swego pisarstwa.

– Będę ci niezmiernie zobowiązana, jeśli potrafisz to opchnąć – powiedziała wtedy Zoey. – Mogę to jeszcze wygładzić. Rozszerzyć albo skrócić. Cokolwiek będzie trzeba.

– W porządku. Dam ci znać – rażno zakończyła rozmowę Robin.

– Co pijesz? – usłyszała nagle głos Mouse, której udało się wreszcie pozbyć Rudej i jej hałaśliwej kompanii.

– Zrób mi cosmopolitana – poprosiła Zoey. – Pierwszego z długiej serii drinków, które zamierzam obalić dziś wieczór.

Mouse puściła do niej oko.

– Dawno już nie widziałam cię w takim nastroju. To znaczy, nie widziałam, żebyś upijała się na zimno.

– Ba, mam ku temu odpowiedni powód. Dziś Skye odrzuciła moją powieść.

– No tak, to może zdołować. – Gdy Zoey zagłębiała się w szczegóły, Mouse sięgnęła po butelkę z wódką i hojnie doprawiła szykowany drink.

– Chyba dołączę do ciebie dziś wieczór i też się ululam. Parszywy dziś dzień, gdzie się nie obrócisz. Mój agent odwołał spotkanie i to w ostatniej chwili, właściwie to mnie wyrzucił.

Gdy Mouse mieszała drinka, przy barze nagle zmaterializowała się Jadę. Promieniejąca, wystrojona, w spodniach z truskawkowego szantungu i czarnej, wyszywanej koralikami bluzeczce.

– Cokolwiek tam pijecie, złote dziewczyny, ozdoby Manhattanu, dla mnie potrójnie to samo – zaordynowała, rzucając na ladę baru swą czarną, ozdobioną koralikami torebkę, po czym przez moment uważnie przyglądała się Mouse i jej nowej fryzurze.

– O, niezłe. Podoba mi się. Coś takiego fundnęła sobie chyba Tina Turner, czyż nie? Ale tak w ogóle, to miałam wyjątkowo parszywy dzień. Kompletna klapa.

– Och, nie! Twój miliarder... ? – domyśliła się Zoey. Mouse rozlała trzy cosmopolitany do eleganckich kieliszków w kształcie litery Y.

Jadę skinęła głową.

– Nie bez przyczyny ci wszyscy faceci są kawalerami, moje miłe. Ta moja psiapsiółka wprowadziła mnie do biura, gdzie Alpie, ten miliarder, miał właśnie spotkanie, no i udało mi się zacząć rozmowę tak, żeby facio ją usłyszał. Nawijałam, że jestem brokerem i mam na oku pewnego bogatego inwestora, który interesuje się tym właśnie budynkiem, w którym się znajdują. Kupił ten mój kit jak dziecko, no i zaczęłam pracować nad nim dalej, i nie chwaląc się, całkiem niezłe mi szło. Potem była taka cateringowa kolacja i Alpie prawie już jadł mi z ręki...

– Ale... – przerwała jej Zoey – ... co się stało?

– Facet ma niewiarygodnie zgniły oddech. – Jadę na samo wspomnienie aż przymknęła powieki. – Stałam co najmniej ponad pół metra od niego, a i tak bałam się, że jeszcze trochę, a puszcze pawia prosto na jego jedwabny krawacik.

– Oto oddech godny miliardera – zaśmiała się Mouse. – Faktycznie, niektórzy faceci śmierdzą jak diabli i czego by nie robili, śmierdzieć będą. Mam takiego kuzyna; biedaczysko, już na śniadanie pije płyn odświeżający oddech... I nic. Spraye, pastylki, Bóg jeden wie, co jeszcze, poza może gaszonym wapnem mogłoby mu pomóc. Próbował już wszystkiego i nic. Nadal śmierdzi. Na szczęście dla mnie, wciąż mieszka w Rhode Island.

– A może Alphie też miał swój zły dzień? – zastanowiła się Zoey. – Zbyt pikantny lunch? Albo coś mu się wzburzyło w kiszkiach?

Jadę wzniosła w górę swojego drinka. – Niestety, był to zwykły, codzienny, stały, cuchnący oddech. Zresztą jego sekretarka to potwierdziła. Podobno Alphie wykorzystuje to, by odstraszać albo zniechęcać konkurencję albo niepożądanych współników. Wierzcie mi, gdybym siedziała naprzeciwko niego przy stole konferencyjnym, dałabym stamtąd nogę po dwóch minutach. – Upiła trochę z kieliszka i westchnęła. – Na samą myśl o całowaniu tego wychodka, jakim są jego usta... Ble... No więc, tak czy siak, kolejny atrakcyjny kawaler do wzięcia... do piachu!

– No, to witaj w klubie! – powiedziała Zoey, wznosząc swój kieliszek. – Wszystkie mamy dziś równo przerażane... No to, nasze kawalerskie...

Stuknęły się kieliszkami, po czym Jadę powiedziała bez przekonania. – Może jutro trochę się nam... odrąbie...

– Co daj Boże, amen – dodała Mouse, po czym wszystkie trzy wychyliły swe drinki duszkiem, jak na komendę.

Jadę z westchnieniem postawiła pusty kieliszek na ladzie. – Jeszcze jedna rundka, Myszko. Muszę się trochę nawodnić, zanim rzucę się na parkiet, by poderwać któregoś z tych spoconych młodych przedsiębiorców i zawlec go na zaplecze.

– Zostaw dzieciaki w spokoju, przynajmniej dziś wieczór – Zoey trzepnęła ją lekko po rękach, niczym surowa mamusia karcąca niegrzeczną córeczkę. – Myślę, że możemy po prostu wspólnie poużalać się nad sobą.

– Nie tylko ty miałaś dzisiaj zły dzień, Jadę. – Mouse zaczęła mieszać następnego cosmopolitana. – Ta cała Skye odrzuciła jej nową powieść i przez to nasza Zo została bez forsy. A ja miałam umówione ważne spotkanie z agentem, żeby omówić zmiany w ukierunkowaniu mojej kariery, a ten duppek spotkanie odwołał. Czyli kompletny kanał. Więc może, przynajmniej dziś wieczór, ściśniesz kolana i posiedzisz z przyjaciółkami – mówiąc to, podała im kolejne porcje cosmopolitana.

– No, ostatecznie, mogę się poświęcić – zajęczała Jadę, z pewnym żalem zezując ku parkietowi – ale te chłopaczki wydają się takim łatwym celem... A właściwie dlaczego ty nie miałabyś złapać jednego dla siebie? – zwróciła się do Zoey. – To bardzo dobrze robi na samoocenę.

Zoey potrząsnęła lokami.

– Nie, to nie dla mnie, wielkie dzięki. Zdecydowałam, że jakiś czas będę żyła jak mniszka. Wprawdzie Scott był wspaniałym kochankiem i w sumie cieszę się, że te wszystkie antymęskie odruchy, jakich nabawiłam się dzięki Nickowi, zostawiłam już za sobą, ale... teraz potrzebuję trochę czasu dla siebie, muszę trochę pomyśleć i... No, cóż... Wszystko to, co przesłałam przez Nicka, było prawdziwym piekłem, ale wciąż trudno mi pogodzić się z utratą i jego, i moich marzeń.

Jadę roześmiała się.

– Może seks to nie wszystko, ale on na pewno sprawia, że wszystko wygląda lepiej.

– No, nie wiem – wtrąciła Mouse. – Nie byłam z facetem od czasu zburzenia muru berlińskiego.

Zoey i Jadę spojrzały na nią jak na komendę.

– No dobrze, może trochę przesadzam, ale faktem jest, że moje nieistniejące życie seksualne to jeszcze jeden z powodów kompletnego fiaska mojego obecnego żywota. Powinnam grać. Powinnam występować. Zamiast tego wypruwam sobie flaki i zdieram gardło przed producentami, którzy szukają tylko nowej Bernadette ślicznej białej dziewczuszki Peters, a nocami muszę użerać się z tą bandą rozwydrzonych gówniarzy... – Mouse upiła duży łyk ze swego kieliszka, gdy nagle rozdzwoniła się jej komórka. Szybko dopiła swego cosmopolitana i złapała telefon.

– Wybaczcie, dziewczęta, ale to pewnie wezwanie z Hollywood...

Jadę i Zoey obserwowały ją spod oka.

– Nasza Myszka chyba się łamie – stwierdziła gorzko Jadę.

– Tak bardzo bym chciała, żeby coś się jej trafiło. – Zoey upiła łyk, dziwiąc się, jak łatwo wchodzi druga i trzecia kolejka. Zbyt łatwo. – Nikt bardziej od niej na to nie zasługuje...

Tymczasem Mouse wrzała. Oczy robiły się jej coraz większe i większe, a wyraz zaskoczenia na twarzy przerodził się we wściekłość.

– Co? Co to, do diabła, ma znaczyć? Jego asystentka? Czyli że ten facet nie ma nawet na tyle jaj, żeby zadzwonić i powiedzieć mi to osobiście?

Zoey ścisnęła przegub Jadę. – Chyba szykuje się wielka draka.

Jadę skinęła głową. – Jak nic, pierze będzie fruwać.

Teraz nie mogły już zrobić nic, tylko słuchać, co mówi Mouse.

– No, to posłuchaj Tiffani. Powiedz ode mnie Melowi, że nie może mnie olać, ponieważ to JA wyrzucam jego. Zwalniam, wywalam, wykopuję, co wolisz. I powiedz jeszcze temu dupkowi, że skoro nie potrafi sam ze mną porozmawiać, to nie zasługuje na to, by być moim agentem. A, i przekaz mu, że spotkamy się na moim następnym występie na Broadwayu; i nie wydzwaniam do mnie po lepsze miejsca, bo ich nie dostaniesz. – Mouse z trzaskiem zatrzasnęła komórkę i cisnęła ją na ladę.

Zoey upiła jeszcze trochę cosmopolitana, licząc, że przejrzysty, jasnoróżowy eliksir doda jej siły i mądrości, by stawić czoło powstałej sytuacji. Mouse już i tak była zdołowana, a ten telefon chyba był tą ostatnią kroplą...

– Skarbie? – głos Jadę był ciepły i życzliwy. I krzepiący. – Znowu twój agent... ?

– Mój były agent – Mouse wrzuciła komórkę do kieszeni i przycisnęła obie dłonie do piersi.

– Dobry Boże, co jest ze mną nie tak? Co znowu źle zrobiłam? Czyżbyś nie chciał, bym dalej próbowała być aktorką?

– No, Myszko, będzie dobrze – zaczęła niepewnie Zoey. Zaczynała już mieć dość tej wiecznej optymistki ukrytej w jej wnętrzu, która kazała jej zawsze częstować przyjaciół tymi

gładkimi, wytartymi frazesami. – Może to i lepiej, że tak się stało? W końcu ten twój agent zupełnie się ostatnio nie spisywał i...

– Musimy się napić, dziewczyny. I to czegoś naprawdę mocnego. – Mouse ustawiła na ladzie trzy szklaneczki. – No, to jak? Johnny Walker? Stoliczna? Jakiś sznapsik? Ja osobiście wybieram normalną wodę. – Nalała sobie do pełna i wychyliła jednym haustem.

– Daj mi Courvoisiera – zdecydowała Jadę.

Mouse sięgnęła po pękata butelkę, wypełnioną ciemnobrązowym trunkiem. – Doskonały wybór.

– Myszą, nie będziesz miała przez to kłopotów... ? – zaniepokoiła się Zoey.

– Ty, tam! – ktoś z tyłu mocno pchnął Zoey, po czym szorstki głos za jej plecami zagrzecotał: – Przyrządziłaś nam nie tego drinka!

Obejrzała się. Był to jeden z kompanów Ryżej, grubas z kucykiem. Butny, ordynarny bęczał. Przepychając się ku ladzie, napał całym cielskiem na Jadę i jej koralikową bluzkę.

– Uwważaj, tłumoku! – warknęła Jadę, strzepując Kucyka z siebie i z bluzki.

Kucyk, zamiast przeprosić, szurnął przez ladę kieliszek do połowy wypełniony jasnoczerwonym drinkiem.

– Miały być truskawkowe i jedno limonkowe. Daquiri! Ale ty to najwyraźniej trzniasz!

– Dałam pańskiej znajomej, co zamówiła. A zamówiła truskawkowe. – Mouse starała się mówić spokojnie, ale głos jej drżał. – Mogę przyrządzić limonkowe daiquiri, jeśli pan sobie życzy – mówiąc to, zaczęła wlewać składniki do shakera.

– Jeśli sobie życzę? – Kucyk dramatycznie uniósł obie ręce do góry. – Życzę sobie przypomnieć ci, laluniu, że klient ma zawsze rację i że powinnaś przeprosić za to, że spieprzyłaś zamówienie, dziańdzia twoja głań!

Mouse nie odpowiedziała. Zoey poczuła, że atmosfera stała się jeszcze gęstsza...

– No co, zaniemówiłaś? – Kucyk potoczył wokół nieco już przekrwionym spojrzeniem. Wyraźnie zaliczał się do tych typów, co tylko patrzą, gdzie wywołać awanturę albo ochoczo się do niej przyłączyć. – Mamusia nie nauczyła cię, jak się przeprasza? Co, zatkało cię, czy może jesteś rozmowna inaczej?

Mouse napełniła kieliszek spienionym płynem i przechyliła się lekko przez bar, zbliżając twarz do czerwonej i spoconej gęby Kucyka.

– A twoja mamusia najwyraźniej nie nauczyła cię, jak zachowywać się w publicznym miejscu – powiedziała słodziutko. – Ale nie martw się o swego drinka. Oto on. Tu, na ladzie. A właściwie... uups... – lekko trąciła kieliszek, rozlewając drinka prosto na koszulkę Kucyka – ... właściwie na tobie, knocie.

– Co ty, kurwa... zamachnął się, trafiając po drodze łokciem najpierw w Jadę, a potem w Zoey, którą boleśnie uderzył w pierś.

– Och! – Zoey pośpiesznie ześliznęła się ze stołka, po czym cofnęła się nieco, masując obolały biust. Próbowwała przy tym względnie bezpiecznie dopić swego drinka. Może dlatego, że

był to już trzeci cosmopolitan, zaczęła widzieć wszystko jakby na zwolnionym filmie. Jak na razie nikt nie zareagował na chamstwo Kucyka, ale Zoey czuła, że sytuacja z każdą chwilą staje się coraz bardziej niebezpieczna. Nie dla tego chama, tylko dla Mouse i jej przyjaciół. Czyli także dla niej.

– Ty suko! – ryknął Kucyk, wygrażając Mouse pięścią. Po czym zgarnął z lady kłęb serwetek i zaczął niezdarnie osuszać koszulę i spodnie.

Mouse stała za barem wyprostowana, z oczami pełnymi łez.

– Och, bardzo przepraszam. Czyżbym znowu przyrządziła nie tego drinka? – Jednak jej głos łamał się niebezpiecznie i Zoey wiedziała już, że nie chodzi ani o daiquiri, ani o rozindycznego klienta. Mouse była na skraju załamania. Zobaczyła coś jeszcze. Tłum, jakby nagle ruszyła taśma z filmem, zaczął reagować. Z drugiego krańca baru podchodził El vis, wokół Kucyka zgromadzili się koledzy, gotowi do bitki; ich dziewczyny, lekko wystraszone, robiły wrażenie, jakby pierwszy raz zdarzyło im się oglądać taką scenę. Dwóch wykidajłów przepychało się przez tłum.

– Myszą, słuchaj... – Zoey chciała coś zrobić, ale była jak odrętwiała.

Nagle Jadę, stojącą tuż obok, zamasyżycie wsunęła pod pachę swoją koralikową torebkę. – Marielle, możemy spotkać się przy wyjściu? – najwyraźniej sugerowała, by Mouse wysliznęła się z lokalu przez tylne drzwi.

– A gu... cio – padła sucha odpowiedź. Po czym Mouse szerokim gestem posłała z brzękiem na podłogę dwie puste butelki po piwie, które zmiotła z lady, oburącz chwyciła się kontuaru i wskoczyła nań z niezwykłą gracją. Obcasy jej czarnych botków stuknęły głośno o lakierowane drewno. Obserwującej to ze swego miejsca Zoey wydawało się, że teraz pomaszeruje po prostu ku Kucykowi. Zamiast tego jednak Mouse gwałtownym ruchem zerwała swój fartuch, zmieła go i cisnęła przed siebie, po czym równie zgrabnie zeskoczyła na podłogę. W swym czarnym topie i legginsach wyglądała prawie jak wojownik Ninja z kreskówki. Stała między Zoey i Jadę, objęła je obie ramionami i gromko oznajmiła:

– Spadamy stąd w cholere, dziewczyny. Nagle wyrósł przed nimi jeden z wykidajłów.

– Spoko, misiu – Mouse zatrzymała go tak zdecydowanie i uprzejmie, jakby co dzień uczestniczyła w takich bojowych awanturach. – Właśnie wychodzimy.

– No, trzeba przyznać, że to było super, Myszą. Dałaś prawdziwy popis – powiedziała z uznaniem Jadę, gdy wreszcie dotarły już do wyjścia. Recepcjonistka odprowadziła je osłupiałym wzrokiem.

Przy drzwiach Mouse odwróciła się, jeszcze wykonała przesadny, sceniczny ukłon, zamiatając dłonią po podłodze. – Zegnaj Vermillion! Pa, zaćpane dzieciaczki! Przysięgam na tę wytartą wykładzinę, że mnie więcej tu nie zobaczycie!

– Zatem adios, darmowe *nachos*! – jęknęła Zoey. – Ale i dzięki za cudowne cosmopolitany.

– Zegnajcie i niech was pokręci... – ciągnęła Mouse, gdy Jadę wypychała ją już za drzwi.

Na zewnątrz owiało je zimne, rześkie, nocne powietrze. Zoey miała uczucie, jakby zabawa dopiero się zaczynała. Zachwiała się mocno na nogach, gdy przy krawężniku przyhamowała

nagle taksówka.

– No, to miałyśmy efektowne wyjście – stwierdziła Jadę, strzepując coś ze swej koralikowej bluzki.

– Byłyście cudowne, dziewczęta! – Mouse zaboksowała powietrze przed sobą.

Zoey poczuła, że ma ochotę się śmiać. I to głośno.

– Jasne, że byłyśmy cudowne! Bo jesteśmy!

– Hej! – drzwi taksówki trzasnęły i nagle pojawił się obok nich Merlin. – A dokąd to się szanowne panie wybierają?

– Zostałyśmy wylane – oznajmiła dumnie Mouse. – Wylane, odrzucone, porzucone i rozczarowane. Miliarder Jadę ma cuchnący oddech, a ja rzuciłam pracę. Aha, i nie uprawiałam seksu od tak dawna, że już zapomniałam...

– Rany boskie, co z wami? – Merlin roześmiał się, odrobinę niepewnie. – Może mi ktoś przełożyć na ludzki język?

– Normalka, wszystkim nam idzie jak karawanowi pod górę – próbowała tłumaczyć Zoey. – Ale, tak czy smak, jeszcze los odmieni się nam na lepsze. A jak i kiedy, to nam chwilowo zwisa. Ale cieszę się, że przyjechałeś. Cholernie się cieszę, bo tak rzadko się widzujemy. Pewnie z powodu Josha. Co za ironia losu! Z naszej czwórki tylko facet trafił na właściwego faceta. Kiepsko to wróży przyszłości feministek w naszym pięknym kraju. Ojoj, ja chyba za dużo gadam – przykryła usta dłonią i zachichotała.

– A właściwie to chyba już zaczęłam bełkotać?

– Owszem, jak najbardziej, ale poniekąd z sensem – odpowiedział Merlin, ujmując ją pod łokieć, gdyż coraz bardziej chwiała się na nogach. – Ale ja mam dla was, dziewczyny, wspaniałą nowinę: dziś wieczór oświadczyłem się Joshowi i zostałem przyjęty. Pobieramy się.

– O rany! – Zoey, z niejakim trudem, klepnęła go w ramię, na szczęście trafiła. – Gratuluję!

– Kurczę blade! – wrzasnęła Mouse, rzucając się Merlinowi w objęcia.

– O rany, Myszą, udusisz mnie! – jęknął szczęśliwy narzeczony. – A tak w ogóle, moje panny, ululowałyście się czy to może jakieś wyziewy z pobliskiej destylarni?

– Musimy to koniecznie oblać! – zawołała Jadę. – Oczywiście, nie tutaj! Aż ja jestem zbyt zalana, by prowadzić...

– Chcesz znać prawdę? – spytała nagle Mouse. – Zawsze panikujesz za kółkiem.

– Wcale nie!

– Właśnie, że tak! – Mouse wyskoczyła na jezdnię, by zatrzymać taksówkę.

Czyś ty mnie widziała kiedyś za kółkiem, Mouse? – pomyślała nagle, ni stąd, ni zowąd, Zoey.

– Co się dzieje? – Merlin baczenie przyjrzał się przyjaciółkom. – Co się stało dziś wieczór?

– No, zdałyśmy sobie sprawę, że i tak wszyscy pomrzemy – odpowiedziała Jadę. – Ale zanim to nastąpi musimy rozejrzeć się, gdzie by tu zabalować...

Merlin wniósł oczy do nieba.

– Wielkie dzięki za wyjaśnienie. Już wszystko wiem – ponownie wziął Zoey pod rękę. – Złap się mnie. Cholera, że też zawsze ominą mnie najlepsze kawałki...

– Widzisz, my wszystkie uświadomiłyśmy sobie ... eee... nie bardzo pamiętam, co... – Zoey zachichotała na wspomnienie Mouse wskakującej na bar. – Wiesz, Myszka, byłaś jak Superman, eee... to znaczy... – nie mogąc wyplątać się z zaczętego zdania, zwróciła się znowu do Merlina.

– Rzecz w tym, że dla nas wszystkich nadszedł dziś jakiś koniec, ale przecież nie możemy dopuścić, aby to był koniec, nie? To znaczy, jeśli już nie będę mogła nigdy pisać, zawsze mogę prowadzić delikatesy albo coś takiego...

– Nie uważasz, że od łomotu można sfiksować? – spytała bełkotliwie Mouse – O, wciąż bleep, bleep, bleep....

– A tak w ogóle... – Zoey szarpnęła Merlina za ramię i przywarła do niego na chwilę.

Mouse nadal ciągnęła swoje... – bleep... bleep... Jadę zakryła uszy dłońmi i wrzasnęła. – O rany, zamknij się wreszcie i niechże ktoś znajdzie taksówkę!

– Ee ... rzecz w tym – ciągnęła Zoey, czując, że jest bardzo, bardzo mądra – że czasami chcesz po prostu wyłączyć rozum i zwyczajnie się zabawić. Czy to nie Einstein powiedział, że nigdy nie zrozumiemy wszystkiego?

– Brzmi rozsądnie – odpowiedział Merlin. – Nie sądzę jednak, by odnosił to do bezowocnych prób ustalenia, co się wydarzyło pewnego wieczoru trzem kompletnie zalanym kobietom...

– Mniejsza z tym – Zoey wzruszyła ramionami. – Wiesz, Merlin, czasami za bardzo... tak... analizujesz różne sprawy i o wiele za bardzo się zagłębiasz, i...

Merlin uśmiechnął się.

– Tak, wiem, słyszałem to wiele razy.

Część Trzecia

Mysz, która ryknęła

O rany, nie ma nic gorszego niż poranek „po” – jęczała Zoey, wlokąc się do kuchni. Otworzyła lodówkę i prawie uwiesiła się na drzwiczkach, patrząc ponuro na puste półki. A właściwie czego się spodziewała? Ze elfy czy skrzaty, o których tatko zawsze snuł opowieści, przybędą i napełnią jej lodówkę kawą, mlekiem i sokami? A, i przydałby się jeszcze ciepły, pulchny rogalik...

– Nie budź mnie przed wieczorem – zawołała do niej Mouse z salonu, gdzie wczesnym rankiem zwała się tam na kanapę Skye. Gdy około czwartej nad ranem wyszły z trzeciego już chyba lokalu, ani Zoey, ani Mouse nie były w stanie samodzielnie dotrzeć do domów; Merlin załadował je więc obie do taksówki i dał kierowcy adres Skye, gdyż to lokum było znacznie bliżej niż mieszkanie Mouse na Riverside Drive w Zachodnim Harlemie. Tyle przynajmniej Zoey zapamiętała, ponieważ reszta wieczoru jawiła się jej jako niezborna i mętna mieszanina scen i głosów, przypominająca film, w którym słowa wypowiedane przez postacie niezupełnie zgadzają się z ruchem ich warg.

– Najlepiej to nie budź mnie aż do czwartku – zajęczała z salonu Mouse. – A właściwie... i tak nie mam co robić ani dokąd iść. Możesz odczekać i do piątku...

Zoey zebrała rozczochrane włosy i zwinęła je we względnie uporządkowany kok, po czym chwiejnym krokiem przeszła z kuchni do salonu i przykucnęła obok kanapy, na której leżała Mouse.

– W porządku?

– Będzie w porządku, jak zdecyduję wreszcie, co mam dalej robić ze swoim życiem...

– Bardzo dojrzałe rozumowanie...

– Kawy! Potrzebuję kawy!

– Pójdę po nią. – Zoey dźwignęła się z trudem i powlokła do sypialni. Mimo mnóstwa wody i chyba trzech Tylenoli wziętych nad ranem, głowa nadal łupała ją dotkliwie. Jakoś udało się jej wciągnąć na siebie T-shirt i dżinsy, lecz gdy schyliła się, by włożyć tenisówki, głowę rozsadził straszliwy ból.

– O, mój Boże, chyba się starzeję...

– Słyszałam – odezwała się Mouse. – Lepiej się zamknij i...

– A ty lepiej bądź miła dla mnie – bo to ja idę do Starbucka...

Gdy wyszła na dwór, owiało ją wilgotne i nagrzane słońcem powietrze; to już zdecydowanie wiosna, pomyślała Zoey, mijając portiera, który pracowicie szorował schodki na zewnątrz budynku. Do zapachów wiosny dołączył ostry zapach płynu do czyszczenia. Nieduży targ na rogu buchał prawdziwą orgią kolorów kwiatów oraz piętrzących się na straganach owoców: pomarańczy, jabłek i cytryn. I nagle, ni stąd, ni zowąd, te właśnie stosy cytryn przypomniały

Zoey wyprawę, jaką jeszcze przed ślubem odbyła z Nickiem do Nowej Anglii. Przed oczami przesunęły się jej obrazy New Hampshire, tamtejszych farm i koni pasących się na żółtych od kwitnących jaskrów łąkach.

Wtedy też chyba po raz pierwszy ujawniła się jedna (bynajmniej nie jedyna) z dzielących ich różnic. Nick zawsze niestrudzenie podążał przed siebie, chcąc gdzieś dotrzeć, coś odkryć, pożerać kilometry – nigdy nie wystarczało mu proste bycie gdziekolwiek. Chyba całkowicie obce było mu słodkie uczucie przybycia, dotarcia do celu, ów niepowtarzalny moment satysfakcji z tego faktu. Tak, to wszystko stało się wtedy, przez tę łąkę, żółtą od jaskrów. Zoey poprosiła wtedy, by się zatrzymali, chciała przejść się skrajem, zerwać kilka kwiatów, przysiąść na chwilę, a kto wie, może i poturłać się w tej cudownej słoneczno-cytrynowej trawie. Byli w drodze już od paru godzin i czuła wokół siebie jedynie przenikliwą woń skóry, którą obite były siedzenia ich wozu. Miała absurdalne wrażenie uwięzienia w tej metalowej, wyściełanej skórą puszcze, podczas gdy te wszystkie śliczne wioski, łąki i pola przelatywały za oknami samochodu niedostępne i nieosiągalne.

Pokłócili się tamtego dnia. Źle, brzydko i gorzko. Nick w końcu zatrzymał się, ale po przejechaniu tych paru mil, które upłynęły im na kłótni, wszystko dookoła zbrzydło i poszarzało, i Zoey nie potrafiła już cieszyć się ani widokami, ani kontaktem z naturą. Nick zaś pozostał nadąsany i wściekły. Wyszło na to, że on nade wszystko ceni sobie ruch i zmiany, a ona jest taka pasywna, gotowa zmarnować cały dzień na zachwywanie się jakimś jaskrami...

Wyłożył jej to wtedy z bezlitosną precyzją prawnika. – Spójrzmy prawdzie w oczy, jesteśmy po prostu niekompatybilni – zakończył swój wywód.

Wieczorem złapała ich burza; musieli zjechać z drogi i spędzić noc w małym zajezdzie. I choć Nick ani jej nie przeprosił za swoje złośliwości, ani nie odwołał swych wywodów o ich niekompatybilności, gdy tylko popchnął ją na łóżko, objęła go z całej siły i zaczęła całować, dziko i zaciekle. Tej nocy kochali się tak zachłannie i gwałtownie, jak nigdy dotąd, balansując niemal na krawędzi jakiejś okrutnej praktyki sadomaso, której Zoey poddała się wtedy z ochotą. Wydawało się, że szalejąca na zewnątrz burza udzieliła się wtedy im obojgu.

To być może nasza ostatnia, wspólna noc, myślała wtedy Zoey. Stracę go, gdyż on nie potrafi zrozumieć, że jesteśmy dla siebie stworzeni. A ja będę oplakiwać tę stratę przez resztę mojego życia, ale teraz muszę być z nim, więc niech mnie bierze, jakkolwiek to robi...

A następnego ranka Nick stwierdził pogodnie: – To była cudowna noc. No, to kiedy się pobieramy?

I to były całe jego oświadczyzny. Żadnych romantycznych wstępów, właściwie w ogóle żadnych wstępów; tylko stwierdzenie faktu i pytanie zadane takim samym tonem, jakim mógłby zapytać. – To co będzie na obiad?

A ja powiedziałam „tak”, pomyślała gorzko Zoey, wchodząc już do Starbucka. Dotknęła skroni; ból głowy nasilił się jeszcze bardziej, choć nie miała pewności, czy to z powodu kaca, czy tego nagłego wspomnienia o Nicku. Taak, oświadczył się wtedy z całym wdziękiem

prawdziwego człowieka interesu. A ona, jak ostatnia idiotka, przyjęła te oświadczenia.

Dwadzieścia minut później Mouse i Zoey siedziały na podłodze w salonie, z głowami opartymi o siedzenie kanapy, i czule piastowały w dłoniach gorące papierowe kubki z kawą.

– Pilnie potrzebuję prysznic i coś czystego na grzbiet. – Mouse zadarła do góry czarny top, w którym spała, i powąchała go z obrzydzeniem. – Cała się lepię i cuchnę.

– Zaraz ci coś znajdę. Niech tylko ten młot kowalski w mojej biednej głowie przestanie dudnić. – Zoey przyłożyła ciepły kubek do policzka. – Wiesz, nie możemy już nigdy więcej tak się uchlać.

– No, przynajmniej nie dziś wieczorem...

– No więc... co my z tobą zrobimy?

– Dziś wieczorem?

– Nie, miałam na myśli nasze ledwo rozpoczęte, a już skiepszone kariery. – Zoey pociągnęła łyk kawy i przymknęła oczy. – Zawsze po szalonej nocy, rano musiałam się... , no... oczyścić. Jakby, zrzucić z siebie wszystkie szaleństwa i wprowadzić swe życie znowu na utarty szlak... Mouse poczochnęła krótkie kosmyki swych platynowych włosów.

– No, ja to muszę rozejrzeć się za nową pracą. Uczciwą, przyzwoitą, dzienną pracą, jak to głosiła Nelly Griffin i co na amen wbiła mi do głowy. – Matka Mouse, emerytowana nauczycielka z Rhode Island, zachęcała wszystkie swe dzieci, by już od początków liceum podejmowały doraźne i dorywcze prace. Mouse kiedyś omal nie wylano ze szkolnego teatru, gdyż ciągle opuszczała próby, pracując już to jako opiekunka do dzieci, już to jako sprzedawczyni lodów w miejscowym sklepiku.

– Taa, myślę, że ja też powinnam znaleźć prawdziwą, normalną pracę, a pisać nocami – rozważała Zoey.

– Znowu wracasz do tych swoich pomysłów ze sklepem spożywczym? Bleep! Bleep...

Zoey trzepnęła ją żartobliwie.

– Przestań!

– Cholera, uważaj! Jeśli rozlejesz mi kawę, to ci przydzwonię!

– No, nigdy nie zmarnowałabym dobrej kawy. – Zoey w zamyśleniu podrapała się po nosie.

– Próbuję tylko być realistką. Potrzebuję forsy, więc muszę znaleźć pracę...

– Eee, byłabyś beznadziejną kasjerką. Mówię ci, że wylano by cię w ciągu tygodnia.

– No, tak czy smak, czas już, abyśmy obie zaczęły żyć normalnie. I rozważnie. I żadnego więcej picia... tylko... eee... no, nie wiem, trochę, eee... rozrywki, tak trochę, dla podtrzymania morale...

– Może wycieczki w teren?

– O, właśnie. Obie pilnie potrzebujemy pedikiuru i kolacji w Lotusie. I możemy skoczyć obejrzeć show Rosie O'Donnell i na herbatkę do Helmsley Palace...

Mouse uniosła brew.

– Kotku, nie stać nas na żadną z tych przyjemności...

– No, chyba znajdziemy jakiś tani pedikiur. O kolacji w Lotusie zapomnijmy, ale możemy tam wpaść na drinka. O, na parę martini na przykład...

Mouse kiwnęła głową.

– No, to wybierzmy się jutro na ten pedikiur; moje stopy pilnie go potrzebują – poruszyła cienkimi paluszkami swoich drobnych, wąskich stopek. – Aha, zapomniałam, jak wyszłaś, to dzwoniła do ciebie Natalie. Jakaś tam. Zapisałam przy telefonie.

– Natalie? Moja prawniczka. O Boże, pewnie rozmawiała z Nickiem o naszej ugodzie. – Zoey poradczkowała do stolika, złapała bezprzewodowy telefon i nerwowo wystukała numer. Po dwukrotnym sygnale wreszcie rozległo się:

– Natalie Rodriguez, słucham.

– Och, Natalie, tu Zoey McGuire. Podobno dzwoniłaś. Udało ci się ustalić tę... ugodę?

– Noo, niezupełnie... – tu Natalie wdała się w obszerny opis najnowszych żądań i wybiegów Nicka. Zoey starała się notować, powstrzymując się od wybuchu, lecz gdy Natalie doszła do sprawy domu, nerwy jej w końcu puściły.

– Chce sprzedać nasz dom ze stratą? Niby dlaczego? Zamówiłam wycenę u agenta nieruchomości, zanim wyjechałam. Mówił, że dom jest wart co najmniej milion... I że teraz jest, no... sprzyjająca koniunktura. To co, koniunktura się nagle zmieniła? Przez ile?... Dwa miesiące?

– Nick i jego prawnik chyba sądzą, że szybka sprzedaż, i to po zaniżonej cenie, jest korzystniejsza, niż żebyś miała spłacać hipotekę...

– Kurczę, niepotrzebny mi rozwód, bo tylko patrzeć, a zamorduję tego faceta... On chce szybkiej sprzedaży? – Zoey poczuła, że płoną jej policzki. – Powiedz mu, że...

że to nie wchodzi w rachubę. Nie ma mowy o sprzedaży ze stratą. Tym bardziej że to on się upierał przy tym cholernym domu, na tym pieprzonym przedmieściu, w tym całym Connectifut.

– Tak trzymaj, dziewczyno – odezwała się spokojnie Mouse.

– Zoey, możesz się nie zgodzić – kontynuowała Natalie – ale powinnaś wiedzieć, że Nick ma już kupca na dom, właśnie teraz...

– Ach, a ten kupiec, domyślam się, ma na imię Eileen? W słuchawce zapadła cisza.

– Noo tak, to może być ta jego przyjaciółeczka, no, w takim razie, zgadzam się, rozsądniej będzie odrzucić jego ofertę. A teraz przejdźmy do innych spraw...

Zanim Zoey się rozłączyła, w głowie dudniło jej już na całego. Mouse, która zdążyła wypić swoją kawę, przysiadła obok niej i zaczęła łagodnie masować jej kark.

– Wygląda na to, że Nick Kutafon rzetelnie pracuje na swoje miano?

– Rzetelnie – potwierdziła Zoey, przeglądając nagryzmołone pośpiesznie notatki. – Oprócz tej całej hecy z domem, odmawia podziału swoich oszczędności, za to żąda połowy moich. I jeszcze ma czelność żądać moich tantiem, przeszłych, obecnych i przyszłych! Pewnie przez to czułam się taka przyblokowana: jak sobie pomyślę, że ten palant uważa, że ja i moje książki należą do niego...

– Poczekaj spokojnie, aż przyjdzie pora na właściwy podział majątku. Jeden z moich

kuzynów też przechodził taki parszywy rozwód i wiesz co zrobił? Pociął suknie swojej byłej na strzępy. Wyobrażasz sobie?

Zoey westchnęła.

– Boże, jakie to niesprawiedliwe. Przecież jego pensja czterokrotnie przewyższa tę pozał się Boże miesięczną „rentę”, jaką mi łaskawie odpala, a jeszcze teraz nie mogę nawet zarobić na swoich książkach przez jego pomysły. To... to takie filisterskie, mieszczańskie... takie antykobiece...

– Dobrze przynajmniej, że twój prawnik to kobieta...

– Eee, dla niej to w końcu tylko praca. A dla Nicka oskubywanie mnie z moich zarobków to już chyba prawdziwe hobby. W końcu to nie jego prawnik wymyślił te wszystkie szykany, to Nick. Pewnie bezustannie główkuje, jakby mi tu jeszcze dokopać.

– No, ale przynajmniej wiesz, że wciąż o tobie myśli – Mouse podniosła się z podłogi i przeciągnęła się. – Dobra, idę pod prysznic, a potem biorę de w te i spadam do kiosku po nowy numer *Backstage*. Wygląda na to, że chwilowo muszę być swoją własną agentką.

Zoey wstała również i ruszyła do sypialni, poszukać jakichś ubrań dla Mouse.

– Możesz mnie nazwać niepoprawną optymistką – krzyknęła do przyjaciółki. – Ale wciąż mi się wydaje, że... będzie dobrze. Pozbyłaś się tego knota, Mela, masz ekstra nowe uczesanie... Kto wie, jakie drzwi się przed tobą otworzą?

Z łazienki dobiegł już szum wody z prysznic, ale Mouse zdążyła jeszcze wychylić głowę, by odkrzyknąć.

– Oczywiście, że jesteś niepoprawną optymistką. Nikt nie jest doskonały.

– Oj, co prawda, to prawda – westchnęła Zoey, sadwiąc się w oknie, by popatrzeć z góry na miasto. O, cholera, ale słońce. Podeszła do biurka, wzięła okulary przeciwsłoneczne i wróciła do okna. Rozpościerający się za oknem wspaniały widok nieco ukoił jej skołatane nerwy. No tak, jej małżeństwo to już definitywnie przeszłość, ale jak długo jeszcze Nick zamierza wlec te sprawy z ugodą i zatruwać jej życie? Niech to szlag!

Zaraz, zaraz... Przygryzła wargę. Trzeba działać powoli, ale systematycznie. Tak, trzeba obstawać przy warunkach separacji i przestać się gryźć jałowymi rozważaniami jak, dlaczego i kiedy jej małżeństwo tak się skiepiło. Trzeba na nim definitywnie postawić krzyżyk.

W zamyśleniu pogładziła żółknące liście jednej z ozdobnych roślin Skye. Kompletnie zapomniała o ich podlewananiu.

– Tak – mruknęła sama do siebie pod nosem – krok po krocisku, nawet w ślimaczym tempie, ale muszę z tego wyjść.

Jade z rozmachem zrzuciła z nóg pantofle (niebotyczne szpilki z wężowej skórki od samego Charlesa Davida!) i podwinęła jedną nogę pod siedzenie. Była już prawie dziesiąta; nigdy jeszcze nie zostawała w biurze do tak późna, choć tym razem zupełnie nie chodziło o interesy. A raczej o trochę inne interesy... Wędrowała po sieci, zbierając w internecie informacje o mężczyznach ze swej Listy Najbardziej Pożądanych, lecz komputer był dziś denerwująco powolny, a niektóre połączenia wiodły ją w całkowicie ślepe uliczki, dostarczając wyjątkowo nieciekawych danych o korporacjach, akcjach i inflacjach. Straszne nudy. I te uśmiechnięte buźki młodych członków korporacji, przypominające idiotycznie radosne gęby na plakatach werbunkowych do armii...

– No, dość na dziś – zdecydowała, próbując zamknąć sieć. Komputer jednak nadal coś z siebie wypływał. Nagle na biurku wyładował wydruk dotyczący Reese'a Hilliarda, faceta, który zaczął od rodzinnej winnicy, a obecnie stał na czele korporacji obracającej milionami. No, nie był może miliarderem, ale Jadę już parę dni wcześniej zdała sobie sprawę, że musi nieco obniżyć wymagania, gdyż kolejni kandydaci z jej listy padali jak muchy. Ostatnio dwóch – teoretycznie wolnych i do wzięcia – okazało się gejami, a trzeci właśnie wziął ślub, gdzieś u stóp jakiegoś hawajskiego wulkanu; tak przynajmniej opisywały to wszystkie tabloidy. Facio co prawda przypominał oślizłą krewetkę, niemniej Jadę z żalem skreśliła kolejnego miliardera ze swojego coraz bardziej kurczącego się spisu.

Obok drukarki piętrzył się stos książek; Jadę bowiem nadal z zapalem studiowała zagadnienia związane z tantrą. Liczba książek poświęconych temu tematowi wręcz ją zdumiała: niektórzy napisali mniej lub bardziej autentyczni *guru* i roilo się w nich od duchowych podróży i pozaziemskich przesłań. Inne były dziełem lekarzy i terapeutów. Ci z kolei z detalami opisywali przedziwne pozycje i szczególnie wrażliwe miejsca na ciele, sugerując, gdzie i który palec wetknąć, by wywołać odpowiednie reakcje seksualne. Dowiedziała się w końcu z tych lektur, że tantra to właściwie zbiór pism hinduistycznych, opisujących rozmaite seksualne rytuały, dyscypliny i medytacje. Oryginalna tantra miała formę dialogu między Sziwą, hinduskim bogiem mocy i potęgi a jego kochanką Szanti, reprezentującą kobiecą formę owej mocy. Posiadła mnóstwo informacji o technice oddechu, o południkach i czakramach, o *jin* i o *jang*. Z początku lekceważyła te wszystkie filozoficzne popłuczyny, ale im więcej czytała, tym silniej czuła związek między seksem a duchowością. Czy jej samej nie zdarzyło się doświadczać tego osobliwego oderwania od tu i teraz, od tego czy innego faceta, i smakowania czystej przyjemności? Tak, w tych starożytnych sztuczkach kryło się coś wielce wartościowego, tylko że nie dawało się tego wyuczyć tak szybko, jak się spodziewała. Wszyscy autorzy kładli nacisk na naukę i praktykę, a choć niektórzy polecali ćwiczenia z jednym wybranym partnerem, Jadę była zdecydowana ćwiczyć z każdym zdrowym samcem, jaki się jej nawinie.

Jednak ostatnio jakoś w jej życiu było zdecydowanie mniej seksu. Większość wieczorów spędzała nad książkami. Ostatni raz uprawiała seks tydzień temu: z Chuckiem, na stole kuchennym. Dość żałosny. Miała wprawdzie dwa orgazmy, ale w porównaniu z tymi, jakie przeżyła z panem T. były one – jakby to powiedzieć – cieniutkie.

Zadowolenie? Zaspokojenie? Ledwo, ledwo. A już „po” nie mogła się doczekać, kiedy się wreszcie wyplącze z Chuckowych objęć i wróci do siebie, by pod prysznicem splukać całe nierozładowane napięcie.

Kliknęła ostatecznie zamykając sieć, i właśnie sięgnęła po pantofle, gdy zadzwonił telefon. O, zesz ty! Co za kretyn dzwoni o tej porze? Ktoś rozpaczliwie poszukujący taniego mieszkania dla leniwej córuchy czy para świeżo upieczonych rodziców szuka miłego mieszkania w miłej okolicy, z miłymi sąsiadami? Właściwie miała ochotę pozwolić, by dzwoniący zrezygnował, ale z drugiej strony... interes to interes.

– Słucham, agencja Carter Cantrell, Jadę przy telefonie.

– Halo, dzwonię z Zachodniego Wybrzeża, szukam odpowiedniego mieszkania dla mojego szefa, który właśnie się przeprowadza do N. Y. – usłyszała nieśmiały, męski głos. – Pani jest pierwszą żywą osobą, do której udało mi się dodzwonić; nie znoszę mówienia do tych cholernych automatów.

– No, w rzeczy samej jest już trochę późno, ale proszę zostawić nazwisko i numer, oddzwonię zaraz jutro.

– Och, świetnie. Nie bardzo wiem, jak się to załatwia, ale rzecz w tym, że mój szef będzie za parę dni w Nowym Jorku i chce, żeby mu to mieszkanie znaleźć natychmiast. On nie cierpi marnować czasu i jeśli ma pani coś odpowiedniego, by mu pokazać, wybawi mnie pani z nie lada kłopotu. – Głos brzmiał desperacko, ale zarazem sympatycznie; wyczuwało się w jego wymowie szorstki typowy akcent dla Środkowego Zachodu.

– Skarbie, zawsze jest coś do pokazania – powiedziała pogodnie Jadę, sięgając po notatnik. – Jak nazwisko twojego szefa?

– Pan Chenowitz – gdy jej rozmówca przeliterował nazwisko, wzrok Jadę padł na leżący obok notatnika otwarty magazyn ilustrowany i słynną listę. Numer 6 – A. J. Chenowitz. Nie do wiary. To się nie dzieje naprawdę.

– A imię? – zapytała.

– Ach, on używa po prostu inicjałów: AJ.

Jadę zamarła na chwilę, przyciskając telefon do ucha, po czym wykonała bezszelestny taniec wokół biurka. Tak, tak, tak! Tak, tak, tak.

– Halo? – głos w słuchawce brzmiał jeszcze mniej pewnie niż przed chwilą. – Jest tam pani?

– Tak, jestem. – Jadę przestała tańczyć i złapała telefon oburącz. No, tego kłaska to już ona nie straci...

– To zadzwoni pani jutro? To znaczy... bo pani rano, to jeszcze nasza noc i...

– Proszę się nie martwić – głos Jadę ociekał słodyczą. – Jeśli pan chce, mogę zebrać

wszystkie potrzebne dane, tak abyśmy mogli zacząć oględziny gdy tylko pański szef zawita na Manhattanie.

– Och, fajnie, to znaczy... eee... to świetnie. Naprawdę, ulżyło mi ogromnie, skoro wiem, że pani zajmie się tym wszystkim. Jesteśmy teraz w Oregonie, to znaczy w Portland, to wprawdzie niby miasto, ale my jesteśmy właściwie na przedmieściach i tu wszystko jest... no... nie do porównania z Manhattanem czy Tokio. Chociaż, z drugiej strony, całkiem stąd niedaleko do Doliny Krzemowej. Jadąc wzdłuż wybrzeża...

Jadę uprzejmie słuchała, jak jękając się i zacinając, opisywał jej miasto, drogi i pogodę. Była nawet lekko rozbawiona. Po chwili skierowała jego myśli na właściwe tory, próbując wydobyć z niego informacje – jakiego dokładnie mieszkania poszukuje pan A. J. Chenowitz.

Asystent mówił i mówił, a Jadę patrzyła na zdjęcie Chenowitza w gazecie. Jasne włosy – piaskowo-brązowe czy lekko siwiejące? Ale ładne i gęste, tworzące miłą oprawę dla jego kwadratowej, szeroko uśmiechniętej twarzy. Okulary w grubych, czarnych oprawkach co prawda krzyczały wręcz: OFERMA!, no, ale Jadę już nad nim popracuje...

Otworzyła kalendarz. Zaraz... Jeśli przeniesie spotkanie z panią Langley na czwartek... oględziny mieszkania na Wschodniej Pięćdziesiątej Czwartej podrzuci komuś innemu... a resztę zobowiązań też jakoś upcha...

– Mogę zarezerwować parę najbliższych dni dla pana Chenowitza – oznajmiła asystentowi. – To naprawdę żaden problem.

– I on do ciebie zadzwonił? – Zoey, z telefonem przy uchu, ćwiczyła przysiady na podłodze, podczas gdy Jade wyrzucała z siebie wieści o swym najnowszym milionerze. – Nie do wiary. Kto wie, może facet ma, jak to się mówi, poważne zamiary? Ale pamiętaj, niech lepiej on przyjmie twoje nazwisko. Cohen brzmi dużo lepiej niż Chenowitz.

– Trzymaj kciuki – odpowiedziała radośnie Jade. – Mam z nim spotkanie dziś wieczorem... Życz mi szczęścia!

– Z całego serca życzę ci, byś się zakochała, wyszła za mąż i miała całe stadko małych Chenowitzów.

– Zoey, zlituj się! Chciałabym, byś mi życzyła szczęścia, a nie rzucała na mnie klątwę! No, muszę lecieć. Po spotkaniu zdam ci relację. Cześć!

Zoey pozbierała się z podłogi i wróciła na swoją grzędę przed komputerem. Znowu zapatrzyła się tępo w pusty ekran, upstrzony rzędem ikonek; podobno miały ułatwiać pisanie. Pewnie i ułatwiały, ale komuś, kto miał coś do napisania i wiedział, jak to robić. Ona jednak była w stanie tylko gapić się na te małe ikonki. W lewym górnym rogu ekranu ten wredny, złośliwy, paskudny kursor mrugał do niej, nawołując: „No, piszże wreszcie! Napisz coś! Cokolwiek! Co z tobą, czyżbyś już kompletnie oniemiała?”

– Właśnie! – Prawie warknęła pod adresem jęzorakursora. Znowu dopadł mnie chwilowy brak natchnienia, kompletna niemoc twórcza, jak by tego nie nazwać. Może byś, kursorku, sam coś wyprodukował? Bardzo by mi to pomogło. Ty byś pisał, a ja przez ten czas pozbierałabym do kupy siebie, swoją mózgowicę i swój talent. Tylko parę miesięcy...

Oczywiście, kursor nie zamierzał współpracować; nadal mrugał, jakby się z niej naśmiewał. To mruganie zaczynało ją doprowadzać do szału. Czy w całej Dolinie Krzemowej nie znalazłby się ani jeden komputerowy geniusz, który wymyśliłby oprogramowanie nie strojące sobie żartów z nieszczęsnego twórcy? Postanowiła, że koniecznie napisze o tym do producentów programów... gdy tylko skończy szkicować plan swej następnej powieści.

Westchnęła z rezygnacją. Oparła podbródek na splecionych dłoniach i ponuro powiodła wzrokiem po książkach zawałających biurko Skye; wypożyczyła je wszystkie – na kartę biblioteczną Mouse – z nowojorskiej biblioteki publicznej. Postanowiła bowiem przeczytać jak najwięcej o procesie pisania, by zrozumieć, co się z nią dzieje. Niestety, poradniki napisane przez samych pisarzy jak i przez ich „doradców” mocno ją rozczarowały. W kółko powtarzały się w nich rozsądne i bezużyteczne rady. Najbardziej wkurzająca zaś była ta, którą usłyszała jeszcze w liceum: „Pisz o tym, na czym się znasz!”. Pysnie. Święta racja. A cóż innego zrobiła, wykorzystując doświadczenia wyniesione z sesji ze Scottem w *Czułych miejscach*?

I co jej z tego przyszło? Tylko solidny kopniak od wydawcy, od agenta...

Rzuciła okiem na kalendarz, zastanawiając się, co się właściwie dzieje z tymi nieszczęsnymi *Czułymi miejscami*. Gdy w zeszłym tygodniu rozmawiała z Robin, ta tłumaczyła jej coś mętnie i bez przekonania. Zoey przymknęła oczy, starając się wysłać w przestrzeń wezwanie: Proszę! Przeczytajcie, pokochajcie i kupcie tę książkę, do ciężkiej...

Gdy otworzyła oczy, nic się nie zmieniło. Cursor nadal mrugał jak szalony. O Boże, to śmieszne. Mam przecież tyle różnych historii do opisanie, tyle opowieści do spisania.

Jako dziecko lubiła budować historie i opowieści wokół jednego, wybranego przedmiotu: szczególnie dobrze jej to szło w deszczowe dni, podczas nudnych przyjęć urodzinowych czy przy ognisku, na obozach letnich.

A teraz co? Rozwódka po trzydziestce. Siedzi w cudzym mieszkaniu na Manhattanie. Za oknem zmierzch zapada nad miastem. W pokoju – mętna poświata z pustego ekranu komputera. Fascynujące. Prawdziwe ambitne kino. Wzięła głęboki wdech. Postanowiła zajrzeć głębiej, jak najgłębiej w głąb siebie. No, Zoey, zamknij oczy, skup się... Co widzisz?

Pustka. Nicość. Czarna dziura.

– Kurczę! – poderwała się, wściekła i rozdrażniona; trzeba sprawdzić, czy w kuchni nie znajdzie się cośkolwiek czekoladowego. Może Skye gdzieś coś zachomikowała? Przesuwała właśnie słoiki i pudełka z ryżem i makaronami, gdy zadzwonił telefon. Rzuciła się ku niemu prawie z ulgą.

– Halo?

– Tu Mouse. Jesteś zajęta?

– Tak... to znaczy nie... Właściwie to chciałabym być zajęta – zająknęła się. – A co jest?

– Może byś przyszła i pomogła w ustawianiu mebli?

– Teraz? – Zoey zawahała się. – Noo... miałam zamiar pisać...

– A, miałaś zamiar. I długo już go masz?

Zoey przysiadła na parapecie, wpatrując się w płynący dołem potok samochodów.

– No, nie wiem, mniej więcej od rana...

– Wygląda więc na to, że dojrzałaś do przerwy...

– No, fakt. Dojrzałam, ale z drugiej strony trudno robić sobie przerwę nic nie robiwszy...

– Mhm. Potrzebujesz świeżego powietrza, wrzucenia czegoś na ruszt i w ogóle... zastrzyku energii. Wsiadaj w metro i przyjeżdżaj. Zapisz sobie współrzędne. Jeśli przyjedziesz teraz, to skoczysz ze mną... no, do mojej nowej pracy, to znaczy mam nadzieję, że mojej. To taki całkiem nowy klub, jeszcze w budowie, i mam tam prawie już ugadana robotę. I dziś mam się spotkać z właścicielem, a słyszałam, że jest słodki. To może znaczyć wszystko: może pedzio, a może pieszczoszek mamusi? Muszę się przyjrzeć jemu i temu lokalowi.

– Klub w budowie ... Wiesz, chyba się nie wybiorę...

– Mówię ci, to będzie niesamowite miejsce: – zewnętrzny ogród, i wodotryski, i złote rybki, i egzotyczne ptaki... No, przyjeźdź.

Zoey wciąż się wahała.

– Ale nie jestem ubrana, muszę wziąć prysznic i w ogóle...

– No, to rusz tyłek i wskakuj pod ten prysznic! – rozkazała Mouse. Szybko podała adres, po czym rozłączyła się, zanim Zoey zdążyła ponownie zaprotestować.

– Zatem w drogę – wymamrotała pod nosem Zoey, wlokąc się pod prysznic. Po drodze przypomniała się jej jeszcze jedna złota myśl z poradników dla pisarzy: „Aby pisać, najpierw musisz żyć!”.

No i dobrze, pomyślała. Zamiast spędzić wieczór na pisaniu, spędzę, go... hmn... na życiu. – Pysznie – mruknęła, podstawiając twarz pod strumień wody.

Mouse szarpnęła prowizoryczne drzwi z dykty i weszła do starego, odrapanego budynku, jakich wiele w Zachodnim Harlemie. Kiedyś była tu szkoła. Jej sandaalki zaszurały na wyłożonej papierami podłodze foyer; wspięła się schodami na balkon z ciemnego drewna i spojrzała w dół, gdzie stała kilkunastoosobowa grupka mężczyzn w roboczych kaskach. Ekipa budowlana.

– Cześć, chłopcy. Jak tam dzisiaj?

– Cześć, Marielle – odpowiedział jeden z nich, opierając deskę o ścianę.

Drugi mężczyzna machnął ręką w kierunku czegoś, co kiedyś było chyba szkolnym dziedzińcem.

– Kenny przyszedł dzisiaj... Jest tam, w ogrodzie.

– Dzięki. – Patrząc na stan robót, pomyślała, że choć chłopcy uwijają się dzielnie, trudno uwierzyć, by otwarcie klubu mogło nastąpić za dwa tygodnie.

Gdy wyszła na zewnątrz, musiała zmrużyć oczy, bo majowe słońce świeciło już na pełny regulator. Dopiero po chwili zauważyła trzech mężczyzn siedzących na przewróconych do góry dnem skrzynkach, pochylających się nad czwartą skrzynią. Podwórze otaczał mur, wysoki na około trzy metry. Zdarto już asfalt i usunięto kosze do koszykówki; na całej przestrzeni wiły się teraz kręte ścieżynki, okrążające puste miejsca. Pewnie przyszłe klomby, pomyślała. Podążyła jedną ze ścieżek ku grupce mężczyzn na skrzynkach.

– W przyszłym tygodniu musimy wpuścić tu inspektorów – usłyszała głos jednego z nich. – Rainforest musi być otwarty na czas i nie chcę słyszeć o żadnych kantach. Płacę i wymagam, panowie.

– Absolutnie – skwapliwie przytaknął Jake, kierownik budowy; on jeden spośród tej trójki nosił kask. Mouse poznała go już wczoraj. – Człowiek od projektowania ogrodów ma przyjść jutro, ale z sadzeniem roślin trzeba poczekać jeszcze co najmniej tydzień. A ten zasuwany dach to...

Mouse podniosła wzrok i nagle straciła wątek przemowy Jake'a, gdy pochwyciła spojrzenie mężczyzny, który w tej trójce był zdecydowanie najważniejszy. To chyba on, pomyślała. Potężny Afroamerykanin, ubrany w elegancki garnitur w kolorze mchu i czarną koszulę; ciuchy najwyraźniej musiały pochodzić ze sklepu dla Dużych i Wysokich. Nie, stwierdziła, przyjrzawszy się, jak podciąga nogawkę, by założyć nogę na nogę: ten garnitur był szyty na miarę. Zbyt idealnie na nim leżał, opinając potężny tors, podkreślając szerokie bary i płaski brzuch. Ogolona na zero głowa mężczyzny była gładka i lśniąca; Mouse pomyślała, że przypomina dojrzały bakłazan. Było w tym facecie coś takiego... Siłą prawie stłumiła chęć, by podbiec, pogłaskać go po głowie i przytulić się do niego, jakby był wielkim brązowym pluszowym misiem.

Wbiła wzrok w ziemię, starając się ukryć uśmiech. Dziewczyno, co z tobą? Widać dojadły ci już te wszystkie wiotkości i kościstości, z jakimi miałaś do czynienia na scenie. A tego tu faceta wręcz otacza aura ciepła i zmysłowości. Jest jak...

– No, panowie, myślę, że to byłoby na tyle – usłyszała jego głos. – I chyba dobrze, że zmieściliśmy się w czasie, bo... mamy gościa. Czym mogę służyć?

Mouse podniosła oczy i zdała sobie sprawę, że wszyscy trzej mężczyźni patrzą na nią; nagle spłoszyła się i pomyślała, że właściwie powinna włożyć coś bardziej szykownego niż te denimowe szorty i czarny top, który co prawda efektownie odsłaniał jej pępek, ale nagle wydał się jej w tym otoczeniu niezbyt stosowny.

– Jestem Marielle Griffin – podeszła i kolejno ucisnęła im dłonie. – Wczoraj rozmawiałam z Jakem i z Dee, zarządcą, który powiedział mi, żebym przyszła dziś, by spotkać się z panem, panie Aragon. – Jej dłoń zniknęła w jego ogromnej dłoni, niczym rączka dziecka w niedźwiedziej łapie.

Kenny Aragon spojrzał na nią, mrużąc oczy przed słońcem.

– Pani jest tą nową hostessą?

Kiwnęła głową, zastanawiając się, czy ją sprawdza.

– No, niee, tylko tak, gdy patrzyłem, jak pani nadchodzi, na tej ścieżce, w słońcu... W pierwszej chwili pomyślałem, że to któreś z tych dzieciaków, które przychodziły tu się bawić. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest pani dorosłą kobietą...

Kpi czy o drogę pyta? Ale nie, jego głos był tak miły i uprzejmy, że Mouse nie miała wątpliwości, iż facet mówi poważnie. No, on z całą pewnością nie jest z Nowego Jorku.

– Nie jest pan po prostu przyzwyczajony do ludzi normalnych rozmiarów, szefie – odezwał się Jake. – Nic dziwnego, po tylu latach spędzonych w gronie podobnych do siebie dwumetrowych gigantów... Tak sobie myślę, że dla zawodowego futbolisty taki powrót do zwykłego świata...

Futbolista? No, jasne, z takim wzrostem i klatą. Mouse słuchała dalszej rozmowy z grzecznym uśmiechem, osuwając się z faktem, że jej nowy pracodawca jest byłym zawodowym futbolista. Coś takiego. Nie miała, rzecz jasna, pojęcia, jakim był graczem, bo większość tak zwanych męskich sportów kompletnie jej nie interesowała. Ale zaraz, co takiego mówiła o tym facecie jej kuzynka Sarah, gdy namawiała Mouse, by zgłosiła się do tej pracy? Pamiętała tylko, że „jest kawalerem” i że „jest słodki”, aha, i że to taki mały, zagubiony mamusin synek. No, mały na pewno nie. Zadarła głowę do góry i uśmiechnęła się do swojego nowego pracodawcy.

– To kiedy zaczynamy?

– Noo, właściwie to powinniśmy najpierw... przesłuchać kandydatki, ale byłem uwiązany w Atlancie, gdzie otwieraliśmy pierwszy lokal Rainforest. No więc chciałem zaangażować hostesse od razu, a pani kuzynka zaręczała mi, że jest pani dokładnie taką osobą, jakiej potrzebuję.

– Sarah ma zawsze rację – zgodziła się bez oporów Mouse.

Roześmiał się. – I jest prawie tak samo przekonująca, jak pani.

W tym momencie pojawiła się Zoey, biegnąc jedną ze ścieżek i wołając z daleka: – Hej, wy tam, cześć! Waliłam w drzwi, ale nikt nie odpowiadał, wreszcie jakiś facet w kasku powiedział mi gdzie mam iść, no i... – dobiegła zdyszana do nich, poprawiając wzburzone włosy – ... no i jestem.

– Pozwól, Zoey, to Kenny Aragon, właściciel klubu Rainforest – powiedziała Mouse. Po czym dodała – a to moja najlepsza przyjaciółka, Zoey McGuire. Jest pisarką. To znaczy... znaną pisarką.

– Doprawdy? witam serdecznie – Aragon energicznie potrząsnął dłonią Zoey. – Byłbym zaszczycony, gdyby pisarka pani formatu zechciała dołączyć do nas w Rainforest.

– Dzięki – odpowiedziała uśmiechnięta, lecz wyraźnie zakłopotana Zoey. – Wygląda, że nie będzie to zwykły klub, aleja... staram się unikać zbyt późno kończących się imprez...

Kenny Aragon popatrzył przed siebie, na przyszły ogród i otaczający go mur.

– Nie jestem amatorem picia i choćby z tego powodu zamierzam stworzyć klub, w którym ludzie znajdą miłą atmosferę i będą się dobrze bawili bez potrzeby upijania się i bez narkotyków. No żeby nie był zbyt zadymiony... Nie, żebyśmy tu w ogóle nie podawali alkoholi, ale widzę Rainforest raczej jako klub, gdzie przyjaciele przychodzą zjeść wspólnie kolację, posłuchać dobrego jazzu, tu, u jego źródła, w Harlemie, i w ogóle miło spędzić czas, nacieszyć się towarzystwem przyjaciół... Chciałbym cofnąć się do czasów tych eleganckich nocnych lokali z przeszłości, zanim muzyka stała się zbyt głośna, a powietrze zbyt toksyczne...

– Ma pan wielkie ambicje, panie Aragon – powiedziała Mouse. – Nauczyć nowojorczyków takiej kulturalnej rozrywki... próbować rozerwać ich w kulturalny sposób... – Rany boskie, pomyślała w popłochu, co ja gadam? Jąkam się jak małolata...

– Och, proszę mi mówić Kenny. A teraz może obejrzymy lokal.

Szedł, objaśniając po drodze planowane zmiany i inwestycje, podczas gdy Zoey i Mouse dreptały za nim posłusznie. Nad ogrodem miał być rozsuwany dach; w ogrodzie – jak tłumaczył – będą fontanny, sadzawki ze złotymi rybkami i woliery dla egzotycznych ptaków. Tu goście znajdą miłe otoczenie i pożądaną prywatność. Poza tym w klubie przewidziano oddzielne gabinety, specjalnie zaprojektowane i umeblowane przez renomowanego projektanta, no i czterogwiazdkowego szefa kuchni ...

Mouse, przyglądając się foyer przy wejściu, stwierdziła fachowo:

– Popatrzmy... Gdy goście będą czekać na wejście, może zrobić się tu zbyt tłoczno, więc powinieneś pomyśleć, jak rozładować tłum. Można by zainstalować, o tu, nieduży bar. Szatnia jest w dobrym miejscu, nie blokuje ruchu gości. Ale ten bar powinien być bez stołków, tak by dyskretnie wskazać gościom, by przechodzili dalej i nie marudzili tutaj...

Kenny słuchał uważnie, z palcem przyciśniętym do podbródka – Tak, to niezły pomysł. Podoba mi się twój sposób rozumowania, Marielle.

Mouse roześmiała się.

– No nie, wygląda na to, że jesteś w tej branży dopiero od wczoraj...

– Cóż, właściwie to tak. To zła wiadomość. A dobra jest taka, że chętnie słucham dobrych rad i szybko się uczę.

Zoey uśmiechnęła się do niego.

– No, to masz szczęście. Mouse – to znaczy Marielle – ma dla ciebie mnóstwo dobrych rad.

Mouse zadawała mu dalsze pytania o menu, o godziny otwarcia, o szkolenie personelu, nawet o projekty kart dań.

– I ty masz zamiar uruchomić to wszystko za dwa tygodnie? A... – zawahała się – kogo przewidujesz na otwarciu?

– Wielu moich przyjaciół obiecało, że wpadnie. Mój ojciec miał nadzieję, że dojedzie z Atlanty, niestety, okazało się, że ma jakieś wcześniejsze zobowiązania.

– No tak, ale... – Mouse znów się zawahała – ja pytam, kto przyjdzie ze sław, no, kogo zaprosiłeś spośród tych z pierwszych stron...

Kenny wzruszył ramionami, na co Mouse rozdziawiła usta.

– Nie powiesz mi chyba, że nie pozapraszałeś tych... sławnych i bogatych?

– Prawdę mówiąc, po to między innymi wynająłem tak doświadczone w tej branży osoby, jak ty. – Wyciągnął z kieszeni marynarki notatnik. – Kogo więc powinniśmy zaprosić?

– Boże, mogłabym ci tu od razu rzucić parę setek nazwisk, ale to nie ma sensu bez adresów i w ogóle. Ale słuchaj, moja kuzynka pracuje dla jednej z firm PR i ma dostęp do spisów wszystkich ważnych osób z Manhattanu, ich adresów i tak dalej. Najpierw jednak musimy zrobić projekt zaproszenia i posłać go do drukarni. To powinno być coś z klasą, ale zarazem trochę odlotowe...

– Masz rację, coś z nawiązaniem do lasów deszczowych... – kiwając głową Kenny szybko robił notatki. – Może papuga albo...

– Albo liść palmowy... coś bardzo prostego... – widać było, że Mouse jest w swoim żywiole.

Nagle zabrzęczała komórka Kenny'ego. – Och, przepraszam – rzucił, po czym poprosił rozmówcę o chwilę cierpliwości. – Jeśli macie ochotę, drogie panie, jeszcze się tu pokręci, proponuję, byście zajrzały do kuchni. Siedzi tam Michael i pitrasi właśnie jakieś smaczne przekąski. Michael Donatello, słyszałyście chyba o nim?

– Donatello? – Mouse wzięła się pod boki. – Czy to nie jeden z tych Zmutowanych Żółwi Ninja?

Kenny roześmiał się.

– Rozumiem więc, że poświęcicie trochę czasu na degustację?

Zoey entuzjastycznie kiwnęła głową, jako że nigdy i nigdzie nie odmawiała darmowego poczęstunku. Mouse natomiast ostentacyjnie spojrzała na zegarek, chcąc stworzyć wrażenie, że się waha. Za żadne skarby nie chciała, by Kenny dowiedział się, że na dziś miała w planie tylko przedstawianie mebli w swoim mieszkaniu, no i ewentualnie wychylenie w towarzystwie Zoey kilku margarit. Niech sobie ten wielki mysio-pysio nie myśli, że jestem na każde skinienie...

– Myślę, że jakoś zmieścimy się w czasie – powiedziała.

– Wspaniale – uśmiechnął się, a ciepły blask jego brązowych oczu sprawił, że serce Mouse zaczęło się topić jak masło na słońcu.

Gdy odszedł, by porozmawiać spokojnie przez telefon, Mouse i Zoey przeszły się po długim balkonie otaczającym przyszlą salę jadalną. Tu jest też dość miejsca na co najmniej dwa rzędy stolików, pomyślała Mouse, rzutem oka oceniając szerokość galerii. Zaczęła odczuwać podniecenie, myśląc zarówno o możliwościach tkwiących w tym lokalu, jak i o swym nowym szefie.

Odwróciła się do przyjaciółki.

– No... i co myślisz?

– Niezły, choć nie sędzę, bym mogła tu często bywać...

– Nie o to pytam, kretynko! Co myślisz o nim? Czyż nie jest... imponujący? Prawdziwy olbrzym. Ciekawe, jak wyglądał w tych majtkach futbolisty?

– No, jest super. To znaczy superciało i tak dalej. Ale to twój szef, a o ile pamiętam, to wobec swych chlebobawców sama sobie złożyłaś śluby czystości...

– No tak, ale to chodziło o tych wszystkich producentów i reżyserów, całą tę artystyczną zgraję. Kiedy byłam znaną aktorką, nie chciałam, by ktokolwiek mógł powiedzieć, że doszłam na szczyt przez czyjeś łóżko – wyjaśniła gwałtownie Mouse. – Ale teraz jest inaczej. Tutaj to nie kariera, to po prostu praca.

– Czyli że dla niego zrobisz wyjątek od swych niezłomnych zasad? – Zoey pokiwała głową.

– Pamiętaj w takim razie o klauzuli w kontrakcie... – tu spojrzała nagle na zegarek.

– A, jeśli już mowa o kontraktach, ciekawe, jak poszło Jadę z jej najnowszym miliarderem.

– Pewnie kolejna klapa. Ta jej lista Najbardziej Pożądanych kurczy się w zastraszającym tempie. W końcu nie da się zmusić faceta, by się w tobie zakochał.

– No, nie sędzę, aby miłość była akurat tym, czego Jadę szuka na tej liście – westchnęła Zoey. – Właściwie, to miłość nie ma tu nic do rzeczy.

Z okazji swego pierwszego spotkania z AJ. Jadę starała się ze wszystkich sił zadbać o wszystko i wszystko przewidzieć. Sprawdziła restauracje w pobliżu każdego domu i apartamentu, które mieli oglądać, chcąc mieć na podorędziu miły, romantyczny lokalik, gdyby klientowi chwilowo znudziło się oglądanie i zechciał wstąpić gdzieś na drinka. A może na kolację?

Postanowiła umówić się z nim w pierwszym z lokali ze swojej listy, zakładając, że resztę obejrzą poruszając się jego limuzyną. A kto wie, co może się zdarzyć w zaciszu eleganckiej maszyny, na tylnym siedzeniu... Włożyła kostium od Calvina Kleina z wiśniowej tafty, tak pięknie opinający się na jej zgrabnym tyłeczku, stopy wsunęła w pantofle od Manolo Blahnika na niebotycznych obcasach, zaś w eleganckiej teczusce miała niezbędne papiery, perfumy, odświeżacz oddechu i zapas prezerwatyw.

No, bo nigdy nic nie wiadomo...

Gdy wchodziła, stukając obcasami, do westybulu Imperial Plaża, poczuła, że niepokój ściska jej żołądek. Ta Lista Najbardziej Pożądanych tylko na początku wydawała się takim prostym rozwiązaniem, czy jednak nie przykładała do tych, z przeproszeniem, prostych miliarderów swych zbyt wysokich, praktycznie niemożliwych do spełnienia standardów rodem z magazynów kobiecych? Ba. Przecież ci faceci, jeden w drugiego, byli beznadziejni jako materiał na mężów...

Usłyszała szmer otwieranych drzwi i pojawił się on. W okularach i kurtce baseballowej wyglądał niewiarygodnie młodo, wręcz głupkowato. O rany, zamierzałam uwieść nastolatka!

Gdy jednak podszedł bliżej, ujrzała oznaki zbliżającej się, a może już przekroczonej czterdziestki. Włosy na skroniach połyskiwały srebrzyście, a wokół oczu zbiegały się sympatyczne zmarszczki, zwłaszcza gdy się uśmiechnął.

– Jadę Cohen, jak sądzę? – powiedział, wyciągając ku niej dłoń i uśmiechając się jeszcze szerzej.

Miły, naiwny kmiotek, pomyślała Jadę, przystrajając twarz w najbardziej profesjonalny ze swych uśmiechów. – Tak, jestem Jadę, panie Chenowitz, i to prawdziwa przyjemność dla mnie poznać pana...

– Och, doprawdy? To znaczy... naprawdę przyjemność? Ludzie tak zwykle mówią, ale osobiście...

Nie wiedzieć czemu poczuła, że się denerwuje. I przypominała sobie, że od południa, poza zjedzonym w pośpiechu bajgłem, nic nie jadła.

– To znaczy... właściwie – ciągnął pan Chenowitz – osobiście mogę powiedzieć, że to dla mnie przyjemność poznać panią, zwłaszcza że kolor pani sukni sprawia, iż mam ochotę się uśmiechać. Odczuwałaś kiedyś kolor w ten sposób, Jadę?

Uśmiech Jadę stał się odrobinę niepewny.

– Co? O, ależ tak. Sądzę, że tak. Niektóre odcienie błękitu. – Zmieszana, czując, że portier przygląda się im badawczo, ciągnęła dalej. – To co, może na początek pojedziemy na górę obejrzeć pierwsze mieszkanie, a pan będzie mógł mi powiedzieć, czego pan oczekuje, co pan lubi, a czego nie, i tak dalej. W ten sposób zorientuję się, co będzie dla pana najodpowiedniejsze.

– Świetnie. To znaczy wspaniale...

Jadę ruszyła ku windom; on podążał za nią, rozglądając się po westybulu.

– Dziś jest taki piękny dzień, a jakby nikt tego nie zauważał. Może to dlatego, że w Portland nie mamy za wiele słonecznych dni. Zupełnie nie rozumiem, jak ludzie mogą nie zauważać, że dzień jest taki piękny...

Co on bredzi? Jaja sobie robi? Jadę pewnym krokiem ruszyła ku windzie i nagle zderzyła się ze ścianą.

– O, żesz... ! – syknęła, masując ramię.

– Pewnie niedawno przesunęli wejścia do wind – zażartował.

– Pewnie tak – prychnęła, zastanawiając się gorączkowo, jak to się mogło stać.

– Dobrze się pani czuje?

– Ależ oczywiście. – Jadę, wchodząc do windy, poczuła przez moment, że ogarnia ją uczucie paniki. Co się dzieje? Dlaczego ten gość tak na nią działa?

– A pani lubi słońce, Jadę?

– O tak, oczywiście – odpowiedziała machinalnie i zaraz zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to płasko i drętwo.

– Tak, właściwie to... – zawahała się przez moment, szukając bardziej błyskotliwej odpowiedzi – najbardziej chyba lubię wygrzewać się na słońcu, na jakiejś spokojnej plaży. Mówi się, że słońce jest szkodliwe, ale jestem przekonana, że ma też właściwości uzdrawiające... – odwróciła się ku niemu, czując się nagle nieśmiała i niezręczna pod uważnym spojrzeniem jego szarych oczu.

– Uzdrawiające? – chyba był zaintrygowany. – To ciekawa teoria, na pewno warta zbadania. Muszę to zanotować.

– Zaczął coś pilnie wystukiwać w swym elektronicznym notesie.

Spodobało mu się to, co powiedziałam. Jadę wbiła oczy w drzwi windy, czując dziwne łaskotanie u nasady szyi. Kurczę, dlaczego czuję się jak sześciolatka, która umalowała się mamusiną szminką? To, co wytrąciło ją z równowagi, to nie była tylko jego... nieprzewidywalność. To jej własne reakcje tak nią wstrząsnęły. Cholera, wygląda na to, że zależy mi na tym, aby mnie polubił.

Chciała, aby ją polubił. No i co w tym śmiesznego?

Zoey i Mouse siedziały przy składanym stole, rozstawionym na balkonie, przyglądając się robotnikom i dojadając resztki z bogatego wyboru przystawek i przekąsek. Uraczył ich nimi szef kuchni, wyraźnie zachwycony entuzjastycznymi pochwałami pod adresem jego popisowych dań, wśród których wyróżniały się glazurowana cielęcina z kasztanami, pierś kurczaka z gruszką i serem gorgonzola, medaliony z węgorza w sosie chardonnay i łosoś *meuniere*. Obie w końcu zaczęły się wręcz ścigać w wymyślaniu coraz to nowych komplementów dla jego niezwykłych osiągnięć.

– To... to jest o niebo lepsze niż seks – zawołała w końcu triumfalnie Zoey. Michael zrewanżował się jej pełnym uznania, szerokim uśmiechem, natomiast Kenny wydawał się jej porównaniem lekko zakłopotany.

– No, nie wiem, czy posunęłabym się aż tak daleko... – zawahała się Mouse, rzucając mu zalotne spojrzenie.

Kenny podniósł obie ręce do góry, jakby się poddawał, po czym przeprosił je na chwilę, mówiąc, że musi zadzwonić. Na odchodnym rzucił:

– Och, wy, dziewczęta z Północy jesteście zbyt śmiałe. Moja mama by się zarumieniła.

– Jakie słodkie niewiniątko! – zaśmiała się Mouse. – Powiedz mamie, że to tylko pozory, no wiesz, więcej szczekania niż gryzienia.

Gdy odszedł, Mouse wdała się w dyskusję z szefem kuchni na temat pozostałego menu, roztrząsając zalety sałatki z mniszka oraz rozważając czy w porządnej sałatce Cezara konieczne są anchois. Zoey w tym czasie przesunęła swoje krzesło bliżej poręczy balkonu i, gapiąc się na pracujących w dole robotników, pozwoliła myślom wędrować swobodnie i bez celu. Od czasu Scotta hałas młotka, wiertarki i innych narzędzi działał na nią uspokajająco. Może tu jest źródło mojej nowej blokady twórczej, pomyślała leniwie: może będę musiała nagrać na stereo Skye jakieś odgłosy takich robót, skoro pisać i tworzyć mogę teraz tylko przy wizgu wiertła albo stukocie młotka?

Na dole dwóch pracowników starało się ustawić w pionie wielki panel i przysunąć go do ściany. Oto bogowie dwudziestego pierwszego wieku, pomyślała, patrząc na nich, na mięśnie ich barków, wspaniale grające pod przeponczonymi Tshirtami, i na obute w ciężkie robocze buciorzy stopy, tak mocno i pewnie stojące na ziemi. Gdy kilku z nich ustawiło się tyłem do niej, przytrzymując panel przy ścianie, ich opięte dżinsami pośladki utworzyły efektowny szereg, niczym w kankanie.

Przy samym końcu tego rzędu, już w cieniu, przyciągnęła jej spojrzenie jaskrawo-turkusowa koszula. To taki sam kolor jak... O cholera, jest i napis: „Scott Peterson. USŁUGI STOLARSKIE”. Gwałtownie podniosła głowę.

– Rany boskie!

– Co? Co się stało? – Mouse spojrzała na nią sponad spisu dań, na którym kreśliła jakieś notatki. Michael znikł; najwyraźniej wrócił już do kuchni.

– To Scott... On tu jest... pracuje... tam na dole – syknęła Zoey iście scenicznym szeptem. – Pewnie wynajęto go tu do naszych prac remontowych...

– Który to?

– Ostatni tyłek z lewej. Turkusowa koszula. Mouse przechyliła się przez poręcz i spojrzała w dół.

– Mmmhmm. – Porozumiewawczo szturchnęła Zoey. – Mmmhmm! Całkiem niezły tyłek! Czemu nie zejdziesz na dół i nie powiesz mu „cześć”?

– Ja? Co? Nie! – Zoey gwałtownie odskoczyła od poręczy, przerażona, że Scott mógł ją zobaczyć.

– A niby czemu nie? Co, boisz się, że cię złapie, przerzuci sobie przez ramię i, na oczach tych wszystkich *machos* w kaskach, przyłoży ci klapsa?

– No nie, oczywiście, że nie. – Zoey nagle uświadomiła sobie, że Scott na pewno nie zrobiłby nic niewłaściwego w publicznym miejscu. W końcu to żonaty facet. Ale gdyby tak oboje... wysliznęli się razem ukradkiem? Szatnia była pusta. Podobnie toaleta dla pań, choć jeszcze niewykończona. Mogliby tam... – wyobrażenia podsunęła jej podniecające obrazy, jak kochają się na stosie kafelków, albo... albo... lepiej przy... ładzie recepcji... Hmm... Czemu nie? Może tam zaraz zejść i...

Może? Tak po prostu zgarnąć faceta z placu budowy i pójść z nim gdzieś na zaplecze, to niezupełnie to samo, co uwieść tego samego faceta w domowym zaciszu...

Poczuła, że Mouse szturcha ją ponownie.

– No, dziewczyno, łap okazję. On właśnie wchodzi na schody.

Brutalnie przywrócona do rzeczywistości, Zoey wyprostowała się na krześle i spojrzała na grupę mężczyzn, wspinających się po schodach. Gdy Scott podniósł głowę, szybko odwróciła się i chwyciła za krawędź stolika, mocno, aż zbieleły jej kostki. Czowała, że ją zauważył i że właśnie podchodzi.

– Hej, panowie, tutaj – powiedziała Mouse, patrząc na coś za jej plecami.

Zoey odwróciła się i zderzyła się z tym niewiarygodnym błękitem oczu.

– Scott? Cześć...

– Cześć. – Wydawał się roztargniony, pochłonięty czymś innym. – A co ty tu robisz?

– Tak się... kręcę. Moja przyjaciółka, Marielle, ma tu pracować.

– To świetnie – skinął głową. – To będzie pierwszorzędny lokal.

Zoey też kiwnęła głową, marząc tylko o tym, by stąd zniknąć, a wraz z nim ta niezręczna sytuacja. Nagle odeszła jej ochota, by go znów uwodzić. O nie! Nie tu. Nie teraz. W ogóle nie. Nigdy więcej. Koniec.

– No, to ja spadam – powiedział Scott. – Zbieram się do domu. Powodzenia!

– Nawzajem – odpowiedziała Zoey, patrząc za nim, gdy odchodził. A właściwie patrząc na jego tyłek – jedną z jego lepszych... stron.

Gapiła się nań i Mouse. – O, Panie! – powiedziała nagle. – Jakby remontował moje mieszkanie, też bym się nie oparła. A tak właściwie to rozglądam się za kimś kto zrobiłby mi regał na książki. – Gonila za nim wzrokiem, a gdy wyszedł na zewnątrz, podbiegła do okna.

– Słodki jesteś, Panie Młotku, oj, słodki. I, o rany, chodź tu i spójrz na to!

Zoey podeszła do okna. Na zewnątrz Scott wsiadał właśnie do wypucowanej na błysk furgonetki. Zatrzasnął drzwiczki; słońce błysnęło na wypisanych na boku pojazdu jego nazwisku i logo firmy.

– Cholera, wszędzie umieszcza swoje nazwisko – powiedziała Zoey, przypominając sobie jak kiedyś, podczas szczególnie namiętnych zapasów, wydrapał je na jej brzuchu.

– Lepiej spójrz na te imiona wypisane na przodzie. Na podwoziu widniały trzy imiona: Cindy, Jason, Alexa.

– To chyba jego żona i dzieciaki – zauważyła Zoey.

– W końcu nigdy nie ukrywał tego, że jest żonaty.

– Ciekawa jestem, czy jego żona wie, jak on się zabawia w godzinach pracy?

Zoey wzruszyła ramionami.

– Prawdę mówiąc, nie zastanawiałam się nad tym, ale sądzę, że raczej dobrze się krył. Zawsze po... no, po seksie wskakiwał pod prysznic. Nie mam pewności, ale raczej wątpię, że byłam pierwsza lub... ostatnia!

– Chyba żartujesz! Idę o zakład, że już teraz znalazł jakąś nową przyjaciółkę, której remontuje to i owo...

– Czy to znaczy, że nie muszę czuć się winna, że spałam z żonatym facetem? Merlin, gdy mu o tym powiedziałam, palnął mi nieliczne kazanie. Powiedział, że w samym seksie nie ma niczego nagannego, ale uprawianie go z żonatym mężczyzną pobudza złą karmę. Martwił się, że totalnie zapaskudziłam tę swoją karmę...

– Doprawdy? – Mouse odwróciła się od okna. – Hm, zła karma... No dobrze, ale w takim razie co z takim żonkosiem, który się puszcza? Karma takiego pokrywacza jak Scott musi być totalnie do bani. A może dla facetów są jakieś inne zasady przy tym przydzielaniu karmy?

Zoey roześmiała się – Nie mam pojęcia. A poza tym kto właściwie rozdaje tę karmę? Jakiś król karmy?

Mouse zachichotała.

– Oj, bardzo bym chciała się dowiedzieć, kto ustala te zasady, bo niektóre z nich stanowczo powinny być napisane na nowo. – Popatrzyła w dół, ku ogrodowi. – Wiesz, co powiedział mi Kenny? Że nie uznaje randkowania z personelem. Odnoszę wrażenie, że jednak żartował.

– Doprawdy? – Zoey podążyła za jej wzrokiem. – Poznałeś go dziś i już tak go dobrze znasz? Szybko działasz, Myszą.

– A po co czekać? I krążyć wokół sprawy? Tak czy inaczej, muszę z nim pogadać o tych jego

zasznurowanych południowych poglądach i wybić mu je z głowy. W końcu, kurczę, tam ludzie też uprawiają seks.

– Witajcie na składkowej kolacji Zoey McGuire – powiedziała radośnie Zoey, przytrzymując drzwi, by wpuścić Merlina i Mouse. Od czasu gdy Mouse opuściła (w bardzo malowniczy sposób) klub Vermillion i oczekiwała na otwarcie Rainforest, dla całej grupy przyjaciół jądanie poza domem i balowanie po klubach stało się zbyt kosztowne. Zoey postanowiła więc zapraszać ich do siebie, uściślając, że sama zapewnia tylko napoje, goście zaś w rewanżu powinni przynieść coś do jedzenia.

– Jadę już jest; przyniosła tajske pierożki i sajgonki. Mam nadzieję, że wy macie coś innego. Oj, coś cudownie pachnie...

– sięgnęła do torby Mouse, lecz ta odsunęła ją gwałtownie.

– Precz z łapami! – oburzyła się. – Szef kuchni dał mi sporo darmowych zakąsek, ale musiałam mu uroczyście przyrzec, że podam je wam ze wszystkimi szykanami, a jak wiecie, za nic nie chciałabym narazić na szwank jego renomy i twórczego geniuszu...

– Dobra, bierz talerze i sztucce, i zaczynaj pokaz – Zoey machnęła ręką w kierunku kuchni. – Wciąż nie wiem, gdzie co leży, musisz sama poszukać, ale ostatecznie czego się spodziewałaś? Przez ostatnie trzy miesiące żyłam tylko kawą i żarciem na wynos.

– No, a ja, nie chwaląc się, umordowałem się co prawda w tej mojej minikuchni, ale krokiety z bakłażanów udały mi się, że palce lizać – Merlin postawił tacę na kuchennej wysepce i zakasał rękawy. – I jeśli choć jedno z was powie, że smakują jak kurczaki, to przysięgam, że wywalę mu to na głowę.

– Boże, chciałabym umieć gotować – jęknęła Zoey.

– Ale chwilowo daruję sobie. To zbyt ... ee... artystyczne, za dużo pochłania czasu i jeszcze się od tego tyje. Poza tym mam już właściwie takie artystyczne, zabierające czas i tuczające zajęcia...

– Seks? – Jadę wychyliła głowę z salonu, gdzie próbowała rozmawiać przez swą komórkę. – Myślałam, że z tym Scottem to już skończone?

– Miałam na myśli pisanie – zazgrzytała Zoey. – Chociaż ostatnio nie bardzo...

– Ojej, moje biedactwo. Wciąż ta blokada twórcza? Zoey jęknęła głucho.

– A czy papież jest katolikiem? Jadę poklepała ją po ramieniu.

– Nie martw się! To minie.

– Droga Zoey, zaraz zademonstrujemy ci, co można zrobić z garnka spaghetti – zawołała z kuchni Mouse.

– Tym sposobem nigdy nie umrzesz z głodu. Prawda, Merlin?

– Prawda – potwierdził, mrugnawszy porozumiewawczo. – Tylko jak ugotować to cholerne spaghetti?

Mouse zachichotała. Układała właśnie na talerzach kotlety z kurczaka, które polewała zielonym sosem. – Wiesz, spaghetti, ryż, fasolka – te wszystkie tanie produkty... Nie masz pojęcia, co można skombinować, mając tylko jogurt i puszkę zupy...

Jadę wzruszyła ramionami.

– Dajcie spokój, dziewczęta. Według mnie najlepszym sposobem na uniknięcie śmierci głodowej są odpowiednie restauracje, w których przez telefon można zamówić żarcie na wynos. Dzwonisz i przyjeżdżają. No to co, możemy już szamać?

Tym razem wszyscy zasiedli przy stole w jadalni Skye.

– Wreszcie jemy jak dorośli – zauważył cierpko Merlin.

– Kurczę, głowę dam, że to cholera nie działa – parsknęła Jadę, kładąc swą komórkę na stole tak, by mieć ją pod ręką. – Muszę jutro kupić nową. Nie mogę sobie teraz pozwolić na utratę połączeń i brak kontaktu.

– A ja jakoś nigdy nie zdołałem polubić swojej komórki – powiedział Merlin, maczając pierożek w sosie. – Zwykle zresztą zapominam zabrać ją ze sobą. Chyba po prostu nie lubię tych wszystkich technicznych bajerów.

– Wiemy to, wiemy – roześmiała się Mouse. – Przecież lata całe zajęło ci sprawienie automatycznej sekretarki.

– Uśmiechnęła się ponownie, jakby myślała o czymś miłym. – A ja właśnie dzwoniłam do Kenny'ego i zostawiłam mu długą wiadomość o tym, jaki strój planuję włożyć na uroczyste otwarcie...

– Kenny to ten twój szef? – zapytał Merlin. – A ten twój strój...

– Tak, to mój szef – odpowiedziała Mouse, wydymając wargi. – A strój... no więc to będzie na gorze taki błyszczący top, dość... eee... kusy, w kolorze miedzi i z piórami na ramionach. A spódnica... no, głównie ma podkreślić moje... krzywizny. Mówię wam, facet padnie.

– Miejmy nadzieję – odpowiedziała z roztargnieniem Jadę, podnosząc komórkę. – Pozwolicie, że sprawdzę moją pocztę głosową?

Gdy Jadę, przycisnąwszy komórkę do ucha, wyłączyła się na chwilę z rozmowy, Mouse ciągnęła dalej.

– Wiecie, pracuję nad Kennym, tak po troszku, dzień po dniu, no i chyba coś z tego zaczyna się kłuć, jak sadzę. To znaczy jego wargi wciąż mówią: nie nie nie, ale czuję, że jego ciało już krzyczy: tak tak możesz tak. Mówię wam, uwielbiam to. I lubię go dotykać. Czasami wygładzę mu kłapy marynarki, czasem pomasuję ramiona albo tylko ścisnę go za rękę. To niewiarygodne, ale świetnie nam się razem pracuje. Razem projektowaliśmy zaproszenia na otwarcie i razem zanieśliśmy je do drukarni, a mój kuzyn zawiadomił mnie, że zakreślił się już koło zaproszenia na uroczyste otwarcie wszystkich ważnych i sławnych osób w mieście. Naprawdę, oboje ciężko pracujemy, a ja przy okazji pracuję nad oczarowaniem Kenny'ego Aragona, mojego szefa i wielkiego słodkiego misia. Czas pracuje dla mnie i on już wkrótce nie będzie w stanie dłużej mi się opierać.

– Kiedy otwieracie Rainforest? – spytała Zoey. – Pytam nie dlatego, żebym miała przesadnie zapchany kalendarz na lato, ale chciałabym wiedzieć, kiedy mogę liczyć na darmową wyzerkę?

Mouse podała jej datę; Merlin również zaznaczył ją w swoim kalendarzyku.

– Josh akurat ma tego wieczoru zajęcia – wyjaśnił – ale myślę, że będzie mógł przyjść. Rany, nie mogę uwierzyć, że lato jest już tak blisko. – Odwrócił się do Zoey.

– A co u ciebie? Jakies sukcesy w wydębaniu forsy od bogatego mężusia?

Zoey westchnęła.

– Lepiej nie pytaj.

– Aż tak źle? – zdziwił się Merlin.

– Nawet gorzej. Znowu dopadła mnie twórcza niemoc, moje życie seksualne przestało istnieć, a mój mężulek próbuje mnie dokumentnie oskubać. Czy uwierzysz, że zażądał czegoś w rodzaju wynagrodzenia za, jak to łaskawie ujął, emocjonalne wsparcie, którego mi podobno udzielał i przez to ma swój udział w niewątpliwie wysokim poziomie mojej twórczości?

– A co to ma, do ciężkiej cholery, oznaczać? – Merlin aż podskoczył.

– Kurczę, nie mam pojęcia, przypuszczam, że to taki pokrętny sposób udowodnienia, że bez niego nie napisałabym żadnego bestsellera. – Zoey z przejęcia zaczęła wymachiwać widelcem. – A to przecież cholerna nieprawda.

Jeśli ktokolwiek w ogóle zainspirował mnie do napisania *Strażnika swej córki*, to był mój ojciec, Boże, zachowaj jego parszywą duszyczkę. Zresztą, kurza twarz, wystarczy spojrzeć na tytuł...

Jadę z trzaskiem wyłączyła swój telefon i odwróciła się ku Zoey.

– Kochana, twój Nikuś-Bzykuś po prostu stosuje typowe prawnicze sztuczki. I choć to istotnie jest przykre, powinnaś wypiąć się na całą tę sprawę i pozwolić, by to twoja prawniczka się z nim użerała.

– Ależ, ja to właśnie robię! – wykrzyknęła Zoey. – Przecież cały czas o tym właśnie mówię!

Przez moment panowała cisza. Zoey spuściła głowę i spojrzała na swój talerz, pełen jedzenia, które przynieśli jej przyjaciele.

– Och, kochani, przepraszam! To nie wasza wina i wszyscy macie absolutną rację. Powinnam go w końcu i na amen wyrzucić ze swojego życia i ze swoich myśli. Kompletnie. I na sto procent.

– No, myślę, że przynajmniej się starasz i nieźle ci to wychodzi – pocieszył ją Merlin. – Naprawdę, Zo, wszystko, co robisz, jest słuszne i prawidłowe, ale sama wiesz, że takie zmiany w życiu wymagają czasu. Tak trzymaj i nie popuszczaj.

– Ależ ty jesteś mądry – westchnęła Zoey, przełykając koleiny krokiecik z bakłażana.

– Prawdziwy mędrzec Yoda, w dodatku równie upierdliwy – Mouse zasalutowała Merlinowi swą butelką z piwem. – A tak na marginesie, nasz przemądry i roztropany Koniku Polny, dlaczego nadal nie wiemy jeszcze, kiedy wreszcie poprowadzisz do ołtarza męczyznę swego życia? Kiedy wreszcie ten ślub? I wesele?

– Wszystko zdąży we właściwym kierunku – odpowiedział Merlin, nerwowo przygryzając dolną wargę.

Zoey kątem oka zauważyła, że Jadę nerwowo wystukuje jakiś numer na swojej komórce. Ciekawe, o co chodzi? Normalnie Jadę nigdy się tak nie stresowała z powodu interesów.

– Oznacza to, oczywiście – kontynuował Merlin – że wszystko spadło na moją głowę; zaplanowanie każdego kroku i tak dalej, bo Josh nie cierpi takiego... wdawania się w szczegóły, a poza tym jest bardzo zajęty w szkole i naprawdę nie ma na nic czasu...

– W szkole? – Jadę zamrugła powiekami. – Chyba coś mi umknęło. Czyżby Josh uczył się do matury?

– To szkoła masażu – wyjaśnił Merlin. – Josh jest w tym naprawdę dobry, ma takie zwinne dłonie, a w palcach to ma – autentycznie – naturalną moc uzdrawiania. No to ja... namówiłem go, żeby rozwijał ten talent, no i on w końcu się zgodził. Zaczął naukę dopiero we wrześniu, a i on i jego partner do ćwiczeń zrobili wspaniałe postępy.

– A Merlin płaci rachunki – zaśmiała się, odrobinę cynicznie, Zoey. – Zawsze jakoś udaje ci się ominąć ten temat, skromny chłopcze, dobroczyńco kształcących się masażystów.

Merlin parsknął śmiechem.

– Och, Zo, zamknij się – rzucił w jej kierunku.

Zoey zaczęła się śmiać z pełnymi ustami. Mouse gwałtownie zamachała rękami.

– Dobra, dzieciaczki, przestańcie sobie dogryzać. Merlin, lepiej opowiedz nam coś więcej o ślubie. W co się ubierzesz? Jakie będą kwiaty... muzyka... , no i żarełko? Ach, i obiecaj mi, że nie zaprosisz tego pieprzonego dupka.

Pieprzonym dupkiem był Leo Milewski, przyjaciel Merlina, z którym Mouse chodziła w czasie studiów. Zoey nie знаła dokładnie wszystkich szczegółów tego związku, ale publiczną tajemnicą było, że – jakby to powiedzieć – nie rozstali się w zgodzie...

– Leo jest wprawdzie na liście gości, ale słyszałem, że przez najbliższe pół roku będzie w Anglii, tak więc twoja duma nie dozna uszczerbku.

Mouse wzniosła ręce ku niebu.

– O, dzięki ci, Panie na wysokościach! Proszę, zatrzymaj go tam, za morzem, jak długo się da.

Jadę trzasnęła komórką o blat stołu.

– Jadę, prawie nic nie zjadłaś – Zoey podsunęła jej półmisek z kurczakiem, lecz Jadę odtrąciła go dość gwałtownie. – Złotko, co się stało? Coś złego?

– Stała się absolutnie najgorsza rzecz na tym najgorszym ze światów – powiedziała Jadę.

Zoey błyskawicznie przebiegła w myślach najgorsze z możliwych scenariuszy, które mogły rozwalić solidny i stabilny świat Jadę: pozytywny wynik testu na AIDS, pożar w domku letniskowym, jakiś klient-oszust, krach na giełdzie? Przechyliła się przez stół i ujęła dziwnie chłodną dłoń Jadę.

– No, skarbie, powiedz, co się stało?

Błękitne oczy Jade napelniły się nagle łzami, gdy łamiącym się głosem oznajmiła:
– Myśle, że się zakochałam.

W jadalni zapadła cisza; wszyscy próbowali jakoś ochłonąć po tej bombie, którą cisnęła Jadę. W rzeczy samej było to przecież całkowicie niewinne oświadczenie, jednak nikt i nigdy nie spodziewał się usłyszeć takich właśnie słów od Jadę Cohen. A przynajmniej nikt z tych, którzy ją dobrze znali – A, niech mnie! – Zoey, trochę już pozbierana, poklepała Jadę po ręku. – To cudownie, skarbie. Opowiedz nam o nim.

Jadę była śmiertelnie blada: upiornie biała maska w obramowaniu jedwabistych, czarnych włosów, szminka z jej ust całkowicie starła się, odsłaniając blade, prawie sinawe wargi.

– Ja... nie wiem... od czego zacząć...

– Na dobry początek zdradź nam jego imię – powiedział Merlin. – Potem możesz podać znak zodiaku, gdzie się spotkaliście, jaka jest jego ulubiona pozycja w łóżku, no, sama wiesz, tak jak w tych bzdetach z *Cosmopolitan*...

– On... jest jednym z tych... , no z mojej Listy Najbardziej Pożądanych – zaczęła Jadę, mocno się zacinając. – A. J. Chenowitz. To chyba oznacza... Alfred James, ale tak w ogóle to on jest... A. J. A spotkaliśmy się przez... szczęśliwy okolicznik zbiegu, to jest chciałam powiedzieć, zbieg okoliczności... Z jego biura zadzwonili do naszej agencji, szukając odpowiedniego mieszkania na Manhattanie, i właśnie ja odebrałam ten telefon, i...

– Zaraz, zaczekaj – przerwał nagle Merlin. – Zakochałaś się w A. J. Chenowitzu, tym słynnym magnacie komputerowym? Tym, którego nazywają „Facet KropkaCom”?

Jadę kiwnęła głową. Zoey spoglądała to na jedno, to na drugie.

– To ty go znasz, Merlin?

– Kurczę, on jest stałym gościem naszego hotelu, bardzo sympatyczny gość, ale... Ale, w rzeczy samej, Jadę, to mi się w głowie nie mieści. Jesteś pewna, że mówimy o tym samym facecie? Włosy lekko siwiejące? Mówi z akcentem ze Środkowego Zachodu? I wszystkim dookoła się zdumiewa i zachwyca?

Jadę ponownie skinęła głową.

– Merlin, co ty wiesz o nim? Powiedz mi, proszę, powiedz, że on nie jest gejem! – zawołała, wyraźnie spanikowana.

– No, nie... nie sądzę. Właściwie to nigdy nie widziałem go z kimkolwiek... ani z kobietą, ani z mężczyzną. Zawsze sądziłem, że to typ samotnika, taki trochę dziwak. Wiem, że lubi martini z wódką i M&Msy z orzeszków ziemnych. Miliarder, a z lotniska zawsze dojeżdża busikiem.

– Właśnie! – Jadę ponownie pokiwała głową. – Przy naszym pierwszym spotkaniu... to było wieczorem... byłam pewna, że zajedzie limuzyną albo przynajmniej służbowym wozem, a on przyszedł pieszo! I powiedział mi, że dojechał tam metrem, wyobrażacie sobie! Facetowi przypisuje się miliardy, a on jeździ metrem!

Normalnie Jadę wykpiłaby taką skromność, ale dziś wyglądało na to, że mówi o tym fackie z nabożną czcią.

– Hola, hola! – Mouse strzeliła palcami tuż przed twarzą Jadę. – Co z tobą, dziewczyno? Zakochałaś się w tym facecie i pytasz Merlina, czy nie jest gejem? Czy to oznacza, że jeszcze z nim nie spałaś?

Rany, Mysz trafiła w samo sedno, pomyślała Zoey, uważnie przyglądając się Jadę. Znała ją na tyle dobrze, że trudno jej było uwierzyć, iż przyjaciółka mogła spędzić więcej niż godzinę z facetem, który się jej spodobał, i nie dobrać mu się do rozporoka.

– Nie... – odpowiedziała niewinnie Jadę. – Tak naprawdę, to spotkaliśmy się dopiero dwukrotnie i... i coś jest nie tak. To znaczy... , robię się strasznie... nerwowa w jego obecności. Sama nie wiem dlaczego, naprawdę chcę, żeby mnie... polubił, no i gdy się spotkaliśmy, to ze wszystkich sił starałam się mu... dorównać. No, zrozumieć go. On jest taki naiwny. Ja zupełnie nie jestem do tego przyzwyczajona... Nie radzę sobie z tym...

Trójka przyjaciół wymieniła spojrzenia. Było w nich zdumienie pomieszane z rozbawieniem. Merlin zaczął nucić:

– ... *a to dziewczę teraz kobietą się stało...*

– Lepiej wezwijmy pogotowie – zaśmiała się Mouse.

– Nasza Jadę zwariowała.

– Och, nie dokuczaj jej – Zoey stanęła w obronie przyjaciółki. – To cudownie, Jadę. Naprawdę. Być zakochanym, zakochać się to... – jej myśli poszybowały nagle w przeszłość, do początków jej związku z Nickiem, gdy wydawał się jej bogiem, który wniósł światło i miłość w jej szary, przeraźliwie zwyczajny świat. – Kto wie, może to będzie ten twój wymarzony, taki, którego spotyka się tylko raz w życiu... Bardzo się cieszę, złotko, naprawdę, że ci się to przydarzyło.

– Ba, jak na razie, to jeszcze nic mi się nie przydarzyło – na twarzy Jadę odmalował się lęk, jak u dziecka, które ucieka z pokoju, przerażone jakimś rumorem w szafie.

– To znaczy, jak mówiłam, przyjechał, dwa razy byliśmy na oglądaniu mieszkań, to znaczy dwa wieczory i to wszystko. Żadnych wiadomości na mojej sekretarce, nic w mojej komórce, dostaję już hysia, bo jeśli nagle zadzwoni, a ja akurat nie odbiorę... – westchnęła. – Nie mogę przestać o tym myśleć. Ale ponieważ moja komórka działa, oznacza to, że on nie dzwoni i że nie czuje tego co ja. Nic, tylko się pochlastać.

– Ojej, skarbie – Zoey zbliżyła się do przyjaciółki i zaczęła uspokajająco masować jej barki. – Na pewno zadzwoni, zobaczysz.

– A może nie dzwoni, bo wydaje mu się że ty... nie jesteś zainteresowana? – podsunął Merlin. – Dałaś mu to jakoś do zrozumienia? Jakaś... zachętę?

Na twarzy Jadę nadal gościł wyraz bezradności i strachu.

– Boże, nie wiem. Chyba nie. Byłam tak zajęta pilnowaniem, żeby nie wyjść na idiotkę... – nagle plasnęła się otwartą dłonią w czoło. – Och nie, chyba nie myślisz... ?

– Zadzwoń do niego – powiedziała Mouse. – Przecież zazwyczaj dzwonisz do swoich klientów, nie?

– No tak, ale nie chcę, żeby sobie pomyślał... no, że go naciskam. Chcę, żeby to on zadzwonił do mnie. Chcę, żeby to on mnie chciał... to znaczy...

Merlin wstał od stołu.

– Cała ta rozmowa zaczyna mi przypominać gadki, jakie zdarzało mi się podsłuchiwać na boisku, w siódmej klasie. A nie był to dla mnie dobry rok...

Mouse prychnęła.

– O, i w tym właśnie Jadę różni się od nas wszystkich. Ty w siódmej klasie byłeś szkolnym ofermą i kujonem, ja próbowałam sił w szkolnym teatrze, Zoey była kapitanem mistrzowskiej drużyny szczypiorniaka... A Jadę? Ona wtedy pozwalała obmacywać się jakiemuś chłopakowi w pracowni chemicznej.

– Ba, i lubiłam to – powiedziała ze smutkiem Jadę.

– Wiesz co, Jadę, weź się w garść – powiedział nagle stanowczo Merlin. – Na pewno dasz sobie z tym radę. W końcu jesteś Królową Picz, moja droga. Wykorzystaj więc swe atuty. Pokręć tyłeczkiem. Poszepcz mu do uszka. Poocieraj się trochę o niego. Ręczę, że nawet w takim Chenowitzu, o ile ma on w sobie choć odrobinę testosteronu, w końcu zagrają hormony. I to na pełny regulator.

– Nie, to na nic – Jadę wbiła wzrok w swój talerz, machinalnie popychając niedojedzony pierożek, aż spadł na stół. – Ilekroć o nim myślę, wszystkie moje normalne instynkty zamierają i jestem jak sparaliżowana. Prawie... zmrożona. Nigdy jeszcze nic takiego mi się nie zdarzyło. Wicie, wczoraj zaczęłam się zastanawiać... gdyby to nie chodziło o A. J. ... gdybym wpadła w depresję z powodu grypy albo czegoś innego... ale to na nic...

– Boże, jak ja to znam – westchnęła Zoey. Przestała masować ramiona Jadę i zaczęła sprzątać ze stołu. – No, chociaż mnie się to przytrafiło już jakiś czas temu. Moja wielka miłość spotkała swoją wielką miłość. I po ptakach... Wszystko, co mi teraz pozostało to seks...

– Mnie nawet to nie pozostało – zakwiliła Jadę. – Odkąd poznałam A. J. nie... no, z nikim innym nie... Zero seksu, co najmniej od tygodnia... nie... od dziesięciu dni. Może tak bardzo pragnę jego, że inni zupełnie mnie nie kręcą...

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że wreszcie się zakochałaś. Że i ciebie to w końcu dopadło – zaśmiała się Mouse. – Na pewno wyjdzie ci to na dobre, zobaczysz. I nie rób takich min, jakby ktoś kopnął w kalendarz.

– Czuję się taka... zagubiona. Potrzebuję pomocy. Porady. Wskazówek. Cholera, w zeszłym tygodniu kupiłam takie piśmidło dla kobiet i zaczęłam rozwiązywać quiz „Jak się dowiedzieć, czy Jemu zależy na Tobie”. I kicha. – Oparła głowę na stole. – Nikt mi nigdy nie powiedział, że to może aż tak boleć. A może i ktoś mówił, ale pewnie nie uwierzyłam.

– Zobaczysz, będzie dobrze – pocieszała ją Zoey. – Myślę, że powinnaś zadzwonić do tego Pana KropkaCom właśnie teraz, normalnie, jak agentka do klienta, a potem to już samo pójdzie...

– Właśnie – zgodziła się Mouse. – Ale koniecznie dodaj coś ekstra. No, na przykład, że myślałaś o nim. Że jest dla ciebie... no... specjalnym klientem. I że cieszysz się, że będzie twoim sąsiadem w Nowym Jorku...

– Właśnie, wstaw mu ten cały standardowy chłam, ale tak na słodko...

Jadę podniosła głowę i zagapiła się w sufit.

– O Panie, jaka jestem zdezorientowana...

– Nie. Nie jesteś – oznajmiła stanowczo Zoey, wciskając jej do ręki komórkę.

– Dzwon. Wstaw mu ten cały, jak powiedziano, standardowy chłam. Potem dodaj coś specjalnego... od siebie, no, od serca. Jeśli to taki prosty, szczery i naiwny facet, jak mówicie, to język prawdy zrozumie od razu...

Jadę złapała komórkę i nerwowo podreptała do sypialni.

– Język prawdy? – wykrzywiła się Mouse. – A cóż to znowu za bzdet?

Zoey wzruszyła ramionami.

– Wiem, wiem. Bzdet. Ale kiedy to mówiłam, zabrzmiało tak... głęboko.

– Uwielbiam takie kawałki – powiedział Merlin. – Wprawdzie nie wiem, co to znaczy, ale może dlatego to jest takie głębokie.

– Wyglądasz rewelacyjnie – stwierdził Kenny, gdy Mouse wyszła z damskiej garderoby podczas inauguracyjnego wieczoru w Rainforest.

– Dzięki! – Korzystając z tego, że nikt nie patrzył, szybko wspięła się na palce, by pocałować go w policzek, a przy okazji otrzeć się lekko piersiami o jego ramię. Jego opór topniał; powoli, ale topniał: czuła to. Teraz – mimo natarczywie dzwoniącej komórki i nawoływań, dobiegających z kuchni – wpatrywał się w nią, jakby nie mógł oderwać oczu.

Na ten specjalny wieczór Mouse włożyła dwuczęściowy kostium; nie suknię, nie ubranie, lecz właśnie wypożyczony z teatru kostium. Wiedziała bowiem, że: a) nie może sobie pozwolić na zakup nowej sukni i b) potrzebuje czegoś absolutnie powalającego na kolana. Teatralny kostium nadawał się do tego idealnie. Skąpy top z lamy o miedzianym połysku wspaniale uwydatniał jej kształtny biust. Ciemnobrązowe piórka przy ramiączkach falowały przy każdym jej ruchu. Długą, odsłaniającą pępek spódnicę uszyto z lejającej się tkaniny i ozdobiono aplikacjami i lśniącymi paciorkami. Ciepłe, brązowo-miedziane kolory stroju świetnie współgrały z jej lśniąca, brązową skórą, a jej śmiało odsłonięte ciało w aureoli trzepoczących piór sprawiało, że czuła się niczym egzotyczny ptak, dla którego Rainforest był wręcz idealnym miejscem.

Kenny, wciąż pozerając ją wzrokiem, ujął jej dłoń.

– Wiem, że dzisiejszego wieczoru i nocy będzie się dużo działo, więc już teraz, gdy mam czas, chciałbym ci podziękować za pomoc w doprowadzeniu tego wszystkiego do ładu i szczęśliwego finału. Zrobiłaś sto razy więcej niż większość personelu. To jest... , chciałem powiedzieć, że do hostessy należy w zasadzie tylko pojawianie się i usadzanie gości przy stolikach, ale ty zrobiłaś o wiele więcej. Jesteś dla mnie prawdziwym wsparciem i przyjaciółką. Mouse uśmiechnęła się.

– I zdałeś sobie z tego sprawę dopiero teraz?

– No, powiedzmy, że trochę wolno kojarzę – żartobliwie popukał się w głowę. – To przez zbyt liczne ciosy bykiem, jakie zebrałem na boisku...

– No, już nie kręć! – Wspięła się na palce i swawolnie złapała go za ucho, udając, że za nie szarpie. – Tak, jestem twoją przyjaciółką. Ale chcę być kimś więcej!

– Wiem, ale...

– Ani słowa więcej! – położyła mu stanowczo palec na ustach. – Czyż nie mówiłam ci tego już milion razy, szanowny panie Kenny Aragon? Zamierzam cię zdobyć i zdobędę. Możesz sobie mówić „nie”, opierać się i nawijać, że jesteś facetem z zasadami, ale czy ty myślisz, że nie widzę, jak jednocześnie rozbierasz mnie wzrokiem? Tymi swoimi wielkimi, wyglodniałymi, brązowymi oczami?

– Co... Ja... ?

– Mhmm. Widzę to, skarbie. I nie myśl sobie, że nie robię dokładnie tego samego. – Lekko zniżyła głos, gdyż właśnie ktoś ich mijał, dźwigając tacę zastawioną egzotycznymi kwiatami w ozdobnych wazach. – No, ale teraz bierzmy się lepiej do roboty i zaczynamy to otwarcie. Potem będziemy mogli zająć się... hm... innym otwarciem.

Kenny uśmiechnął się, wyraźnie zakłopotany.

– Kobieto, jesteś naprawdę... niegrzeczna.

– Nigdy nie twierdziłam, że jestem aniołem. Niech mnie pan uważnie posłucha, panie Aragon. Jak już skończymy cały ten cyrk i zamkniemy lokal, odprowadzi mnie pan do domu. – Po tych słowach Mouse odwróciła się, by otworzyć księgę z rezerwacjami. – A teraz idź i przypilnuj tych wszystkich ciężko znerwicowanych z emocji ludzi w kuchni. Tylko patrzeć, jak zaczną się schodzić goście.

– Tak jest, psze pani – zgodził się Kenny, wycofując się z eleganckim ukłonem.

Mouse, kartkując stronicę olbrzymiej, oprawnej w skórę księgi, czuła, że ze zdenerwowania trzęsą się jej ręce; zupełnie jak przed jej „pierwszym razem”.

Swoje przybycie zapowiedziało i zarezerwowało wcześniej stoliki mnóstwo gości z górnej półki i pierwszych stron gazet. Wieczór zapowiadał się wspaniale: sukcesowi mogły przeszkodzić chyba tylko nagłe i nieprzewidziane klęski żywiołowe, jak burza z piorunami, oberwanie chmury czy też masowe zatrucie pokarmowe.

Wraz z przybyciem pierwszych gości, Mouse uruchomiła wszystkie swoje sceniczne zdolności, swobodnie i naturalnie grając czarującą hostesę, równie serdecznie witającą każdego z przybyłych. Udawało się jej umiejętnie łączyć odpowiednie nazwiska z właściwymi twarzami. Czujnym wzrokiem śledziła, gdzie i ile jest jeszcze wolnych stolików, dyskretnie nakazując kelnerom szybkie ich nakrywanie, by goście nie musieli czekać zbyt długo. Gdy witała gości, jej głos emanował słodyczą, ciepłem i gościnnością. W ciągu godziny od otwarcia, westybul klubu był już pełen znakomitości ze świata polityki, telewizji, teatru i filmu. Mouse witała ich równie serdecznie, jak pozostałych gości, choć serce jej biło jak szalone na widok tylu sław naraz w jednym miejscu.

– To cudownie, że zechciał pan dziś do nas dołączyć, panie Koch.

– Życzę miłego wieczoru, pani Winfrey. Naturalnie, Oprah, skoro pani nalega. Ogromnie się cieszę, że przybyła pani do Nowego Jorku na otwarcie naszego klubu. Pan Aragon z pewnością zechce pani osobiście podziękować.

– Tak, panie Newman, właściciel nalegał, by Rainforest zlokalizować właśnie w Harlemie. Czy pan i pani Woodward życzyście sobie stół na balkonie, czy też w głównej sali?

– Proszę tędy, senatorze Clinton.

Wprawdzie Mouse często wyobrażała sobie siebie pośród tych wszystkich znakomitości, nigdy jednak nie spodziewała się, że taka chwila nastąpi w takim właśnie otoczeniu. Zazwyczaj wyobrażała sobie, że ludzie ci przychodzą za kulisy, by pogratulować jej występu. Czasem

oczami wyobraźni widziała siebie, jak śmieje się wraz z nimi przy drinkach na wytwornych balach charytatywnych albo gawędzi podczas przyjęć wydawanych z okazji przyznawania takich czy siakich nagród. Jednego była pewna: jej taki „występ” nie zaszkodzi. Gdy już zostanie wielką gwiazdą, wszyscy ci sławni ludzie będą się uśmiechać, mówiąc: „Ach, poznałem ją, gdy...”

Przez cały wieczór Kenny krążył wśród gości, pozdrawiał ich, ucinał krótkie rozmowy, zawsze na miejscu, nigdy się nie narzucając. Mouse podziwiała z daleka jego naturalny urok, poczucie humoru i serdeczność, z jaką traktował zarówno przyjaciół, jak i osoby kompletnie mu obce: jakby Rainforest był jego domem, a każdy gość – członkiem rodziny.

Gdy wreszcie do klubu dotarli jej przyjaciele, Mouse udało się posadzić ich na balkonie, przy dobrym stoliku.

– Niestety, kochani, żadnej darmowej wyzerki dziś wieczór – oznajmiła półgłosem – ale możecie cieszyć się wspaniałymi widokami. Po lewej, o tam, siedzi Alec Baldwin, a po prawej Tom Hanks ze swoją żoną, Ritą. Przyszli prosto z planu filmowego w Central Parku. – Pochyliła się niżej i dodała: – Słyszałam, że Alec Baldwin jest do wzięcia.

– To cudownie – odpowiedziała Jadę, studiując menu.

– Ale ja mam teraz w głowie, sercu i oczach tylko A. J.

– Nienawidzę mówienia miłych słówek, gdyż nie leży to w mojej naturze – oznajmił Merlin – ale muszę przyznać, że to miejsce jest istotnie urocze. Uniósł kieliszek napełniony cytrynowożółtym płynem i ozdobiony liśćmi ananasa (było to – fachowo rzecz ujmując – „martini z ananasem i szalwią”).

Zoey, przyssana do swojego szampana, klepnęła Merlina w ramię. – Trzeba przyznać, że nasza mała Myszka wylądowała w fantastycznym miejscu.

– Lepiej zacznijmy nazywać ją teraz Marielle – zauważył Merlin – Marielle Griffin, nowy i ważny gracz w tej grze, która zwie się kluby Manhattanu. Czyż to nie najwspanialsza z możliwych zemsta na tych wszystkich hubkach z Vermillion i okolic?

Zoey podniosła kieliszek do ust, przez moment rozkoszując się cudowną gładkością cienkiego, chłodnego kryształu na swych wargach.

– Wiecie, że możemy dostać w tym lokalu stolik bez obowiązującej 50-dolarowej konsumpcji? – zapytała. – A ja zostałam zaproszona, by zasiadać przy barze, ilekroć przyjdzie mi na to chęć.

– Naprawdę? – Jadę wydawała się autentycznie zaskoczona. – I jakimże to sposobem? Przespałaś się z Kennym, gdzieś chyłkiem?

– Oczywiście, że nie! – Zoey, dotknięta do żywego, wojowniczo zadarła podbródek, choć prawie natychmiast dotarło do niej, że i gest, i oburzenie są mocno na wyrost. No, dobrze, zgoda, trochę się uluła, ale w końcu to ważna uroczystość, no nie?

– No, więc – kontynuowała – pan Aragon dowiedział się, że jestem znaną pisarką. I wymyślił sobie, że będę taką literacką muzą tego baru, coś tak jak Hemingway i Fitzgerald, którzy samą swą obecnością ożywiają bary i bistra w Paryżu. – Po tych słowach opadła na krzesło i

uśmiechnęła się z zadowoleniem. Wszystko ją tu cieszyło: atmosfera, egzotyczne rośliny i całe towarzystwo. No i, być może, także alkohol buzujący teraz w jej żyłach. Doprawdy, pomyślała, życie jest piękne.

– Czyli masz tu być czymś w rodzaju... maskotki. Takiej literackiej – uściślił Merlin.

– Właśnie – Zoey kiwnęła głową i rzuciła okiem w dół, ku scenie, gdzie zespół rockowy miał przerwę. Chwilę zajęło jej wypatrzenie tego ślicznego gitarzysty, ale wreszcie go namierzyła. – A, i wydaje mi się, że ten facet z zespołu pruje prościutko do naszego stolika. O, już... Och nie, raczej chyba nie. Nie, on tylko rozmawia z kolegą. O, niech tam... – Prawie cały wieczór przyglądała się gitarzyście z zespołu Crash, czekając, aż podniesie na nią te swoje bystre, ciemne oczy. Podobały się jej jego długie, brązowe włosy i piękne, wysoko sklepione kości policzkowe. Gdy wreszcie na nią spojrział, poczuła wewnątrz dziwne łaskotanie i zmieszła się jak pensjonarka. Ale może te łaskotki to był skutek szampana. Albo wszystkich wypitych przez nią cosmopolitanów. Albo wina. Czy piła dziś wieczór wino? Straciła już rachubę.

Jadę trąciła palcem kieliszek z szampanem, który Zoey trzymała w ręku.

– To twoja pierwsza noc, odkąd przerwałaś post i pokutę? Nie chcę zrzędzić, ale im dłuższa abstynencja, tym łatwiej się człowiek zalewa w trupa.

– Coś ty, Zoey jest po prostu... rozluźniona – ujął się za przyjaciółką Merlin. – Od miesiący nie widziałem jej tak zrelaksowanej. A może i od lat?

– Jestem uosobieniem, streszczeniem i kwintesencją rozluźnienia – Zoey wysoko wzniosła swój kieliszek; bąbelki szampana zaiskrzyły w świetle lamp. – Jestem... jestem... ululana na luzno...

Obok nich przeszła Mouse; właśnie rozsadzała kolejnych ważnych gości. Gdy wracała, Zoey zatrzymała ją, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o tym szalowym muzyku. Nie mogła się wprost napatrzeć na jego zwinne ruchy, jak w skórzanych spodniach i ciemnoniebieskiej koszuli, z gitarą przewieszoną przez ramię, czaruje salę. Dolną, nieco zbyt pełną wargę miał stale jakby kapryśnie wyдутą. Mouse powiedziała jej, że gitarzysta nazywa się Jonathan Prescott, ale wszyscy mówią na niego Snake.

– Snake? – Jadę uniosła brwi. – No, to jest właściwie odpowiedź na niezadane pytanie: jaki jest w łóżku.

Zoey trzepnęła ją w ramię.

– Dobrze wiesz, że nie jestem zainteresowana... to znaczy nie szukam żadnej nowej przygody. – Oczywiście, było to kłamstwo. Całą ją aż skręcało z tęsknoty za seksem. Po chwili postanowiła się poddać.

– Dobra. Tęsknię za seksem. Pragnę seksu. Bo... eee... seks może być fajny. Ze Scottem na przykład był bardzo fajny. Scott – poręczny podręczny. Takie... pogotowie seksualne. Ale po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że czegoś w tym brakowało. Czegoś naprawdę ważnego. Bo to było tylko mnóstwo seksu dla samego seksu. – Zaczęła mówić coraz głośniej; nagle zorientowała się, co robi, przestraszona zasłoniła sobie usta i rozejrzała się wokół.

– Myślicie, że Alec Baldwin słyszał to wszystko? Rany boskie, nie mogę w to uwierzyć: w publicznym miejscu rozprawiam o swoim życiu seksualnym. – Pociągnęła jeszcze jeden łyk szampana i dodała scenicznym szeptem. – I to w dodatku w obecności Aleca Baldwina.

– Można by pomyśleć, że Alec Baldwin nigdy nie uprawiał seksu – zaśmiała się Jadę. – Zdaję sobie sprawę Zo, że jesteś trochę, no... pruderyjna, ale nie mogę pojąć, jak się dotąd uchowałaś nie dowiedziawszy się, że seks uprawia każdy. Podkreślam: każdy. Jeśli nie ze swym partnerem płci obojętnej, to stawiam dolary przeciwko orzechom, że wtedy robi to sam ze sobą. Zresztą, nie wierzę nawet w ten celibat księży.

– Przyhamuj, Jadę – jęknął Merlin. – Błagam, nie burz mojego wyobrażenia o tych mnichach z Tybetu. Niektórych świętości szargać nie wypada.

– Wybacz, skarbie – Jadę poklepała go po ręce. – I zachowaj swoje słodkie złudzenia.

– Rany, o czym wy właściwie mówicie? – Zoey przyłożyła palce do skroni, usiłując się skoncentrować – Aha, o seksie bez emocjonalnego zaangażowania. Takim, jak seks ze Scottem. Nasze ciała były zgrane wprost idealnie, za to nasze umysły nigdy się nie połączyły. Można uznać, że była między nami... – jakby to powiedzieć – umysłowa próżnia.

– Gdyby nie przerażało mnie przyznanie się do tego, powiedziałabym, że doskonale rozumiem, o czym mówisz – Jadę siorbnęła nieco swego cosmopolitana i wzdrygnęła się. – Dla mnie zawsze istniał taki właśnie seks. Czysto fizyczny. Nigdy nie oczekiwałam niczego ponadto i nigdy nie byłam... , no... zawiedziona, dopóki... No cóż, właściwie to zaczęłam o tym rozmyślać dzięki panu T. A gdy poznałam A. J. , ujrzałam w nim jakby... coś w rodzaju uosobienie potrzeby więzi emocjonalnej. Cholera, pieprzona miłość. Chciałabym go zabić.

– Masz od niego jakieś wiadomości. Albo o nim? – zainteresował się Merlin.

Jadę skinęła głową.

– No, wszystkie te apartamenty, które mu pokazałam, które dla niego wybrałam, obejrzał jeszcze raz i wydaje mi się, że już jakiś sobie upatrzył. Byłam z nim na kolacji, no i myślę, że otrzymał te wszystkie moje wiadomości, które mu przesłałam. Ale to wszystko toczy się w takim ślimaczym tempie... Teraz, znowu przyjeżdża. Pojutrze.

Merlin przytaknął – Tak, wiem, że będzie w mieście, bo jak zawsze zatrzyma się w Royale. Ale nie chciałem ci o tym mówić na wypadek, gdyby on...

– Daj spokój! – Jadę poklepała go po ramieniu. – Następnym razem, gdy zobaczysz jego nazwisko na liście rezerwacji, zaraz do mnie dzwoń. Zrozumiano?

– Tylko nie powołuj się na mnie – odpowiedział Merlin.

– Niektórzy klienci mają bzika na punkcie swojej prywatności.

– Już ja ci dam tę twoją prywatność – odparowała Jadę.

– Następnym razem, gdy stanie w waszym hotelu możesz dostarczyć mnie do jego apartamentu na wózek z śniadaniem albo jakoś tak...

– Oto dlaczego Merlin nigdy nie rozmawia z nami o swej pracy i o tym kto akurat staje w jego hotelu – zaśmiała się Zoey. – On dobrze wie, że nie może nam ufać w tej materii.

Jadę westchnęła. – Właściwie to mój problem z A. J. jest... zupełnie inny. W jego obecności jestem przez cały czas spięta i zdenerwowana. To zupełnie nie w moim stylu. He razy on znajdzie się blisko mnie, zachowuję się jak kompletna idiotka i totalna niezdara. Gdy byliśmy na kolacji, tak głupio wetknęłam widelec w roladkę, że się omsknęła i pofrunęła na sąsiedni stół. Potem wpakowałam łokieć w masło. Gdy oprowadzałam go po mieszkaniach, ciągle wpadałam na ściany i obijałam sobie palce, łokcie i kolana o meble. Cały czas jestem taka podminowana i spięta, że nie potrafię sensownie wyłożyć taksówkarzowi, dokąd ma jechać, co normalnie mogłam robić nawet przez sen.

– Do licha, ty przy nim kompletnie wymiękasz – uśmiechnęła się Zoey. – Jakie to słodkie...

– Nie za bardzo – Jadę starannie osuszyła swój kieliszek.

– Nie dość, że czuję się przy nim jak idiotka, to jeszcze nie mogę się doczekać, kiedy go znów zobaczę. Co się, do wszystkich diabłów, ze mną dzieje? Możecie mi to wyjaśnić?

– Jesteś zakochana! – zachichotała triumfalnie Zoey.

– I ciesz się tym! Bądź sobą! My wiemy, że pod tą maską zimnej suki kryje się osoba ciepła i delikatna...

Jadę przewróciła oczami.

– Dzięki złotko, to już jest nas dwie. Wiecie, najdziwniejsze jest to, że przy nim nie potrafię być taka jak zwykle, to znaczy, taką... zimną suką. On tak jakoś, sama nie wiem jak, potrafi przemienić mnie w ogłupiałą z pierwszej miłości małątę, która wpada na ściany i zapomina języka w gębie...

– No, widzisz – pokiwała głową Zoey. – On po prostu wydobywa na wierzch twoje prawdziwe ja. To chyba naprawdę jest miłość.

– No, czyli tkwię w gównie po uszy – jęknęła Jadę.

– Lepiej napijmy się jeszcze.

– Wiesz Jadę, Zoey może trochę przesadza, ale w tym, co mówi, jest ziarno prawdy – powiedział poważnie Merlin.

– Po prostu bądź sobą. Z czasem to polubisz, zobaczysz. A jeśli on ma się w tobie zakochać, powinien poznać prawdziwą siebie.

Jadę ze smutkiem pokiwała głową.

– Kochani, nie bierzcie tego do siebie, ale nie cierpię tak zwanych dobrych rad... ‘

Kelner zbliżył się do ich stolika z tacą deserów i zaprezentował je z dumą.

– Wybór naszych najlepszych deserów, z pozdrowieniami od panny Griffin. – Postawił pucharek z lodami waniliowymi, ozdobionymi szczerze bitą śmietaną i kandyzowanymi owocami przed Zoey, porcję sernika przed Jadę i limonkową tartę przed Merlinem.

– O, do licha! – uśmiechnęła się od ucha do ucha Zoey.

– Wiedziała dokładnie, na co mamy smak!

– W końcu nie jest to największa tajemnica nowego tysiąclecia – prychnęła Jadę, łapiąc za widełczyk. Oboje z Merlinem podziękowali kelnerowi, natomiast Zoey skupiła się na

podziwianiu swego lodowego deseru.

– Orzeszki. Uwielbiam je – powiedziała, wydłubując z puszystej masy kandyzowany orzech laskowy. – Jako dziecko niespecjalnie je lubiłam, ale teraz je uwielbiam. I potrzebuję ich na okrągło.

Czyjaś ręka łagodnie dotknęła jej ramienia.

– To wspaniale, zwłaszcza dla twojego chłopaka – usłyszała miły głos o brytyjskim akcencie. Sympatyczny. Lekko żartobliwy.

Odwróciła się, by zobaczyć tuż przed sobą uśmiechniętą twarz gitarzysty z Crasha. Ach, więc to Brytol. Angol. To miłe.

– Nie mam chłopaka – zaszczębiotała. – I tak w ogóle to mówiłam o tych orzeszkach, co to się je...

Uśmiechnął się w odpowiedzi i zamruczał – Mhm. Widząc, że Merlin i Jadę chichoczą na całego, Zoey gwałtownie odłożyła łyżeczkę.

– Was to bawi?

– Niezmiernie – odpowiedział gitarzysta. – Na imię mi Jonathan, ale wszyscy mówią do mnie Snake.

Podał jej dłoń, którą Zoey potrząsnęła, może trochę za mocno.

– A ja mam na imię Zoey, ale wszyscy mówią do mnie Orzeszku. – Wypowiedziała to nad wyraz płynnie, zdumiona własnym bezwstydem – Albo, jak kto woli, Miłośnica Orzeszków. Tych drugich.

Wszyscy ryknęli śmiechem, tylko Zoey się uśmiechnęła, zapatrzona w brązowe oczy Snake'a. Było w nich coś takiego... Inteligencja? Humor? Więź? Houston, pomyślała w popłochu, właśnie rąbnęliśmy o ziemię.

Gdy ostatni goście zbierali się do wyjścia, Ken podszedł do Mouse i otoczył ją ramieniem; jego palce leciutko musnęły jej nagie plecy.

– Nawet nie muszę pytać jak się trzymasz; wyglądasz tak samo seksownie, jak wtedy, gdy otwieraliśmy drzwi klubu, czyli wieki temu.

– Czuję się świetnie – Mouse na moment przywarła do niego, ale tylko na moment. Nie chciała, by ktoś zobaczył, jak się czuła, choć z drugiej strony nie chciała się też mu opierać. Poklepała go po plecach, i w tej samej chwili zauważyła, że goście przy stoliku numer siedem wstają, gotując się do wyjścia, więc cofnęła się.

– Tak czy inaczej, impreza była super – powiedziała.

– Na najwyższym poziomie.

– Między innymi dzięki tobie. To był rzeczywiście wspaniały wieczór – zgodził się Kenny. – Chyba odnieśliśmy sukces.

– No, nie bądź taki skromny – zaproponowała, zanim goście opuszczający klub podeszli do nich. – Naprawdę odniosłeś sukces. I to bombowy. – Przez chwilę zajęła się rozmową z wychodzącymi, wypyując ich o wrażenia z wieczoru i odprowadzając do drzwi. Gdy wróciła, Kenny czekał na nią postukując w okładkę księgi gości swym wykwintnym złotym piórem.

– Czy już czas na mnie, by odprowadzić cię do domu?

– spytał.

Skinęła głową, zastanawiając się, czy to oznacza, że wreszcie się poddał.

– Pozwól tylko, że wezmę okrycie.

Gdy wreszcie dotarli do mieszkania Mouse, Kenny zaczął się wymawiać od wejścia do środka, tłumacząc się niezbornie, że wie, jaka jest znużona i że potrzebuje wypoczynku. Mouse jednak stanowczo uniemożliwiła mu odwrót, gdy wzięwszy się pod boki zastąpiła mu drogę. Tyle zainwestowała w ten wieczór! Dwie próby ze swoim nauczycielem tańca. Wyjątkowo seksowną, acz skąpą bielizną. A nawet wysprzątała mieszkanie.

– Posłuchaj mnie uważnie, panie Kenny Aragonie. Nie jestem zmęczona i masz już, teraz, zaraz iść ze mną na górę. – Po czym zdecydowanie popchnęła go na schody.

Gdy weszli do mieszkania, szybko wetknęła mu do ręki butelkę piwa i zdecydowanym gestem wskazała sofę. Opadł na nią posłusznie, niczym ogromny, grzeczny, przytulny, pluszowy miś. Misio Kenny. Mouse w przelocie musnęła dłonią jego gładko ogoloną, lśniąca głowę, ciesząc się tym dotykiem. Och, bardzo jej było spieszno, by znaleźć się w ramionach tego tak cudownego, przystojnego, uroczego olbrzyma. Przez ostatnie dwa tygodnie myślała tylko o tym, a jego opory wydawały się jej dość absurdalne. Był moment, gdy lekko zatrwożyła się, czy aby nie jest gejem – ale kilka dyskretnych przepytywanek przekonało ją, że jest wręcz przeciwnie.

Nie, był tylko prostolinijny, do wzięcia i zdecydowanie nią zafascynowany. Nadszedł czas, by pokazać mu, jak dobrze może im być razem.

– Mówiłem ci już, jak pięknie wyglądałaś dziś wieczór?

– spytał, odstawiając ostrożnie butelkę. – Wszyscy to zauważyli. No i ten strój... naprawdę, wszystkich powalił na kolana.

– Cieszę się, że ci się spodobał. – Włączyła muzykę, nastawiając płytę z piosenką, do której miała przeciwioną specjalną choreografię. – Zwłaszcza że gdy go wybierałam, myślałam o tobie. – W pokoju rozległy się pierwsze dźwięki muzyki, rytmiczne uderzenia bębna; Mouse poruszyła biodrami w takt melodii, jej naszywana koralikami spódnica zawirowała wokół jej nóg, rozsiewając wokół migotliwe błyski.

– A co to takiego? – Twarz Kenney 'ego rozjaśnił szeroki uśmiech. – Lepiej nie igraj ze mną w ten sposób, dziewczyno.

– Wcale nie igram – zaśmiała się Mouse, zsuwając z ramion obszyte piórkami ramiączka. Pochyliła się nad Kennym, tak że jej usta znalazły się tuż przy jego wargach. – Nigdy nie obiecuję tego, czego nie mogę dać.

Jego ciemne oczy zabłyśły, Mouse jednak nie przerywała tańca. Kołysała biodrami coraz szybciej, odrzucając głowę w tył.

– Dziewczyno! Zabijasz mnie takim ciałem jak twoje. Nawet nie masz pojęcia, co chciałbym z tobą robić.

– Tak sądzisz? – Mouse pochyliła się i przesunęła dłońmi po lśniącej tkaninie spódnicy, po czym zaczęła unosić ją powoli, zmysłowo, odsłaniając kolejno cienkie kostki, zgrabne łydki, krągłe kolana, jędrne uda i pięknie zaokrąglony tyłeczek.

– Marielle! Marielle! Nie możesz wyczyniać takich rzeczy przed mężczyzną i oczekiwać, że sobie pójdzie!

Gwałtownie odwróciła się do niego przodem i nagle jednym ruchem zsunęła ramiączka do końca, pozwalając swym drobnym, twardym, brązowym piersiom wychylić się z dekoltu.

– Kto tu chce sobie pójść? – zamruczała, wpatrując się zachłannie w słodką udrękę malującą się na jego twarzy.

– I co ja mam z tobą począć, dziewczyno? Dobrze wiesz, że nie mogę ci się oprzeć, ale... naprawdę, nie chcę... korzystać z sytuacji.

– Więc pozwól, że ja z niej skorzystam – szepnęła, odpinając haftki spódnicy, która opadła na podłogę z cichym szelestem jedwabiu i lekkim grzechotem paciorków.

Stała teraz przed nim mając na sobie tylko cieniutkie brązowe stringi i jedwabne szpilki. – Zapomnij, że jesteś szefem, zapomnij, co ci tam mamusia opowiadała o zasadach moralnych, i posłuchaj mnie uważnie. – Pociągnęła go za rękę; podniósł się z kanapy i stanął przed nią, ogromny jak wieża.

– Ty jesteś mężczyzną. Ja – kobietą. I – jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś – właśnie staram się cię uwieść.

Kenny chrapliwie wciągnął powietrze.

– Zauważyłem.

– A zatem zauważyłeś... to zresztą widać.. No, chyba nie chcesz rozczarować takiej miłej dziewczyny jak ja?

– Nie, nie, dziewczyno. Nie mogę ci na to pozwolić. Wiesz, jak bardzo cię szanuję. I mam swoje zasady... , ale one właśnie teraz wylatują przez okno. Boże, prowadzisz mnie prosto do piekła.

– Gdziekolwiek razem podążymy, na pewno podróż ta sprawi nam przyjemność. Och, jak cudownie...

– Tak, maleńka? Chodź do mnie.

– Jakżebyś mogła powiedzieć: nie... Ooch! O rany, z ciebie to naprawdę kawał chłopca! Zobaczysz, skarbie, będzie cudownie... Oo. Ale jesteś wielki...

– Wiem. Przepraszam, maleńka. Nie chcę cię skrzywdzić.

– Może lepiej przestań przeproszać i zajmij się mną. I jeszcze ci powiem, że po pierwsze, jesteś kawał chłopca, a, to już mówiłam. Po drugie, nie bój się, w niczym mnie nie skrzywdzisz. No, chodź.

– Co robisz, kobieto? Każesz mi czekać?

– Mhm. I strasznie mi się to podoba.

– Mnie też. Ale ty mnie doprowadzisz do szaleństwa. Kobieto, dłużej nie mogę...

– Nie możesz? No, to zrób coś...

– Kobieto... och... o tak, o tak... tak dobrze...

– No co, nie mówiłam, że będzie cudownie?

– Wydaje się, że każdy ma własny pogląd na to, jak powinien wyglądać idealny ślub – Merlin usiłował przekrzyczeć łoskot mknącego przez Bronx pociągu numer 4, zdążającego do centrum. Udało mu się namówić Zoey i Mouse na wspólną wyprawę na Wielką Wystawę Weselną w Bronx Hotel. – Niektórzy mówią o zameczku w Tarrytown, a inni o takim starym dworcu na Long Island, podobno bardzo eleganckim...

– Wiesz, lepiej uważaj na te wszystkie weselne kombinaty – powiedziała Mouse – bo tam zwykle odwała się sześć albo siedem ceremonii jednocześnie. Ostatnim razem byłam na takim właśnie taśmowym weselu, a przy okazji załapał się na bar micwę z mnóstwem bajeranckich słodczy. Było super!

Merlin kartkował broszurę dotyczącą wystawy weselnej. Nagle aż się wzdrygnął.

– O rany, niech mnie... W co myśmy się wpakowali? Patrzcie: Największa na Świecie Kolekcja Ślubnych Ubiorów i Akcesoriów Pod Jednym Dachem. Suknie. Smokingi. Kwiaty. Fotografie. Cukiernicy. To mi przypomina pewien mój sen. A ściślej mówiąc, koszmar senny...

– Czy to nie twoja przyjaciółka Emily zachwalała to miejsce? – spytała Zoey.

– Moja przyjaciółka Emily uwielbia także obrotowe restauracje i pluszowe misie.

Zoey zachichotała.

– Ach, to ta przyjaciółka Emily. Fryzjerka?

– Tak; zresztą ta druga Emily też ma buzię pełną dobrych rad. Każdy pcha się z dobrymi radami. Jedna baba w hotelu wypytywała mnie, kto będzie filmował ceremonię i czy będzie można potem dostać kasetę video; całkiem jakby chodziło o najnowszy film Coppoli... A poza tym jest jeszcze sprawa... tych no... faworów. Może wiecie, o co jej chodziło? Jakie to fawory? Seksualne czy inne?

– Niestety, te inne – objaśniła Zoey. – Dobrze to, niestety, pamiętam. Musisz każdemu z gości wręczyć mały upominek, takie byle co, coś absolutnie bezużytecznego, tandetnego, ale za to idiotycznie kosztownego. Nick i ja, gdy braliśmy ślub, rozdaliśmy gościom porcelanowe ramki do obrazków. Wyjątkowo szkaradne, za to kosztowały fortunę. Ja byłam wściekła na ten idiotyczny wydatek, bo w tamtym czasie nie pracowałam, ale Nick się upierał, wspierany ostro przez swoją mamuszkę. A jakby nie dość było tych koszmarnych ramek, to jeszcze każdy dostał razem ze swoją ramką mały koszyczek kandyzowanych migdałów. O rany, jak ja tego nienawidziłam. I ramek, i koszyczków...

– No, ale ty przynajmniej miałaś koszmarną bo koszmarną, ale użyteczną w danym momencie, teściową, która podejmowała wszystkie decyzje za ciebie, szczęśliwa dziewczyno – westchnął Merlin.

– No, to prawda. Sama też wybrała lokal, ale tu akurat nikt nie stracił, bo ten lokal należał do

wujka Nicka. Armand Lake Club.

– A wiecie, że ja i mój kumpel Gerald urządziliśmy sobie gołą kąpielkę w tym jeziorze, po weselnym przyjęciu Zoey? – spytał Merlin.

Zoey skrzywiła się pociesznie.

– Rany, powinniście mnie byli powiadomić. Z radością bym do was dołączyła.

– Oj, nie sądzę...

– No, masz rację, ale mogłam. Z pewnością byłoby to sensowniejsze niż balowanie w apartamencie nowożeńców w gronie tych wszystkich prawników, koleśków Nicka, i fascynujące rozmowy o uzasadnionych wątpliwościach i dopuszczalnych błędach.

Mouse założyła nogę na nogę i zaczęła bawić się zdobiacą jej kostkę bransoletką z purpurowych kryształów.

– Hm, a ja nigdy wam nie powiedziałam, ale na tym przyjęciu wyrzuciłam do jeziora wszystkie ciasteczka weselne...

Merlin roześmiał się – No, to już wiem, dlaczego potem przez parę tygodni chorowałem. Obwiniałem o to niewinny koktajl z niewinnych krewetek, a teraz dowiaduję się, że to przez ciebie...

Mouse w odpowiedzi pokazała mu język. Merlin przeciągnął dłonią po włosach i westchnął.

– Śluby, wesela... Jeden wielki jęk i zamęt. Chciałbym, żeby Josh choć trochę włączył się w planowanie tego wszystkiego, bo jak na razie nie mam pojęcia, od czego zacząć...

Zoey z triumfalnym „aha” otworzyła nagle suwak swego plecaka.

– I dlatego zwróciłeś się o pomoc i radę do swych zaufanych i wypróbowanych przyjaciółek. Łap! – Podała mu gruby zeszyt w lśniącej oprawie, na którego okładce pyszniło się zdjęcie wielkiej białej orchidei. – Oto Podręcznik Planowania Ślubów i Wesel.

Merlin, nieco zakłopotany, uśmiechnął się z wdzięcznością.

– O rany. Niech mnie... No, dziękuję. – Otworzył zeszyt i zaczął go uważnie przeglądać.

– Są tu zawarte rady na każdy temat, nawet te całkowicie zbędne – zachichotała Mouse. – Ale jako przewodnik jest to bardzo pożyteczne.

Merlin pokiwał głową.

– Właściwie to świetnie... Mogę sobie przypomnieć to i owo na temat etykiety i tradycji... – przekartkował zeszyt, lecz Zoey zaprotestowała.

– Nie, nie, wróć... O, właśnie tutaj. Lista rzeczy do zrobienia na tyle a tyle dni przed ceremonią...

– Daj, przeczytam – zawołała Mouse, wrywając mu zeszyt. – Ha! *Dwanaście miesięcy przed ślubem: narzeczona...*

– To znaczy, chyba ja – przerwał jej Merlin – bo na mojej głowie jest cała robota...

Mouse czytała dalej.

– ... *Panno młoda, zacznij, planować. Najlepiej z notatnikiem w ręku, zapisując wszystkie szczegóły. Może też być taśma...*

– No, dobrze, przyjmujemy, że lektura tej książki to początek planowania...

Mouse czytała dalej.

– ... *Ustal datę ceremonii i przyjęcia...* Merlin pokiwał głową.

– O, i tu zaczyna się problem. Do... tej, no... rejestracji idziemy do urzędu miasta, ale to tylko akt urzędowy, więc nie zamierzamy zmuszać naszych przyjaciół, by tam koniecznie przychodzili. Mam kuzyna, który jest... ekskomunikowanym księdzem i on zgodził się powiedzieć parę słów, no parę modlitw, żeby ta cała rejestracja choć trochę przypominała prawdziwy ślub. A co do daty... Josh chciałby w lipcu albo w sierpniu, ale to podobno niemożliwe...

– Już tego lata? – zapytała Mouse. – Masz pojęcie, jak ciężko będzie znaleźć lokal na imprezę?

– Wiem, ale Josh powiedział, że zawsze chciał być letnią panną młodą...

– Myślałam, że to ty jesteś panną młodą... – zachichotała Mouse.

Mężczyzna w brudnym kubraku i roboczych buciorach opuścił nieco czytana właśnie gazetę i rzucił całej trójce podejrziwe spojrzenie.

Mouse z niesmakiem potrząsnęła swą platynową czuprynką.

– No dobra, skoro to ma być wesele na łapu-capu, niczym pod dubeltówką, to jedziemy dalej... Zaraz, co oni tu piszą? *Ustal gamę kolorów. Umów się z kwiaciarnią. Dokonaj wyboru swych akcesoriów: pantofli, torebki, bielizny, makijażu...*

Merlin znowu zachichotał.

– Pomyślmy: tusz do rzęs... raczej nie. Co do butów... uwielbiam je kupować, więc pewnie okażą się najkosztowniejsze z tych wszystkich akcesoriów...

Trzy lub cztery miesiące przed: – kontynuowała Mouse – *uzgodnij, jak będą ubrane matki państwa młodych, na ile to możliwe...*

Merlin przewrócił oczami.

– No, mojej mamy raczej nie zaproszę... Zoey roześmiała się.

– ... *Dwa miesiące przed: Zrób sobie generalny remont – kosmetyczka, masaż, pedikiur...* – ciągnęła Mouse.

– To właściwie nie jest taki głupi pomysł – wtrącił Merlin, zerkając na zegarek.

– Może olejemy ten cały Pchli Targ Weselny i wrócimy na Piątą Aleję, do salonu Elizabeth Arden?

Zoey zamachała gwałtownie obiema rękami.

– Pozwól, że jednak sprawdzimy, co tam dają. Jeśli to będzie tak koszarne, jak przeczuwamy, zawsze możemy się zmyć.

– Piszą tu coś o tym, kiedy należy zacząć brać Valium? I Xanax? A co z Klonopinem?

– Wygląda na to, że nic – Mouse zerknęła na spis treści.

– Ach nie, zaczekaj. Piszą, żeby pamiętać o odnowieniu zapasu pigułek antykoncepcyjnych przed wyjazdem na miesiąc miodowy.

– O rany, miesiąc miodowy! O rany, dziewczęta, w co ja się wpakowałam? – Merlin

teatralnym gestem ukrył twarz w dłoniach.

Facet w brudnym kubraku, siedzący naprzeciwko, przyjrzał się im z uwagą. Zoey, klepiąc Merlina po plecach, usiłowała jakoś pohamować chichot.

– Proszę się nim nie przejmować – powiedziała do faceta w brudnym kubraku. – Zwyczajnie dostał cykora przed ślubem.

Jade wcale nie była zaskoczona, gdy otworzyła drzwi apartamentu w Chelsea, a A. J. zareagował wybuchem entuzjazmu. Nie był facetem, który potrafi trzymać swe emocje na wodzy, a Jade – jak się okazało – słusznie podejrzewała, że zakocha się w tym mieszkaniu tak jak ona sama.

– Ależ to fantastyczne! – stojąc na stopniach kręconych schodów, rozłożył szeroko ramiona i podniósł głowę w górę, ku sufitowi.

– To jest dokładnie to, co miałem na myśli, gdy mówiłem ci, że szukam mieszkania z duszą, miejsca, gdzie można od razu poczuć się jak w domu. Ale, przyznam, że nigdy nie oczekiwałem czegoś aż tak wspaniałego!

Jadę kiwnęła głową, usiłując jakoś rozluźnić ściśnięte gardło. Nigdy jeszcze nie przyprowadziła tu żadnego klienta, bojąc się, że to mieszkanie natychmiast zniknie z rynku. Parę tygodni wcześniej inny agent znalazł chętnego na ten apartament i gdy wiadomość o tym dotarła do Jade, wpadła w popłoch. Nie mogła wprost znieść myśli, że ktokolwiek inny zamieszka w domu jej marzeń.

Na szczęście, transakcja nie doszła do skutku; Jadę jednak wciąż wahała się, czy pokazać mieszkanie AJ. Czuła się tak, jakby musiała mu odstąpić fragment własnego życia.

– Uhuu! – AJ odtańczył krótką czeczotkę na stopniach. – Pozwolisz, że się tu trochę pokręcę? Chciałbym... , chłonąc aurę tego miejsca... , no, poczuć je, rozumiesz?

– Oczywiście – odpowiedziała Jade. – Teraz, kiedy cię bliżej poznałam, nie ośmieliłabym się sprzedać ci kota w worku.

A. J. lekko poklepał ją po ramieniu. Zwykły przyjacielski gest, który przejął ją dreszczem aż po koniuszki palców u rąk i stóp. – Dziękuję, dziękuję i jeszcze raz dziękuję ci, Jadę. Pojęłaś już, że nie potrzebuję tej całej handlowej mowy-trawy. Wiem, co lubię, a czego nie lubię, i to mi wystarcza. – Jeszcze raz rozejrzał się wokół siebie i odetchnął głęboko. – Czujesz ten zapach? To historia. Suma ludzkich doświadczeń. I wiedzy. Musiał tu mieszkać ktoś o bardzo dociekliwym umyśle.

Ponownie skinęła głową, niepewna, skąd on wie takie rzeczy, choć właściwie ona też je wyczuwała. To mieszkanie zaludniały duchy, ale duchy przyjazne, spokojne, zabawne i przenikliwe. Po raz kolejny uderzyło ją podobieństwo między nim a mieszkaniem dziadków w Bostonie; babcia twierdziła przecież z całą powagą, że duchy pomagają jej w codziennych troskach i pracach, przy układaniu prania czy ścieraniu kurzy. Jadę bezskutecznie usiłowała zobaczyć te babcine domowe duszki, oglądając się nagle za siebie i myszkujejąc po zakamarkach szaf, szukając śladów ich obecności pomiędzy futrami babci. Wtedy nigdy nie udało się jej ich zobaczyć. W tym mieszkaniu – choć też nie mogła ich zobaczyć, przynajmniej teraz –

wyczuwała ich obecność.

A. J. pomknął na górę, a Jadę podreptała do kuchni, gdzie rzuciła swą teczkę na stół. A. J. na pewno zechce kupić to mieszkanie; czuła to przez skórę. A pewność ta powinna uczynić z niej najszczęśliwszą kobietę na świecie, gdyż aż nadto realny stawał się jej wielki plan poderwania miliardera i skłonienia go, by kupił to mieszkanie jej marzeń. Mimo to wcale nie czuła się szczęśliwa. Co więcej, emocje ściskające jej gardło zaczynały sprawiać jej prawdziwy, fizyczny ból.

– To wszystko dzieje się w twojej głowie, to tylko twoja imaginacja – powiedziała do siebie stanowczo. Przesunęła dłonią po gładkiej powierzchni drewnianych szafek; dopiero teraz zauważyła zabawny pojemnik na przyprawy w kształcie drewnianego domku. Taki śliczny. Całe to mieszkanie było takie śliczne. Początkowo było tylko ważnym elementem jej wielkiego planu, lecz teraz cały plan, mieszkanie i wszystko inne – zbladły wobec czegoś co – jak odkryła – jest warte o wiele więcej. To coś, a raczej ktoś – to ten mężczyzna na górze.

Przysiadła na wyściełanej ławeczce w kuchennej alkwie. Rozpaczliwie pragnęła tego mężczyzny, ale też – po raz pierwszy w życiu – chciała od niego, jako mężczyzny, czegoś więcej, a nie miała pojęcia, co powinna zrobić, by to dostać.

A taka była pewna, że o mężczyznach wie już wszystko. Myślała, że wszystko rozumie: ich zachowania (zwierzęce...), ich potrzeby (wyłącznie seksualne...), ich postęпки (przewidywalne...). Jej terapeuta powiedział kiedyś: „nie masz za grosz szacunku dla mężczyzn”. Wtedy sprzeciwiła się gwałtownie, że nie, że to nieprawda, że w istocie rozumie ich o niebo lepiej niż większość kobiet na tym padole. Uznała też, że terapeutę drażni po prostu fakt, że ona nie chce umieścić tego testosteronem napędzanego gatunku na tym samym poziomie, co szlachetny gatunek żeński. Kłócili się o to przez parę miesięcy, ale Jadę i tak pozostała przy swoim zdaniu, nawet jeszcze wzmocnionym: że mężczyźni nadają się wyłącznie do zabawy – dla psychicznego odprężenia i rozrywki. Poza tym osobnikom rodzaju męskiego ufać nie należy.

Stanowczo wzdragała się przed angażowaniem jakichkolwiek uczuć i emocji w swoich kolejnych związkach, gdyż uważała, że uczciwy związek z mężczyzną prawie zawsze okazuje się inwestycją fatalną w skutkach i przynosi same straty... Dopóki nie poznała A. J.

A teraz pragnęła tego czegoś więcej; częściowo dlatego, że A. J. był tak cudownie i odświeżająco szczery i naiwny, częściowo zaś dlatego, że czuła, iż zasługuje na związek pełny i kompletny, także uczuciowo. Wydawało się jej jakby byli przyjaciółmi od zawsze, choć jednocześnie każda chwila z nim spędzona dostarczała jej nowych wrażeń i doznań. Czuła, że jej uczucia wobec niego rosną, stając się niemal namacalne. Chciała troszczyć się o niego, matkować mu, bawić go i chronić w swych opiekuńczych ramionach. Chciała być tą kobietą, która jego życie uczyni kompletnym, pełnym, spełnionym, choć jak na razie wciąż nie miała pojęcia, jak to osiągnąć.

Niby jest dojrzałą kobietą sukcesu, a tu okazuje się, że jest kompletnie nieprzygotowana, by zmierzyć się z perspektywą prawdziwego, odpowiedzialnego, dojrzałego związku. Cholera! Całe

swe dotychczasowe życie pieprzyła się na prawo i lewo niczym napalony króliczek, ale w dziedzinie normalnych, dojrzałych związków była niewinna i niedoświadczona, niczym autentyczna dziewczyna. Gwałtownie wstała od stołu i ruszyła na poszukiwanie A. J. Czuła, że powinna wyznać mu wszystko, albo powiedzieć cokolwiek. Ale co? Co?!

Zaraz, co takiego mówili kiedyś jej przyjaciele? Z dłońmi przyciśniętymi do piersi wróciła pamięcią do rozmowy w Rainforest. Co takiego mówili Merlin i Zoey? Ach, już wiem. Bądź sobą. Hm, łatwo powiedzieć; w obecności A. J. „bycie sobą” oznaczało niezmiennie bycie jękającą się i potykającą o własne nogi niezdarą...

Odnalazła w końcu A. J. w bibliotece, siedzącego w pozycji lotosu na podłodze przed tym wspaniałym, wykładanym holenderskimi kafelkami kominkiem. Z półprzymkniętymi oczami i łagodnym uśmiechem na twarzy, wydawał się tu jak najbardziej na miejscu; jakby już był u siebie, w swoim domu. Jadę uznała jednak, że powiedzenie mu tego zabrzmi znowu jak – zaraz, jak on to określił? – handlowa mowatrawa... Wołała oszczędzać słowa na ważniejszą okazję. Ukłękła obok niego; spódnica lekko podwinęła się na jej udach.

– Hej.

– To jest to. To jest to miejsce. – Otworzył powieki i zobaczyła, jak błyszczą mu oczy.

– To wspaniale. I ogromnie się cieszę, że ci się podoba... Ale muszę porozmawiać z tobą o czymś jeszcze...

A. J. uniósł brew.

– No to strzelaj.

– Ja... – Już, już miała powiedzieć. „Kocham cię tak bardzo... „, ale nagle coś kazało jej przyhamować. Takie nagłe wyznanie mogło go wystraszyć, jak każdego zresztą mężczyznę. Potrząsnęła głową. – Nie wiem, dlaczego to dla mnie takie trudne, pewnie dlatego, że bardzo sobie cenię naszą... znajomość. Rzecz w tym, że... mam nadzieję, że sprawdziłam się jako agentka od nieruchomości... , ale... no... , chciałabym być kimś więcej. Ty... bardzo, ale to bardzo mi się podobasz. – A. J. przechylił głowę na bok i spoglądał na nią... nieśmiało? Mocno zmieszana, brnęła jednak dalej. – I nie mam na myśli seksu. To znaczy... mam, bo to mogłoby być cudowne, ale czuję do ciebie coś więcej. No, skłonność... tak sędzę...

– Jestem zaszczycony i niezmiernie mi to pochwala – odpowiedział. – Jesteś piękną kobietą i nie miałem pojęcia, że... że... no... no, nie wiem. Zazwyczaj, gdy jakaś kobieta zabiega o mnie, czyni to dość... bezpośrednio. Albo mnie się tak wydaje, bo zakładam jako oczywistość, że leci na moje pieniądze. A tak na marginesie, wiesz, ile jestem wart?

– Wiem – odpowiedziała machinalnie i mocno zacisnęła powieki. – Wiem, że jesteś bogaty... obłądnie bogaty. I na początku z pewnością to mnie pociągało. Ale teraz, kiedy widzę, jaki jesteś naprawdę, to już nie ma znaczenia...

– Naprawdę? A cóż takiego widzisz?

Pochyliła się do przodu i, patrząc mu prosto w oczy, położyła dłoń na jego kolanie.

– Kiedy patrzę na ciebie, widzę mężczyznę, który jest szczęśliwy, budząc się rano.

Mężczyznę, który wciąż jeszcze umie dostrzec niebo między drapaczami chmur. Kogoś, kto patrzy ludziom prosto w oczy i mówi im to, co myśli, bez śladu wrogości czy niechęci, nawet jeśli jest to coś, czego nie chcą usłyszeć. Kogoś, kto pilnie sprawdza swoją pocztę głosową, gdyż za żadne skarby nie chce, by inni ludzie poczuli się zignorowani czy zlekceważeni, a w dzisiejszych czasach jest to takie... takie... – Głos uwiązał jej w gardle i zdała sobie sprawę, że jej oczy napęlniają się łzami.

– Nie poznałam jeszcze nikogo tak miłego, uprzejmego i troskliwego jak ty.

– Jadę... Ależ ty płaczesz... – wysupłał z kieszeni džinsów paczkę papierowych chusteczek i podał jej jedną.

– Nic na to nie poradzę – pociągnęła nosem, niezdarnie ocierając oczy z niejasnym przebłyskiem, że tusz do rzęs właśnie spływa ciemnymi strumyczkami po jej twarzy. – Chciałam... próbowałam jakoś... powiedzieć, że szaleję za tobą i, co najgorsze, nie potrafię sobie z tym poradzić. Nie wiem co robić, od czego zacząć... Ty jesteś taki... inny, a ja zachowuję się jak... kompletna... no, wiesz...

– Niezdara?

Bezradnie machnęła chusteczką.

– Nie wiem, dlaczego jestem właśnie taka w twojej obecności, ale tak jest i nic na to nie mogę poradzić.

– Może to podświadome wołanie o ratunek – powiedział poważnie. – To znaczy... potrzeba bycia uratowaną? Chęć, żeby mnie obsadzić w roli bohatera?

– To brzmi rozsądnie – próbowała żartować, ale ściśnięte gardło sprawiło, że zaraz po tych słowach wyrwał się jej z ust stłumiony, żalony szloch, a za nim następny potok łez.

– Ja tylko... czuję... że... że musiałam powiedzieć ci prawdę. Musiałam ci powiedzieć, co czuję, żebyś o tym wiedział, nawet jeśli nie ma najmniejszych widoków na to, że czujesz to samo. Bo... to... to właściwie pierwszy raz, kiedy czuję coś takiego... i to jest dla mnie takie trudne...

– Och!

Była to najkrótsza odpowiedź, jakiej kiedykolwiek udzielił. Podniosła wzrok. W jego szarych oczach ujrzała niezwykłą dla niego... ostrożność?

Lekko ściągnął usta, po czym pokiwał głową.

– Cieszę się, że powiedziałaś mi prawdę, gdyż, prawdę mówiąc, nie miałem absolutnie pojęcia o uczuciach, jakie do mnie żywisz. – Ponownie potrząsnął głową. – Jesteś doprawdy zaskakującą osobką, panno Jadę Cohen. To znaczy... ani mi to przez myśl nie przeszło!

– Spojrzał na nią badawczo – Jak Bożię kocham, kompletnie zbiłaś mnie z pantalyku, moja miła, ale, do licha, podoba mi się to! Bo musisz wiedzieć, że spodobałaś mi się od pierwszej chwili, tylko że... no, faceci tacy jak ja nie umawiają się z kobietami takimi jak ty. Niech ja skonam. To na ogół nie zaskakuje i tyle. – Machnął ręką.

Jadę wstrzymała na chwilę oddech.

– To znaczy, że...

A. J. uśmiechnął się bardzo, bardzo szeroko.

– No, niech tam. Lubię cię. Podobasz mi się.

– Tak? Naprawdę?

– Dlaczego tak trudno ci w to uwierzyć?

– No, nie wiem... – nagle zdecydowała się i zapytała wprost.

– Byłeś już kiedyś zakochany?

Poprawił okulary; Jadę zdążyła zauważyć, że jest to u niego oznaka zdenerwowania.

– No, tak. Raz. Kiedyś. Ale ona mnie nie kochała.

– Przykro mi.

– No cóż, tak bywa. Poznaliśmy się na balu dobroczynnym. Ona... ona jest z rodziny znanych polityków; wszyscy w jej rodzinie mają takie zadarte irlandzkie nosy. Była... to znaczy jest śliczna. I słodka. Mogła wyjść za mnie, ale nie z miłości. Jakiś czas łudziłem się, że jednak coś z tego będzie, ale... nie było; gdy zdałem sobie sprawę, że moje uczucia pozostają nieodwzajemnione, przebywanie blisko niej stało się zbyt... bolesne. Wiesz, to takie dziwne. Próbujesz złapać kogoś za rękę – a tam nie ma nic. Tylko twoja dłoń zawieszona w pustce...

Jadę pochyliła się ku niemu i objęła go niezdarnie. Uderzyła podbródkiem w jego bark, zaczęła paznokciem o koszulę, ale ich uścisk był ciepły i prawdziwy. W takim momencie zazwyczaj następowało osunięcie się na dywan, potem krótkie turlanie, potem gwałtowne zdzieranie ubrań, a potem... wiadomo... Porządne, solidne bara-bara, coś na kształt chrzcin nowego apartamentu i na miłą pamiątkę. Lecz tego wieczoru z A. J. był tylko niezdarny pocałunek. Lekkie muśnięcie warg. Gdy odsunęli się od siebie, Jadę zwinęła się w kłębek, kładąc głowę na jego podołku i wstydliwie obciągając w dół spódnice.

– Mogę tak zostać przez chwilę? – zapytała.

– Jasne – zaczął delikatnie gładzić jej włosy.

Oplotła ramionami jego kolana, rozkoszując się miękkością znoszonych dzinsów. Lubi mnie. Podobam mu się. Rany boskie, trzydziestopięciolatka, a rozumuje jak zakochany podłotek. Nadal gładził ją po głowie; nagle syknęła, gdy bransoleta jego zegarka zaplątała się w jej włosy.

– Och, wybacz – powiedział.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała. Pomyślała przy tym, że może nie przypominają teraz idealnej pary kochanków z reklam perfum, jakich pełno w ilustrowanych magazynach, ale są prawdziwi. I że to wszystko dzieje się naprawdę. I że to cudowne. Cudowne.

Rainforest to doprawdy niezwykle miejsce; budzi wspomnienia tych starych wspaniałych klubów. Jazz wrócił do swojego domu w Harlemie – i to do pięknego domu! Mouse przeczytała nagłówek z Daily News i rzuciła gazetę przez kontuar w kierunku Zoey.

– No, to jesteśmy super czy nie?

– Jesteście, złotko, jesteście, choć nie sądzę, byście koniecznie potrzebowali tych prasowych krytyków, by wam o tym mówili. W końcu od dnia otwarcia macie na okrągło kolejkę oczekujących przed drzwiami. A ja mogę tu siedzieć w barze tylko dlatego, że znam tę Marielle Griffin. – Zoey skończyła gryzmolić coś w notesie i zatknęła ołówek za ucho. Przez ostatnie dwa tygodnie, biorąc za dobrą monetę ofertę Kenny’ego, by bez skrupowania odwiedzać bar, spędziła wiele wieczorów, siedząc na ostatnim stołku przy kontuarze, obserwując i notując, popijając wodę sodową z limonką, a także intensywnie wpatrując się w Snake’a, o ile udało się jej go wypatrzyć na scenie poprzez kłębiący się wokół tłum. Rezultatem zaś tych dwóch tygodni było kilka przypadkowych rozmów z gitarzystą, oraz już dwa notesy pełne bazgrołów. Możliwe, że zdołała zanotować w nich naprawdę fascynujące rzeczy, ale – jak dotąd – nie była w stanie poskładać z nich czegoś sensownego.

Mouse odchyliła się w tył i oparła o kontuar, rozkładając szeroko ramiona. Wygląda jak królowa na tronie, pomyślała Zoey. Nawet podczas krótkich przerw, Mouse bezustannie czuwała nad swym małym królestwem, bacznie obserwując z wysokości balkonu, kto płaci i zbiera się do wyjścia i czy nie trzeba zejść na dół, by witać nowych gości. Była już prawie pierwsza w nocy – czyli dość późno jak na wtorek – i kolejka oczekujących już znikła. Goście, napici i najedzeni, rozchodzili się z wolna. Ci, którzy zostali, chcieli głównie potańczyć i słuchać świetnego jazzu granego przez Crash; zespół wykonywał właśnie swój finałowy kawałek.

– Nigdy nie siedziałaś tu do tak późna – zauważyła Mouse, mierząc Zoey podejrzliwym spojrzeniem. Ta postukała ołówkiem w notes i wyszczerzyła zęby.

– Bo mam randkę.

– O pierwszej w nocy? Spotykasz się z jakimś robolem z nocnej zmiany?

Zoey kiwnęła głową w kierunku sceny.

– Snake? – Mouse rozdziawiła usta i tak zamarła na chwilę. – No, nieźle. Uwielbiam jego brytyjski akcent. A jak patrzę, co wyprawia ze swą gitarą, na te jego palce, to aż... No, wiesz, co mam na myśli.

– Jak na razie, mogę sobie tylko pomarzyć – westchnęła Zoey, żując ołówek.

Jak dotąd, między nią a Snakiem doszło tylko do kilku pocałunków na zapleczu, podczas przerwy. No, były to całkiem nieźle pocałunki: długie, powolne, seksowne, budzące w niej przedziwne drżenie. Tyle tylko, że Snake zdawał się być myślami gdzieś zupełnie indziej. Był

inny niż Scott: Nie taki szybki, gwałtowny, głodny zbliżenia. Nie, Snake najwyraźniej wolał powolne... zaloty, a Zoey to bardzo odpowiadało.

Tymczasem dziś wieczór niespodziewanie poprosił ją, by została aż do końca występu, tak aby mogli wyjść razem. Wyjść razem. Czyżby to był jakiś nowy greps na... hm... ? Coś odświeżająco nowego zamiast tego wytartego do cna „to co, u mnie czy u ciebie?” albo stareńkiego „to może pójdziemy na drinka?”. Hm, trudno powiedzieć. Tym bardziej że od lat już nie była na naj marniej szej nawet randce, a związek ze Scottem ograniczył się do... no, właściwie do czterech ścian, jako że nigdzie nie bywali razem.

– Wyczuwam pewne zdenerwowanie – Mouse wyraźnie postanowiła się z nią droczyć. – Nie martw się, będzie dobrze. To jak jazda na rowerze...

– Dzięki, mamusiu. Widzę, że znowu jesteś ekspertem w tym temacie.

– W temacie? Można to tak nazwać... Zoey potrząsnęła głową.

– Prawdę mówiąc, chciałabym znać więcej szczegółów o... temacie. Poza tym bardzo lubię Kenny’ego.

– Ja też! Lubię go i w nocy, i o poranku, gdy się przebudzę, i przy pierwszej kawie! Jest fantastyczny! Jedna noc bez niego....

– Wsiąkłś na całego, jak widzę.

– Oj, wiem. Myślę o przeprowadzeniu się do niego; w końcu w ten sposób oboje oszczędzimy na czynszu. Ale może to jeszcze za wcześnie?

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze Zoey. – Oboje tworzycie wspaniałą parę, ale to... to poważna decyzja. Niektórzy faceci panikują na samą wzmiankę o zamieszkaniu razem, nawet jeśli para spędza ze sobą praktycznie cały czas. A poza tym twoje mieszkanie jest chyba tańsze?

Mouse wojowniczo wzięła się pod boki.

– No, teraz to przemawiasz całkiem jak Jadę!

– W końcu to są twarde realia życia w wielkim mieście – Zoey wetknęła ołówek w spiralę spinającą notes. – Zresztą, ja też muszę wkrótce znaleźć sobie jakiś ką. Skye nie będzie dopieszczać tego literata z Toskanii w nieskończoność...

– Ale jeszcze nie oznajmiła wyraźnie, że wraca? A poza tym nie zmieniaj tematu, a tematem jestem ja. Moja kariera. I mój chłopak.

– Wybacz, czyżbym nadepnęła na ego przyszłej wielkiej gwiazdy?

– Dzięki za trafne określenie. – Mouse zadarła podbródek i odrzuciła do tyłu chustę z pomarańczowego szyfonu, udrapowaną na jej nagich ramionach. Dzisiejszego wieczoru miała na sobie połyskującą cekinami suknię bez rękawów; cekiny tworzyły na materiale niezwykle tęczę kolorów od ciemnopomarańczowego u góry, aż do cytrynowożółtego przy brzegu. – No więc, wracając do tematu... , mój nauczyciel tańca, Teddy, pokazał mi ostatnio taki... układ i to mi podsunęło pewien pomysł, i zaraz pobiegłam z tym do Kenny’ego, i wiesz co? W przyszłym tygodniu mam tu występ! Przygotowuję dwa numery, z choreografią, kostiumami i co tylko chcesz. To będzie jednoosobowy supershow, z Marielle Griffin w roli głównej. Niby to tylko

dwie piosenki, ale na początek...

– To wspomniała – zachwyciła się Zoey. – Musisz nas uprzedzić, kiedy dokładnie masz ten występ. Zrobimy ci klakę.

– Na pewno będzie oszałamiająca – odezwał się nagle z foyer Snake. Po chwili wyłonił się stamtąd z butelką piwa w ręku. W swym gładkim czarnym prochowcu przypomniał Zoey wampira: ciemnego, seksownego, o ponętnych, pełnych wargach.

– Mieliśmy dopiero jedną próbę, ale już widzę, że ta kobieta ma fantastyczny głos.

– Wielkie dzięki! – Mouse skłoniła się ceremonialnie. – Liczę na was. – Poklepała Zoey po ramieniu i rzuciła na pożegnanie – wybaczenie. Muszę zobaczyć, co z moim chłopem. Pewnie zmywa naczynia albo podlewa kwiaty. Mówię wam, że gdyby mógł prowadzić ten lokal sam, to by poprowadził.

Zoey przekonała się wkrótce, że „wyjście razem” oznacza jazdę taksówką do mieszkania Snake’a gdzieś w okolicach Hell’s Kitchen, o ile zapamiętała. Przedtem Snake zamówił u barmana sześciopak piwa i zdążył już obalić dwie puszki, zanim dojechali na miejsce. Mimo to wciąż nie wyglądał na pijanego, ani gdy otwierał drzwi, ani gdy zapalał światło, ani też gdy je natychmiast zgasił.

– Przepraszam, ale mam tu straszliwy bajzel. – Zapalił zapalniczkę i wkrótce na topornym, drewnianym stoliku do kawy zabłysły trzy świece. Chyba niewykończony ten stolik, pomyślała Zoey sadwiąc się na rozłożonym przed nim futonie.

– No, to posiedzimy sobie w ciemności i uczymy pamięć mojej drogiej współlokatorki, która utrzymywała tu jaki taki porządek. Mojej mamci. Była z wizytą. W zeszłym tygodniu wróciła do Anglii.

– Miło z jej strony. Było ci miło, gdy tu była, czy też łączy was typowa matczyno-synowska więź – pod hasłem: tyle dla ciebie zrobiłam a ty się tak odpłacasz?

– Różnie bywa, ale na ogół się nam układa. No i nikt nie przyrządza takiego kurczaka curry jak ona. – Zrzucił prochowiec i usiadł przy niej. – No, to teraz wiesz już wszystko. Że jestem patałach i maminsynek. Możemy teraz przejść do moich prawdziwych wad?

Zoey roześmiała się.

– Lubię patrzeć jak występujesz...

– Nabierasz mnie, prawda?

Zoey przyjrzała się jego spodniom z czarnej satyny, z naszytymi nań licznymi, miniaturowymi lusterkami. Podobały się jej te spodnie. Ciekawe, pomyślała, czy w środku... Snake tymczasem odkapslował dwa kolejne piwa i podał jej jedno.

– Dlaczego niektórzy ludzie nie potrafią przyjmować komplementów? – pociągnęła łyk piwa, przesuwając dłoń w kierunku jego uda. Roześmiał się.

– Podobają ci się moje lusterka? Powinnaś wiedzieć, że jestem strasznie próżny. Absolutny, totalny Narcyz. Dlatego te małe błyskotki są tak użyteczne. No, bo, powiedzmy, idziesz sobie ulicą i aby podziwiać swój własny piękny wizerunek, wystarczy się nachylić – schylił się, udając,

że się przegląda w jednym z lusterek naszytych na kolanie. Teraz to Zoey wybuchnęła śmiechem.

– Podoba mi się ten dźwięk – powiedział. – Jest niczym wodospad...

– Mój śmiech? – Zoey, nieco zmieszana, pociągnęła kolejny łyk piwa. – Prawdę mówiąc, jest odrobinę wymuszony.

– Przez kogo – przez masochistę? – Wstał i na chwilę zniknął w ciemności. – Pozwól, że nastawię jakąś muzykę. Bez niej nie mogę jasno myśleć.

Po chwili pokój napełniły dźwięki jazzu. Głębokie i soczyste.

– Masz chyba strasznie kosztowny sprzęt – zauważyła Zoey.

– Ba, to jedyna wartościowa rzecz w tym pokoju – parsknął. – Przekonasz się, jak będzie można zapalić światło w tej norze. – Ponownie usiadł obok niej. Jego twarz i jego pełne wargi znalazły się nagle tuż obok jej twarzy. – Jesteś zdenerwowana?

– Troszeczkę.

– No, to może przełamiemy lody? – pocałował ją szybko raz i drugi. Zoey bez oporu przywarła do niego. Było jej ciepło, dobrze i przytulnie. I prawie... aseksualnie.

Snake oderwał się wreszcie od jej ust i uśmiechnął się.

– Teraz lepiej?

– Mmm. Już się nie denerwuję.

– Czyli, że mój diaboliczny plan się powiódł – sięgnął po kolejne piwo. Zoey zwinęła się wygodnie w jego objęciach.

– Jak długo już jesteś w Nowym Jorku?

– Jak długo? – Pociągnął długi łyk. – Jak długo, pytasz? Czyżbyś chciała usłyszeć historię żywota i czynów Snake'a Prescottta?

– Czuję, że i tak jej wysłucham, czy chcę czy nie.

– Dokładnie tak. Czyż nie uprzedzałem cię, że jestem narcystycznym facetem?

Zoey wyciągnęła się wygodniej na futonie. – No, dobrze. Wysłucham jej, ale tylko dlatego, że uważam cię za fascynującego człowieka...

– Oczywiście, że wysłuchasz. – Połaskotał ją lekko i sięgnął po następne piwo. – No, to od czego by tu zacząć? Urodziłem się w biednej... nie, to za daleko w przeszłość. Co by tu... ? Pewnego razu w podstawówce, gdy miała nas odwiedzić królowa... nie. Myślę, że o tym wolałabyś nie słuchać...

Zoey uśmiechnęła się leniwie. Był taki zabawny. Gdyby tylko mogła wreszcie przestać myśleć o tym, co kryją jego lusterkowe spodnie....

Obudziło ją dziwne, ciepłe łaskotanie rozlewające się w dole brzucha. Czyjeś ręce głaskały ją lekko, budząc uczucie ciepła i... Nick? Nie, zaraz... To nie mógł być Nick. Parę sekund zajęło jej uświadomienie sobie, że musiała się zdrzemnąć na futonie Snake'a. Zaraz... opowiadał coś o swym dzieciństwie w Nottingham... potem jak przybył do Stanów w ramach wymiany studenckiej, jak udało mu się – rok później – powrócić tu znowu, jak mieszkał w północnej części New Jersey, u jakichś krewnych swych przyjaciół z tamtego pierwszego pobytu... Jego opowiastki i anegdoty były doprawdy zabawne i Zoey, zwinąwszy się wygodnie na futonie, chichotała bez przerwy i droczyła się z nim... a potem...

Przypomniała sobie, jak wyglądał w migotliwym blasku świec: jego ciemne oczy wydawały się jeszcze większe i jeszcze ciemniejsze, nadając mu osobliwy, z lekka upiorny, a zarazem poetyczny czar. I miał takie piękne brwi, i piękny, prosty nos, i te długie, ciemne włosy okalające twarz...

W pewnym momencie rozmowa zeszła na temat jazzu i ich zespołu i wtedy Zoey dowiedziała się, że to Snake napisał większość tekstów do ich piosenek. Potem rozmawiali o poezji klasycznej i awangardowej i o „śmiesznej pompatyczności” cechującej zdaniem Snake'a krytyków zajmujących się poezją. Gdy przeszli do historii jego studiów w Cambridge i Zoey usłyszała, w którym roku zrobił dyplom, poczuła się jakby dostała obuchem w głowę: okazało się, że w 1998. Cholera, zdawała sobie sprawę, że jest sporo od niej młodszy, ale żeby o całą dekadę? Gdy powiedziała mu o tym, roześmiał się tylko i podał jej kolejne piwo, po czym zapytał o jej studia. Gdy zaczął cytować Keatsa, Zoey bezceremonialnie przyciągnęła go do siebie i zachłannie pocałowała. Lecz gdy próbowała posunąć sprawę dalej i zainicjować – skromne na razie – pieszczoty, odsunął się i zaczął recytować, tym razem miłosne sonety Szekspira. W końcu chyba mu powiedziała, że na minutkę przymknie oczy... i wtedy to prawdopodobnie przysnęła.

A teraz czuła jego rękę na swoim brzuchu... Jego ciało było ciężkie, straszliwie ciężkie; czuła na policzku jego gorący oddech, niezbyt miły, cuchnący piwem i czymś jeszcze... Poczwała, że jest straszliwie znużona i że jedyne, czego pragnie, to znaleźć się w domu, w czystym, wygodnym łóżku.

Poruszyła stopą, wywołując brzęk szkła. Butelek po piwie? Pojemników po świeczkach? Diabli wiedzą, w tych ciemnościach.

– Mmm. Chyba przysnęłam – szemrała niepewnie.

– Pst... Nic nie mów: – Jego ręka ruszyła dalej. Czyżby zaczynał ją rozbierać? Próbowała usiąść i zacząć rozbierać jego, lecz Snake pchnął ją zdecydowanie z powrotem na futon...

Leżąc tak i poddając się tym dość pospieszonym i brutalnym pieszczotom, pograżyła się w myślach o jego lusterkowych spodniach, soczystych, pełnych wargach, zabawnych historyjkach...

Ale to, co się działo, niezupełnie pasowało do tego, co sobie wyobrażała, gdy fantazjowała na temat uprawiania z nim miłości... jak to on nagi i piękny, przeciągał się leniwie na posłaniu i śpiewał, a ona, też naga, tańczyła przed nim...

– Tak dobrze... westchnęła pod kolejnym jego dotknięciem. Może trzeba się włączyć w grę, nadać rytm...

– Spokój! – usłyszała w odpowiedzi.

Dalej pozostało jej już tylko wpatrywać się w grę cieni na suficie, licząc, że jak.... dojdzie... co do czego... , będzie to nieco lepsze... Nagle przypomniała sobie jeden ze swoich ostatnich pomysłów na nową powieść: o odnoszącej sukcesy scenicznej aktorce, która nagle traci mowę. Ciekawe, jakby się to dało wykorzystać w scenach erotycznych... ?

Jakiś wewnętrzny głos przypominał jej, że właśnie leży na materacu, z przystojnym facetem, który ... i że może lepiej zająć się nim, niż dumać o nowej powieści, choćby nie wiadomo jak pornograficznej...

Poczuła nagły chłód; on odsunął się. Znow usiadła, próbując zbliżyć się do niego i ewentualnie zacząć wreszcie rozbierać, ale Snake ponownie pchnął ją na futon.

– Zostań tutaj – rozkazał i gwałtownym ruchem ściągnął te swoje cudowne, lusterko we spodnie...

Zoey nagle przypomniało się to najistotniejsze. Podniosła głowę.

– Mam prezerwatywy w torebce – powiedziała.

– Mam własne.

Opadła z powrotem na materac. No dobra, niech się dzieje, co chce, pomyślała. Postaram się, żeby było miło, nawet jeśli nie mogę pojąć i powzdychać. Ale nie zdążyła nic zrobić. A Snake najwyraźniej zupełnie o to nie dbał... Wszystko odbyło się tak mechanicznie i bezosobowo, że Zoey poczuła, iż właściwie ona sama jest tu zbędna. Mogła spokojnie wysłać na randkę ze Snakem swoją kuciapkę, a samej zostać w domu i porządnie się wyspać...

Tak, to niegłupi pomysł.

Och, spać. Spać.

Merlin zbudził się z niejasnym uczuciem ciepła i zaspokożenia. Leżał przytulony do Josha w ogromnym łożu z baldachimem w Apartamencie Westminsterskim, wsłuchany w jego spokojny, regularny oddech.

Rzadko im się zdarzało tak razem zasnąć w środku dnia, zwłaszcza podczas zwyczajowej randki w którymś z hotelowych apartamentów, lecz ostatnio obaj z różnych powodów nie bardzo się wysypiali. Josh miał trudności z pogodzeniem pracy w hotelu i zajęciami w szkole masażu, Merlin zaś większość wieczorów po prostu spędzał w Rainforest z Mouse, Zoey i Jadę.

Przytulając się mocniej do nagiego ciała kochanka, Merlin poczuł, jak powraca na nowo fala pożądania, ale Josh spał tak głęboko i słodko... Cały pokój pachniał seksem i cynamonowym poutpourri; Merlin odetchnął głęboko, uznawszy, że ta mieszanka woni ma w sobie coś kojącego. Obaj bardzo potrzebowali tego spotkania i zbliżenia. Wobec nawału szkolnych zajęć Josha i masy problemów związanych z przygotowaniem do ślubu, które z kolei wisiały nad nim samym, Merlin poczuł, że obaj z Joshem jakby zaczynają egzystować nie razem, a obok siebie. „Nie możemy dopuścić, by te wszystkie codzienne troski i obowiązki nas rozdzielały” – powiedział w końcu Joshowi. „Tyle związków rozpada się z powodu czy to kłopotów w pracy, czy to kłótni o pieniądze: nie pozwólmy, aby i nas to spotkało”. „Prawdę rzeczesz, o mędrze” – odpowiedział na to wtedy Josh z żartobliwym ukłonem.

Spojrzał ponownie na kochankę, uśpionego pośród lnianej pościeli w kolorze kości słoniowej; zastanowił się, czy Josh powinien nosić ślubną obrączkę. Prawdę mówiąc, liczył na to. Wymiana obrączek byłaby znaczącą częścią całej ceremonii i, zdaniem Merlina, byłby to ważny symbol, sygnał dla świata, że oto oni dwaj są złączeni i związani wzajemną przysięgą. Postanowił, że porozmawia o tym z Joshem zawczasu.

Jak dotąd, udało mu się pozatławić i ustalić najważniejsze sprawy związane ze ślubem. Wyprawa na Wystawę Weselną była niezmiernie pouczająca; on, Mouse i Zoey wędrowali przez całą ekspozycję z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, patrząc ze zgrozą na cały ten kram i chlām: czekoladki z portretami państwa młodych; weselne wianki ze sztucznych kwiatów, sztucznych klejnotów, sztucznej pozłotki; fotografie weselnych stołów; straszliwe ślubne prezenty, jeden koszmarniejszy od drugiego...

Po tej, jakże pouczającej, wycieczce Merlin postanowił, że wszystko odbędzie się normalnie, po ludzku i na Manhattanie. Udało mu się zarezerwować piętorko w małej restauracyjce na Upper West Side, słynnej z bakłażanów pod parmezanem i niezłych dań dla mięsożerców. Jedyne, co go gryzło, to fakt, że przez cały lipiec, kiedy restauracyjka była dostępna, Wenus miała znajdować się w stanie regresji, a regresywna Wenus oznaczała niezbyt pomyślny czas dla miłości; Merlin uznał, że nie chce się zenić pod tak złymi auspicjami.

Początkowo nalegał, by wyznaczyć inną datę; jednak Josh się dąsał. W końcu naraił mu astrologa, który uznał, że wybrany termin jest jak najbardziej stosowny.

Stanoło więc na ślubie lipcowym. Merlin wciąż miał na głowie sprawy kwiatów i strojów, ale czuł się co nieco odprężony, wiedząc, że te najważniejsze decyzje zostały już podjęte.

Ciszę zakłócił nagle sygnał z komórki; Merlin z westchnieniem odsunął się od ciepłego ciała Josha i rozpoczął poszukiwania. Po dwóch sygnałach namierzył wreszcie komórkę w kieszeni szortów Josha.

– Halo? – spytał przyciszonym głosem, przysiadając na skraju łóżka, ostrożnie, by nie obudzić Josha.

– To ja – usłyszał głos kobiety. Jakiś taki płaski i skrzeczący, a właściwie skrzypiący – niczym wypaczone okno.

– Chciałam cię zawiadomić, że w przyszłym tygodniu odwiedzi nas twoja siostra. Mówiłam twojemu ojcu, że na pewno nie zechcesz przyjść. W końcu nie musisz; wiadomo, że masz się za coś lepszego od nas. To właśnie mu powiedziałam.

– Halo? – Merlin pomyślał, że głos tej baby przypomina głos Edith Bunker. – Przepraszam, ale to chyba pomył...

– A, teraz z kolei udajesz, że mnie nie znasz?

– Bo nie znam – odpowiedział zniecierpliwiony Merlin.

– Wybrała pani zły numer.

– O zesz ty, to nie Josh – głos baby brzmiał jeszcze bardziej niesympatycznie – To gdzie on jest?

Merlin poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Popatrzył na śpiącego Josha. To nie pomyłka. To niesympatyczne babsko obudziło w nim złe przeczucia. Chciał się rozłączyć – ale nie mógł. Odpowiedział więc sucho.

– Nie, to nie Josh, w rzeczy samej. – Poczuł, że Josh obraca się na drugi bok.

– To gdzie on jest?

– Tutaj obok – Merlin przez sekundę miał ochotę dodać bezczelnie: – „Spi, nagi, w moim łóżku”. – Ale nagle wydało mu się to niestosowne. Złe przeczucia narastały.

– Słuchaj no pan, nie pogrywaj ze mną, dobrze? Podaj go do telefonu.

– A kto prosi, jeśli mogę zapytać? – Merlin przybrał swój najgrzeczniejszy, zawodowo-hotelowy ton.

– Jego matka.

Poczuł jakby dostał cios w żołądek. Przecież matka Josha nie żyła. Może to macocha? Ale przecież Josh nie kontaktował się z ojcem od czasu, gdy uciekł od niego z tej rudery w Minnesocie, gdy był jeszcze w liceum.

– Josh ... – Merlin odwrócił się i lekko trącił śpiącego kochanka.

Josh odtrącił jego rękę, po czym obrócił głowę na poduszce.

– Co się stało, mój drogi? – zamruczał z przymkniętymi powiekami, z twarzą wciąż spokojną

i odprężoną.

Merlin z trudem usiłował opanować ściskający mu serce lęk.

– Dzwoni jakaś kobieta, która twierdzi, że jest twoją matką.

Josh otworzył oczy tak szybko, że Merlin zdążył dostrzec panikę w jego spojrzeniu.

– Och! – wzdrygnął się, po czym przetarł oczy. – Ciekawe, o co chodzi – usiadł i wziął komórkę z rąk Merlina.

– Tak? – zapytał i wstał, gwałtownie ściągnając prześcieradło, po czym przeszedł się po pokoju z drugą ręką przy uchu, jakby chciał lepiej słyszeć. – Nie. Nie, naprawdę nie!

Merlin uważnie śledził ruchy jego pięknego, smukłego, nagiego ciała; tej przedziwnej mieszanki młodości i niebezpieczeństwa, które zawsze były dla niego tak pociągające. Teraz jednak zobaczył w tym pięknym ciele coś... obcego, coś, co było źródłem lęku i dezorientacji. I to wszystko przez jeden telefon. Jego matki?

Rozmowa Josha miała się ku końcowi... padały pojedyncze słowa. Rozłączył się wreszcie, ale najwyraźniej nie zamierzał niczego Merlinowi wyjaśniać.

Podszedł do krzesła i sięgnął po szorty.

– Kto to był? – zapytał w końcu Merlin.

– Jedna taka... Wariatka. – Josh naciągnął spokojnie koszulkę polo i starannie zapinał guziki.

– Nie przejmuj się nią.

– Ale się przejmuję. Dzwoni do ciebie jakiś babsztyl, a ty nic mi nie chcesz wyjaśnić? Co się dzieje, Josh? Myślałem, że nie mamy przed sobą tajemnic.

Josh odwrócił się ku niemu ze stężoną twarzą.

– Nie chciałem cię denerwować, a ty teraz się wkurzasz...

– Co się dzieje? Powiedz mi – poprosił Merlin.

Josh wpatrywał się w suto udrapowane zasłony na oknach, jakby tam była ukryta odpowiedź na zadane mu pytanie.

– Powiedz, proszę.

– To moja matka. – Odezwał się Josh po chwili. – Tyle tylko, że do niedawna nie miałem pojęcia, że ona w ogóle istnieje... Myślałem, że zmarła, gdy byłem mały, ale... wygląda na to, że to było jeszcze jedno z licznych kłamstw tatuśka. Tak czy siak, udało się jej mnie namierzyć, całkiem niedawno. Mieszka gdzieś na północ od Nowego Jorku. No i najwyraźniej mam także siostrunię. Jakaś podmiejską flądę z trójką bachorów.

Merlin nadal walczył z gulą w gardle. Sam nie wiedział, co go bardziej dotknęło i wytrąciło z równowagi: czy fakt, że Josh jest jakoś powiązany z tym koszmarnym babsztylem, czy też że trzymał to przed nim w sekrecie? Chyba jednak to pierwsze było bardziej przykre...

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Jeśli masz rodzinę, chciałbym o niej wiedzieć. Mamy być ze sobą całe życie: więc powinniśmy wiedzieć o sobie wszystko.

– Nie sądziłem, że to ważne. W ogóle nie czuję się z nią związany.

Merlin przysiadł na skraju łóżka i skrzyżował ręce na piersi.

– Chyba powinienem ją poznać.

– Będę ci niezmiernie zobowiązany – powiedział drwiąco Josh. – Dzięki tobie będę mógł dowiedzieć się, jak ona w ogóle wygląda, ponieważ sam nie zamierzam w ogóle się do niej zbliżyć. To hrabstwo Putnam, mój drogi, rozumiesz? Błogosławione zadupie. Kraina zagonów dyni i sklepów z mydłem i powidłem. Teraz pewnie szykują się do koronacji Majowej Królowej.

– Josh, nie możesz, ot tak, przejść nad całą sprawą, jakby to był tylko marny dowcip – zaprotestował gorzko Merlin. – Okłamałeś mnie w ważnej sprawie – sprawie dotyczącej twojej rodziny. Zaniepokoiło mnie to i bardzo trudno mi to zrozumieć. – Teraz zresztą zastanawiał się, czy przypadkiem Josh nie okłamał go także w innych sprawach, ale chwilowo wołał o tym nie myśleć.

– Uważam, że niepotrzebnie się ciskasz, kochanie, bo to wcale nie jest ważne. Pojawia się jakaś stara prukwa i twierdzi, że jest moją matką. A prawda jest taka, że nigdy nie była dla mnie matką w żadnym, ale to żadnym znaczeniu tego słowa i absolutnie nic mnie z nią nie łączy. Nie wiem, skąd i jak zdobyła mój numer, ale mam nadzieję, że po chłodnym przyjęciu, jakie jej właśnie zgotowałem, w końcu przestanie dzwonić. Posłuchaj, kochany... – wskoczył na łóżko, uklękł za plecami Merlina i zaczął rozmasowywać delikatnie mu ramiona.

Merlin poczuł, jak pod ciepłym dotykiem palców Josha jego gniew zaczyna topnieć. Josh tymczasem ciągnął:

– Jesteśmy tylko ty i ja. Wybacz, jeśli cię dotknąłem nie mówiąc ci o niej, ale, prawdę mówiąc, było to dla mnie troszeczkę... żenujące. Być spokrewnionym z taką... białą nędzą... Powiedziałem sobie, że tak naprawdę ona nie jest moją matką, bo nie jest. Już prędzej ty byleś dla mnie matką niż ona.

– Dzięki chociaż za to – dłonie Josha miały w sobie niemal magiczną moc łagodzącą i uspokajającą. Merlin poczuł miłe ciepło, spływające z barków w dół, ku plecóm i ramionóm.

Josh pochylił się i pocałował go w zagłębienie za uchem. Merlin westchnął.

– Gdybym naprawdę był twoją matką, powinienem ci teraz palnąć kazanie...

Josh zachichotał, tuląc się do niego.

– Och, przestań. Wiem, że nie potrafisz zbyt długo się na mnie gniewać. Nigdy nie potrafiłeś.

– Wiem, niestety – przyznał Merlin. – Jestem wobec ciebie kompletnie bezbronny. Jak niemowlak.

– Dzięki ci, Boże. Pomyśl tylko, że uratowałeś mnie przed tą wrzaskliwą suką z hrabstwa Putnam. Bez ciebie byłbym tylko podmiejskim obibokiem i królową niedzielnych deptaków...

– A tak, jesteś królową hotelu Royale...

Josh lekko ugryzł go w ramię, po czym pchnął go na łóżko, mrucząc. – Oj, zapłacisz mi za to, mój drogi...

Merlin uśmiechnął się. Uwielbiał, gdy Josh zgrywał twardziela.

– No, to do roboty...

– No chłopcze i dziewczęta, panie... i panie, co pijemy dziś wieczór? – spytała Mouse, gdy Zoey, Jadę i Merlin rozsiedli się przy stole na balkonie.

– Jestem zaskoczona, że robisz dziś wieczór za hostessę – zauważyła Zoey. – Kenny nie mógł dać ci wolnego w wieczór twojego występu?

– Pewnie by mógł, ale wtedy oboje nas zjadłyby nerwy; ja bym myślała, jak on sobie poradzi beze mnie, on by się miotał, bo beze mnie faktycznie by sobie nie poradził. Ellie jest słodka, ale jeszcze nie dość wprawiona w zasady etykiety klubowej. Poza tym Kenny płaci mi za bycie hostessą i pozwala na występ... – Zachichotała i zakryła usta dłonią. – O rany, czuję się jak...

– Nie możemy się już doczekać, żeby zobaczyć cię na scenie – powiedziała Zoey pokrzepiająco.

Mouse poklepała ją po ramieniu.

– Możecie dostać cały dzbanek dowolnego bezpłatnego trunku, ale jeśli przyjdzie wam ochota na któryś z tych „autorskich” drinków Antona, to już będzie na mój rachunek. Tylko proszę was, nie wyłopcie wszystkiego przed moim występem. Potrzebuję was, moi drodzy, trzeźwych jak prosięta, żebyście mogli mi urządzić porządną owację na stojąco.

– Pamiętacie te stare, piękne czasy, kiedy, chcąc docenić przedstawienie, musieliśmy być pijani jak prosięta? – Merlin oparł się wygodniej na krześle. – Boże, zaczynam czuć się staro...

– Cóż, wkrótce będziesz już starym żonkosiem – zaśmiała się Zoey. – Jeśli o mnie chodzi, to na dziś wieczór mam smak na margaritę. Znajdą się inni chętni na wspólny dzban?

– Dobra, niech będzie – machnęła ręką Jadę. – Muszę się czymś znieczulić. To cholernie męczące być zakochaną. – Ostrożnie położyła na stole komórkę, po czym podniosła wzrok i trochę nieprzytomnie popatrzyła na przyjaciół.

– Tak, tak, znowu czekam, aż zadzwoni... Zoey wzdrygnęła się.

– Jadę, dlaczego po prostu do niego nie zadzwonisz?

– Bo już to zrobiłam i teraz czekam, żeby oddzwonił. Cały problem w tym, że on zdaje się żyć w zupełnie innym wymiarze niż większość ludzi. Na email odpowiada w ciągu paru minut, ale nie chce mu się przerywać całodniowej narady, by oddzwonić...

– No, to może wyślij mu email? – poradził Merlin.

– Jasne, wtedy będziemy mieli idealnie elektroniczny związek... Coś w tym guście:

Cześć, skarbie, masz czas dziś wieczór na kolację? Nie? To może jutro rano na śniadanie? Wybacz, mam ważne spotkanie po południu, ale może uda mi się wykroić parę minut dla ciebie na wczesny lunch?

Jadę bezradnie potrząsnęła głową.

– Że też musiałam stracić głowę właśnie dla tego KropkaComFaceta...

– Posłuchaj, Jadę – przerwała jej Mouse, wskazując na komórkę. – Dobrze wiem, że pierwszy raz jesteś naprawdę zakochana, ale pozwól, że cię po przyjacielsku ostrzeżę: jeśli ta rzecz zadzwoni podczas mojego występu, to jesteś już zimnym trupem...

Jadę posłała jej skwaszone spojrzenie.

– Dobra, nastawię to na sygnał ciągły i będę trzymać między nogami...

Zoey zarumieniła się.

– Co jest, Jadę? Czyżby Pan KropkaCom się nie spisał? A może wciąż jeszcze uprawiacie ten... wirtualny seks?

Jadę uśmiechnęła się, ale jakoś niepewnie.

– No, my właściwie jeszcze nie...

– No, nie! – Mouse z hałasem przysunęła sobie krzesło i siadła na nim z rozmachem.

– O rany, uspokój się – burknęła w jej stronę Jadę. – No, już całowaliśmy się... i trochę... Jemu, jak się zdaje, wystarcza poprzytulać się i pocałować, a ja... nie chcę go naciskać. Boję się, że gdy posuniemy się zbyt szybko... no, nie wiem, nie chciałabym zapeszyć... Wcale nie dlatego, że nie jestem ciekawa co facet ma w spodniach, wierzcie mi. Ale na teraz to... no... jest dobrze tak, jak jest... gdy wciąż poznajemy jedno drugie. I wiecie co? Wciąż nie mogę uwierzyć, że tak cudownie jest mieć kogoś obok siebie u schyłku dnia...

Zoey nagle przypomniały się te odległe dni, gdy Nick wprowadził się do niej. Jakże było cudownie wiedzieć, że wieczorem mogą wspólnie wybrać się na kolację, na drinka czy do kina, choć czasami po prostu zostawali w domu, siadali obok siebie i oglądali telewizję. Ale zawsze już, zawsze, gdy nadchodziła noc, dzielili to samo łóżko. Nie zawsze się kochali, czasem po prostu leżeli objęci, tak że wkrótce Zoey nie potrafiła zasnąć, nie czując wokół siebie czułych ramion Nicka. Patrząc teraz na Jadę, poczuła lekkie ukłucie zazdrości.

Mouse potoczyła wokół spojrzeniem i wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu.

– Teraz, teraz właśnie do mnie dotarło, że każde z nas prowadzi obecnie regularne życie płciowe...

Merlin o mało nie zakrzuszył się łykiem wody. Odstawił szklankę i rozkaszał się.

– Co ja takiego powiedziałam? – zdumiała się Mouse.

– Nic, ale powiedziałaś to tak jakoś... wesolutko... – odkaszlnął – jakbyśmy wszyscy... boja wiem... zdobyli czarne pasy w karate...

– Hm – Zoey zaczęła miętosić brzeg ciemnopomarańczowej serwety. – No, bo jest seks i seks...

Jadę rzuciła jej przenikliwe spojrzenie.

– Czyli?

Zoey wzruszyła ramionami.

– Nie, żebym narzekała; nic takiego, ale Snake nie jest... no, powiedzmy, że nie jest najlepszym kochankiem.

Mouse aż zamrugała ze zdumienia.

– Taki dekoracyjny facet i leni się w łóżku?

– Ba, gdyby się lenił, byłaby to miła i pożądana odmiana – westchnęła Zoey. – Rzecz w tym, że on jest taki... kompletnie bez inwencji. Nic, tylko standard i rutyna. Troszkę byle jakich szczypanek na początek, potem od razu do rzeczy i szast-prast, już jest... po komplemencie.

– Oczom i uszom nie wierzę – przerwała jej Jadę. – Tak to ślicznie streściłaś, Zoey, i nawet się nie zarumieniłaś. Widać, że nasze niewiniątko dorasta...

Zoey zastanowiła się przez chwilę.

– No, tak, przyznaję, że zrobiłam pewne... postępy. I co z tego? Wiem, że seks ze Snakem mógłby być naprawdę wspaniały, a nie jest i to jest frustrujące... On nawet nie pozwala mi rozmawiać... no, w trakcie. A poza tym na ogół robi to tak gdzieś około piątej nad ranem...

– Tak późno się kładzicie? – zdumiała się Mouse. Zoey potrząsnęła głową.

– Nie, zazwyczaj zasypiamy o drugiej lub trzeciej nad ranem. Jak wychodzi z pracy, to już jest zbyt pijany. A potem nagle, w środku nocy albo nad ranem budzi się, że tak powiem gotów do boju... a ja... – wzruszyła ramionami. – A ja wtedy wolę spać. Chyba faktycznie wszyscy się starzejemy...

– Spotykałam się kiedyś z takim facetem – powiedziała nagle Jadę.

Merlin popatrzył na Zoey.

– Nie próbowałaś z nim porozmawiać?

– Próbowałam. – Zoey rzuciła okiem na scenę, zastanawiając się, czy Snake jest już w klubie. Nie chciała, by cokolwiek z tej rozmowy do niego dotarło. Jednak nigdzie go nie zauważyła. Sprzęt był już rozstawiony, ale zespół jeszcze nie wyszedł. Ciągnęła więc dalej.

– Próbowałam i, wiercie mi, bardzo ostrożnie dobieierałam słowa, bo w końcu wiem, jak panowie mężczyźni są czuli na punkcie swej łóżkowej sprawności. Dwa razy zgodził się... byśmy... kochali się przedtem, zanim zaśnie. Ale i tak nic z tego nie wyszło... I w ogóle... – umilkła nieco zakłopotana.

– Hm, ciekawe... – pokiwał głową Merlin. – No cóż, alkohol na pewno tu nie pomaga, raczej wręcz przeciwnie...

Zoey przyjrzała mu się uważnie.

– A ty skąd wiesz takie rzeczy? Wzruszył ramionami.

– Wiesz, przeczytało się tych parę książek, przeleciało paru facetów...

– Tak czy owak, nie rysuje się to różowo – pokręciła głową Jadę. – Wygląda na to, że facet po prostu nie chce współpracować, by razem było wam w łóżku miło...

– Och, dziękuję, doktorze Merlin, i pani, doktor Jadę – Zoey nerwowo wygładziła serwetę. – Wiercie mi, nie zawracałabym sobie nim głowy, gdyby nie był taki miły i zabawny... poza łóżkiem. Mamy tyle wspólnych tematów. Czy wiecie, że napisał większość tekstów do piosenek, które śpiewa Crash? I wiele innych zespołów nagrywa jego piosenki. Pewnego ranka przebudziłam się, patrzę, a on leży na podłodze i pisze tekst do piosenki na papierowym ręczniku...

– Oryginalne – skrzywił się Merlin – ale praktyczne. Jakby piosenka nie udała się, zawsze zostaje ręcznik do wytarcia, bo ja wiem, rozlanego piwa...

Zoey wróciła myślą do tamtego poranka, gdy znalazła Snake'a, leżącego nago, na brzuchu, na gołej podłodze. Wtedy po raz pierwszy ujrzała go w dziennym świetle i mogła z przyjemnością stwierdzić, że ma piękne, smukłe, choć może nieco kościste ciało.

– Słuchaj, ja mam papier – zamruczała, patrząc na niego spod prześcieradeł. – Notes... w torebce...

– Ta rolka jest idealna – odpowiedział. – Czy wiesz, że Jack Kerouac napisał *W drodze* na takiej długiej rolce papieru, pewnie pozostałości jakiegoś papieru do oklejania, który architekci zostawili na tym strychu w Greenwich Village, gdzie mieszkał...

Zoey ziewnęła wtedy szeroko.

– Ummm. Czytałam gdzieś, że oryginał *W drodze* sprzedano na aukcji...

– To będzie moja rolka, mój zwój – oznajmił dumnie Snake. – Podniósł rolkę papierowego ręcznika i przyniósł go Zoey do łóżka. – No i co o tym myślisz?

Pisał jak kura pazurem, ale udało się jej odcyfrować te słowa:

Pasemka słońca we włosach Zoey Mówią o sekretnym pożądanii, Ciemnobłękitny płomień. Nigdy nie wiesz kogo na ulicach miasta napotkasz. Nigdy nie wiesz.

Pasemka słońca we włosach Zoey W jej ciemnych oczach błysk słów niewypowiedzianych, Jasność jej tak promienna.

Patrzysz za nią jak idzie ulicami miasta W zgiełku miasta. Patrzysz jak idzie.

Milczała wtedy przez chwilę, po czym powiedziała tylko.

– To piękne. I takie miłe, że użyłeś mojego imienia. – Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

– To tyś mnie natchnęła, moja muzo! – Rozwinął prawie cały ręcznik z rolki i zaczął tańczyć po pokoju, wymachując nim jak sztandarem. Genitalia tak śmiesznie mu podskakiwały...

Zoey ziewnęła. Taak, ich stosunki fizyczne nie były może nazbyt płomienne, ale intelektualnie niewątpliwie coś między nimi było... Otrząsnąwszy się ze wspomnień i wracając do rzeczywistości, powiedziała: – Jest w nim jednak coś ujmującego.

– I to ci wystarcza? – prychnęła Mouse.

– Tak. Jest nam cudownie, póki nie lądujemy w łóżku...

– Uups. – Mouse zerwała się nagle. – Spadam, zanim zrobi się tłoczno, a Ellie kompletnie popłacze gości i stoliki. Przyślę wam tę obiecaną margaritę i coś na ząb.

Zoey podrapała się w nos, przypominając sobie nagle stare porzekadło, że „gdy się drapiesz po nosie wariat całusów domaga się”. No tak, w jej przypadku sprawdza się na sto procent...

– Tak więc – podjęła – mnie przypadł w udziale seks nudny i jałowy, Jadę jest na razie na etapie skromnej macanki... A jak tam twoje życie miłosne? – spytała, odwracając się do Merlina.

Merlin wyraźnie silił się na swobodę.

– Dlaczego to proste pytanie każe mi od razu szukać usprawiedliwień? Czasami wydaje mi

się, że wy, kobiety, zbyt podnosicie poprzeczkę...

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – nalegała Zoey.

– A, moje życie miłosne. W porządku, tak przypuszczam.

Jadę kartkowała menu, lecz dość głośno mruknęła:

– Zabrzmiało nad wyraz entuzjastycznie... Merlin machnął ręką.

– To znaczy seks jest w porządku. Miałem tylko małe... nieporozumienie z Joshem, akurat w tym tygodniu...

Zoey i Jadę wysłuchały uważnie jego dziwnej opowieści o matce Josha.

– Josh utrzymuje, że nigdy się z nią nie spotkał, nie zna jej i ona go w ogóle nie obchodzi – ciągnął Merlin. – Powiedział mi, że wyszła drugi raz za męża za jakiegoś odrażającego typu, ale ta kobieta mówiła o swym mężu jako o „ojcu Josha”. No i skoro Josh nigdy jej nie spotkał, to skąd wie, że ten facet jest odrażający? – na chwilę przymknął powieki. – Już sam nie wiem, komu i w co mam uwierzyć. I nie wiem, czy drażnić sprawę czy olać? W końcu... przecież mamy się z Joshem pobrać. Dobra, powiecie, że zwariowałem, ale może powinienem zaprosić ją na nasz ślub?

– Faktycznie, zwariowałeś – stwierdziła zimno Jadę. Merlin zwrócił się do Zoey.

– A ty co o tym sądzisz? Rozumiesz, ślub to sprawa na całe życie; nie chciałbym, żeby Josh kiedykolwiek pożałował, że jej tam nie było, bo akurat wtedy coś mu odbiło i się uparł. Powinienem ją zaprosić?

Zoey skrzywiła się.

– Mnie pytasz? Z twojej opowieści wyłania się raczej koszmarny obraz tej mamuśki, no, ale ja nigdy nie przepadałam za swoją własną teściową...

Błękitne oczy Merlina pociemniały. Był wyraźnie rozczarowany.

– O rany, naprawdę chcesz, żebym ci powiedziała: tak, powinieneś ją zaprosić? To naprawdę głupia sytuacja, ale jakąś decyzję trzeba podjąć. Wiesz, myślę, że najważniejsze jest to, czy naprawdę chcesz otwierać tę puszkę Pandory i czy to będzie dobre dla Josha? Przecież równie dobrze mógł nigdy nie zetknąć się z tą babą, a zapraszając ją na wasz ślub, możesz go... poniżyć, narzucić mu obecność tej części jego życia, z którą on najwyraźniej nie czuje się dobrze...

– Ja tak tego nie widzę – potrząsnął głową Merlin. – Dobry Boże, ale właściwie dlaczego? Pogubiłem się. Straciłem zdolność logicznego rozumowania. Ta cała weselna krzątanina i te wszystkie banialuki zrobiły mi galaretkę z mózgu...

– Nie martw się, złotko. – Jadę mrugnęła do niego łobuzersko. – Z takimi kumpelkami, jak my, nie zginięsz. Podtrzymamy, podeprzemy, pokrzepimy. Słowem: pomożemy.

Zanim jeszcze mężczyzna w szarym garniturze i w o ton ciemniejszej koszuli oraz kobieta w czarnej sukni i lnianym blezerze ominęli kolejkę i podeszli, Mouse już wiedziała – oni są ważni.

– Danny Edwards – przedstawił się mężczyzna, podając swą wizytówkę. – A to jest Sheryl Villanova. Pracujemy dla Metropolis Records. Przesłuchania i Nagrania, konkretnie.

Mouse spojrzała mu prosto w oczy, chcąc, aby dobrze ją zapamiętał. W duszy zaś miała ochotę skakać jak szalona, i ścisnąć im dłonie i piszcząc coś w tym rodzaju: Metropolis Records? Ależ to absolutnie najlepsza firma nagraniowa i nie wiem co bym dała, by zdobyć kontrakt z wami, ale teraz, za niecałe pół godziny, występuję – tak, występuję! – i może chcecie kopię mojego demo?!”

Zamiast tego powiedziała powściągliwie: – Dobry wieczór, Danny, dobry wieczór, Sheryl. Wolicie stolik na balkonie czy też bliżej sceny?

– Tam, gdzie najlepiej da się posłuchać zespołu – odpowiedział.

– Mamy tu, na dole, bardzo miły stolik, dość dyskretny. – Mouse wskazała im kierunek. – Proszę, tędy.

Prowadząc ich do stolika i sadowiąc przy nim, rzuciła kilka miłych słów o Crashu, zapewniła gorąco, że zawsze będą mile widziani w Rainforest, mimo czasem długiego oczekiwania na rezerwację; tak, klub rzeczywiście odniósł sukces i jest teraz bardzo uczęszczany. W końcu dodała najważniejsze:

– Ja nazywam się Marielle Griffin; to na wypadek, gdyby państwo czegoś potrzebowali – myśląc zarazem: zapamiętajcie to imię, wkrótce zobaczycie, co potrafię.

Danny i Sheryl podziękowali jej uprzejmie. Mouse pośpiesznie scedowała na Ellie obowiązek rozsadzania reszty gości i pomknęła do garderoby, mieszczącej się za ciasnym biurem Kenny’ego, by przebrać się w kostium. Crash właśnie miał przerwę; zobaczyła jak perkusista za kulisami rozmawia z Kennym. Podbiegła do nich, powiedziała im, że na sali jest para z Metropolis Records; usłyszawszy to perkusista pognał, by odnaleźć kolegów, rzucając w przelocie:

– Damy takiego czadu, że padną!

Kenny wszedł za nią do garderoby i uśmiechnął się.

– Zdenerwowana?

– Cały czas – przyznała. – Ale żeby dobrze wypaść, trzeba być trochę zdenerwowanym – wygładziła klapy jego marynarki. Nagle zapragnęła, by publicznie okazał jej trochę czułości; niech wszyscy zobaczą, że są już parą.

Ale on tylko poklepał ją po ręce i cofnął się ku drzwiom mówiąc:

– Będiesz świetna, Marielle. Jestem tego pewien.

Światła w klubie przygasły i tylko samotny, punktowy reflektor oświetlał kolejne stoliki w głównej sali jadalnej, wędrując tak, póki nie pochwycił Mouse w krąg białego światła. Mouse zadygotała. Boże miłosierny, była cała w nerwach! Panie Boże, modliła się bezgłośnie, pozwól w łaskawości swojej, by wszystko poszło dobrze. A nawet bardzo dobrze. Żeby to był występ, który powali wszystkich na kolana. Gdy powoli szła w kierunku sceny, purpurowe cekiny, zdobiące jej skąpy top, migotały w takt jej ruchów.

Oprócz topu miała na sobie spodnie-biodrówki z malinowego atłasu. Sprawdziła mikrofon; był na miejscu, zgrabnie (schowany w wyszukany nakryciu głowy z purpurowego i srebrzystego atłasu, naszywanego cekinami i kryształami, zdobionego piórami. Teddy, jej nauczyciel tańca, stwierdził, że przypomina w nim Kleopatę i kogoś tam jeszcze; w tej chwili wyleciało jej to z głowy Kenny chciał zapowiedzieć jej występ formalnie i oficjalnie, lecz Mouse uznała, że wyjście na scenę z sali, pomiędzy widzów, będzie zabawniejsze. Ludzie uwielbiają niespodzianki i niezapowiedziane występy; jeśli będą myśleli, że „wkręciła się” na scenę, będą dla niej bardziej życzliwi niż dla zapowiedzianej z fanfarami gwiazdy.

Na znak Snake’a zespół zaczął grać; Mouse pochyliła się do osób siedzących przy najbliższym stoliku.

– Zadowoleni państwo z miejsca? – zapytała. Gdy mężczyzna przytaknął, ciągnęła dalej: – To świetnie. Bo widzicie, Kocham moją pracę, ale czasami, gdy słyszę muzykę, zwłaszcza taką jak ta, coś mnie popycha, by wskoczyć na scenę i śpiewać. – Odrzucając w tył pierzaste boa, wbiegła tanecznym krokiem po schodach na scenę, po czym spojrzała w kierunku widowni z udawanym przestraczem, lekkim ukłonem dziękując za grzecznościowe oklaski.

– Doprawdy, sama nie wiem, co tu robię! – zawołała.

– Hej, laleczko! – odkrzyknął w jej kierunku Snake. – Jeśli już jesteś na scenie, to przestań nawijać i śpiewaj!

– On chyba ma rację – zwróciła się do widowni. – Mniej gadania, więcej muzyki. Po czyni przyłożyła dłoń do ust i konfidencko dodała: – Życzyłabym sobie, żeby to mój terapeuta wpadł na taki pomysł. – Gdy na widowni rozległy się śmiechy, okręciła się wokół osi, rozpostarła ramiona i zaczęła śpiewać.

Początkowa trema, ściskająca jej pierś, zniknęła wraz z pierwszymi taktami. Śpiewanie było jej żywiołem, sposobem na wyrażenie siebie. Szybko cała zatopiała się w melodii.

Następnie zaczęła tańczyć – zrazu ostrożnie, potem coraz płynniej. Nic wyszukanego, tylko po to, by podkreślić rytm śpiewanej piosenki. Scenka była ciasna: z trudem mieściła trzech muzyków Crasha i zwisającą na linie wielką pozłacaną gwiazdę. I gdy przebrzmiały oklaski po pierwszym numerze, a Snake zaczął grać pierwsze takty następnej piosenki, Mouse nagle zbiegła ze sceny, śpiewając wprost do słuchaczy. Przemknęła tuż obok pary z Metropolis Records i zamruczała do starszego mężczyzny, który aż jęknął z zachwytem. Potem nagle wskoczyła na scenę, zgrabnie dosiadła gwiazdy, a Snake pchnął ją tak, że pofrunęła nad głowami ludzi. Pęd powietrza musnął jej skórę i owinał miękki atłas spodni wokół nóg. Cudowne, niesamowite

uczucie...

Gdy tak frunęła nad głowami zdumionych widzów, Mouse poczuła się gwiazdą. Miotaly nią sprzeczne uczucia: poczucie władzy i zarazem kruchości, upojenia i zachwyty. Także dla widzów; Boże, jak ona kocha grać! Występować. Gdybyż to mogło trwać wiecznie...

Gdy przebrzmiała druga piosenka, wybuchła prawdziwa burza oklasków. Mouse zeskoczyła z gwiazdy na scenę, jakby zdumiona, że to wszystko trwało tak krótko. Skłoniła się nisko, upajając się atmosferą, w której mieszały się oklaski i entuzjastyczne okrzyki. Kochają ją. Spodobała się. To nie są grzecznościowe oklaski: naprawdę się spodobała. Przesłała tłumowi kilka całusów, po czym przebiegła przez salę, zmierzając do garderoby. Po drodze towarzyszyły jej głosy widzów: „Wspaniałe widowisko!”, „Cudownie!”, „Super!”

Kenny stał w korytarzyku przed garderobą. Z założonymi na piersiach rękami opierał się o drzwi z dziwnym wyrazem twarzy.

– Chciałbym poprosić panią do siebie na moment, panno Griffin – powiedział chłodno.

Mouse poczuła, że cała sztywnieje.

– Dobrze, skarbie. Tylko się przebiorę.

– Natychmiast! – prawie zawarczał.

– Och, dobrze. – Nigdy jeszcze nie widziała go w takim nastroju. Co mogło go aż tak zdenerwować?

Ocierając pot z czoła, weszła do jego biura; malutkiej kanciapki bez okien i nagle usłyszała za sobą trzask zamykanych drzwi. Proszę, nie niszczyć mi tego cudownego wieczoru przez jakieś straszne wieści, modliła się w duchu.

– Potrzebuję cię. Teraz. – Poczowała na sobie jego niecierpliwe dłonie...

W pierwszej chwili nie mogła złapać tchu.

– Bałam się, że... mój występ ci się nie spodobał – jęknęła.

– Był wspaniały. Każda sekunda. Ale teraz... teraz mamy sprawy, które nie mogą czekać. Nie, póki nie ugasisz ognia, kobieto.

Pochyliła się, by wziąć go w objęcia. Tak, kochanie się z nim teraz, gdy wciąż jeszcze drżała po udanym występie – trudno było o lepszy sposób uczczenia sukcesu.

– Z radością wystąpię jeszcze raz – teraz już tylko dla ciebie – zażartowała.

Cofnęła się i okręciła wokół, unosząc w górę ramiona, z których ześlizgiwało się pierzaste boa. Kenny tylko jęknął.

– Myślę, że potrzebujesz odrobiny relaksu – ciągnęła, tańcząc coraz bliżej niego...

Gdzieś z zewnątrz dotarły do nich dźwięki jazzu. Mouse rozpoznała głos Snake'a, śpiewającego „Pasemka słońca we włosach Zoey. Mówi o ukrytych pragnieniach. Ciemnobłękitny płomień ... „.

Ach tak, to chyba ta piosenka, którą napisał dla Zoey... Wspaniały podkład muzyczny, pomyślała Mouse. Wspaniała muzyka na rżnięcie.

Tej nocy ludzie z Metropolis Records zostawili muzykom z Crasha wizytówkę z nabazgraną na odwrocie notką „Zadzwońcie”. Zadali także mnóstwo pytań na temat Mouse; kim jest ta Marielle Griffin, czy ma jakieś nagrane płyty i gdzie można je zdobyć.

– Wygląda na to, że jestem jedyną aktorką na Broadwayu, która nie ma własnych płyt – pożałowała się Mouse nieco później.

Jadę i Merlin już sobie poszli; Mouse wraz z Zoey sączyły przy barze swoje cosmopolitany. Towarzyszył im Snake, który doił jedno piwo za drugim, jakby jutro miało w ogóle nie nadejść.

– Ma być oblewanie na całego – powiedział do barmana. Zoey przyglądała się temu ponuro, zdając sobie sprawę, że z planowanego oblewania u niej w mieszkaniu będą najprawdopodobniej nici. No, przynajmniej do wczesnych godzin porannych, kiedy to Snake obudzi się skacowany, ale napalony. Przygryzła wargę; może lepiej będzie odesłać go na dzisiejszą noc do domu?

– Chciałabyś mieć własny album? – usłyszała, jak Snake pyta Mouse. – Mogę ci pomóc w przygotowaniu. Thatcher ma studio w swojej suterenie i możemy tam nagrywać. – Thatcher, kłocowaty grubas, był perkusistą Crasha; jego dziewczyna, Dolores, często przesiadywała w barze do późna, czekając na niego. Zoey zagadała do niej parę razy, ale panna okazała się beznadziejną kretynką, typową *groupie*, dla której istniał tylko Thatcher i nic poza nim, więc Zoey zaczęła jej unikać. Snake tymczasem tokował:

– Jedyna niedogodność to fakt, (że trzeba pojechać aż do Brooklynu, czyli – jeśli chcesz znać moje zdanie – na totalne zadupie. Tam chyba nawet metro nie dochodzi.

– Ależ z ciebie bywalec – przewróciła oczami Mouse. – Kiedyś chodziłam z jednym chłopakiem z Brooklynu. Tam dojeżdża mnóstwo linii metra. Problem z Brooklynem jest całkiem inny: ten, że jak już tam mieszkasz, to trudno ci się stamtąd wyrwać. Ciekawe, czy to kiedykolwiek do ciebie dotarło? Ale, wracając do rzeczy, czy Thatch naprawdę mógłby to zrobić? Myślę, że można by szybko się z tym uwinąć, a ja jestem, że tak powiem, łatwa we współpracy.

– Pogadam z nim jutro – obiecał Snake – a on zrobi, co powiem.

Zoey zauważyła, że^N Mouse zerka na wizytówkę Metropolis Records wciąż leżącą obok Snake'a na kontuarze.

– To byłoby wspaniałe. „Chciałabym mieć coś, z czym mogłabym się pokazać – podniosła kieliszek; Zoey stuknęła się z nią swoim.

– To prawdziwa odmiana losu... – ciągnęła Mouse.

– I perspektywa wspaniałej kariery dla świetnej aktorki, nie zniechęcającej się ani z powodu szemranego agenta, ani kiepskiego fryzjera...

– Cholera! – Mouse gwałtownie pociągnęła łyk margarity, po czym potargała swoją

króciutką, platynową czuprynkę. – A już zaczęłam się do nich przyzwyczajać!

– Uważam, że są super – oznajmił Snake, wydymając swe pełne wargi. – Jesteś jak... czekoladowa Marilyn Monroe.

Mouse zachichotała. – Chyba powinnam się obrazić. Choć właściwie... , nawet mi się to podoba... . Zoey uśmiechnęła się. Snake zawsze potrafił znaleźć się w takich sytuacjach i był wtedy naprawdę zabawny. Gdyby jeszcze był taki w pościeli... Doił kolejne piwo, kiedy ona podjęła ostateczną decyzję: nie będzie go dziś wieczór odwoziła do domu. Smakując kolejny łyk cosmopolitana, zdała sobie sprawę, że już dość nacieszyła się jego towarzystwem, tutaj, w barze. Barbara może poczekać, aż oboje dostatecznie wytrzeźwieją.

Godzinę później, po jeszcze dwóch cosmopolitanach, tkwiła obok Snake'a w taksówce i zastanawiała się, czy taka degrengolada jej zasad i charakteru wynikła z pochłonięcia trzech dość mocnych drinków w ciągu godziny, czy też sprawy mają się na odwrót – wypila tyle, bo jej morale jest już w strzępach, a charakter poszedł spać? Odwieczny problem: co było najpierw – jajko czy kura? To znaczy... upadek moralny czy nadużywanie alkoholu?

Tak czy siak, znalazła się ponownie w ciemnym jak jaskinia mieszkaniu Snake'a, gdzie światło znowu było wyłączone, a pościel cuchnęła potem i czymś jeszcze, o wiele gorzej, niż kiedy była tu ostatnim razem. On chyba w ogóle nie robi prania?

– Czy już ci mówiłem, jak bardzo pociągają mnie twoje... krzywizny – zamruczał, popychając ją na skotłowane łóżko. – Ty moja pchełko, ty moja weszko, ty moja pluskiewko słodka... – cmoknął ją w szyję.

– Ty draniu, ty gałganie, ty szekspirologu porąbany – odpaliła, rozpoznając słowa z *Poskromienia złośnicy*. Snake ocierał się o nią, dysząc ciężko.

– Snake? – spostrzegła, że ma zamknięte oczy. Zasnął. A czego się spodziewała? Że akurat dziś wieczór będzie inaczej? Kompletna idiotka. Cholera, ile on dziś wydoił tych sześciopaków?

– To koniec – mruknęła do siebie. To powinna być jej ostatnia noc w tej zapchlonej norze. Ale zanim coś postanowiła... wypity alkohol i ją wreszcie ukołysał do snu.

Poczuła delikatne muśnięcie czyichś palców na podbrzuszu. Otworzyła oczy i nagle zatoneła w ciepłych, brązowych źrenicach, które tak kochała. Nick uśmiechał się do niej... drobniutkie zmarszczki w kącikach oczu wyrażały jego żal, skruchę, przeprosiny.

– Nie myślałam, że będziemy to robić znowu – westchnęła, gdy nakrył dłońmi jej piersi.

– Och – jęknęła, czując zarazem narastające napięcie i niewiarygodną ulgę. To nie był sen. Nick tu był. Jej wspaniały, cudowny, najukochańszy mąż był znów przy niej, w jej ramionach...

Wszystko wróciło na swoje miejsce. Świat *wrócił* do normy.

– Tęskniłam za tobą – szepnęła. – I tęskniłam za tym.

Przymknęła oczy, poddając się jego coraz gwałtowniejszym pieszczotom. O Boże, jak ja go kocham, pomyślała. Nagle w jej uszy wdarł się szelest... materiał... ach, on się rozbiera.

Uśmiechnęła się do siebie w ciemnościach... W ciemnościach?

– Ach! – to miejsce... ten mężczyzna... To nie był Nick. Wcale a wcale.

To był Snake.

Zamknęła oczy, próbując zatrzymać iluzję. Przytuliła się z całej siły do Nicka, otworzyła się dla Nicka...

Och, Nick. Kocham cię. Jesteśmy sobie przeznaczeni.

I gdy było już po wszystkim, i gdy po raz pierwszy od bardzo dawna doznała cudownego orgazmu, z trudem powstrzymała się, by nie szepnąć cichutko: – Kocham cię, Nick.

Jestem kompletnie zborsuczona – zwierzyła się Zoey Merlinowi, gdy oboje przeglądali wiszące rzędem ślubne suknie, oglądając przez plastikowe pokrowce mgiełki białych koronek, drobne kropelki srebrnych paciorków i gładkie powierzchnie atlasowych i szyfonowych spódnic. Mouse, na drugim końcu sklepu, przebierała w różnobarwnej tęczy sukien dla druheń.

– Używasz niezwykle barwnych i wyszukanych słów – zauważył Merlin. – Nic dziwnego, w końcu jesteś pisarką. No więc w jakież to krowi placek wdepnęłaś tym razem?

– Och, to Snake. I Nick. Razem Snick. Oni obaj są jak jeden koszmarny potwór... – Potrząsnęła głową, myśląc tylko o tym, jak odzyskać wreszcie kontrolę nad swymi myślami i uczuciami.

Błękitne oczy Merlina załśniły.

– To Nick jest znowu na tapecie?

– Och, tylko w moim zborsuczonym, małym mózdzku... Jednej nocy miałam sen... Kiedy Snake swoim zwyczajem się obudził i zaczął jak zwykle... – Zoey obejrzała się przez ramię, by upewnić się, czy jakiś ciekawski sprzedawca nie kręci się w pobliżu. – No więc Snake... próbował... a ja myślałam, że to Nick. No, żeby streścić rzecz jak najkrócej, był to najlepszy seks, jaki kiedykolwiek miałam ze Snakem. Jedyny przyzwoity seks, jaki z nim miałam... To znaczy to było tak, jakby...

– Mam więcej danych, niż potrzebowałam, by zrozumieć, o co chodzi – przerwał jej Merlin, kładąc jej dłoń na ramieniu.

– Najgorsze jest to, że... że myślałam o Nicku i... A sądziłam, że już z nim skończyłam. Naprawdę tak myślałam. Niech to szlag!

– Nie jest źle czasem wrócić do dawnych wspomnień. No, może źle robić to na koszt biednego Snake'a, ale jemu to chyba zwisa, prawda?

Zoey przesunęła na, wieszaku suknię z pięknej, igiełkowej koronki, bardzo podobną do jej własnej ślubnej sukni. – Wspomnienia? – powiedziała, czując znowu to przekłete ściskanie w gardle. Jakże można pozbyć się wspomnień? Jak? Sczyścić je? Sprać?

– Miałam tyle planów, tyle marzeń. Mieliśmy dom. I przyznaję, myślałam o dziecku – tak za rok lub dwa lata... Właściwie straciłam nie tylko męża. Na moich oczach poleciały w drzazgi wszystkie moje plany, projekty, marzenia. I oto teraz jestem, ja, kobieta w średnim wieku, zaczynająca wszystko od zera...

– A ile ty właściwie masz lat? – spytał Merlin.

– Trzydzieści trzy.

– No, to jeszcze masz czas. Nie słyszałaś o tej kobiecie z Kalifornii? No, tej, co to chyba około 60-tki urodziła zdrowe dziecko?

Zoey wzdrygnęła się.

– Chcesz mnie pocieszyć czy do reszty przerazić? Merlin zdjął z wieszaka jedną z sukien.

– A co powiesz na to? Stanik jak zbroja. Widziałaś suknię, którą nosiła Jennifer Aniston, kiedy wychodziła za mąż za Brada Pitta? Ta miała z kolei cały stanik z błyszczących paciorków, a z tyłu dekolot do... Do dna...

– Próbujesz mnie rozbawić?

– Jak najbardziej. A ostatnio wracają do łasek takie szerokie i sute spódnice... No i kwiaty. Widziałaś, jak była ubrana Sarah Jessica Parker jako Carrie w tym serialu *Seks w wielkim mieście*? Kiecka podobna do tej i mały bukiet kwiatów na ramieniu albo przy rękawie.

– Ktoś tu prowadził dogłębne studia weselne ... – parsknęła Zoey.

– To genetyczne. Taki dar, typowy dla naszej rasy...

– Merlin odwiesił suknię i przyjrzał się Zoey. – Nie martw się, Zo. Będzie dobrze. Myślę, że i tak już sporo zdziałałaś, próbując pozbyć się pana Nikusia-Bzykusia ze swojego życia i myśli. Tylko to wszystko wymaga czasu.

Zoey zmusiła się do uśmiechu, choć nastrój miała raczej podły. Kariera pisarska? Do... kibla. Życie uczuciowe? Pożal się Boże, randki z seksualnym analfabetą. Pieniądze? Prawie się kończą. I na dodatek jeszcze fantazjuje na temat faceta, którego nie może mieć. Ale poza tym... życie to je bajka... – pomyślała kwaśno.

– Znalazłaś coś? – spytała Mouse, podchodząc do nich.

– Jak na razie tylko wielką czarną dziurę, jaką jest życie... – mruknęła Zoey.

Mouse łypnęła na nią podejrzliwie.

– Co z tobą u licha, dziewczyno?

– Och, ona ma jeden z tych dni... – Merlin przysłonił usta dłonią i ciągnął konfidencjonalnie:

– Obawiam się, że te wszystkie ślubne ciuchy wywołały u niej atak bardzo bolesnych wspomnień.

– A jak myślicie, dlaczego pomknęłam prosto do działu sukien dla druzhen? Kurczę, starczy jeden rzut oka na te tiule i atłasy, żeby każdej dziewczynie zaraz zaczął chodzić po głowie jej własny tort weselny. A założę się, że Kenny należy do tych facetów, którzy chcieliby mieć porządny, tradycyjny ślub z całym osprzętem.

– Nie wiedziałam, że już rozmawialiście o małżeństwie.

– Zoey nie kryła zaskoczenia.

– Nie rozmawialiśmy. Tak sobie tylko... hm... spekuluję.

– Mouse podniosła suknię do podbródka i przejrzała się w lustrze. – Ale Kenny to wspaniały facet, prawda? Atrakcyjny i... nadziany.

Zoey pokiwała głową.

– Wszyscy go lubimy, a wiesz, jacy potrafimy być wymagający, gdy oceniamy partnerów naszych przyjaciół...

Merlin spojrział na suknię utrzymaną przez Mouse.

– Ta biel zupełnie do ciebie nie pasuje – stwierdził.

– Za zimna, jakaś taka szarawa... Poszukaj czegoś... o, czegoś takiego, w odcieniu kości słoniowej, albo złota.

Podał jej suknię z wysoko skrojonym stanem, Mouse przyjrzała się swojemu odbiciu/w lustrze i pokiwała głową.

– Tak, to jest to. – Przytrzymując suknię, zamarkowała ukłon i gesty witania gości. – Och, jakąż jestem szczęśliwa... Czyż to nie urocze? Och... doprawdy dziękuję!

– Boże miłosierny, już to widzę oczyma duszy mojej – zachichotał Merlin. – Ty z Kennym w eleganckim domu z piaskowca, a wokół co najmniej pięcioro Kenniątek. Właśnie za czupryny wyciągasz całą tę marmalię z domu, by zdążyć dowieźć ich na lekcje tańca...

– No, no, nie rozpędzaj się – Mouse odwiesiła empirową suknię na wieszak. – To znaczy Kenny i dom z piaskowca – proszę bardzo, ale o dzieciach na razie nie myślę. Na razie myślę o swojej karierze. A wiecie, co mam w planach? Zagranie głównej roli w wideoklipie!

Zoey szybko wprowadziła Merlina w szczegóły: – Metropolis Records zaproponowało Crashowi nagrania, a w tym trzy wideoklipy. I Snake poprosił Mouse, by wystąpiła w pierwszym z nich.

– Już nad tym pracujemy – oznajmiła dumnie Mouse.

– To będzie coś takiego, że ja tańczę za ekranem, wciąż zmieniającym kolory. I nie widzicie mnie aż do ostatniej chwili, gdy wyłaniam się jakby z mgły... albo czegoś w tym rodzaju. – Rozpostarła przed sobą delikatny jak mgiełka welon ślubny, udając, że tańczy za jego zasłoną.

Merlin wyglądał na zachwyconego.

– Ależ to może być przełom w twojej karierze!

– Faktycznie, jej kariera zdaje się naprawdę rozkwitać – powiedziała Zoey, kątem oka dostrzegłszy, że sprzedawca niezbyt przychylnym okiem spogląda na popisy Mouse z welonem.

– Na pewno nie potrzebują państwo pomocy? – spytał z kwaśnym uśmiechem.

– Dzięki, mamy się świetnie! – odpowiedzieli chórem Zoey i Merlin.

– No, to może wracajmy do naszych spraw – zaproponował Merlin, odwracając się do Zoey – czyli do znalezienia sukni dla mojej pierwszej drużny...

– A właściwie dlaczego ten przyjaciel Josha nie może być waszym drużbą? – spytała Zoey, przykładając do siebie wspaniałą suknię Very Wang. Spojrzała w lustro: długie włosy, spięte w nieporządny kok, okulary słoneczne zsunięte z czoła na przód głowy, długie, migoczące kolczyki... I dlaczego jest taka blada?

– Jaki przyjaciel Josha? – spytała Mouse.

– Ach, to jego partner ze szkoły masażu, Fitzroy. Pochodzi z brytyjskich Wysp Dziewiczych. Bardzo im się dobrze z Joshem współpracuje; ich nauczyciel często używa ich obu do demonstracji różnych technik... – Merlin zerknął nagle na zegarek. – O rany, o trzeciej mam spotkanie w kwaciarni.

– To ty tak sam miotasz się wokół tych wszystkich przygotowań? – zainteresowała się Zoey.

– A Joshowi to wszystko zwisa?

– No nie, on jest po prostu bardzo zajęty, a mnie, muszę przyznać, bawi to wszystko.

– W porządku, skoro Josh płaci swoją połowę – zdecydowała Zoey. – Płaci?

– Mógłby, ale ustaliliśmy, że podzielimy koszty na pół już po wszystkim, a na razie, skoro i tak wszystko ja załatwiam, po prostu łatwiej mi posługiwać się jedną – moją kartą.

Zoey zakotłosała się na piętach; obszerna spódnica mierzonej sukni zawirowała wokół jej nóg.

– Bardzo ci to pasuje, złotko – powiedział Merlin.

– A przy następnej okazji założysz coś niebieskiego...

– Albo czarnego – prychnęła Zoey, odwieszając suknię.

– Na pogrzeb Nicka. Po tym, jak go zamorduję za zrujnowanie naszego małżeństwa i za próbę oskubania mnie z moich dóbr ruchomych i nieruchomych...

Po raz pierwszy w życiu Jadę bała się seksu. Nie, nie z obawy, że jej wieloletni trening w tej dziedzinie i wielokrotnie sprawdzone zdolności na nic się zdadzą, gdy znajdzie się z A. J. w łóżku. Jeśli chodzi o to, ufała, że jej ciało, mimo przydługiej przerwy, zapamiętało podstawowe posunięcia. No tak, przez ostatnie parę tygodni wszystkie wysiłki kierowała na uczenie się tej nowej dla siebie sytuacji, przyzwyczajanie się do niej. Stopniowe budowanie związku było dla niej w końcu zupełną nowością. Trochę, ale tylko trochę podstawowych danych zebrała z doświadczenia i relacji, jakie łączyły ją z przyjaciółmi, gdzie było miejsce na uczciwość i lojalność, ale też na wzajemną odpowiedzialność. Aczkolwiek cnoty te nigdy nie liczyły się w jej poprzednich związkach z mężczyznami, poddanie się im teraz, przy A. J. , nie wydawało się jej trudne. Gdy patrzyła w jego poważne, szare oczy, czuła, że nigdy nie potrafiłaby go okłamać ani zawieść.

W teorii wszystko było piękne, lecz stały, codzienny stres, wywołany przez nieustanne myślenie o nim, czekanie na telefon, zastanawianie się, czy i kiedy do niego zadzwonić – przytłaczał ją i po prostu wykańczał. – Rany boskie, jak ludzie przez to przechodzą? – zapytała pewnego dnia Zoey, gdy w desperacji zadzwoniła do niej, choć czuła się jak idiotka, bezustannie bombardując telefonem swoich przyjaciół, by zadawać im te głupie pytania w rodzaju: „Jak długo powinnam czekać na niego w restauracji?”, „Jak sądzisz, czy on naprawdę do tak późno pracuje?”, lub też „Czy powinnam naciskać, by się wreszcie zadeklarował, zgrywać trudną do zdobycia?”. Czuła się, jakby znowu miała trzynaście lat, i nienawidziła tego.

Ilekcio był w mieście, czuła, że chciałby z nią spędzić każdą wolną chwilę, ale jej praca z jednej strony i jego liczne obowiązki z drugiej skutecznie to uniemożliwiały. Ona miała niemożliwe do odłożenia czy przesunięcia spotkania z klientami, on – niekończące się zebrania, konferencje i narady. W rezultacie, chcąc nie chcąc, Jadę weszła w bliską, choć tylko telefoniczną zażyłość z Hankiem, prawą ręką A. J. , dzięki któremu właściwie go poznała. I choć obu im przypominała, bez końca, by uprzedzali ją, jeden lub drugi, gdy A. J. miał się spóźnić lub być nieosiągalny – zawsze denerwowała się, czy aby nie przytrafiło mu się coś złego – obaj wiecznie o tym zapominali. Mężczyźni! Doprawdy, gatunek z innej planety.

Gdy więc w czwartek wieczorem zjawiła się w apartamencie A. J. i odkryła, że jeszcze go nie ma, nie była zaskoczona. Ani trochę.

– Może pani wejść – powiedział portier, podając jej klucze. – Pan Chenowitz jest w Nowym Jorku, na pewno, ale tu jest chwilowo nieobecny.

– Wiem, wiem – parsknęła Jadę, nie potrafiąc ukryć rozczarowania. Nie chciała wdawać się w wyjaśnienia, że o obecności A. J. w mieście wie dobrze, gdyż zdążyła się z nim już dzisiaj spotkać na szybkim lunchu w Cafe La Soup, niedużej restauracyjce (raczej jadłodajni...) z

niewyszukaną francuską kuchnią. Co prawda, nie był to, jej zdaniem, lokal stosowny dla miliardera, ale – znając już A. J. – zdumiona nie była. Lubił takie miejsca i lubił sam je wyszukiwać. Nienawidził natomiast drogich lokali z pretensjami. Jadę nie mogła raczej liczyć, że w jego towarzystwie zacznie stale bywać w szykownych, modnych restauracjach i klubach. A. J. zdawało się kompletnie zwiśać, czy był, czy też go tylko podobno widziano w Nobu, Lotusie czy Le Bernardin. A Jadę odkryła ze zdumieniem, że chce być po prostu z nim, nawet jeśli oznacza to jedynie smażeniny czy sandwicze w Chicken One.

– Rany, co się porobiło z moim życiem? – mruknęła do siebie, zsuwając z nóg pantofle, by, porzuciwszy je pod złoconą kopułą westybulu, podreptać do biblioteki. Był to jeden z nielicznych pokoi, które A. J. zdążył już umeblować: pyszniły się tu teraz dwie obite brązową skórą kanapy i piękne, stylowe biurko, zdobyte na aukcji antyków, na której byli oboje pewnej soboty. Jadę cieszyło zarówno dobicie targu z A. J. w sprawie mieszkania, jak i pomaganie mu w urządzaniu się, kupowaniu mebli i bibelotów. Każdy nowy zakup – czy to piękna, kryształowa waza z Waterford do ozdobienia półki nad schodami, czy wspianały perski bieżnik do holu – traktowała jako jeszcze jeden kamyczek wkładany we właściwe miejsce, cementujący ich związek.

Opadła na kanapę i z przyjemnością pogładziła idealnie miękką i gładką skórę obicia. Pomyślała o A. J. i o ich długich, miłych pieszczotach, nigdy nie posuniętych dalej... To znaczy ona nie próbowała posuwać się dalej, jakby bała się, że seks w jakiś sposób zniszczy, zrujnuje te delikatne, czułe więzy, które z takim trudem uplotła między nimi. Cholera, robię się przesadna, pomyślała. Ale to pewnie dlatego, że nigdy nie byłam w związku, w którym uczucia i seks grały równorzędną rolę i, prawdę mówiąc, wciąż wątpiła, czy coś takiego w ogóle jest możliwe.

Ależ to wszystko razem zaczyna być śmieszne! Niepoważne. Ośmieszające. Kocha tego mężczyznę i wie że on... że jemu też na niej zależy. Z dnia na dzień bardziej. To dlaczego wciąż zachowują się jak para nastolatków na tylnym siedzeniu tatusiowego buicka?

Rozmyślenia przerwał telefon; był to jeden z jej klientów, pan Bettlemeyer, poszukujący lokalu na biuro. Rozmawiała z nim jeszcze, gdy nagle drzwi do biblioteki otworzyły się.

– Jadę... ? Hej, skarbie, już jestem... – zażartował. Podniosła palec, wskazując na komórkę.

– Przepraszam – szepnął, zrzucając buty. Jak zwykle miał na sobie džinsy i T-shirt z logo Portland Blazers. W swej garderobie miał tyle tych bluz i podkoszulków, że Jadę początkowo myślała, że po prostu jest fanem drużyny. Dopiero potem się dowiedziała (nie od niego zresztą), że jest także jej współwłaścicielem...

Gdy stała przy oknie, kończąc rozmowę z klientem, nagle, jakby za sprawą czarów, przed jej oczami pojawił się oszroniony kieliszek martini, ze spiralką skórki cytrynowej. Wzięła drinka i skinieniem głowy podziękowała A. J. , który ze swoim rozsiadł się właśnie po turecku na dywanie. Zanim dopiła martini do połowy, skończyła z panem Bettlemeyerem, podeszła do AJ. i uklękła obok.

– Hej! Dziękuję za martini.

– Hej! – pochylił się, by ją pocałować. – Przepraszam za spóźnienie.

– Portier miał opory, czy mnie wpuścić – zaśmiała się. – Myślał pewnie, że specjalnie przyszedłem wcześniej, żeby pobuszować w szufladach z twoją bielizną, albo podwędzić ci twoją kolekcję kart baseballowych.

A. J. wykrzywił się pociesznie.

– Nie odważyłabyś się przecież tknąć moich kart...

– To co z naszą kolacją? – spytała, wpatrując się w niego.

A. J. westchnął.

– Co powiesz na cichą kolacyjkę tutaj? Może zamówimy tajszczyznę? To znaczy jeśli masz ochotę... Na co masz ochotę?

Jadę przygryzła wargę, czując nagły skok adrenaliny.

– A co powiesz na seks?

A. J. nagle z wyrazem totalnego szoku na twarzy padł gwałtownie do tyłu, młócąc powietrze stopami, jakby dopiero co wyciągnięto go z wody.

Jadę zaczęła się śmiać.

– Nie, ja pytam serio. Co ty na to?

– Wiesz co, przestańmy chodzić opłotkami, dobrze? – Usiadł naprzeciw niej, biorąc ją za rękę. – Marzyłem o kochaniu się z tobą. Myślałem i marzyłem o tym od... no, dobra, od chwili, gdy cię pierwszy raz zobaczyłem, i mam nadzieję, że nie uznasz mnie za zboka, że się do tego przyznaję. Ale bałem się... naciskać. Wydawałaś się taka... niepewna, wahająca się... Nie chciałem, żebyś pomyślała, że należę do tych facetów, którym tylko jedno w głowie... Nie, ja nie jestem taki. Ale pozostaje pytanie: czy wolisz najpierw zjeść kolację?

Jadę podniosła się z kolan.

– Nie sądzę, bym mogła jeszcze czekać – powiedziała, nachylając się i całując kolejno jego twarz, ucho i szyję. Nagle straciła równowagę i zatoczyła się na niego. Upadł na plecy na dywan, a ona wylądowała wprost na jego piersiach. A. J. padając upuścił kieliszek, resztki drinka rozlały się na dywan.

– Och, przepraszam – szepnęła zmieszana.

– Nie ma sprawy, to głównie wódka i dżin. Nie poplami, a przy okazji zdezynfekuje...

– Ależ z ciebie praktyczny chłopak. Kocham cię za to...

– To cudownie. Ale jeśli mamy się teraz kochać, to jest coś, co chcę ci powiedzieć i proszę, nie przestrasz się.

Jadę gwałtownie podniosła głowę.

– Co takiego? Jesteś ... seropozytywny? Transseksualny? Potrzebujesz Viagry, żeby...

A. J. roześmiał się.

– Ależ ty masz wyobraźnię! Nic z tych rzeczy. Ale... no... wiesz, że uprawiam jogę i od dawna studiuję... pewną formę starożytnego seksu – no, głównie poprzez lektury, ale bardzo bym chciał spróbować tego właśnie z tobą. Aha, to nazywa się tantra i myślę, że ci się spodoba...

– Tantryczny seks? – Jadę dosłownie opadła szczęka. Bingo! – pomyślała. Wygrałam swój

los na loterii miłości. ... Tak, tak, ja też to... studiowałam – zawołała uradowana. – Och, A. J. ,
skarbie, to po prostu niewiarygodne...

A. J. uśmiechnął się.

– Marzenia się spełniają...

Zoey, w nocnej koszulce, dreptała tam i z powrotem po salonie. Czekwała, aż zagotuje się w kuchni woda, i rozmyślała nad poważnym problemem: jak wyciągnąć Snake'a ze swojego łóżka?

Było już po wpół do siódmej rano; wkurzało ją maksymalnie to, że musiała zerwać się z łóżka tak wcześnie, ale zarazem nie miała ochoty do niego wracać, gdyż Snake już godzinę temu naszała ochota na amory. Że też musi to robić bladym świtem... Próbowała się od niego opędzać i jeszcze troszkę pospać. Ale Snake był uparty. W końcu zdecydowała się wymknąć z łóżka i zrobić sobie kawę. Wprawdzie Skye nie miała ekspresu, ale Zoey udało się skombinować coś zbliżonego za pomocą plastikowego filtra do kawy, termosu, dwóch pałeczek i dwóch pojemników do makaronu, służących za podpórki; była zachwycona własną pomysłowością. Szarpnęła się w związku z tym na cały funt dobrej, palonej Sumatry ze Starbucka. Jeśli nie wykończy jej Nick, skutecznie to zrobi kofeina...

Rondelek zaczął pobrzękiwać i gwizdać. Zoey zerwała się i bosy pobiegła do kuchni. Była coraz bardziej zła na samą siebie, że ciągnie ten beznadziejny związek. Dawna Zoey nie zniosłaby takiego traktowania: tych nocy wypełnionych pijackim snem, przerywanym szybkim, mechanicznym seksem, tych wieczorów wysiadanych w barze Rainforestu, w oczekiwaniu aż zespół skończy występy, a Snake zatankuje jeszcze jeden sześciopak piwa... ; wreszcie tych nocy, spędzanych w jego wszawym mieszkanku, jako że znajdowało się bliżej klubu.

– W co ja się wpakowałam? – zapytała samą siebie na głos.

Na domiar wszystkiego spędzała teraz bardzo niewiele czasu przy komputerze. Zaczęła szkicowanie paru pierwszych rozdziałów nowej powieści, luźno opartej na historii wlotów i upadków scenicznej kariery Mouse, lecz choć temat ją wciągał, nie mogła poświęcić mu w ostatnich dniach zbyt wiele czasu. Być może dlatego, że dni stanowiły ostatnio tylko wstęp do wieczorów i nocy... no i od czasu do czasu musiała przecież trochę pospać...

Właściwie jak to było z Nickiem? Jednak całkiem inaczej... Znowu ogarnęła ją fala wspomnień o tamtych czarownych dniach i nocach, podczas których odkrywali nawzajem swe ciała, całowali się, rozmawiali, znów całowali... i kochali. A potem... wspólny posiłek w łóżku... makaron... i czerwone wino...

O rany, znowu zaczynam... Dlaczego się tak katuję, wspominając coś, co minęło i nigdy nie wróci? Usiadła na dywanie, opierając się o kanapę. Grzejąc dłonie o filiżankę z kawą, próbowała na nowo skupić się na tu i teraz. Uważnie przyjrzała się nadrukowi na opakowaniu starbuckowskiej kawy. Jakież sugestywny i obrazowy dobór słów... ! Zaczęła pośpiesznie gryzmolić na odwrocie koperty:

pikantna dymna bogata, ciemna, głęboka.

Uśmiechnęła się. W tym kontekście nawet to beznadziejne „wyrosła na górskich plantacjach”

brzmiało tak jakoś... egzotycznie. Pijąc powoli kawę, zaczęła bawić się tymi słowami; nagle wyczuła w nich materiał do jakiegoś jazzowego kawałka...

Po dwóch następnych filiżankach, oparła głowę o kanapę i przymknęła oczy. Wspaniale. Napisała słowa piosenki! Tak po prostu.

– Cześć, kotku – Snake władował się do salonu. Wyglądał bardzo... sportowo i odrobinę idiotycznie w czarnych szortach i błyszczącym, zielonym podkoszulku. – Ooch, jest kawa... – wziął jej filiżankę i bezceremonialnie pociągnął łyk. – A to co takiego? Podniósł kopertę i zaczął czytać.

Dymny pokój, przyćmione światło.

Zanurz się w mrok. To twoja noc, Twoja noc, by smakować, By każdego smaku spróbować.

Wyrosłego na górskich plantacjach twej duszy.

Dymny pokój. Przyćmione światło, Zapieczętuć swój grób. To twoja noc, Twoja noc zniszczenia i rozpaczy, Gdy twój ból będzie rósł Na górskich plantacjach twej duszy, Czyż nie możesz tych myśli za sobą zostawić?

Nigdy nie wiesz przecież co jeszcze wyrośnie Na górskich plantacjach twej duszy...

– No, proszę. Zaczęłaś pisać teksty?

Zoey przytaknęła, przygotowana na jego gryzącą krytykę.

– I to cholernie dobre teksty. – Wzniósł filiżankę z kawą w jej kierunku, jakby w toaście. – Widzę, że odtąd musimy wstawiać bladym świtem, skoro o tej porze przychodzi do ciebie twoja muza. – Ponownie spojrzął na zagryzoloną kopertę. – Cholera, to jest naprawdę świetne.

Zoey poczuła, że cała jej złość na niego roztapia się jak masło na patelni. W końcu, mój Boże, Snake ma, oprócz wad, także i niewątpliwe zalety. Może tylko powinni spędzać więcej czasu razem – poza łóżkiem, rzecz jasna, i poza barem...

– Nazwałam ten kawałek „Kawowy blues” – powiedziała, czując jak oblewa ją rumieniec trochę z zakłopotania, trochę z dumy. – A natchnęła mnie ta nalepka Starbucka... – pokazała mu opakowanie.

Snake spojrzął na nalepkę, potem na kopertę, potem znów na nalepkę.

– Hm, nie bardzo widzę, jak ona mogła cię zainspirować, ale któż by śmiał sprzeczać się z geniuszem? – Wycisnął głośnego całusa na jej policzku i odwrócił się. – No, to ja spadam. Mamy dziś spotkanie z tymi ważniakami z Metropolis.

Zoey zerwała się i pobiegła do holu.

– Tak? I jak wam idzie?

– Wspaniale. W ciągu dwóch-trzech tygodni powinniśmy być gotowi do kręcenia pierwszego wideoklipu. Mam nadzieję, że nasza mała Marielle znajdzie dla nas czas w swym napiętym programie. Podobno ćwiczy jakiś nowy numer dla Rainforestu, ale jeszcze go nie widziałem.

Mówiąc to, zaczął pospiesznie wciągać swe obcisłe spodnie z lycry i wysokie buty.

Wcisnąwszy się wreszcie w spodnie, podrapał się swobodnie w tyłek, po czym starannie ułożył w należyty porządku swe cenne klejnoty i wreszcie zaciągnął suwak rozporoka.

Zoey przyglądała się tym czynnościom – myślała: oto jeszcze jeden dowód na to, że mężczyźni i kobiety należą do dwóch całkowicie odmiennych gatunków...

Po wyjściu Snake'a siadła przy komputerze, licząc, że uda się jej choć trochę popracować. Słuchając monotonnego mrużenia maszyny, ziewnęła. Było dopiero wpół do dziesiątej, a ona już czuła się znużona i wyczerpana. Chyba nici z pisania. Postanowiła, że tylko sprawdzi pocztę. Hmm, ma już prawie sześć rozdziałów. Może by je wysłać do Skye? W końcu to Skye radziła jej, by wysłać plan lub próbki, a nie zwlekać z tym, aż będzie gotowy cały tekst. Może już czas posłuchać rady swojego wydawcy?

Kliknęła w ikonkę „Poczta”, zdecydowana, że wyśle jeszcze dziś. Przynajmniej będzie to dla Skye znak, że pracuje, choć może nie tak szybko, jakby pragnęła.

Plik z pocztą otworzył się, ukazując emaila od jej agentki, Robin Buckner.

Dobre wieści!

Dostałam od pewnej niedużej firmy wydawniczej, specjalizującej się w literaturze erotycznej, ofertę na twoje dzieło. Dają 5000, ale myślą, że da się z nich wycisnąć i 6000. Musisz zdecydować się w sprawie pseudonimu i to szybko, jeśli jesteś zainteresowana. Co ty na to?

– Robin.

Zoey poczuła zalewającą ją radość. Puls jej wyraźnie przyspieszył. Choć może to tylko kofeina... Tak czy siak, oferta była całkiem przyzwoita. Szybko też odpisała Robin w tym duchu.

Wstawszy od komputera, w drodze do sypialni odtańczyła triumfalny taniec. Snake podziwiał jej teksty. Robin sprzedaje jej powieść. Może i Skye spodoba się jej najnowszy produkt? W końcu podobno dobre wiadomości chodzą trójkami...

Uwielbiam to robić z tobą – powiedział A. J. Jego szare oczy, schowane za okularami, płonęły namiętnością, a jego palec delikatnie pieścił sekretne miejsce, ukryte głęboko w jej *yoni*. Druga jego dłoń spoczywała na jej piersi, jak zdążył jej już wyjaśnić, na „czakramie serca”. Trwali oboje w tej szczególnej, zanurzonej w ciszy błogości, gdy dwoje kochanków patrzy sobie w oczy i oddycha w jednym rytmie... błogości, w której byli pogrążeni już co najmniej dobę.

Wtedy, po nocy wypełnionej czułym i wręcz idealnym seksem (teraz już rozumiem, dlaczego nazywają to „uprawianiem miłości” – pomyślała wtedy Jade), oboje za milczącym, obopólnym porozumieniem odwołali wszystkie swe zajęcia i spotkania na następne dwadzieścia cztery godziny, by spędzić nadchodzący dzień na dalszym poznawaniu się.

Wtedy, podczas rozchichotanego, wspólnego prysznica, A. J. postanowił jeszcze raz „obudzić” jej czułe, sekretne miejsce. Jade zdążyła się już poczuć na tyle swobodnie w jego objęciach, że jej ciało natychmiast odpowiedziało na jego dotyk, a A. J. zachwycił się, gdy jej *yoni* uwolniła *amritą*, białe światło.

– Nazywają to boskim nektarem – powiedział.

Jade, smakując każdą sekundę, każde słowo, każde dotknięcie, pomyślała, że wreszcie spotkała tę swoją „drugą połowę”. Czuły, wyrafinowany, ale zarazem delikatny seks, przerywany wykładami A. J. o *yoni*, *amńicie* i *shahti*, o pozytywnej i negatywnej energii uwalnianej przez orgazm... – wszystko to stanowiło wciąż niewiarygodną, niewyobrażalną realizację jej marzeń o kosmicznym seksie. Gdy na koniec ujrzała wreszcie to białe światło, przeskakujące z jej ciała do niego, poczuła, że kosmiczna energia seksu i miłości spłoty się razem w jeden wielki i radosny płomień. – Muszę opowiedzieć o tym dziewczętom – pomyślała, zanim całkiem się w nim zatraciła.

Mając na widoku miłą zapowiedź zarobienia paru tysięcy dolarów, Zoey poczuła, że jest w idealnym wręcz nastroju do dobrej balangi.

Obdzwoiła przyjaciół, by podzielić się z nimi radosną wieścią. Merlin, uradowany, obiecał towarzyszyć jej w oblewaniu udanej transakcji, choć akurat nie dziś wieczór i nie w Rainforest.

– Ale zobaczę, co się da zorganizować – powiedział dość zagadkowo.

Z kolei Mouse miała próby do swego najnowszego numeru, więc jej odpowiedź na propozycję Zoey była z lekka wymijająca. Natomiast Jadę zaś w ogóle nie odbierała telefonu.

Bardzo dziwne. I niezwykle.

Zoey w końcu zostawiła jej wiadomość, przebrała się w dres i ruszyła na bardzo długą przebieżkę wokół Union Square. Pomyślała, że musi teraz utrzymać figurę, jeśli ma się wcisnąć w tę suknię, którą wybrał dla niej Merlin. Potem połknęła pośpiesznie niezbyt dietetyczną sałatkę Cezara z krewetkami z grilla w Bluewater Grill i niespiesznie wróciła do domu, pilnie oglądając wystawy butików przy Union Square. Zwłaszcza dwie sukienki przyciągnęły jej uwagę. Obie aż lśniły od naszytych na nich złotych paciorków i barwnych kryształków. Weszła do sklepu, by dowiedzieć się, że te naszywki to prawdziwy jadeit i kryształy Swarowskiego, a suknie mieszczą się w przedziale cenowym między czterema a pięcioma tysiącami dolarów. Z przyklepionym do twarzy uśmiechem, uprzejmie podziękowała sprzedawcy i wymaszerowała ze sklepu, przewracając oczami. Pięć tysięcy! Mój Boże, czy kiedykolwiek będzie miała tyle pieniędzy, żeby pozwolić sobie na taki ciuch?

Właściwie, tłumaczyła sobie, nawet gdybym miała, to czy taka kiecka warta jest aż tyle?

W butik na Dwudziestej Trzeciej ulicy uwagę jej przyciągnął koralowy top z naszytymi na ramionach ozdobami z kryształów. Uznała, że kolor uwydatnia jej brzoskwiniową cerę, krój podkreśla wszystko, co podkreślać powinien, a cena – 39. 59 dolców – wręcz zaprasza do kupna. Wyciągnęła kartę kredytową i podpisała się na rachunku, nagle zadowolona, że nie przyjęła nazwiska Nicka, gdy się pobierali. Rany boskie, ile teraz byłoby korowodów ze zmianą albo musiałaby je dźwigać do końca życia jako wiekiustą pamiątkę życiowej pomyłki.

Na ten wieczór w Rainforest wystroiła się w ten koralowy top i czarną, lnianą minispódniczkę. Mouse na jej widok uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Oto słynna pisarka przybywa oblewać sprzedaż kolejnej książki – zawołała. – A w ogóle to gratulacje, skarbie.

– Głowy wszystkich gości oczekujących na swe stoliki odwróciły się jak na komendę w ich kierunku, gdy Mouse ucałowała Zoey z dubeltówki, po czym wzięła ją za łokieć i zaczęła przeciskać się przez tłum.

Zoey usłyszała, jak ktoś za nimi pyta. – Czy to Danielle Steele?

– O rany – mruknęła do Mouse. – Czyżbym tak staro wyglądała?

– To wyraźnie ktoś, kto nie czytał żadnej powieści od lat – pocieszyła ją Mouse, kierując się prosto do baru.

– Pierwszy drink na mój koszt. Co pijesz dziś wieczór? Cosmopolitana? A może którąś ze specjalności Antona?

– Jestem dziś w iście letnim i słonecznym nastroju – odpowiedziała Zoey. – Może martini z arbuzem?

Gdy Anton szykował drinki, Mouse ścisnęła Zoey za ramię.

– Wiesz, ogromnie się cieszę z powodu tego twojego literackiego pornola. Wymyśliłaś już jakiś pseudonim?

– Miotam się między Lotta Levine a Paige Turner.

– Co, jak, *Lot of Loving*? Byczo! – roześmiała się Mouse. – No i te trochę forsy też ci się przyda...

– Fakt, możliwość ponownego zarabiania pieniędzy daje poczucie... no... wolności. Teraz mogę sobie pozwolić na drobne szaleństwa bez poczucia winy... przekąsić coś smacznego, kupić coś ładnego...

– To cudownie. Ale, ale, byłabym zapomniała! Merlin dzwonił, mówił, że nie mógł złapać cię na komórkę, ale ma dla ciebie niespodziankę... to znaczy mam ci ją zdradzić. On ma dyżur dziś wieczorem i może wpuścić ciebie i Snake'a do jednego z tych szykownych apartamentów w Royale. Wiem, że Snake nie okazał się tak dokładnie księciem z twych snów, ale może... w takim apartamencie... będzie miło...

– Cały Merlin. Niby zimny jak ryba, a tak naprawdę dusza-człowiek. – Zoey uśmiechnęła się do Antona, stawiającego przed nią puszystego, różowego drinka w eleganckim kielichu w kształcie litry Y.

– Mazettow – uśmiechnął się do niej.

Zoey podniosła kieliszek do ust. Poczowała się nagle niezwykle światowa, wyrafinowana i wytworna w swoim ślicznym, nowym topie, z nowym pseudonimem i z tym wykwinnym drinkiem w dłoni.

Tak, życie to wielki, wspaniały bal – jeśli cię na to stać.

Gdy podczas przerwy Snake podszedł do Zoey, powiedziała mu o apartamencie w hotelu Royale.

– Czyż to nie jest miłe z jego strony? Chciał, żebyśmy mieli cichy, własny kącik dziś wieczorem, żeby godnie uczcić mój sukces. – Pochyliła się ku niemu. – Bo wiesz, sprzedałam dziś swoją książkę.

– No, to fajnie – Snake zasalutował jej szklanką piwa. – Oczywiście, będzie to kolejny bestseller...

– W to wątpię, ale ta sprzedaż nastąpiła, że tak powiem, w bardzo odpowiednim czasie. – Zsunęła się z barowego stołka i otarła się o niego pieszczotliwie. Znowu miał dziś na sobie te lusterkowe spodnie. O rany, jak ona je lubiła!

– Obiecasz mi, że nie narąbisz się dziś wieczór? Chciałabym, żebyśmy mogli nacieszyć się niespodzianką Merlina...

Snake przeciągnął się.

– Coś mi mówi, że masz dziś na mnie wielką ochotę, kotku. Tak więc będę gotów i trzeźwy. Słowo harcerza.

– To dobrze. – Pocałowała go, a on lekko poklepał ją po pupie. Rany, potrafił być taki zabawny i seksowny, kiedy był trzeźwy (a ona wyspana...).

Po przerwie na scenę wkroczyła Mouse, a jej kolejny występ znów powalił wszystkich na kolana, mimo że w ogólnych zarysach przypominał poprzedni, włącznie z „jazdą” na gwieździe. Zmieniła tylko piosenki. Zoey, oklaskując ją gorąco, myślała, że to dobrze, że Mouse rzuciła cały ten Vermillion i że trafił się jej Rainforest. Tak, zdecydowanie los zaczynał jej sprzyjać. Może zacznie sprzyjać im wszystkim...

Teraz Snake zapowiadał nowy utwór. – Skrobnąłem go właściwie dopiero dzisiaj i nie mieliśmy za dużo czasu na próby, ale tak jest z większością naszych kawałków. Mam nadzieję, że ten najnowszy się wam spodoba, choć tytuł ma mało rozrywkowy: „Samobójstwo”. Po czym, przy dyskretnym wtórze klawiszy i gitary basowej, zaczął śpiewać:

– *Dymny pokój, przyćmione światło...*

– Co?! – Zoey o mało nie spadła ze stołka.

– *Zanurz się w mrok. To twoja noc. Twoja noc, by smakować...*

– Cholera, to moja piosenka! – wrzasnęła.

Jakaś kobieta przy barze łypnęła na nią podejrzliwie, po czym nachyliła się do swego partnera coś szepcząc. Chyba wzięła Zoey za jedną z tych pomyłonych pijaczek, włączających się po barach w poszukiwaniu słuchaczy.

– Niech szlag to trafi, to moja piosenka! – Ten cholerny Angol, czaruś pieprzony, ukradł jej piosenkę i podał za swoją. No tak, czyli czas na poważną rozmowę. Co innego być zapijaczonym narcyzem, a całkiem co innego – złodziejem.

Podczas gdy Snake wylewnie żegnał się z kolegami, pakował swój wzmacniacz i gitarę, łapał jeszcze ostatnie piwko na drogę – mimo obietnicy, że będzie trzeźwy – Zoey zaczynała się zastanawiać, czy ten apartament w hotelu Royale był naprawdę dobrym pomysłem. W każdym razie nie razem z tym padalcem, plagiatorem i ochlapusem. Może, o ile Snake szybko się urznie, uda się jej urządzić małe, samotne oblewanko w jacuzzi z butelką szampana jako towarzystwem.

Gdy wyszli z klubu i czekali na taksówkę w ciepłym, wilgotnym powietrzu, pomyślała, że także przytulanie się do czyjegoś spoconego cielska nie jest dobrym pomysłem. Czują, że cała lepi się od potu.

– Nienawidzę takiej pogody – rzuciła w kierunku Snake’a, bezskutecznie szukając czegoś do spięcia włosów. Czy w taki parszywy wieczór możliwy jest w ogóle jakiś romans? Ale gdy nadjechała taksówka, wsiadła do niej i klapnęła na siedzenie obok Snake’a. Niech się dzieje co chce. Może jeszcze się coś odmieni...

Gdy przybyli do Royale, Merlina nie było w recepcji, lecz stojąca za ladą kobieta podała Zoey numer apartamentu, mówiąc, że wszyscy przyjaciele są już na górze.

– Przyjaciele? – zastanawiała się Zoey, gdy winda wiozła ją i Snake’a na dwudzieste czwarte piętro. Aha, pewnie Merlin już tam jest. Może namówił Mouse i Jadę, by przyszły tam na małe, improwizowane oblewanko. Potrząsnęła głową. Nie... , to byłoby zbyt piękne.

Ale kto wie...

Gdy szli korytarzem, zauważyła, że drzwi apartamentu są otwarte i dobiega stamtąd hałaśliwa muzyka. I zrozumiała, że jej nadzieje były płonne...

– Zdecydowanie, nie są to moi przyjaciele – stwierdziła ponuro, wchodząc do środka.

Pierwsze, co zobaczyła, to basistę z Crasha, bez koszuli, tańczącego jakiś smętny taniec. Merlin siedział sztywno w fotelu, wyprostowany, niczym wartownik, z ramionami złożonymi na piersi i ponurą twarzą. Jakaś para, której Zoey nie rozpoznała, baraszkowała na majestatycznym łóżku.

– Co się tu dzieje? – spytała Zoey.

– No, zaprosiłem paru kumpli – odpowiedział Snake, przepychając się obok niej. – Hej, chłopaki!

Zoey poczuła się kompletnie wytracona z równowagi. Wokół niej kłębił się tłum, w którym oprócz zespołu i jego fanek zauważyła kilka kompletnie obcych osób, a wszyscy zdawali się świetnie bawić. Pili, tańczyli, śmiali się...

– Poczekaaj, aż zobaczysz wannę! – wrzasnęła jej tuż przy uchu Dolores. – Napełniliśmy ją lodem, żeby mieć gdzie mrozić szampana – mówiąc to, podskakiwała niczym rozbawione dziecko, wciąż pokazując na łazienkę.

Snake klepnął Thatchera po plecach.

– Szampan! No, to teraz jest bal na sto dwa! Ile wybuliliście?

– Nie musieliśmy – Thatcher uśmiechnął się dumnie. – To od firmy...

Zoey poczuła, że serce jej zamiera.

– Od firmy? Kto zapłacił rachunek?

– Kotku, odpreż się – wykrzyknął Snake. – I nie martw się o to. – Pognął wraz z Thatcherem w kierunku łazienki; obaj cały czas z czegoś się zaśmiewali.

Zoey spojrzała na Merlina. Patrzył na coś za jej plecami. Odwróciła się. Jakiś chudzielec w czarnych kolarzówkach, czarnym topie i wysokich butach szarpał zasłony. – Kurczę, jak się to, do cholery, zasłania?

– Uważaj, nie pozrywaj ich! – Zoey podeszła bliżej, by poszukać sznura. Zanim go znalazła, bubek w kolarzówkach gdzieś się zmył. Wróciła do Merlina i usiadła obok niego na poręczy fotela. W głowie czuła pustkę. Jej wymarzona noc nagle obróciła się w jakiś chaos nie do opanowania.

– To chyba koniec – powiedziała głośno. Merlin przytaknął.

– Wybacz, że nie wyszło tak, jak chciałem, ale nawet nie przypuszczałem, że...

– Nie, to ja przepraszam. Powinna zerwać z tym pajacem już dawno. Tylko wciąż liczyłam, że... Sama nie wiem, na co liczyłam. Za to teraz nie ma wątpliwości: nie jesteśmy... kompatybilni.

– Hej! – Snake wyłonił się z łazienki z otwartą butelką szampana, z której obficie spływała piana, zalewając dywan. – Kto ma ochotę na coś dobrego?

– Snake! – Zoey wyprostowała się, tym razem autentycznie wściekła. – Popatrz, jak naświniłeś!

– Och, wybacz kotku – podał jej ociekającą pianą butelkę. – Panie mają pierwszeństwo!

Łagodnie odepchnęła butelkę.

– Musimy pomówić. To nie tak miało być!

– Jasne, że tak! Kotku, ochłoń trochę. Golnij sobie – poklepał ją po policzku, zupełnie jakby klepał psa.

– Nie! Słuchaj, Snake! To koniec. Powiedz swoim przyjaciółom, że już czas do domu.

– O rany, daj spokój! – postawił szampana na stole, odwrócił się do Zoey i nagle złapał ją na rękę.

– Puść mnie! – wrzasnęła.

Wszyscy wokół śmiali się jak szaleni. Nigdzie nie widziała Merlina.

– W tej chwili mnie puść! Bo...

Snake zamknął jej usta głośnym, wilgotnym pocałunkiem. Zoey szarpała się bezsilnie, czując, że on idzie z nią przez pokój; w końcu... przestała się szamotać, bojąc się, że ją upuści. Nagle światło rozbłysło; byli w ogromnej białej łazience. Snake, wciąż rycząc z śmiechu, pochylił się i...

Włożył ją do wanny, pełnej lodu i butelek szampana.

– Zesz ty! – poczuła, jak kawałeczki lodu wrzynają się jej w siedzenie i plecy. Zapadała się w me. Na zewnątrz sterczały tylko jej nagie kolana. Rozpaczliwie usiłowała jakoś naciągnąć na nie przykrótką spódniczkę, jakby to jeszcze miało jakieś znaczenie.

Śmiech Snake'a przywrócił ją do rzeczywistości.

– Ty draniu! Ty skurwielu!

– To najlepszy sposób, żeby ochłonać!. – nadal się śmiał, lecz jego ciemne oczy były zimne. I okrutne.

Złapała całą garść lodu i cisnęła w niego.

– Kurwa! – wrzasnęła łapiąc się za twarz. – Ty suko!

– Zbieraj się stąd zaraz, ty i twoi porąbani kumple, ale już! Cholera, żałuję, że w ogóle cię poznałam.

– A idź do diabła! – odpowiedział zimno. – Jutro rano wszystko ci przejdzie. Zawsze przechodzi – patrzyła na niego z niedowierzaniem. To jakiś całkiem obcy typ. Straszny. Jak mogła pozwolić, by ją w ogóle dotykał...

Wyszczrzył się tylko.

– Nie, kotku, ty to uwielbiasz – po czym, wciąż uśmiechnięty, wyszedł.

Zoey cisnęła za nim jeszcze trochę lodu, ale nie trafiła.

Obracając się bezradnie w grzechoczących kostkach, usiłowała wydostać się z wanny, lecz pośliznęła się, gdy trafiła stopą na butelkę. Poddawała się więc, opadając bezsilnie na lód. Wszystko na nic. Tak się to kończy...

Nagle zobaczyła Merlina wyciągającego do niej rękę.

– Chodź. Szybko. Wezwałem ochronę.

Złapała tę zbawczą dłoń i wygramoliła się z wanny, zbyt jeszcze oszołomiona na jakąkolwiek żywszą reakcję, jak gniew czy łzy. Szybko opuścili apartament i zjechali na dół. Ominął ich więc widok ochroniarzy wyrzucających z apartamentu nieproszonych gości. Merlin zarzucił jej na ramiona swój blezer; gdy zaczęła nieco wracać do siebie, on przez komórkę porozumiał się z ochroniarzami, którzy informowali go o sytuacji.

Po dwudziestu minutach wrócili oboje na górę; apartament przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Ktoś zerwał z karniszy zasłony i spryskał okna pianą z gaśnicy.

– Rany boskie! Wyrównanie tych szkód będzie kosztowało fortunę! – Zoey poczuła się nagle strasznie słaba i znużona.

Merlin westchnął.

– Zadzwoń na dół i dowiem się, jak ochrona rozwiązała problem.

Gdy rozmawiał przez telefon, Zoey otrzepała nieco poduszki na olbrzymim, istic królewskim łożu i padła na nie. Słońce już wschodziło, oblewając cały pokój złotopomarańczowym blaskiem, który rozpraszał ciemności, a zarazem powiększał jej żal, wstyd i ogromne zmęczenie. Oto piękny początek nowego dnia, pomyślała ponuro. Przetarła oczy. Merlin skończył już rozmawiać i teraz uważnie szacował straty.

– Czuję się taka... bezradna – pożałowała się Zoey. – Jak on mógł mi coś takiego zrobić?

– Nie martw się, będzie dobrze. A... lód już się roztapia. Chcesz trochę szampana?

Pokręciła głową, mechanicznie, sztywno, niczym zombi.

– Nie, dzięki.

Merlin usiadł obok niej na łóżku. Jak dobrze jest mieć go obok, pomyślała. Bez niego rozpuściłabym się tu razem z tym cholernym lodem... Odwróciła głowę na poduszce; w piersi wciąż czuła niepokojący ucisk. Ten drań Snake. Ten... ten... Boże, jaka była na niego wściekła. Narcyz cholerny. Choć do tego akurat się przyznawał. Ale poza tym...

Dlaczego wciąż o nim myśli? Dlaczego to tak boli? Kurczę, przecież nie była w nim zakochana. Nawet nie udawała, że jest. Więc jak to się stało, że był w stanie zranić ją tak... do żywego mięsa?

Odpowiedź, której wreszcie dogrzebała się w głębi serca, była chyba bardziej miażdżąca od pytania.

– Jak on mi mógł to zrobić? – wybuchnęła nagle. Tyle, że wyszło z tego gorące, nabrzmiące łzami łkanie.

Merlin odwrócił się ku niej.

– Hmm. Chyba nie chodzi o Snake’a, prawda?

Zoey potrząsnęła głową, niezdolna do sformułowania choćby słowa. To Nick: Nick, który zalazł jej za skórę, Nick nawiedzający ją w snach, Nick, który zniszczył całkowicie jej poczucie własnej wartości.

Merlin otoczył ją ramieniem. Przyłgnęła twarzą do jego piersi i tak trwała przez chwilę.

– Popłacz sobie – poradził. – Czasami to jedyna rzecz, jaką możesz zrobić.

– Powinam być ponad to. O rany, co za mięczak ze mnie.

– Wcale nie. Jesteś dzielna, bystra i próbujesz się z tym wszystkim uporać w logiczny sposób, choć cała sytuacja nie ma nic wspólnego z logiką...

Zoey zacisnęła powieki, a łzy ściekały jej wąskim strumyczkiem wokół nosa; czuła na twarzy nieznośne swędzenie. Niezdarnie otarła ją wierzchem dłoni.

– Jak on mógł mnie zostawić? Ciągle wracam do tego pytania i boję się, że nigdy nie dostanę innej odpowiedzi niż ta, która będzie wskazywała moje wady i moje błędy.

– Ale przecież nie o to chodzi? Czy Nick kiedykolwiek powiedział, że odchodzi, bo jesteś kiepską kucharką, czy może w łóżku byłaś zbyt... rozpustna?

– Nie, właśnie, gdybym była, to by pewnie nie odszedł, i to jest najgorsze. Obawiam się, że on po prostu nigdy mnie nie kochał, że to tylko w mojej głowie, w moim umyśle istniało takie przekonanie, że wszystkie uczucia w naszym związku były jednostronne, to znaczy moje, a on tylko to wykorzystał, bo tak dobrze wyglądaliśmy razem... Gdyby okazało się, że rzucił mnie z powodu mojej... zbyt inwencji w łóżku albo z jakichś innych, ściśle męskich, tajemniczych powodów – nie, to byłoby zbyt banalne.

– No, nie wiem. Wydaje mi się, że ty zbyt zaangażowałaś się w świat i sprawy Nicka, a on w twoje – znacznie mniej. Ale dlaczego cię zostawił? Naprawdę nie wiem. Jesteś piękna. Jesteś dobra ... – na chwilę przytulił ją mocniej.

Ten nieoczekiwany wywód Merlina, całkowicie wyprany z okazywanego przez niego na co dzień cynizmu, sprawił, że Zoey na nowo zalała się łzami. Przywarła do niego wstrząsana łkaniem.

– Wiesz, opowiem ci o pewnej parze, którą kiedyś znałem. Wydawali się tacy szczęśliwi. Nigdy się nie kłócili, no, przynajmniej publicznie. W ich obecności czułeś, jak bardzo cieszą się nawzajem swoim towarzystwem, swoją bliskością. A potem się pobrali i porzucili niespokojne, miejskie życie dla uroków cichej prowincji. W miarę jednak jak dojrzewali i zbliżali się do krytycznej trzydziestki, oboje zaczęli się zmieniać. Jej zaczęło brakować ruchu i gwaru miasta, a poza tym nagle odkryła, że zbyt dużo czasu spędza na oddawaniu jego garniturów do pralni i odbieraniu ich z pralni... On z kolei całkowicie i po uszy pograżył się w pracy. I powoli, powoli, on i jego żona oddalali się od siebie, aż znikło wszystko, co ich kiedyś łączyło. A jemu nagle ich małżeństwo objawiło się jako nieuchronne następstwo zdarzeń: ślub, nowy dom... i to, co nieuniknione, czyli dzieciaki. Nagle poczuł, że się dusi. Zaprzagnął wrócić do beztrudnych, szalonych dni swego kawalerskiego żywota. Nawet jeśli miało to oznaczać szybkie numerki z

sekretarkami w godzinach pracy. Z czasem te szybkie numerki rozciągnęły się na weekendy... i tak został rozciągnięty, czy, jak wolisz, rozpięty między dwoma światami, niepewny, w którym z nich chciałby być...

– Tylko mi nie mów, że jesteś po jego stronie – warknęła Zoey; w następnej chwili dotarło do niej, jak wrogo i nieprzyjaźnie to zabrzmiało. A przecież wcale nie była na niego zła... tylko... tylko broniła siebie, swojej pozycji.

– Nie staję po niczyjej stronie i nie próbuję nikogo rozsądzać. Nie znam motywów postępowania Nicka i, prawdę mówiąc, nic mnie nie obchodzą. Co ty właściwie w nim widziałas?

Zoey walcząc z łzami i gulą w gardle, wojowniczo zadarła podbródek.

– No, przecież jest przystojny, nie uważasz? I... bystry – znów się rozelkała.

– Dobrze, dobrze, omówimy ten temat w innym miejscu i czasie.

Światło słoneczne na dobre już załało pomieszczenie, bezlitośnie wydobywając cały jego fałszywy i tandetny przepych. Przesadnie ozdobne fotele. Wszędzie złocenia i nablyszczane tapety. Luksusowy apartament, sztuczny i zimny w promieniach prawdziwego słońca.

Zoey ponownie przymknęła oczy.

– Zrujnował mi życie. I zniszczył mnie samą.

– E, tam – zirytował się nagle Merlin. – Aż taki silny to on nie jest, żeby był w stanie ciebie zniszczyć. W każdym razie nie tę prawdziwą Zoey. – Przycisnął zwiniętą w pięść dłoń do jej piersi. – Ona gdzieś tam wciąż jest. Ukryta głęboko, ale jest. I kiedyś się wydostanie...

– Na pewno nie dzisiaj – mruknęła ponuro. Pociągnęła nosem. Słońce stało już wysoko, dzień dawno się rozpoczął, a ona – jeszcze przed śniadaniem – czuła się tak podle...

– No dobrze, ty uparciuchu, nie dzisiaj – Merlin zerknął na zegarek. – Ale, co powiesz na czwartek? A może lepiej w środę wieczorem? Chciałbym spędzić z dawną Zoey te parę dni, zanim się ożenię... to znaczy... wyjdę za mąż...

Zoey znowu zalała się łzami, ale tym razem towarzyszył im zduszony chichot.

– Zobaczymy – tylko tyle zdołała wydusić. Zobaczymy.

Cholera, co to się porobiło? – spytała Mouse, wpadając następnego popołudnia do apartamentu Skye. – Kenny powiedział mi, że Crash rezygnuje z występów w klubie i to od zaraz. Miota się teraz jak szalony, żeby zorganizować jakiś inny zespół na dziś wieczór. A potem powiedział mi, że Snake zostawił wiadomość także dla mnie: że wylatuję z tego ich wideoklipu. Możesz mi, do ciężkiej cholery, powiedzieć, co się dzieje?

– Tak mi przykro, naprawdę – Zoey nie zdawała sobie sprawy, że jej zerwanie ze Snakem może mieć tak daleko idące konsekwencje. Podała stojącej w drzwiach kuchni Mouse filiżankę kawy i zaczęła streszczać przebieg fatalnej imprezy w Royale.

– Byłam przygotowana na to, że Snake wkurzy się na mnie, ale nie przypuszczałam, że okaże się aż tak mściwy. I jeszcze to zerwanie z Rainforest... Nie wierzę, że cały Crash poszedł na to. Naprawdę, skarbie, tak mi przykro...

Mouse wzruszyła ramionami.

– Powiedziałam Kenny’emu, że mogę mu zaraz, od ręki dostarczyć dobrych zespołów na pęczki. Już zresztą zamówiłam paru facetów na dziś wieczór...

– Ale wideoklip... To musiał być dla ciebie ogromny cios.

– Trochę, ale w końcu to była ich sprawa: ich muzyka i ich nagranie. Bardziej w tej chwili zależy mi na moich występach w Rainforest. Mój nowy numer... mówię ci, wszystkim opadną nie tylko szczęki. Ale to niespodzianka.

Nawet Kenny’emu nic nie zdradziłam. Przyjdiesz, prawda? To będzie równo trzy dni... to znaczy trzy noce po ślubie Merlina.

– Jasne, że przyjdę. Oprócz tego ślubu nie mam w planie żadnych zobowiązań towarzyskich przynajmniej na najbliższych dwadzieścia lat. O rany, ale jestem zdołowana...

– Daj spokój! Przestań się nad sobą użalać; wiem, że czeka cię przykra przeprawa z Nickiem, ale – spójrz na siebie. Masz przyzwoite, ba, nawet cudowne mieszkanie, przynajmniej do czasu... W ciągu ostatnich czterech miesięcy zaliczyłaś dwóch nowych facetów... Dopiero co sprzedałaś książkę i pracujesz nad następną. Świetnie wyglądasz i... powinnaś zmienić fryzurę.

– Co?

– Tylko rzucam myśl. A ty ją łap. Moje odrosty sprawiły, że zaczęłam właśnie dziś myśleć o czymś nowym. Dlaczego nie zrobimy tego razem?

– No, nie wiem – Zoey przesunęła dłonią po nieco rozwichrzonych lokach. – Od lat mam tę samą fryzjerkę. Chciałam się do niej wybrać, gdy tylko będę w stanie wrócić do Connecticut.

Mouse przewróciła oczami.

– Ojej, jakby na Manhattanie nie było porządnych fryzjerów płci obojga...

– Nno... – Zoey odstawiła kubek i przeciągnęła się. – Wciąż pozostaje kwestia pieniędzy.

Książkę wprawdzie sprzedałam, ale zaliczka przyjdzie nieprędko. No i zalegam z opłatami za ten lokal. Ale tu mam nadzieję, że Skye zgodzi się na wymianę: odmalowanie mieszkania zamiast miesięcznego czynszu. Moja prawniczka miała mi zorganizować spotkanie z Nickiem, żeby wreszcie dopiąć ostatecznie tę ugodę rozwodową, ale wciąż nic się nie dzieje, a z kolei perspektywa zobaczenia go znowu wpędza mnie w taki dołek, że... mam nadzieję, że to spotkanie szybko nie nastąpi... A póki co jestem zdołowana, skotłowana i... zasiedziała.

– Czyli najwyższy czas na nowy fryz – oznajmiła Mouse. – Wrzuc coś na grzbiet i idziemy.

– Chyba mnie nie słuchałaś? Nie mam forsy!

– Niech to będzie na mój rachunek. Zbieraj się, kumpelko. Rusz te swoje cztery litery!

Czując się lżejsza o co najmniej dwadzieścia funtów, Zoey otworzyła drzwi apartamentu Skye i natychmiast przyjrzała się sobie dokładnie w lustrach, którymi wyłożony był hol. Zewsząd patrzyła na nią kobieta o rudawobrązowych włosach, w krótko, „na pazia” przyciętej fryzurze. Uśmiechnęła się do niej. Poglądziła włosy, potem lekko je nastroszyła i znowu przyglądziła.

Hmm. Julia Roberts? Nie całkiem. Ale prawie. Na pewno wyglądała o niebo lepiej – bardziej... światowo... wykwinie... a zarazem... luzacko. Za długo, stanowczo za długo nosiła te długie, poplątane loki. A to dlatego, że Nick tak lubił długie włosy... Tak, ta nowa fryzura to ostateczne wyzwolenie!

W wyłożonej lustrami sypialni nadal podziwiała, jak wspaniale te doskonale przystrzyżone włosy układają się na nowo z każdym ruchem głowy. Pewnie z czasem jej się to znudzi, ale teraz, w tej chwili, to takie zabawne i podniecające...

Mouse też zrobiła się na rudo. Nowe strzyżenie zmieniło jej poprzednią, dość awangardową fryzurę w coś naturalnego i prawie niewinnego...

– Czyż nie jesteśmy obie po prostu urocze? – zapytała, gdy opuszczały salon.

Bogu niech będą dzięki za Mouse!

Wyjęła z szafy szmaragdowozieloną sukienkę druhny, przyjrzała się jej uważnie, po czym wystukała numer Merlina. Pomyślała, że lepiej go uprzedzić o swym nowym wizerunku...

– Och, nie! – jęknął, gdy przekazała mu wiadomość.

– Czy to nie będzie się gryzło z zielonym?

– Oczywiście, że nie. Takie kolory, jak brązy, rudości i miedzie nigdy nie gryzą się z zielonym. Naprawdę...

– przyłożyła suknię do siebie i przyjrzała się uważnie całości. Suknia była obcisła, ciemnozielona, z połyskliwej, zdobionej paciorkami, cienkiej materii na matowym, jedwabnym spodzie. – W istocie, teraz wygląda dużo lepiej niż przy moim starym kolorze włosów. No i krótsze włosy odsłaniają to, co mam najlepszego – ramiona. Naprawdę, wyglądam seksownie!

– Nie podniecaj się za bardzo. Większość weselnych gości to geje, a jeśli hetero... to już zajęci...

– Wierz lub nie, ale nie szukam nikogo nowego. Żadnych więcej facetów. Żadnego seksu. Od dziś składam śluby czystości...

– Dzięki, siostrzo Zoey. A skoro już mówimy o czystości czy też braku takowej – miałaś jakieś wieści od Jade? Zaczyna mi jej brakować i boję się, żeby nie skrewiła z moim ślubem...

– Będzie na pewno, na bank, zobaczysz. – Zoey przysiadła przy komputerze. – Wymieniłyśmy parę telefonów i, o ile załapałam, wreszcie dopadła A. J. ; no rozumiesz, co mam na myśli. Podobno cały czas... nic tylko barabara i rikkittikkitak, bez przerwy...

– Tyle, jeśli chodzi o czystość... No, ale na wszelki wypadek przypomnij jej, że to już w sobotę wieczór... Aha, Zo, a jeśli chodzi o zeszlą noc; wszystko w porządku?

– Wciąż żyję – odpowiedziała, otwierając emaila od Skye.

– Świetnie, w takim razie mogę spokojnie iść i dokończyć omawianie menu na przyjęcie weselne. Wybierzesz się ze mną?

Zoey w tym czasie czytała emaila od Skye.

Ciao, bella!

Zaczynam się powoli stąd zbierać; co do twojego pomysłu z malowaniem – kupuję zdecydowanie. Możesz brać się do pracy. A teraz... nieuchronne pytanie. Masz się gdzie przenieść? Podam ci niebawem dokładną datę mojego przyjazdu, bo na razie tu jeszcze się trochę kotłuje, ale wkrótce kończymy i wracam.

– Halo? – usłyszała lekko zniecierpliwiony głos Merlina. – Ziemia do Zo, odbiór.

– Och, przepraszam, właśnie czytałam emaila od Skaye. Zgadza się na mój pomysł z malowaniem, co pozwoli mi oszczędzić parę dolców, ale, niestety, wkrótce wraca, a ja nie mam bladego pojęcia, gdzie się teraz podzieję. Znasz może kogoś, kto poszukuje sublokatora?

– Nie mam nic pod ręką, ale popytam.

Zoey spojrziała na ekran i doczytała resztę emaila.

Dzięki za przesłane rozdziały twojej najnowszej produkcji; to nam obu oszczędzi czasu i kłopotów. Oto, co sądzę: nie wiem skąd wytrzasnęłaś ten pomysł, ale mnie przypomina to taki starenki telewizyjny serial z Marlo Thomas. Założę się, że gdzieś obejrzałaś powtórkę. A przy okazji, masz jakieś nowe pomysły?

– A niech cię! – Zoey z trzaskiem odepchnęła od siebie laptopa i zaczęła walić głową w blat biurka.

– Zoey? – Merlin był wyraźnie zaniepokojony. – Co się stało?

– Znowu mnie odrzuciła! Znowu! O Boże...

– Och, tak mi przykro.

Zapadła cisza, po długiej chwili Merlin powiedział cicho i spokojnie:

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

– Ja wiem. Że nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej.

Część czwarta

Stolik dla jednej osoby

– O mój Boże! Ależ ty jesteś przystojny! – Zoey wspięła się palce, by ucałować Merlina w policzek.

Gdy przybyła do restauracji, znalazła go oczekującego w westybulu, spokojnego i opanowanego, mimo że ceremonia ślubna była już opóźniona o co najmniej pół godziny.

– Wydaje mi się, że ja jestem bardziej zdenerwowana od ciebie – zażartowała.

– Bo ja wziąłem valium – zrewanżował się Merlin. – Świetna fryzura. I kolor – zauważył.

– Wielkie dzięki – uśmiechnęła się szeroko. – Jak sądzisz: Julia Roberts?

– Myślałem raczej o Susan Sarandon, ale... tak, jest w tym też coś z Julii.

– Susan Sarandon? Rany, czy ja aż tak staro wyglądam?

– Żadne z nas nie jest już po słonecznej stronie trzydziestki, moja miła.

– Och, nie przypominaj mi o tym – mruknęła.

– Widziałaś Jadę i Mouse?

– Powinny tu być lada moment. – Nagle zauważyła, że całując go, zostawiła mu na policzku ślad szminki, i niezgrabnie próbowała zetrzeć ją wierzchem dłoni. – Ojej, przepraszam...

– Nie ma sprawy. Dziś jeszcze nie raz i nie dwa wysmarują mnie szminką. – Wyprostował się i wygładził klapy swego czarnego smokingu. Obaj z Joshem wybrali na ślub czarne smokingi z długimi do kolan żakietami. Pod żakietem Merlin miał szafirowo-niebieską kamizelkę;

Josh miał mieć złotą, a jego przyjaciel ze szkoły masażu, Fitzroy – szmaragdowozieloną, dobraną do koloru sukni Zoey. Merlin tymczasem spoglądał nerwowo na zegarek.

– Josh się spóźnia, zresztą jak zwykle. Dlaczego mnie to nie dziwi? Nie widziałem go od wczoraj: ustaliliśmy, że noc przed ślubem spędzimy osobno.

Zoey uśmiechnęła się.

– Ależ z was romantycy, nie ma co. Byłeś już na górze, by sprawdzić pokoje?

– Byłem, wszystko wygląda wspaniale. Ta dekoracja z kwiatów pomarańczy... To podobno ulubione kwiecie wielu panien młodych z Białego Domu, a poza tym, tak przynajmniej mówi legenda, Junona, rzymska bogini małżeństw, ofiarowała takie właśnie kwiaty swemu oblubieńcowi Jowiszowi w dzień ich wesela. Ozdobną kratę, przy której odprawimy ceremonię, kazałem udekorować białymi liliami – takimi, z jakich był zrobiony ślubny bukiet księżnej Grace. Wpleciono tam też trochę rozmarynu (dla pamięci) i kopru (dla rozkoszy), ale lepiej nie mów o tym moim rodzicom. To takie zimne ryby. Czasami zastanawiam się, jak oni w ogóle mnie poczęli?

– Dobra, ani pisnę – przyrzekła Zoey.

– No i mam nadzieję, że ciocia Annabelle nie przywlecze tu ze sobą swego najnowszego kochasia. I jeszcze ta sprawa z matką Joshua... W końcu nie zaprosiliśmy jej, ale skądś się

dowiedziała o ślubie i zagroziła, że się zjawi – podszedł do okna, potem przeszedł się po westybulu.

– Jak na kogoś, kto nie jest zdenerwowany, zdecydowanie za dużo mówię.

– W porządku, Merlin – Zoey w popłochu szukała tematu, który zająłby go teraz choć na chwilę. – Ale, ale, a gdzie w końcu zamierzacie spędzić miesiąc miodowy?

– Na Wyspach Dziewiczych – odpowiedział. – Josh to załatwił. Ten jego znajomy, Fitzroy, pochodzi z Tortoli, to chyba brytyjskie Wyspy Dziewicze; podobno jest tam niewymownie pięknie. Rozkosz tropików.

– Brzmi wspaniale – Zoey rozejrzała się po westybulu. Grupy gości wchodziły już na schody, z góry dobiegały ożywione głosy i śmiechy.

Merlin zamachał do kogoś.

– Hej, Fred! – po czym wyjaśniająco zwrócił się do Zoey – Josh i Fitzroy nocowali wczoraj u niego.

Młody człowiek w dżinsach i koszulce polo, z wilgotnymi blond włosami, zaczesanymi za uszy, szedł dość szybko przez hol; Zoey zdumiała się, że przyszedł na ślub ubrany tak ... zwyczajnie, ale ostatecznie w Nowym Jorku wszystko uchodzi... W jednym uchu miał cały rząd małych, srebrnych kóleczek.

– Merlin! – głos Freda był dziwnie poważny. – Stary, mam złe wieści.

Merlin nawet nie drgnął. Zdawał się nie dopuszczać do siebie myśli, że cokolwiek może zepsuć ten tak wspaniale zaplanowany dzień.

– Ja... – Fred zawahał się, kaszlnął, po czym wyrzucił jednym tchem: – Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale Josh nie przyjdzie. Wczoraj w nocy odleciał na Wyspy Dziewicze. Z Fitzroyem.

– Żartujesz... – Zoey patrzyła na niego niedowierzająco. – Prawda? To żart?

Przeniosła wzrok na Merlina, który powoli z kredowobiałą twarzą osuwał się po ścianie, póki nie usiadł na pokrytej mokietem podłodze, patrząc tępo przed siebie.

– Stary, tak mi przykro... – Fred z trudem dobywał z siebie głos. – Josh obiecywał mi, że sam ci o tym powie. Miał zadzwonić, natychmiast, jak tam... doleci. Ale, jak rozumiem... nie zadzwonił.

Merlin podniósł do góry dłoń, jakby odsyłał i rozgrzeszał zwiastuna złych wieści. Na jego twarzy malowało się bezgraniczne znużenie. Zoey zdecydowanie podkasła swą nieco wąską sukienkę, usiadła przy nim i potrząsnęła go za ramię.

– Merl, trzymaj się. Będzie dobrze. Wiem, że w tej chwili to straszne, okropne, ale wszystko będzie dobrze...

Merlin odetchnął głęboko, po czym bardzo spokojnie wycedził przez zęby.

– Nie sądzę. Nie sądzę, aby kiedykolwiek cokolwiek było dobrze.

– Będzie. Dasz radę – powiedziała.

Potrząsnął głową i zaczął się nerwowo klepać po kieszeniach smokingu.

– Potrzebuję valium. Valium. – Po czym zakrył uszy dłońmi i szepnął: – Chcę zostać sam.

– Nie – mocno ścisnęła go za ramię. – Żadnych prochów. Potrzebujesz swych przyjaciół.
Fred przyglądał się im niepewnie.

– Tam na górze jest już chyba pełno gości? Co robimy? Zaczynamy imprezę?

Merlin pokręcił głową.

– A róbcie co... A właściwie nie... Żadnej imprezy. Niech wszyscy idą do domu. Co tu oblewać? Powiedz wszystkim, żeby sobie poszli.

Fred zamrugał bezradnie, i popatrzył na Zoey, niepewny, co robić. Zoey zauważyła w głębi holu Jadę i Mouse. Pomachała ku nim, by podeszły. Po czym starannie wygładziła swoją piękną, zieloną suknię i odwróciła się do Merlina.

– Nie martw się, Merlin. Zajmiemy się wszystkim.

Pół godziny później razem z Mouse pomogły Merlinowi wsiąść do taksówki, po czym obie wgramoliły się za nim. Jadę, siedząca obok kierowcy, odwróciła się ku nim.

– Dokąd jedziemy?

– W jakieś spokojne miejsce – powiedziała Zoey. – O, do Beatrice Inn w Greenwich Village. To gdzieś w okolicach Ósmej Ulicy.

Gdy taksówka ruszyła, Zoey przymknęła oczy, przypominając sobie beznadziejnie smutny widok pustej sali balowej. Jadę – stojąc pod ukwieconą liliami kratą – wygłosiła krótkie acz treściwe przemówienie: „Dziękujemy za przybycie, ale ślubu nie będzie. Życzę miłego wieczoru!”. Zoey dogadała się z dostawcami, starając się, by ocalić możliwie jak najwięcej z wyłożonych przez Merlina pieniędzy. Zimny bufet przekazano organizacji wydającej posiłki dla bezdomnych. Kwiaty odesłano do hospicjum dla chorych na AIDS. Prezenty zostały zwrócone. Nie udało się tylko odzyskać biletów na Wyspy Dziewicze, gdyż te dwa szurki, Josh i Fitzroy, capnęli je zawczasu i polecili na Wyspę Świętego Tomasza.

– Muszę zadzwonić do Kenny’ego – powiedziała Mouse, wyciągając komórkę.

– A ja muszę się napić – oznajmiła Zoey.

– Ja... – powiedział Merlin bezbarwnie – potrzebuję nowego... życia.

Wszyscy czekali aż Jadę włączy się w tę litanie, lecz ona milczała.

– Jadę? – szturchnęła ją Mouse. – Powiesz nam, czego potrzebujesz? Na przykład dobrego ciupciana albo czegoś w tym guście?

Jadę parsknęła śmiechem.

– Nie... nie dzisiaj. Poza tym... , ze mną... wszystko dobrze. Naprawdę.

Zoey rozdziawiła usta.

– Rany, ona naprawdę jest zakochana! Jadę przytaknęła.

– I owszem, jestem. No i wreszcie rozumiem, o czym są te wszystkie piosenki... tylko że... Kurczę! Co tu można powiedzieć w takiej sytuacji! – odwróciła się i spojrzała na Merlina.

– Wybacz, kochany. Przepraszam. Nie będę już o tym mówić...

– Ależ wal śmiało – ożywił się nagle Merlin. – To może być fascynujące...

– A jak tam seks? – dopytywała się Mouse.

Jadę odwróciła się od nich i patrząc przed siebie, wzruszyła ramionami.

– Widowiskowy!

Taksówkarz rzucił jej szybkie spojrzenie; pogroziła mu palcem.

– Patrz na drogę, koleś. – Po czym znów odwróciła się do tyłu i oznajmiła: – Mogę wam o wszystkim powiedzieć, ale przy dobrym winie.

Przebojem wieczoru stał się temat nieudanych związków. Na mocy milczącego porozumienia Merlin został zwolniony z obowiązku opowiedzenia swojej historii, jako że była to sprawa boleśnie świeża i boleśnie oczywista.

Jadę wdała się w długą i rozdzierającą serce opowieść o chłopaku, za którym się uganiała w liceum. Był to klasyczny okaz głupiego mięśniaka, gwiazda szkolnej drużyny futbolowej. Naprawdę go lubiła; a on zdawał się lubić to, co z nim robiła... Uparcie jednak odmawiał pokazywania się z nią oficjalnie i publicznie; odrzucił też jej propozycję pójścia razem na bal maturalny.

– Miał to stereotypowe i seksistowskie przekonanie, że dziewczyny, które znajdują się na seksie, nie nadają się na partnerki w życiu towarzyskim. Skończyło się więc na tym, że na bal poszedł z jedną czirliderką, kompletną analfabatką w tych sprawach. – Jadę smutno pokiwała głową i ciągnęła: – Kurczę, ten durny mięśniak z przerośniętą klatką złamał mi serce. Och, gdybym go teraz dostała w swe ręce, nauczyłabym go tego i owego...

– Spoko, myślę, że i tak spotkała go zasłużona kara – zauważyła Zoey. – Pewnie jest już gruby, łysy i wiecznie kłóci się ze swoją żonusią, kto ma odebrać dzieciaki z obozu treningowego piłki nożnej.

Jadę podniosła swój kieliszek z winem.

– Piję za wszystkich grubych i łysych facetów na całym świecie!

– Amen – podsumowała Mouse.

Zoey i Merlin dołączyli się do toastu. Mouse ponownie napełniła ich kieliszki czerwonym winem z karafki, rozlewając trochę przy okazji. Zoey szybko starła płamę; zresztą chyba nikt incydentu nie zauważył. Restauracja, pogrążona w przytulnym półmroku, była cicha i dość skromna; mieściła około tuzina stolików, a tylko trzy były zajęte. Zoey zjadła już prawie całą porcję zapiekanych ravioli; Jadę i Mouse skubały swoje sałatki. Merlin dotąd prawie nie tknął zamówionych *fettuccine* z bakłazanami.

– Jeszcze jedną karafkę czerwonego, poproszę – zwróciła się Mouse do kelnerki.

Kelnerka, starsza kobieta o zmęczonej twarzy, wzięła pustą karafkę i zniknęła z nią w kuchni. Mouse w zamyśleniu obracała w palcach kieliszek.

– Rozumiem, że teraz moja kolej?

– No, czekamy na dalsze szczegóły opowieści o Steve Wilbercie, najprzystojniejszym chłopaku z Central High School w Providence – powiedziała Jadę.

– A... prawda. – Mouse westchnęła. – Mówię wam, ten chłopak był po prostu... fantastyczny. Wprost nie mogłam uwierzyć, gdy powiedział mi, że jest gejem. No i kiedy znaleźliśmy się razem za kulisami szkolnego teatru... mmm. Mówię wam, jak na kogoś, kto nie interesuje się

plcią przeciwną, doskonale wiedział, co robić i za co chwytać...

Zoey zachichotała.

– A jego pasja do broadwayowskich musicali nie nasunęła ci żadnych skojarzeń? Ani to, że przez całe liceum nie chodził z żadną dziewczyną?

– Myślałam, że jest po prostu wybredny – upierała się Mouse. – I że po prostu czeka na właściwą dziewczynę. A poza tym – czy hetero nie mogą lubić musicali?

Merlin pogroził Zoey palcem. – Uważaj, osuwasz się w stereotyp...

Zoey wzruszyła ramionami.

– No, to przepraszam. – Kto wie, może też bym zwariowała dla tego Steve'a – podrapała się po głowie. – Ale właściwie to dobre pytanie. Czy w ogóle istnieją jacyś hetero, którzy lubią musicale?

– Musicale z Broadwayu – uściśliła Mouse.

Zoey szybko wypila swoje wino. Może trochę za szybko; , lubiła jednak to miłe uczucie ciepła, rozlewającego się po ciele i wypełniającego jej żyły. Poczula się odprężona i wypoczęta. Gdy przyglądała się sobie, obleczonej w tą cudowną, szmaragdową, obcisłą suknię, czuła się też wiotka i zwinna, niczym elegancka marionetka... nie, raczej wolna, ba, nawet wyzwolona kobieta, cudownie odprężona, całkowicie opanowana i tylko odrobinę zalana.

– No, Zoey, twoja kolej – szturchnęła ją Jadę. – Opowiedz nam o Panu Draniu.

– A zatem – Zoey przyłożyła palec do podbródka – to może chodzić tylko o Nicka, znanego także jako Bzykuś, Fiucik lub Kutafon. Hmm, od czego by tu zacząć? Od tego, że to jego mamusia zaprojektowała i wyreżyserowała całe nasze wesele? Albo może porozmawiajmy o czasach studiów prawniczych, kiedy to liczył się tylko Nick, jego koledzy, jego spotkania... a ta flądra Zoey marnowała czas na tę swoją, pożał się Boże, karierę pisarską... A z tego nawet przyzwoitych dochodów nie można się było spodziewać... ; w końcu taki literat... ile on może wyciągnąć rocznie... Pięćset dolców?

– Śliczne i budujące przykłady – stwierdziła Mouse, ale dlaczego nie skupiamy się na seksie?

– Pochyliła się ku Zoey i mrugnęła. – Prosimy o trochę świństwerek na temat fiucika Nicka.

Zoey wybuchnęła śmiechem i zmieszana gwałtownie zakryła usta dłonią.

– No, tu nie ma o czym mówić. To znaczy... fiut to fiut. Właściwie jakby się tak dobrze przyjrzeć, to właściwie taki komiczny organ... Dynda w powietrzu, cały różowutki z tym smutnym, małym sączkiem z tyłu... Mouse pokiwała głową.

– Chyba wiem, co masz na myśli. Taki... wyjęty z kontekstu... to ten organ faktycznie jest... nieciekawym.

– I wcale nie uważam, że vagina jest atrakcyjniejsza – ciągnęła Zoey. – Bo w końcu co to takiego? Mnóstwo fałdek i dziurka... W końcu w nosie też są dziurki...

Jadę pokiwała głową.

– Oj, dziewczęta... gdy zaczniecie studiować tantrę, to w pełni dostrzeżecie piękno seksu i cały wdzięk naszej seksualnej aparatury...

– Wygląda na to, że Jadę znalazła wreszcie religię dla siebie – prychnął Merlin.

Mouse i Zoey zachichotały. Merlin zaś ciągnął:

– Według mnie to wszystko jest śmiechu warte. Cały ten seks. I to, że ludzie przez niego rujną sobie życie.

Przy stoliku zapadła krępująca cisza. Aluzja Merlina była aż nadto oczywista. Jego kochanek rzucił go – po sześciu wspólnych latach – dla innego. Zoey zdała sobie sprawę, że motorem postępowania Josha musiał być seks. Ale czy na pewno?

– Wiesz – zaczęła niepewnie – kiedy Nick odszedł, myślałam, że to chodzi o inną kobietę. Albo o inne kobiety. O tą całą Eileen... Ale teraz widzę, że... że to nie chodziło o nią. Ona była tylko wymówką, pretekstem. Myślę, że Nick szukał... wyjścia. A ta dziewczyna była akurat pod ręką...

Merlin napotkał jej spojrzenie i przez moment czuła, że oboje dzielą ten sam ból. Dwoje zdradzonych i porzuconych... No, ale przynajmniej są razem... Nagle zamrugała oczami. Czyżby sala lekko się kołysała? Położyła dłonie płasko na stoliku, ale on wydawał się stabilny.

– Myślę, że się trochę narąbałam – oznajmiła, chichocząc.

– Ale jeszcze nie opowiedziałas nam swojej sekshistoryjki – zawołała Mouse, szarpiąc ją za ramię.

Zoey pociągnęła ostatni łyk wina ze swojego kieliszka. Mouse szybko napełniła go ponownie.

– No, dobrze. Pewnego razu... próbowałam go uwieść. – Pchnęła krzesło i wstała. – On... , akurat oglądał coś tam w telewizji. Jakiś mecz... A ja... skutecznie taki mały, erotyczny taniec... Du – du – du ... – zanuciła, obracając się w kółko.

Jadę i Mouse ryknęły śmiechem.

– No tak, to musiało być rzeczywiście seksowne – zakpił Merlin.

– I było seksowne! – wrzasnęła Zoey. Zrzuciła pantofle i porwała serwetkę ze stołu. Wdrapała się na krzesło i zaczęła się przeginać, trzymając serwetkę przesadnie pruderyjnym gestem, jakby osłaniała krocze.

– Boże! Złotko, tylko nie spadnij! – ostrzegła ją Jadę.

– Utrzymuję absolutną równowagę. – Zoey zakołysała się nieco, ale nadal stała na krześle. Dwie pary, siedzące przy sąsiednim stoliku, gapiły się na nią, ale nie dbała o to. Gdyby Nick ją teraz zobaczył... opadłaby mu nie tylko szczęka... – pomyślała i uśmiechnęła się do tej myśli...

– Och, zapomniałam o najważniejszym! Miałam wtedy świetną opaleniznę. I, oczywiście, byłam goła. Golusienka. I tańczyłam wokół niego z takim śmiesznym jedwabnym szalem – zamarkowała ów taniec, zastępując szal serwetką. – I co, myślicie, że on chciał się ze mną kochać? Otóż nie chciał. Wolał się gapić w tą fiżdżoną telewizję. To się w pale nie mieści...

Mouse zaklaskała, stojąc tuż za nią.

– Skarbie, lepiej uważaj. Bo polecisz na nos, na twarz i na resztę. Ale taniec był faktycznie super. Skoro nie podziałał na Pana Fiucika, to z niego większy dupek, niż sądziłam.

Zoey poczuła, że sala wiruje. Wokół niej.

Dupek?...

I nagle znalazła się tuż obok Mouse.

– Wiesz, myślę, że masz już dosyć...

– O, nie! – zaprotestowała Zoey. – Noc jeszcze młoda. Ja tylko... tylko... – sala wirowała wokół niej coraz szybciej. Złapała się za głowę i wtedy poczuła, że czyjeś silne dłonie chwytają ją pod rękę i powolutku pomagają jej zejść...

Nadal się uśmiechała. Czuła, że całe jej ciało naśmiewa się teraz z tego durnia Nicka. Utracił najlepszą rzecz, jaka mu się w życiu przytrafiła, i nawet o tym nie wie. Co za bałwan...

Na pewno wszystko w porządku, skarbie? Nie widzieliśmy cię w Rainforest od tego nieszczęsnego wieczoru i tego poronionego wesela – Mouse przykryła dłonią słuchawkę i w przelocie cmoknęła Kenny’ego, który leżał rozciągnięty na jej łóżku, owinięty w prześcieradło. Pomyślała w roztargnieniu, jak pięknie wzór tkaniny, imitujący pasiastą skórę zebry, komponuje się z jego posągowym, brązowym torse. Pokój nappełniała mieszanina woni seksu i zapachowych świec. Mouse zaś czuła miłe odprężenie i zarazem uniesienie, na które to uczucie w równym stopniu złożyły się dopiero co odbyta upojna sesja z Kennym, jak i perspektywa jej dzisiejszego występu w Rainforest z nowym, oszalamiającym numerem.

Siedząc na podłodze, podciągnęła do góry brzeg szlafroka z czerwonego jedwabiu, który narzuciła na siebie, gdy zadzwonił telefon. Przyciskając komórkę głową do ramienia, zaczęła wklepywać w uda krem nawilżający. Nawilżania nigdy za wiele, a poza tym wiedziała z doświadczenia, jak te kosmetyczne zabiegi rozpalają Kenny’ego. Ostatnio bywali ze sobą to u niej, to u niego – na zmianę. Jego apartament był zdecydowanie bardziej szykowny – obszerny, z przepięknym widokiem na rzekę Hudson i New Jersey, za to mieszkanie Mouse było znacznie bliżej Rainforest, no i było zdecydowanie przytulniejsze.

– No cóż, kaca mam gigantycznego – przyznała Zoey – ale z drugiej strony uważam, że było warto... Niezbyt dobrze pamiętam zakończenie tamtego wieczoru, choć mam jakieś mętne wspomnienia, że chciałam... eee... chyba wyrzygać z siebie Nicka, w pewnym sensie...

– Dokładnie tak. A facet na to zasługiwał już wtedy, gdy wykonałaś przed nim ten swój taniec siedmiu woali, a on nawet zadka nie ruszył, tylko gapił się w telewizor, na jakiś tam futbol czy coś równie głupiego...

Zoey jęknęła.

– O rany, to ja znowu jeszcze raz wam o tym opowiadałam?

– Owszem, ale to świetna historia i doskonały przykład na to, dlaczego lepiej ci bez niego... – Mouse usłyszała za sobą, jak Kenny przewraca się na łóżku. – Słuchaj, złotko, muszę kończyć. Zobaczymy się dziś wieczór w klubie, prawda? Pamiętasz, że dziś prezentuję swój najnowszy numer?

– Jasne. Od tej porąbanej weselnej nocy nie wypłam ani kropelki. Tylko kawa i Alka Seltzer... Tak że jestem już nowiutka, świeżutka i mogę zaczynać od nowa...

– No i bardzo dobrze. Zarezerwowałam stolik dla ciebie i Jadę. Merlin też przyjdzie, mam nadzieję.

– Zadzwonię do niego – obiecała Zoey.

Mouse rozłączyła się. Stała nadal przy łóżku, uwodzicielsko głaszcząc uda.

Kenny usiadł i wyciągnął rękę.

– Chodź no tutaj, kobieto. – Pchnął ją na łóżko; oboje rozchichotali się jak dzieci. – Dobrze wiesz, jak mnie kręci, kiedy wmasowujesz sobie te kremy... – mruknął.

– Mmm. – Przebiegła palcami po jego twarzy i po gładko wygolonej czaszce. – A wiesz może, o czym ja myślę?

– Założę się, że wiem. Chcesz się jeszcze trochę popieścić, tak?

– Ojej, jak na to wpadłeś? – zachichotała...

Boże, trafił mi się naprawdę idealny, doskonały, perfekcyjny facet, myślała potem, tonąc w nim, w jego objęciach. Taki silny, dobry, miły i delikatny. Tak, znalazłam idealnego faceta – i nie wypuszczę go za żadne skarby świata...

– O czym teraz myślisz – szepnął jej w ucho.

– O tobie – odetchnęła głęboko. – O tobie i twoim wielkim...

Po chwili, gdy obojgu udało się zwolnić oddechy, Kenny, muskając ustami jej nagie ramię, szepnął.

– Kocham cię...

Powiedział to. Wreszcie to powiedział. To znaczy powiedział to już, w podobnych okolicznościach, parę dni temu, ale wtedy Mouse uznała, że to tylko tak...

A teraz to powtórzył...

Oboje wkraczali na śliski grunt, ale... właściwie już na nim byli.

– Ja też cię kocham – szepnęła, mówiąc mu to po raz pierwszy.

Oczy Kenny'ego zalśniły dziwnie. Aż Mouse zastanowiła się, czy to nie łyzy? Ale on tylko przycisnął ją do siebie tak mocno, że już nie widziała jego twarzy. Tak, znalazła wreszcie idealnego mężczyznę. I kocha go. Całą sobą. Przez parę minut baraszkowali w łóżku, chichocząc jak para nastolatków. W końcu Kenny przewrócił się na bok i spojrzał na budzik.

– Dobrze chodzi? – zapytał.

– Wciąż mnie o to pytasz, a odpowiedź jest zawsze taka sama: – parsknęła Mouse – śpieszy się pięć minut.

– O rany, muszę pędzić.

– Dokąd i po co? Do klubu masz jeszcze czas...

– Mam coś do załatwienia. To niespodzianka.

– Niespodzianka? – gwałtownie usiadła na łóżku. – A kiedy się dowiem, co to za niespodzianka?

– Dziś wieczorem. W końcu masz dzisiaj występ; nie chcę dodawać ci teraz emocji. Spotkamy się w klubie.

Gdy wyszedł, Mouse zaczęła rozważać, co też może być tą niespodzianką. No, jasne. To może być tylko jedna rzecz...

Padła z powrotem na łóżko i cała roześmiana fiknęła koziółka.

Pierścionek zaręczynowy!

Gdy tego wieczoru Zoey przybyła do Rainforest, zauważyła, że coś się dzieje z Mouse i Jadę. Obie stały przy barze, ich głowy prawie się stykały, twarze były już mocno zaróżowione. Merlin siedział nieopodal na barowym stołku, patrząc przed siebie nieruchomym wzrokiem.

Zoey ruszyła zdecydowanie w jego kierunku.

– Cześć! – powiedziała, kładąc torebkę na kontuarze. – Co się dzieje z tymi dwiema? Wyglądają jakby właśnie zmawiały się, by polecieć na sabat...

– A, one... Nie, one pławią się w blasku miłości. – Merlin pchnął w jej stronę ilustrowany magazyn, a Mouse wydała z siebie podniecony pisk. – Widzisz! Cały artykuł jest o A. J. , a Jadę wspomniana jest tu jako jego stała towarzyszka...

Zoey wyszczerzyła zęby w uśmiechu, który mógł uchodzić za niemal szczery.

– Och, Jadę! To wspaniale! Jadę przycisnęła rękę do serca.

– To jest wspaniale... , ale trochę mnie przeraża...

Na jej przegubie coś zamigotało. Białe, zimne błyski. Diamenty. Zoey złapała ją za ramię.

– Rany, Jadę! Co to takiego? – Klejnoty mrugały i lśniły, rzucając wokół barwne refleksy. Zoey nie miała wątpliwości, że są prawdziwe.

– A, to... To prezent od A. J. – Jadę pogłaskała czule bransoletkę. – Czyż nie jest śliczna? Byłam taka wzruszona, gdy mi ją ofiarował...

– A to nawet nie twoje urodziny! Czyj to wyrób? – ekscytowała się Zoey.

– Harry’ego Winstona. Dasz wiarę? – wyjaśniła Mouse.

– Powiedział mi, że to na znak miłości, ten podarunek.

– Jadę przymknęła powieki. – Wiem, że to takie... prowincjonalne i staroświeckie, ale... dzięki niemu czuję się jak nowo narodzona...

– W rzeczy samej – wtrącił Merlin. – Dawna Jadę z miejsca oddałaby bransoletkę do specjalisty, by sprawdził czy brylanty są prawdziwe i ile są warte...

– No i do znużenia chwaliłaby się tym... – Zaśmiała się Zoey, powiewając gazetą. – Ten twój Facet Kropka-Com zrobił cię sławną na całą Amerykę, a ty jesteś tak zapatrzona w niego, że w ogóle tego nie zauważasz. Zdecydowanie, zabujałaś się na amen...

– Nie ona jedna – odezwała się Mouse. – Zgadnijcie, kto ma zamiar zadeklarować się dziś wieczorem?

Zoey otworzyła usta ze zdumienia.

– Kenny?

Mouse radośnie pokiwała głową.

– O rany, jestem taka podekscytowana; aż się boję, czy się z nerwów nie rozsypię na scenie...

– Na pewno będziesz świetna – poklepała ją Zoey, – a my będziemy klaskać, aż dłonie i uszy

popuchną. Mouse rozejrzała się wokół, po czym lekko zniżyła głos.

– A, byłabym zapomniała – oficjalnie nic nie wiem o pierścionku, bo on mówi, że to będzie niespodzianka, więc mnie nie zdradźcie...

– Nasze wargi są zamknięte na siedem pieczęci – obiecała Zoey.

– Tak, wstrzymamy się do jutra z powiadomieniem prasy – wycedził ironicznie Merlin – choć właściwie te hieny, dziennikarze, mogli sami już coś wywęszyć. W końcu Kenny to właściciel lokalu, a ty jesteś tu gwiazdą i główną atrakcją. Cholera, wszystkie moje przyjaciółki stają się sławne...

– Nie zrzedź, Merlin – zaśmiała się Mouse. – Przecież czytałeś, co pisali w *Timesie* o Rainforest dwa tygodnie temu! I moje zdjęcie też tam było...

– Owszem, czytałem – zaśmiał się Merlin. – I cały czas myślałem, że ta atrakcyjna babka kogoś mi przypomina...

– No i od tego czasu agenci dzwonią i dzwonią. Ale tym razem postanowiłam być twarda. W końcu teraz mogę sobie na to pozwolić...

– A jak już zostaniesz gwiazdą, nie zapomnij o nas, szaraczkach – zakpił Merlin.

– Spoko, dupku! – odgryzła się Mouse. Wyglądała dziś wyjątkowo promiennie i zarazem seksownie w obcisłej czarnej sukni bez ramiączek, na której efektownie udrapowała jaskrawokolorową, afrykańską szatę. Poprowadziła przyjaciół do stolika. – Dzisiaj sadzam was w głównej sali, bo odegracie swą rolę w moim nowym występie...

Gdy zamówiono drinki, Zoey zaczęła przeglądać artykuł o A. J. Chenowitzu. Po raz pierwszy przyjrzała się dokładniej jego fotografii; uznała, że wygląda krzepko i solidnie, choć ździebko zbyt prostodusznie jak na potrzeby Jadę. Ona taka wytworna i wyrafinowana, i ten chłopek-roztropek... No, ale Jadę zdawała się dostrzegać głównie jego wewnętrzne walory...

– No, Jadę, to kiedy wreszcie poznamy tego twojego chłopca? – spytała.

– Wkrótce, mam nadzieję – westchnęła Jadę. – Ostatnio załatwia jakąś ważną transakcję i jest strasznie zajęty. Ale jak uda mu się to wszystko załatwić, to, mam nadzieję, stanie się możliwe prowadzenie bardziej... unormowanego życia, także towarzyskiego...

Zoey odwróciła się do Merlina.

– A jak tam twoje życie towarzyskie?

– Padło na pysk. A twoje?

– Tak samo, a nawet bardziej. Nick przyjeżdża na to wielkie spotkanie twarzą w twarz, na pewno z całą armią prawników. I wszystko po to, by ostrzec i oskubać swą nieszczęsną byłą żonę...

– Trzymaj się swego, a wyjdiesz na swoje – poradziła Jadę. – Pan Fiucik może sobie być superprawnikiem, ale i tak w większości stanów majątek po rozwodzie dzieli się pół na pół...

– To akurat wiem – Zoey próbowała wyłowić wisienkę ze swego drinka. – Nie wiem natomiast, jak zareaguję, gdy go zobaczę. A jak się rozbeczę? Zaczęłam już sobie wyobrażać, jak wskakuję na stół, i w obecności tych wszystkich prawników i doradców, daję mu efektownego

kopa karate prosto w facjatę...

– Wygląda na to, że pilnie potrzebujesz moralnego wsparcia – skonstatował Merlin. – Chcesz, pójdę z tobą na to spotkanie? Prawniczą radą i wiedzą służyć ci nie mogę, ale zawsze mogę stanąć u twojego boku, jeśli prawnicy Nicka rzucą się na ciebie jak banda zabójców ninja...

Zoey uśmiechnęła się.

– Byłoby wspaniale. Spotkanie jest w piątek rano. Dasz radę urwać się wtedy z pracy?

– Bez problemu – odpowiedział. Zobaczyli, że w ich kierunku zmierza Kenny prowadząc z sobą starszego mężczyznę, siwowłosego Afroamerykanina.

– Dobry wieczór wszystkim – Kenny uśmiechnął się do nich. – Jak nastroje?

– Wspaniale – odpowiedziała Jadę. – Czekamy na występ Marielle.

– Ja również – przyznał Kenny. – Nie pozwoliła mi przyglądać się próbom. – Następnie wyciągnął rękę ku starszemu panu – Tato, chciałbym ci przedstawić kilku moich przyjaciół. To Merlin Chong, Zoey McGuire i Jadę Cohen.

Fakt, że Kenny pamiętał ich nazwiska, zrobił na Zoey spore wrażenie, choć właściwie – pomyślała – umiejętność zapamiętywania nazwisk to dla właściciela klubu rutyna. Głośno zaś powiedziała uprzejmie:

– Miło mi pana poznać, panie Aragon.

– Wielebny Aragon – poprawił ją, równie uprzejmie Kenny. – Tato jest pastorem kościoła baptystów w Atlancie.

Ojciec Kenny'ego kolejno uściskał im dłonie: – Bardzo mi miło poznać państwa – powiedział. Uścisk dłoni miał ciepły i mocny.

– Pański syn stworzył wspaniały klub – powiedziała Jadę – który bardzo szybko stał się modny.

– Miło mi to słyszeć – odpowiedział wielebny. – Jestem z niego ogromnie dumny.

– Nasz stolik jest tuż obok, tato – powiedział Kenny, prowadząc ojca do sąsiedniego stolika. – A wam życzę miłego wieczoru....

– Ależ ta Mouse ma szczęście – powiedział cicho Merlin. – Gdybym to ja pierwszy poznał Kenny'ego, może bym się z nim ożenił...

– Na to bym raczej nie liczyła – westchnęła Zoey. – Nie sadzę by syn wielebnego kroczył twoją ścieżką...

– Nigdy nie wiesz... – powiedział lekko Merlin – po prostu nigdy nie wiesz... , co może cię w życiu spotkać...

– Co prawda, to prawda. – Zoey wiedziała, że Merlin myślał w tym momencie o Joshu, ale sama nie mogła odpędzić myśli o Nicku: o tych jego kłamstewkach, że musi pracować do późna, że ma wyjazdy w teren, gdy gdzieś gubił krawaty, sam kupował sobie nowe koszule... niby w sklepie na lotnisku... Cały sznureczek kłamstw... Nawet dziś nie była pewna, co w jego wykrętach było rzeczywiste, a co zmyślane... Tak, to prawda: nigdy nie wiesz...

Mouse była tak pewna wrażenia, jakie zrobi na widzach jej nowy numer, że z trudem maskowała uśmiech, gdy przyłączyła się do przyjaciół, zajmując czwarte krzesło przy stole.

– Rany, Myszą – Zoey aż zamruwała. – To ma być twój nowy kostium? /

Mouse skinęła głową, obciągając na kolanach czarny prochowiec, pod którym miała sięgającą kostek czarną, jedwabną spódnicę. Gdy podciągnęła rękawy, widać było, że jej białe rękawiczki sięgają aż po łokcie. W sumie wyglądała niezwykle dostojnie i trochę... sztywno.

Jadę uniosła brew.

– Trochę to nietypowe jak na ciebie...

– I trochę pogrzebowe – dodał Mer lin. Mouse uśmiechnęła się tylko.

– Zobaczycie sami...

Zespół wrócił już po przerwie na scenę i prowadzący podszedł do głównego mikrofonu:

– Panie i panowie! – powiedział. – W tej części naszego wieczoru pozwalamy ujawnić się na scenie talentom z grona widzów. Prawdę mówiąc, nasz agent nie bardzo popiera tę akcję, ale – jeśli znajdzie się ktoś, kto zechciałby...

Tu Mouse podniosła swą urękawiczoną dłoń.

– O, widzę, że już mamy ochotniczkę. Zechce pani przyjść do nas, na scenę?

Mouse potrząsnęła głową z udanym wahaniem.

– Ojej, wydaje mi się, drodzy państwo, że ta młoda dama jest bardzo nieśmiała. – Podszedł do Mouse. Światło reflektorów objęło jasnym kręgiem oboje. – Chce pani coś zaśpiewać? – zapytał. Mouse przytaknęła.

– Zna pan *Kołysankę z Broadwayu!* – zapytała cienkim, niepewnym głosikiem.

Podał jej mikrofon.

– Pani zaczyna, a my się włączamy – powiedział, po czym wrócił na scenę.

Mouse, nadal stojąca w kręgu światła, zaczęła śpiewać, jej głos brzmiał jeszcze dość niepewnie.

Przyjdź do mnie i posłuchaj, tej kołysanki z Broadwayu...

Zespół zaczął grać. Mouse odwróciła się ku nim i na zachęcający znak prowadzącego, jej głos nagle nabrał mocy i barwy. Zaczęła tańczyć w takt śpiewanej melodii, wdzięcznie płynąc po scenie, a potem zakończyła numer tradycyjnym popisem stepowania. Gdy skończyła, na widowni wybuchła prawdziwa burza oklasków. Kłaniając się z wdziękiem, Mouse zauważyła, że Kenny siedzi z jakimś obcym mężczyzną przy stoliku tuż obok jej przyjaciół. Cudownie! W sam raz dla potrzeb jej kolejnego numeru...

Zespół zaczął grać melodię *Let Me Entertain You* z musicalu *Gypsy*; Mouse gwałtownie zamachała rękami.

– Och, nie! Tej piosenki nie mogę śpiewać... – po czym ciągnęła, zwracając się teraz do widowni. – Mamusia nigdy by mi tego nie wybaczyła. Ale... tu, na scenie, jest tak gorąco...

Zacząła powoli ściągać jedną z rękawiczek; perkusista zagrał typowy striptizowy sygnał. Zmarszczyła surowo brwi i pogroziła mu palcem.

– No, proszę przestać! – Po czym powolutku zsunęła drugą rękawiczkę; – Ojej! – zawołała z udanym zmieszaniem; gdy wyprostowała się ponownie, płaszcz rozchylił się, odsłaniając połyskujący jedwab spódnicy i zielone cekiny, naszyte na skąpym topie. Westchnęła ponownie.

– Wciąż jest strasznie gorąco...

Lider zespołu podszedł i poklepał ją po ramieniu. Gdy odwróciła się, z uśmiechem podał jej wieszak. Szybko ściągnęła płaszcz i powiesiła go na nim, dziękując gitarzyście uprzejmym skinieniem głowy. Muzyk wraz z wieszakiem zniknął za kulisami.

– Hej, iam ! – zawołała za nim.

Wzruszając ostentacyjnie ramionami, wrócił na scenę i dołączył do zespołu. Nadal grali tę samą piosenkę, lecz teraz Mouse chwyciła mikrofon i zaczęła śpiewać, płasząc z wdziękiem w takt melodii. Powoli, powoli, kołysząc biodrami odwróciła się tyłem do widowni, schyliła się lekko i zaczęła podnosić spódnice, odsłaniając kolejno kostki, kolana i uda (powtarzała właściwie gesty z tego pierwszego striptizu, jaki wykonała kiedyś przed Kennym...). Potem nagłym ruchem zerwała spódnice.

Tłum zawył.

Pod spodem miała tylko lśniące zielone stringi, wspaniale podkreślające urodę jej pośladków, zanim więc odwróciła się twarzą do widowni, wykonała jeszcze kilka efektownych ruchów. Po czym zaczęła powoli opuszczać ramiączka topu... (co prawda pod nim miała idealnie dobrany do koloru skóry brązowy staniczek ze złotymi guzikami w miejscu sutków, ale z sali mógł to małe oszustwo wypatrzyć tylko ktoś o sokolim wzroku...). Powoli odsłoniła jedną pierś, potem przykryła ją znowu...

Sala szalała. A Mouse upajała się tym. Kochała to. Uwielbiała to, wiedząc i czując, jak mężczyźni wpatrują się w jej ciało, jak podziwiają jej idealne kształty i proporcje... Wiedziała o czym marzy większość z nich. Myśl o tym podniecająco mieszała się z oczekiwaniem na to co ona i Kenny będą robić po występie.

Gdy wreszcie zerwała z siebie top i została w tej fałszywej nagości, ze złotymi guziczkami nibysutków, wciąż śpiewając zbliżyła się do stolika Kenny'ego. Odnalazła wzrok tego drugiego mężczyzny. Wyglądał na nieco spłoszonego, ale teraz nie mogła się już cofnąć.

I gdy doszła do słów ... *a jeśli jesteś naprawdę dobry, sprawią, że dobrze się poczujesz...* podniosła nogę i prze, rzuciła mu ją przez kolano, siadając na nim okrakiem. Posłała mu uwodzicielski uśmiech... , ale on uparcie wpatrywał się w blat stolika. Kołysząc biodrami zaczęła zmysłowy taniec wciąż siedząc mu na kolanach. Piersi jej podrygiwały tuż przed jego twarzą; wpatrywała się w niego zachęcająco, ale on, biedaczek, wciąż robił wrażenie, jakby skamieniał. Na ten widok widownia zaczęła ryczeć jeszcze głośniej. Mouse, ubawiona, zerwała się i

musnąwszy w przelocie głowę Kenny'ego, wróciła na scenę. Burza oklasków wybuchła, zanim jeszcze przebrzmiał ostatni akord. Salę wypełnił prawdziwy ryk entuzjazmu. Wszędzie widziała jak ludzie wstają, klaszczą, śmieją się do niej...

O dobry Boże! To sukces! Odniosłam sukces!

Posłała widowni kilka całusów i skłoniła się nisko, po czym uprzejmie wskazała dłonią na zespół, lecz prowadzący zamachał, dając znak, że cały aplauz należy się tylko jej.

Dzięki ci słodki Jezu! Kochają mnie! Serce waliło jej jak młotem, gdy biegła przez kulisy, by jak najszybciej dopaść Kenny'ego w jego biurze i odebrać zasłużoną nagrodę...

Siedziała w uwodzicielskiej pozie na biurku, gdy drzwi otworzyły się nagle...

– Co to, do cholery, miało znaczyć?! – w oczach Kenny'ego płonęła zimna furia.

Uśmiech Mouse zgasł, bezwiednie zsunęła nogi...

– Jak to co? To mój nowy numer...

– Nie przypuszczałem, że wymyśliłaś coś tak... tak... niesmacznego – wrzasnął.

Poczuła gwałtowny skurcz strachu.

– Jak to niesmacznego? To było... Widownia była zachwycona.

– Nie cała! Czy wiesz, że odprawiłaś swój bezwstydną taniec przed moim ojcem? Przyleciał dziś rano z Atlanty. Chciałem ci zrobić niespodziankę... , a ty... To Boży człowiek. Czy wiesz, co narobiłaś?

– Też jestem chrześcijanką – powiedziała. – Ale to nie znaczy, że Bóg nie chce, bym korzystała ze swego talentu...

Potrząsnął głową i odwrócił wzrok, jakby dłużej nie mógł znieść jej widoku.

– Wynoś się – ton, jakiego użył, sprawił, że nagle poczuła się jak para znoszonych gatek, wyrzucanych na śmietnik...

Ześliznęła się z biurka. Wyprostowała się, wysoko zadarła podbródek i dumnie wymaszerowała z jego biura... i z jego życia.

Skąd mogłam przypuszczać, że to był jego ojciec? No, skąd?!

Jadę, spacerując po swym biurze z komórką przy uchu, udawała, że słucha biadań Mouse, lecz tak naprawdę czekała na telefon od A. J. Miał przylecieć dziś o dziesiątej rano, a tymczasem była już czwarta po południu, a on jeszcze nie zadzwonił... A tu Mouse wisi na telefonie...

Usiadła przy biurku i położyła na nim nogi.

– No, a jak się teraz czujesz? Zakłopotana czy tylko wściekła?

– Oczywiście, że zakłopotana... w życiu bym nie wycięła takiego numeru ojcu swojego chłopaka, nawet gdyby nie był pastorem. Ale skąd mogłam wiedzieć? A poza tym wcale nie uważam, żeby mój występ był... niesmaczny. A ty jak sądzisz?

– Według mnie był super, ale w tym wypadku nie jestem najlepszym sędzią... A tak na marginesie, wciąż jeszcze jesteś hostessą w Rainforest?

– Chyba już nie. – Mouse milczała przez chwilę. – Obawiam się, że to już przeszłość. Niech to szlag, lubiłam tę robotę. Dobrze mi to wychodziło, pensja była niezła, no i reszta... I teraz, przez ten zakuty łeb, tego fundamentalistę...

– Mogę sobie wyobrazić, co czujesz. No cóż, masz teraz okazję pochodzić znowu na normalne, profesjonalne przesłuchania. Byłaś tak pochłonięta tymi występami w Rainforest, że trochę wypadłaś z obiegu...

– No tak, i czas znaleźć sobie agenta. Jakoś to będzie.

Jade westchnęła. Mouse bezbłędnie wyczuła bluesa.

– A on gdzie się podziewa? Wciąż nie dzwoni?

– Nie. Pozwól, że jeszcze raz przekręcę do niego...

– Dobra. Gdyby się nie pokazał, to przyjdź do Zoey. Mamy u niej małą imprezkę. Bawimy się w malarzy pokojowych...

– Och, na pewno się pokaże ... – Jade próbowała nie okazywać zdenerwowania.

– Zadzwonię później i pogadamy jeszcze... Rozłączyła się i wystukała numer A. J. w Portland.

Właśnie odezwał się Hank, gdy do jej pokoju zajrzał Omar, jeden z pracowników agencji.

– Hej, Jade, widziałaś to? – zapytał, rzucając jej na biurko jakiś tabloid. – Znów piszą o twoim chłopaku.

– Dzięki, Omar – powiedziała roztargnionym tonem, nie chcąc wdawać się z nim w rozmowę. Właściwie to go nie lubiła. Bezczelny gaduła. I namolny. Tak namolny, że czasami odstraszał klientów.

Odwróciła się od niego wymownie i ciągnęła rozmowę z Hankiem. Ten gęsto tłumaczył się i przeproszał. A. J. musiał nagle zmienić plany.

– Musiał z samego rana lecieć do Bostonu i odwołał wszystkie spotkania w Nowym Jorku. Strasznie mi przykro, Jade. A. J. miał cię o tym osobiście uprzedzić, ale widać coś mu przeszkodziło...

– Nie ma sprawy – rzuciła, czując nagłą ulgę. Nic złego się nie stało. Wszystko jest w porządku. – Na pewno się zdzwonimy.

Rozłączając się, spojrzała na gazetę, którą Omar rzucił jej na biurko. Cienki papier i kiepski druk zdradzały, że to raczej tani szmatławiec, ale otwarty był akurat na stronie z ogromną fotografią A. J. i... jakiejś kobiety. Gorączkowo sprawdziła datę. Gazeta jest z tego tygodnia. Kobieta na zdjęciu miała rude włosy i zadarty irlandzki nos; ktoś z klanu Kennedych, jak głosił podpis. Obok było jeszcze kilka innych zdjęć obojga, A. J. i tej rudej: na plaży, grających w piłkę, obejmujących się. Na jednym z nich A. J. trzymał ją na rękach, jej długa, balowa suknia zamiatała ziemię, a on wyglądał na szczęśliwego...

Opowiadał jej kiedyś o tej swojej nieszczęśliwej miłości. Zaraz, zaraz, co takiego wtedy powiedział? Coś o jej zabawnym nosku; a, i jeszcze, że pochodzi z rodziny polityków...

Boże! I gdzież on jest teraz? W Bostonie... Jade poczuła, że robi jej się niedobrze.

Wrzuciła gazetę do torebki i pobiegła ku drzwiom, starając się opuścić biuro, zanim rozbeczy się na dobre.

– Czy to świństwo jest trujące? – zawołał z holu Merlin. – Wydaje mi się, że zaczynam czuć zawroty głowy i...

– Cholera, to wygląda jak ciasto na babeczki – zauważyła Mouse. – Aż mnie ssie na sam widok. Masz jakieś ciasteczka w domu, Zo?

– Zamówię coś jak skończymy kłaść podkład – odrzyknęła Zoey z sypialni, gdzie właśnie próbowała odczytać z pojemnika z farbą instrukcję, jak zrobić żądane przez Skye „przecierki”. Robiła je kiedyś w swoim domu w Connecticut; wtedy cały proces zdawał się mieć prawie terapeutyczne właściwości, ale teraz, gdy czytała tę straszliwie skomplikowaną instrukcję, miała wrażenie, że wszystko spaprze! No, przynajmniej udało się jej położyć podkład. Reszta może poczekać do jutra... albo jeszcze dłużej. Wyszła do holu, by sprawdzić, jak radzi sobie reszta ekipy.

– No, jak wam idzie?

– Prawie zrobione – odrzyknęła Mouse z drabiny. Na nosie i policzkach miała mnóstwo białych kropek.

– Myślę, że stanowimy dobry zespół – stwierdziła Zoey. – Może wreszcie dam sobie spokój z pisaniem i zacznę zarabiać uczciwie jako malarka pokojowa.

Merlin przejechał wałkiem po narożniku sufitu i przeciągnął się.

– Na mnie nie licz. A ten sufit całkiem zmasakrował mi szyję.

– Może najpierw obalimy jakiś browar, a potem postanowimy, co zamawiamy do zarcia – zaproponowała Zoey, ocierając pot z czoła. – A przez ten czas, gdy będziemy jeść, podeschnie podkład i będzie można kłaść drugą warstwę.

– Prawdziwa poganiaczka niewolników z ciebie – jęknął Merlin.

Zoey padła na osłoniętą pokrowcem kanapę. Mouse i Merlin siedli obok.

– Oto uczciwa zapłata za wasz trud – Zoey podała im po butelce piwa.

Mouse podrapała się po nosie.

– Nie ma jak ciężka praca na wszystkie smutki i zmartwienia. Urobisz się po łokcie i zapominasz o wszystkim. Choćby nasza trójka. Troje wspaniałych. I troje świeżo porzuconych. Jak myślę teraz o Jade, to czuję, że zazdrość mnie zżera...

– Mnie też – westchnął Merlin.

Zoey pociągnęła łyk piwa i zapatrzyła się w okno i rozpościerającą się za nim panoramę Manhattanu.

– Kiedy patrzę w przyszłość... , nie dostrzegam w niej nic, co by mi pomogło...

Merlin poklepała ją po ramieniu.

– Sama wiesz, że to nie tak. Wczoraj wieczorem postawiłem ci horoskop. – Nakreślił jej

horoskop dawno temu, gdy zaczął interesować się astrologią. Opowiedział jej wtedy wiele rzeczy o jej charakterze i osobowości, Zoey była jednak zbyt przestraszona, by słuchać co gwiazdy mówią o jej przyszłości.

– Ach, tak? – przyłożyła chłodną butelkę piwa do rozgrzanego policzka – No i co, zobaczyłeś tam coś dobrego?

– Hm, przede wszystkim twoje zerwanie z Nickiem. Z pieniędzmi... no, trochę się odwlecze, ale ostatecznie twoje problemy finansowe miną wraz z końcem tego roku.

– To byłoby miłe – westchnęła.

– No, i rysuje się nowy romans...

Zoey i Mouse wymienili zdumione spojrzenia.

– Żartujesz, prawda? – spytała Zoey ostrożnie. Merlin potrząsnął głową.

– Nie, mówię serio. Nowa miłość pojawi się na twej drodze już wkrótce – w każdym razie w tym miesiącu. Ktoś bardzo... obiecujący. Może to być ktoś nowy, choć może to być także ponowne pojawienie się Nicka jako twojego partnera...

Zoey wzdygnęła się. – Mouse poklepała ją po ramieniu.

– Nie martw się, skarbie. Zanim coś takiego się zdarzy, masz moje słowo, że cię zabiję!

– Dzięki! Jesteś prawdziwą przyjaciółką! – zawołała Zoey i uściskała ją mocno.

– Żaden problem. Masz to jak w banku – zachichotała Mouse.

Zabrzączał domofon: dozorca zawiadamiał o przybyciu Jadę. Zoey podziękowała mu i wybiegła do holu, by zostawić uchylone drzwi.

– Świetnie, pomoże nam kłaść drugą warstwę – powiedziała Mouse. – A teraz, czarodzieju Merlinie, co z moim horoskopem? Jacyś fajni faceci na horyzoncie?

– A, w twój horoskop dawno nie zaglądałem. Ostatnio, gdy chciałem go dla ciebie sprawdzić, byłaś na etapie religijnego odrodzenia i uważałaś, że astrologia to dzieło szatana.

Mouse wzruszyła ramionami.

– Mam to już za sobą.

– Dobrze, rzucę nań okiem, jak wrócę do domu – obiecał Merlin – ale musisz mi obiecać, że nie będziesz się rzucać, gdy powiem ci, co ujrzałem.

– Rzucać się? Ja? – Mouse zrobiła minę niewiniątka. Trzasnęły drzwi; Zoey zerknęła do holu słysząc stuk obcasów Jadę. O rany! Jadę. Co z nią? Błada jak ściana, wokół oczu rozmazany tusz...

– Złotko, co się stało? – Zoey zerwała się z kanapy i podbiegła, by objąć przyjaciółkę.

Jadę wyjęła nieco zmieszoną gazetę z torebki i pokazała ją Zoey.

– Pan KropkaCom jest już KropkaComTrup...

– Pokaż – Mouse dźwignęła się z kanapy. Dołączył do niej Merlin i wszyscy pochylili się nad gazetą, patrząc na nią z niedowierzaniem i rozczarowaniem.

– Ona jest z tych... no, z Kennedych – wyjąkała Jadę.

– Z Kennedych! Jak ja mogę z nią konkurować?

– Ojej, ściągnij pantofle i siadaj – zatroszczyła się Zoey.

– Pogadajmy spokojnie. Może to jakaś fałszywka. Fotomontaż, albo co...

Jadę potrząsnęła głową.

– Nie, to prawdziwe. To w tej dziewczynie kiedyś się kochał. Opowiadał mi o niej. Boże, co ze mnie za idiotka!

– Oparła głowę o oparcie kanapy i zacisnęła pięści.

– Zaraz, poczekaj, nie szalej – przerwała jej Mouse.

– Każdemu facetowi zdarzają się... eee... błędy. No, rozumiesz, przez chwilę myślał nie głową, tylko fiutem. Ludzka rzecz. Nie możesz mu wybaczyć? Nie mówię, żeby natychmiast, ale tak po tygodniu... gdy już cię ślicznie przeprosi i da ci kolejny śliczny prezent...

– Nie, on ją kocha – odparła sztywno Jadę. – To coś więcej niż zwykły romans. Widzę to... w jego oczach, w wyrazie jego twarzy... – wykrztusiła, pokazując na zdjęcia w gazecie. – Jaki on jest tu szczęśliwy...

Zoey ścisnęła ją za ramię.

– Ale przecież ciebie też kocha. I nie oceniaj się tak nisko, Jadę. Możesz śmiało konkurować z każdą, nawet z każdą z Kennedych...

Jadę nie wyglądała na przekonaną. Z oczami pełnymi łez ciągnęła:

– Dzwoniłam już do niego, zostawiłam mu wiadomość. To już koniec. – Niezdarnie wytarła oczy. – Przepraszam was. Chyba... chyba lepiej już pójdę...

– Nie ma mowy! Właśnie siedzimy tu w stresie i czekamy na kogoś, kto nas z tego wyciągnie, a ty... – Zoey myślała szybko, bardzo szybko. – Wiesz co, poczekaj minutkę, skończymy raz dwa i ruszamy na miasto. Gdzieś, gdzie jest dużo wrzasku, muzyki, dymu i ogólnie jest rozrywkowo...

Merlin popatrzył na swój podkoszulek i upačkane farbą dzinsy.

– Pomysł świetny, ale w tych strojach?

– Mam trochę czarnych ciuchów – zawołała Zoey, biegnąc do sypialni. – Czarne podkoszulki dla wszystkich!

Pojechali taksówką do Diamonds and Spurs, wielkiej, mrocznej i podejrzanej tancbudy na East Side. Tam zasiedli wokół stolika, w milczeniu konsumując żeberka, dzwonka smażonego zębacza i pieczoną w kolbach kukurydzę. Wypili przy tym już dwa dzbanki marganty i byli w połowie trzeciego. Zoey zaczęła w związku z tym odczuwać objawy miłego, pijackiego odprężenia.

Zerknęła na Jadę i zauważyła, że ta wciąż wygląda na lekko nieprzytomną, jak ktoś kto właśnie cudem uszedł z życia z kraksy samochodowej. Zoey już miała zacząć pytać ją o A. J. ale nagle do jej zmargaritowanego umysłu dotarło, że może jeszcze nie czas, by drażnić tak świeżą ranę.

Dobra, dajmy sobie na razie spokój z konwersacją.

– Chodźmy potańczyć – zaproponowała i pociągnęła Jadę za rękę. Ta wstała mechanicznie. Merlin zmiął serwetkę. Mouse poderwała się i zaboksowała powietrze przed sobą.

– Wiesz, jak się tańczy „teksankę z przytupem”? – krzyknęła ku niej Zoey.

Mouse potrząsnęła głową.

– Postukam obcasami, pokręcę tyłkiem... w końcu kogo to obchodzi, czy umiem tańczyć, czy nie?

Jadę wciąż wyglądała na niezdecydowaną. Zoey popchnęła ją tak, że znalazła się nagle tuż obok jakiegoś podejrzanie mocno opalonego faceta w czarnych, kowbojskich butach. Na jego zachęcający uśmiech zaczęła niezdarnie powtarzać jego ruchy, drobiąc stopami, przytupując i klaszcząc. Merlin niechcący wpadł na nią; oboje wybuchnęli śmiechem. Mouse zdążyła w tym czasie zacząć popis wewnątrz kręgu tańczących: jej taniec bardziej przypominał irlandzkie niż teksańskie przytupy, ale nikt nie zdawał się zwracać na to uwagi.

– I... kółeczko! I wężykiem! – wykrzykiwał Merlin, a wszyscy, którzy byli dość blisko, by go usłyszeć, zaśmiewali się w głos.

Zoey z zadowoleniem zauważyła, że Jadę wyraźnie się rozkręca: tupiała, klaskała, a nawet chyba nawiązała kontakt wzrokowy z wąsatym facetem w ozdobnej, westernowej koszuli.

Tańczyli dalej, teraz już w takt jakiejś nowej melodii; Zoey włączyła się w krąg, uśmiechając się i pląsając trochę z przymusem. O rany, czuła, że nogi ma jak z drewna, całe ciało ciąży jej jakby było z ołowiu... Ale muzyka grała tak głośno, wszyscy dookoła przytupywali i klaskali, nikt nie zwracał uwagi, że porusza się jak nosorożec na lodowisku. Z zapalem włączyła się we wspólne tupanie, klaskanie i pohukiwanie.

Po kilku minutach jednak, ocierając pot z czoła, wymknęła się z tanecznego kręgu, by rozejrzeć się za następnym drinkiem. Merlin stał już przy barze, konferując z barmanem, który podawał mu właśnie nowy dzban margarity i tacę z kieliszkami. Merlin wygrzebał z portfela

dwudziestkę, lecz barman odprawił go machnięciem ręki.

– To na mój koszt – powiedział i wyciągnął do Merlina dłoń. – Jestem Seth.

Zoey, starając się nie wyglądać na zbyt wścibską, krążyła jednak obok, bacznie obserwując Seta i spojrzenia, jakie rzucał w kierunku Merlina. Całkiem dekoracyjny ten Seth, pomyślała. Kręcone, ciemne włosy, wydatny nos, miły uśmiech – no i wspaniałe kości policzkowe...

Merlin zaczął rozlewać margaritę do kieliszków; Seth oddalił się ku drugiemu krańcowi baru, gdzie grupka panie w kostiumach i spodniach – gołym okiem widać, że to biurowa imprezka, pomyślała Zoey – pchały się jedna przez drugą, odbierając swoje drinki od drugiego barmana.

– Coś mi się wydaje, że ten Seth zaczyna z tobą flirtować – mruknęła do Merlina.

– Flirtować? Koniec z flirtami. Nikt więcej z nikim nie flirtuje. Tylko prostą drogą do celu, a celem jest szybki numer. Żadnych maratonów. Tylko krótki dystans.

– W trakcie tej perory Merlin wznosił kieliszek jakby w toaście. – Piję za to! Za radość swobodnego podrywu! Za wolność!

Zoey prawie stanęła na baczność.

– O rany! Świetny toast! Przyłączam się! – po czym trąciła się kieliszkiem z Merlinem i jednym haustem wypijała do dna lodowatego, gorzko-słodkiego drinka.

Merlin powiódł wzrokiem za Seta, po czym zwrócił się do Zoey.

– Wiesz, tyle czasu byłem poza obiegiem, poza tym wspaniałym światem randek i podrywów, że czuję się jak dinozaur. A może już całkiem zapomniałem tego specyficznego żargonu, tych typowych dla podrywu zachowań?

Zoey przez chwilę wpatrywała się w jego nienaturalnie błękitne oczy.

– No, ja też właściwie byłem – jak to powiedziałaś – poza obiegiem. Myślałam, że dotyczy to także Nicka – ale jak wiadomo w tej sprawie akurat myślałam się głęboko. Tak czy siak, wydaje się, że odpowiedzią na twoje rozterki jest... brak odpowiedzi. W moim przypadku to całe figofago ze Scottem dało mi możliwość stwierdzenia, że pewnych rzeczy się nie zapomina... No wiesz, to jak z jazdą na rowerze... Ale koniec końców myślę, że seks i związki międzyludzkie to sprawy bardzo osobiste i że każdy przypadek jest inny... w zależności od osób, które są weń zaangażowane...

Merlin pokiwał głową, po czym ponownie napełnił jej kieliszek.

– Znowu zaczynasz zbyt filozofować. Lepiej się napij, złotko.

Podbiegła ku nim Mouse, ciągnąc za sobą jakąś dziewczynę.

– To moja przyjaciółka, Carla – zawołała. – Razem grałyśmy w *Hair* i obie chodzimy na lekcje tańca u Teddy'ego!

Wysoka, bardzo szczupła dziewczyna o nastroszonych blond włosach i nieprawdopodobnie szerokim uśmiechu, przytaknęła skinieniem głowy.

– I jeszcze mieszkaliśmy w jednym pokoju, a przez jakiś czas chodziłyśmy z tym samym facetem. A przy okazji, widziałaś może Bobby'ego ostatnio?

Mouse przecząco potrząsnęła głową, po czym porwała z kontuaru garść serwetek i zaczęła

ocierać pot z szyi.

– Bobby, jak się zdaje, zniknął z horyzontu, ale...

– Merlin, nalej mi! – przerwała nagle Jadę. – I to piorunem! Muszę się napić – lekko chwiała się na nogach.

Merlin zmarszczył brwi.

– Zdaje mi się, że jeszcze masz drinka...

– Lepiej nie spieraj się z kobietą w rozpachy! – wrzasnęła na niego.

– Nawet mi przez myśl to nie przeszło – westchnął Merlin, nalewając kolejną margaritę. Zoey zrećnie doprowadziła Jadę do baru i usadziła na stołku.

– Wiecie, dokonałam arcyważnego odkrycia – powiedziała Jadę, siorbiąc margaritę. – Faceci jako partnerzy są beznadziejni. Najgorsi z najgorszych.

Mouse zaklaskała w dłonie.

– Trafiłaś w samo centro, siostrze!

– Faceci to dranie! – dołączyła się ochoczo Carla.

– Najdrańsi z drani! – dodała z zapalem Jadę.

– Takie mądre i dojrzałe słowa z ust osób tak urżniętych...

– zachichotała Zoey. – I na dodatek takie prawdziwe! Jadę chwyciła Merlina za ramię.

– Ciebie to oczywiście nie dotyczy. Bo ty sam wiesz najlepiej, jak wredni potrafią być faceci!

Merlin skłonił się nisko.

– Dzięki wam, miłe panie. Tak, Jadę – jestem żywym dowodem prawdziwości twoich słów. Mężczyźni są jak dzieci. Tylko jedno im w głowie...

– Racja – wrzasnęła Mouse. Merlin dopił swojego drinka.

– I pomyśleć, że płaciłem za tę całą szkołę masażu dla Josha...

– Ten chłoptaş to zwykły skurczybyk, naciągacz i nieudacznik – prychnęła Mouse. – I wiesz co jeszcze? Faceci nigdy nie dorosleją. Z trzydziestką, a nawet i czterdziestką na karku wciąż wiszą u mamusiowej spódnicy albo martwią się „co by tatuś powiedział”. A w Boże Narodzenie, Wielkanoc czy zwykłą, powszednią niedzielę tuptają na rodzinną wieczerzę, bo boją się zacząć własne życie na własną odpowiedzialność...

– Wieczne... niegrzeczne... dzieci – zabelkotała Jadę.

– Wszyscy... jako gatunek kompletnie beużyteczni.... Zoey nagle wydało się, że cały zgiełk i hałas w lokalu jakby się wyciszył, a cały obraz zamazał się i zamglił: jedyne, co widziała wyraźnie, to twarze przyjaciół: Merlin – chłodny i obojętny, Mouse – ożywiona i wzgardliwa, wreszcie Jadę – w każdym calu najprawdziwsza i bardzo wkurzona amerykańsko-żydowska księżniczka. To oni, Merlin, Mouse i Jadę, wypełniają jej świat ciepłem, humorem, zyczliwością i poczuciem stabilizacji. Mężczyźni przychodzą i odchodzą, ale jej przyjaciele będą jej przyjaciółmi teraz i na zawsze.

– Boże, kocham was, niech ja skonam! – wrzasnęła nagle, rzucając się ku nim i chcąc ich wszystkich uściskać.

Rozlała przy tym trochę margarity na buty Merlina, który skarcił ją surowym spojrzeniem.

– Zdaje się, że miałaś zamiar zrobić nam wszystkim superniedźwiedzia, ale nie bardzo ci wyszło...

– Ojejku, przepraszam, tak mnie poniosło... pociągnęła kolejny łyk. – Chyba tracę głowę...

– Złotko, my wszyscy też cię kochamy – zaśmiała się Mouse, uścisnęła ją, po czym pilnie przyssała się do dzbanka z margaritą.

– Chyba mam znów ochotę zatańczyć – powiedziała Jade, ze zdumieniem patrząc na butelkę piwa w swojej dłoni. – A to tu skąd?

Zoey nagle poczuła obok siebie czyjąś obecność. Miłą obecność. Odwróciła się, by przyjrzeć się jej bliżej. Hm. Jasnobrązowe włosy... fajnie przycięte... O, i jaki piękny zarys brody... I uśmiech taki miły... I te oczy wpatrzone właśnie w nią... Błyskawicznie odwróciła się tyłem. Nagle zdała sobie sprawę, że do jej twarzy przyklejony był już od jakiegoś czasu głupawy, pijacki uśmieszek. Próbowwała ściągnąć wargi. Och nie, teraz robi „borsuczka”... Nagle jej ciało przestało reagować na rozkazy płynące z mózgu...

Miły facet zagadał pierwszy.

– Widzę, że macie tu małe spotkanie towarzyskie...

Zoey ponownie odwróciła się ku niemu. Co jest? Wyraźnie otacza go jakaś słoneczna poświata. Blask? Czyżby była już tak narąbana?

– Czy mogę się przyłączyć? – zapytał.

– Tylko jeśli nienawidzisz mężczyzn – odpowiedziała. Roześmiał się.

– To nie byłoby dobre dla mojej samooceny. – Ponieważ Zoey milczała, dodał: – Staram się nie nienawidzić samego siebie, choć to czasami nieuniknione.

Zoey pokiwała głową, zerkając płochliwie, czy aby ta świetlista, otaczająca go aura nie zniknęła...

Ale gdzie tam, świeci dalej.

– No cóż, lepiej sobie pójdę – powiedział nagle – a pani może dołączyć do przyjaciół. Chyba się świetnie bawicie.

– Próbujemy – powiedziała ze śmiertelną powagą. – Ale wy, faceci, nie ułatwicie nam tego.

Roześmiał się ponownie.

– Jestem Sam. A ty?

– Ja? Ja jestem kompletnie urżnięta – oznajmiła, natychmiast zdając sobie sprawę, że nie o to pytał. – Mam na imię Zoey.

– Zoey. No, to żeby jakoś zacząć... Lubisz muzykę country, Zoey?

Podniosła w górę kieliszek.

– Jest idealna, by pić i tupać. A ty... co o niej sądzisz?

– Myślę, że przez kilka ostatnich lat tak wiele się zmieniło. W sumie nie ma już prawdziwego country – jest tylko country wymieszane z popem, rockiem, a nawet jazzem. Taki miszmasz. Widziałem coś podobnego w San Francisco. Mieszanka graffiti, instalacji i sztuki

folk. Też miszmasz, ale rzeczy, a nie dźwięków – mówił nieco przez nos, jakby parodiował dialekt.

– Miszmasz... – Zoey pokiwała głową, choć nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi. No bo jak się skoncentrować, gdy wokół faceta wciąż lśni ta idiotyczna, złocisto-biała poświata? Graffiti... San Francisco... – tyle do niej dotarło; reszta wydawała się jej jakimś hermetycznym? eksperymentalnym? poematem. Ale ten Sam jest miły, uznała. Lubię go... Eep... A ta jego złocista poświata chyba pulsuje... ? Ale on jest facetem... A więc...

– Słuchaj, Sam – usłyszała własny głos. – Wyglądasz na miłego faceta, ale nie mogę z tobą rozmawiać...

– Doprawdy? – mrugnął do niej i uśmiechnął się. Rany, jest słodki.

– Chodzi o to... że... twojemu gatunkowi – to ostatnie słowo wypowiedziała szczególnie starannie – nie można ufać...

Skinął głową.

– Prawdopodobnie masz rację.

– Przykro mi – ciągnęła, najpoważniej jak potrafiła – ale nawet faceci geje też zdradzają...

Przyglądał się jej uważnie.

– Nie bardzo nadążam, ale może.. , może dam ci swój numer, abyś mogła zadzwonić, gdy uznasz, że mój gatunek nieco wyewoluował? – Wziął z baru pudełko zapalek i coś na nim nabazgrał.

Gdy pisał, do Zoey dotarło nagle, że facet z nią flirtował; pomyślała, że wobec tego może zadać mu kilka pytań. Ostatecznie nic jej nie grozi.

– A czym ty się zajmujesz, Sam?

– Jestem malarzem – odpowiedział. – Mieszkałem przedtem w San Francisco, ale właśnie dopiero co przeprowadziłem się tutaj, do N. Y.

Zoey nagle przypomniała sobie o niedokończonym malowaniu mieszkania Skye. Potem, równie nagle, zauważyła, że Sam nosi dzinsy, kraciatą koszulę i zwykle mokasyny...

– A gdzie twoje kowbojskie buty?... – zapytała. Sam pomachał komuś w głębi sali.

– Koledzy mnie tu przywlekli... ale widzę, że już chcą wychodzić. Zatem... zadzwoń albo po prostu zużyj te zapalki.

Zoey popatrzyła za nim, gdy wciąż uśmiechnięty, odchodził.

– Co to za jeden? – spytała Mouse, również odprowadzając go wzrokiem.

– Nie mam pojęcia – odparła Zoey. – Ale... popatrz tylko. Czy on świeci?

Mouse popatrzyła za nim uważnie, po czym poklepała Zoey po ramieniu.

– Siostró, ululałaś się gorzej niż ja!

Było już południe następnego dnia, gdy Zoey poczuła się wreszcie na siłach, by włączyć komputer i sprawdzić pocztę. Był email od Skye. Ze ściśniętym ze strachu sercem zaczęła czytać:

Wielkie nowiny! Właśnie zabukowałam swój bilet na samolot i chcę ciebie pierwszo, o tym powiadomić: w następnym weekend wracam do N. Y. ! Tu miejsce na wielkie uuf. Wydusiłam wreszcie tekst od tego ekscentrycznego autora, którego nazwiska nie podam (Ty wiesz, a ja rozumiem i na odwrót). Muszą przyznać bez bicia, że mam już potąd i tych tokańskich wzgórz i tokańskiego dialektu i tokańskiej kuchni. Zdycham z tęsknoty za fastfoodowymi burgerami, sosami wujka Bena i popcornem. Jak tam Twoje poszukiwania mieszkania?

– Nijak – mruknęła Zoey do monitora. Odeszła zniechęcona od komputera i padła na łóżko. Strasznie nie chciało się jej opuszczać tego swego nie swego nowego domu. Ale w końcu to nie jej dom – trafiła tu, bo miała szczęście, a Skye dobre serce. Czas stawić czoło rzeczywistości. Przeturlała się po łóżku, złapała komórkę i wystukała numer Jadę.

– Pilnie potrzebuję jakiegoś kąta – powiedziała bez wstępów.

Odpowiedź Jadę nie była krzepiąca.

– Ojejku, skarbie. Rozglądałam się za czymś dla ciebie, ale teraz dobre a tanie mieszkania znikają w mgnieniu oka. Chciałabyś obejrzyć coś dzisiaj?

– I dzisiaj, i każdego dnia, póki czegoś nie znajdę. Skye wraca w przyszły weekend.

– No, nie mówię, że to niemożliwe, ale szanse znalezienia czegoś na twoją kieszeń w tak krótkim czasie... – Jadę zamilkła na chwilę. – A właściwie dlaczego nie zwrócisz się do Nicka o wyższe alimenty?

Zoey poczuła się nagle mała i słaba.

– Próbowałam. I mogę znów spróbować, czemu nie? To co, spotkamy się u ciebie w biurze?

– Dobrze. Jeden z agentów coś tam bredził o Inwood, tyle że akurat tam nie byłam od wieków...

– Inwood? To na Jersey?

– Chyba tak. Zachodnia dzielnica w każdym razie. I to ta jej gorsza część. Zobaczymy.

Tego popołudnia przemierzyły całe Inwood i część Harlemu – bez rezultatu. Zoey wprawdzie nie uśmiechało się zamieszkanie tak daleko od centrum, ale była już niemal zdecydowana wziąć któreś z dwóch oglądanych mieszkań, o ile będą jeszcze do wzięcia. Jako że Rainforest był niedaleko, postanowiły wpaść tam na spóźniony lunch. Powitała je dawna pomocnica Mouse,

Ellie, i wskazała im stolik. Po tylu godzinach spędzonych na wspinaniu się na schody w dusznych i wilgotnych kamienicach, i po stanowczo za długim spacerze w letnim upale, atmosfera klubu wydała się im cudowną odmianą. Choć bez Mouse lokal wydawał się dziwnie smutny i pusty.

Jadę, pochłaniając swoją sałatkę z krewetek, pocieszała jednocześnie Zoey.

– Na pewno coś się trafi...

– Dzięki – westchnęła – choć wiem, że twoja prowizja za te akurat lokale nie będzie oszałamiająca...

Jadę niecierpliwie machnęła ręką.

– Daj spokój. – Po czym nagle skinęła głową komuś za plecami Zoey. – Patrz! – syknęła. – Tam siedzi.

Zoey odwróciła się. Kenny siedział przy barze, wpatrując się w nietknięty talerz z jedzeniem.

– Wygląda na samotnego – zauważyła.

– Bo chyba jest. No, ale nie gapmy się.

Akurat przechodziła obok nich Ellie. Jadę kiwnęła na nią.

– Co tam z naszym myślicielem? Ma zły dzień? Ellie spojrzała w kierunku baru.

– Od kiedy Marielle odeszła, Kenny jest... kompletnie załamany. Jakby pochował całą rodzinę z przyległościami. Bez niej jest kompletnie zagubiony. Ale za Boga Ojca się do tego nie przyzna.

– Ciekawe. Bardzo ciekawe – powiedziała powoli Jadę. Zoey mrugnęła do Ellie.

– Powiemy o tym, komu trzeba...

Po rozstaniu z Jadę Zoey powędrowała do centrum, do małego, fotograficznego studia w Chelsea. Miała tam umówione spotkanie z Apple Sommers, fotografką, która robiła niegdyś zdjęcia na okładki jej książek. Chciała, aby Apple coś dla niej sprawdziła.

Gdy weszła do atelier, Apple pospiesznie wydała kilka poleceń swojej asystentce, po czym odwróciła się do Zoe, mierzwiąc swe ogniście rude loki.

– Cześć! Jak się masz i z czym przychodzisz?

– Z arcyważną i tajną misją – zaśmiała się Zoey, pokazując jej zdjęcia i tekst z *National Scout*. – Możesz mi pomóc w wyjaśnieniu, co tu właściwie jest grane? Wiem, że to nie twoje zdjęcia; robił je Andre Robbins – ale muszę wiedzieć, czy nie są przypadkiem... no... montowane albo coś w tym rodzaju.

Apple rzuciła okiem na zdjęcia, po czym sięgnęła po komórkę.

– Andre to mój kumpel. Zobaczymy, co nam powie. Pięć minut później miała odpowiedź.

– Fotografie są w całkowitym porządku. To data jest... hm... montowana. Andre zrobił te zdjęcia ponad dwa lata temu, a *Scout* jakoś zapomniał wspomnieć o tym drobnym szczególe. Andre mówi mi, że sprzedał te zdjęcia do *Scout*, i kompletnie o nich zapomniał. A teraz, kiedy A.

J. Chenowitz jest znowu na tapecie i wszystkie gazety o nim piszą, tamci ze *Scout* po prostu odgrzali starego kotleta...

– Dwa lata, powiadasz? Kurczę, te pismaki prawie że zrujnowały życie mojej przyjaciółki – Zoey poczuła zarazem wściekłość i ulgę. – Wielkie dzięki, Apple.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Nie ma za co. – Przechyliła głowę, pilnie przyglądając się Zoey. – Widzę, że masz nie tylko nową fryzurę, ale i nowy kolor. Niezły. To twój nowy wizerunek?

Zoey kiwnęła głową.

– Wpadnij, to zrobimy twój nowy portret...

– Na pewno – obiecała Zoey, dodając w myślach: jak tylko uda mi się napisać coś, co ktoś zechce wydać... ?

Po wyjściu od Apple, złapała komórkę i zadzwoniła do Jadę.

– Och, nie! To znaczy... cudownie. Ale po tym, jak go potraktowałam... – tu Jadę przerwała na chwilę. – Zadzwonię do niego. Dzięki, Zo.

Następnie Zoey zadzwoniła do Mouse. Okazało się, że Jadę zdążyła jej już przekazać wieści o żalonym stanie Kenny'ego i komentarz Ellie. Mouse jednak nie wydawała się poruszona.

– Buububuu, biedne maleństwo! – Zawołała dramatycznie. – Ale, póki co, mam zamiar zająć się swoim życiem. Rano byłam na przesłuchaniu; strasznie ciężko mi było wyleźć z betów i czułam się co nieco poobijana. Ale kac mi się najwyraźniej przysłużył, bo... spodobałam się. Mam wezwanie na jutro. To tylko drugoplanowa rola, ale... Założę się, że widzieli moje występy w Rainforest i zobaczyli, jakie mam możliwości...

– Cudownie! – entuzjazm Zoey był leciutko naciągany. Nie bardzo wierzyła, że Mouse nie obchodzi wieści o Kennym. Jeśli go kocha, powinna zrobić pierwszy krok. W końcu to tylko głupie nieporozumienie...

Mierzysz wszystkich swoją miarą, mała, pomyślała nagle. Gdyby Nick zechciał teraz wrócić, pofrunęłabyś jak na skrzydłach, prosto w jego ramiona. Biedna, żalosa Zoey, niepoprawna romantyczka...

Trzy dni później Zoey uznała, że zwiedziła już wszystkie najciemniejsze, najbrudniejsze mieszkania od Bronxu po Battery. Został jej do sprawdzenia jeszcze jeden, ponury zapewne lokal, klitka gdzieś w HelFs Kitchen, akurat do wynajęcia. Gdy przechodziła przez ulicę, uskoczywszy przed pędzącą taksówką, nagle dotarło do niej, dlaczego ów adres wydawał się znajomy... Był to budynek, w którym mieszkał Snake.

Wprawdzie nie miała najmniejszej ochoty wpaść na niego, ale mieszkanie trzeba było obejrzeć. Nie można rezygnować z szansy zdobycia względnie taniego i być może przyzwoitego kąta tylko dlatego, że w tym samym domu mieszka pewien palant i dupek.

Nacisnęła interkom; dozorca powiedział jej, że już wszyscy są na górze i że drzwi są otwarte. Gdy wdrapała się na właściwe piętro okazało się, że jej przecucia się sprawdziły: to właśnie mieszkanie Snake'a było do wynajęcia. Niestety, w salonie była już jakaś młoda Azjatka, mierząca pokój krokami i najwyraźniej zdecydowana je wynająć.

– Biorę – powiedziała wojowniczo do Zoey.

Zoey, machnąwszy ręką, weszła jeszcze z ciekawości do sypialni kompletnie pustej poza tym zszarzałym materacem z jego łóżka, opartym teraz o ścianę. Wyszła stamtąd zadowolona, że nie musi brać tego lokalu. Zadowolona i wciąż bezdomna.

Przypomniała sobie, że Merlin zostawił jej wiadomość, aby wpadła. Cholera, daleko stąd do Royale, pomyślała, ale trzeba wpaść. Dzielnie przemaszzerowała w wilgotnym upale pół miasta; gdy weszła do westybulu hotelu poczuła, że oblewający ją pot prawie zamarza w podmuchach klimatyzacji. Merlin rozmawiał właśnie z jednym z gości hotelowych. Pokiwał do niej, dając znak, by poczekała. Gdy wreszcie się uwolnił, wyszedł zza kontuaru i pociągnął ją w głąb westybulu.

– Mam teraz przerwę. Chodźmy do szatni – powiedział, prowadząc ją ku windom dla personelu. Zjechali do sutereny, gdzie mieściła się obszerna szatnia i przylegająca do niej skromna, ale wygodna świetlica. Jakaś Latynoska, zawiązująca sobie właśnie fartuch, uśmiechnęła się do nich. Ktoś trzasnął drzwiami szatni. Ktoś wszedł. Ktoś wszedł.

– Niebrzydki tu – powiedziała.

– Można wytrzymać – Merlin padł na kanapę, kładąc głowę na oparciu. – Właściwie to prawie tu mieszkam, odkąd Josh odszedł. Śpię na tej kanapie.

Zoey usiadła przy nim, podwijając nogi pod siebie.

– Ale dlaczego? Pracujesz na dwie zmiany? Merlin potrząsnął głową.

– Po prostu... boję się wracać do domu. Odkąd Josha nie ma, jest tam jakoś... nie tak. Źle się tam czuję. A, i jego mamusia się pojawiła, żeby zabrać rzeczy synka. Najpierw myślałem, że mi to ulży, jak nie będę się o nie potykał, ale teraz jest jeszcze bardziej pusto...

– O rany, mówisz tak, jakby Josh umarł albo co... Merlin westchnął.

– Miałem fart, że nie podpisaliśmy tej całej ugody partnerskiej, zanim nawiał. Wtedy dopiero miałbym pasztet. Wspólnota majątkowa i tak dalej... A tak mogę tylko sobie gorzko rozmyślać o przeszłości, rozważając, co było prawdą, a co ten chłopak nazmyślał. Wyszło na jaw, że nigdy nie mieszkał w Minnesocie, a jego ojciec bynajmniej go nie molestował. Było tylko nudne, szare życie na przedmieściach...

– O Boże! To okropne... – Zoey aż wzdrygnęła się na myśl, jak ogromne musiało być rozczarowanie Merlina.

– No, ale jakoś się pozbierałem i jakoś leci. Tylko to mieszkanie... Unikam go, jak mogę. Jest jak nawiedzone, choć nie ma w nim ducha. – Merlin westchnął i przymknął oczy.

Zoey delikatnie gładziła jego ramię, wyobrażając sobie to puste, martwe mieszkanie. To tak jak z moim domem w Connecticut, pomyślała. Za dużo wspomnień...

– Wiesz, mam pomysł, choć może nie najlepszy – powiedziała nagle. – A gdybym tak wprowadziła się do ciebie? To może by trochę... odmieniło to miejsce. A poza tym jestem w podbramkowej sytuacji. Wczoraj, gdy przypadkiem zobaczyłam karawan, moją pierwszą myślą było sprawdzić, czy przypadkiem nieboszczyk nie zostawił jakiegoś skromnego, przyzwoitego mieszkanka...

– Zaczynasz myśleć jak Jadę, niestrudzona łowczyni mieszkań...

– Nie żartuj, to polowanko na mieszkanko, jak mówi Jadę, kompletnie mnie wykończyło. A u ciebie są przecież dwie sypialnie? Nie mam zbyt wielu kłopotów. A poza tym wiesz, że – na ogół – jestem bardzo spokojną osobą... Jedyne hałas, jakim cię mogę dręczyć, to stuk klawiatury – o ile znów zacznę coś pisać. No więc... co o tym myślisz?

– Ależ oczywiście, możesz się wprowadzić – powiedział Merlin, otwierając jedno oko. – Pod warunkiem wszelako, że jak tylko zaczniemy sobie nawzajem grać na nerwach, ty się wyprowadzasz.

– Wtedy przeprowadzę się do Mouse. Merlin odetchnął.

– No, to umówione. Dobry Boże, miło będzie odzyskać swe mieszkanie... znowu normalne...

– Uratowałeś mi życie – zawołała Zoey.

– Zawsze do usług. A, mam także wielki plan ratowania tyłeczka Jadę – zapowiedział Merlin – choć to, co zamierzam zrobić, jest wbrew mojej etyce zawodowej, która – zazwyczaj – kazała mi ściśle chronić prywatność naszych gości. Ale czego się nie robi dla przyjaciółki.

– Co?! Wiesz coś na temat A. J. ? – spytała podekscytowana Zoey. Bowiem jej odkrycie na temat fatalnych zdjęć przyszło za późno. A. J. zdążył się już bowiem zapoznać ze wszystkimi jadowitymi wiadomościami od Jadę i najwyraźniej wziął je sobie bardzo do serca. Odtąd nie przyjmował żadnych wiadomości od niej, a personelowi zabronił nawet wymieniać jej imię...

– Schrzaniłam sprawę – żaliła się Jadę. – I wszystko dlatego, że tak bardzo go kocham. Gdybym go nie kochała, kichałabym na te i wszystkie inne fotografie...

Merlin tymczasem ciągnął dalej.

– Pan Chenowitz przyjeżdża do miasta w ten weekend. Ma być obecny na imprezie dobroczynnej, na którą zarezerwowano jedną z sal bankietowych w naszym hotelu. Postaram się wkłonić Jadę na tę imprezę.

– O rany, Merlin! Własnym oczom i uszom nie wierzę! Zacząłeś bawić się w swata?

Merlin pogroził jej palcem.

– Uprzedź Mouse, żeby trzymała buzię na kłódkę. No, i oczywiście oficjalnie nie mam nic z tym wspólnego...

– Wszyscy będziemy cię kryli, a Jadę pierwsza – obiecała Zoey. – To co robisz jest naprawdę wspaniałe.

Merlin drgnął.

– Mam tylko nadzieję, że skutek nie będzie odwrotny do zamierzonego...

Zanim się rozstali, Merlin obiecał jej solennie, że nazajutrz stawi się o czasie w biurze adwokackim. Przyrzekł jej też przynieść klucze, by mogła zacząć się przenosić.

Gdy Zoey wróciła do mieszkania Skye, spojrzała na nie zupełnie nowymi oczami. Tak, tu był jej tymczasowy dom, miejsce, gdzie próbowała od nowa zacząć pisać i żyć... Może średnio poszło, ale jakoś poszło...

Kłopot tylko, że malowanie nie skończone, a tu czas goni...

Nagle przypomniała sobie tego przystojnego malarza, poznanego tamtego pijanego wieczoru w Diamonds Spurs. Jak mu było? Aha, Sam. I dał jej swój numer. Gorączkowo przekopała się przez ciuchy, które nosiła tamtego wieczoru, i wreszcie wyłowiła z kieszeni dżinsów pudełko zapalek z numerem.

Przez chwilę się wahała. Dzwonić? Nie dzwonić? No, ale ściany muszą być pomalowane. Złapała telefon i wystukała numer.

– Tu Sam Watson – usłyszała jasny, miły i nieco zbyt radosny, jak na Nowy Jork – głos.

– Hej, tu Zoey McGuire. Poznaliśmy się parę dni temu w Diamonds and Spurs...

– Ach, w tym rodeobarze! Tak, przypominam sobie. Cześć, Zoey, jak się masz?

– Świetnie! – skłamała gładziutko. – Dzwonię, by cię zapytać, czy może byłbyś zainteresowany pracą. Chodzi o malowanie mieszkania, w którym chwilowo mieszkam; właścicielka wraca już niebawem, a malowanie nie skończone. Mógłbyś wpaść i obejrzeć, czy też możesz podać cenę od razu, przez telefon?

W słuchawce zapanowała cisza...

– Malowanie? – zapytał ostrożnie. A potem roześmiał się na całe gardło.

– Co cię tak ubawiło?

– Nie jestem takim malarzem – powiedział. – Ja maluję na płótnie. No, jestem artystą malarzem. Abstrakcjonistą.

– O zesz!... – Zoey mocno zacisnęła powieki, po czym przyłożyła palec do skroni imitując wystrzał z pistoletu.

– Ale się wygłupiłam...

– Och, nie, to całkowicie moja wina. Jak mówię ludziom, że jestem artystą malarzem, to zwykle tak się gapią... Nie cierpię tego. „Malarz”: to brzmi jakoś mniej pretensjonalnie.

– Racja – przytaknęła bez przekonania Zoey, marząc tylko o tym, by się wreszcie rozłączyć i uciec przed dalszym poniżeniem.

– Słuchaj, a może wybierzemy się razem na kawę?

– zapytał nagle.

– Dobrze – skłamała znowu. – Zadzwoń do ciebie, jak tylko uda mi się znaleźć prawdziwego malarza pokojowego. Bo termin mnie naprawdę goni...

– Nie ma sprawy. No to czekam na telefon.

– Świetnie. To na razie. – Rozłączyła się, po czym cisnęła nieszczęsne pudełko zapalek do kosza na śmieci w kuchni Skye. Tak, niektóre związki po prostu nie miały i nie mają szans na realizację...

A poza tym: ku pamięci – nie flirtuj z przystojnymi facetami, gdy jesteś zalana. A jeszcze lepiej – uważaj, ile tankujesz margarit...

– Zdenerwowana? – spytał ją Merlin następnego ranka, gdy oboje stali w poczekalni biura adwokackiego.

– Strasznie. Mam miękkie kolana i w ogóle.

– Będzie dobrze, trzymaj się.

– Boję się, że pęknę, a Bóg mi świadkiem, że nie chcę płakać. Chciałabym trzymać się twardo i twardo walczyć o swoje, ale z Nickiem to akurat nigdy mi nie wychodziło...

– Liczę, że walczyć będzie raczej ta twoja prawniczka – powiedział Merlin. – W końcu za to jej płacisz. A ty musisz tylko patrzeć mu prosto w oczy, żeby w końcu do niego dotarło, że świetnie sobie radzisz bez niego. I że choć może zabrać ci połowę wszystkiego – ciebie tknąć nie może. Że pozostajesz cała, nietknięta i niewzruszona.

– To, co mówisz, jest ogromnie krzepiące. Postaram się to zapamiętać – powiedziała Zoey, przymykając oczy.

Po kilku minutach nadeszła jej prawniczka, Natalie Rodriguez, i zaprowadziła ich oboje do sali konferencyjnej. Po paru minutach grzecznościowego lania wody i wymiany zdań o niczym, w drzwiach ukazał się wreszcie Nick wraz z gronem swoich prawników.

Nastąpiły wzajemne uściski dłoni Natalie i prawników Nicka; Zoey jednak pozostała nieruchoma, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, nie kwapiąc się do przywitania swego byłego męża. Jego oczy prześliznęły się po niej i nagle się uśmiechnął.

– O, masz nowe uczesanie – powiedział, czym doprowadził ją do furii. Miała zamiar wywalić język i warknąć coś w stylu: „Najmocniej przepraszam, że żyję”, ale jakoś się opanowała i tylko wzruszyła ramionami.

– Bardzo ładnie – ciągnął Nick. Jakby oczekiwała lub w ogóle potrzebowała jego aprobaty. Zlekceważyła i to, po czym przyjrzała mu się uważnie. Wyglądał zdumiewająco... zwyczajnie. W ciemnych oczach jak zwykle błyszczały te jego urocze iskierki. A garnitur był taki gładki i sztywny, jakby prasowano go przez całą drogę z Connecticut. Jak on to robi? Mogła go nienawidzić, ale nie mogła zaprzeczyć, że jest atrakcyjny. Ciekawe, kto teraz prasuje mu koszule i znosi jego ciuchy do pralni, pomyślała, po czym natychmiast nakazała sobie surowo: dość o tym.

Prawnicy już o czymś tam rozprawiali; Zoey poczuła się nagle jak mała dziewczynka, która ze znużeniem przysłuchuje się niezrozumiałym rozmowom dorosłych. Nick dorzucał jakieś swoje uwagi, a do niej dotarło nagle, w jakim stopniu jego poczynaniami sterowała duma i pycha. Dziwne, że wcześniej tego nie zauważyła. Zawsze sądziła, że są równorzędnymi partnerami, a teraz zrozumiała, że było to jeszcze jedno złudzenie.

Merlin kopnął ją pod stołem; rozumiała, że to ostrzeżenie. Aha, rozmawiają teraz o wartości

rynkowej ich domu; około miliona dolarów...

– Weź sobie ten dom. Daję ci go – powiedziała głośno. Natalie dotknęła jej ramienia.

– Pozwól, że ja się tym...

– Nie – jej głos brzmiał pewnie i spokojnie. – Oddam ci dom, Nick, pod warunkiem, że zrezygnujesz z roszczeń wobec moich oszczędności i tantiem. Także tych przyszłych. To uczciwe wyjście, Nick. Piszę książki i zarabiam pieniądze, które mi się należą. A ty możesz sobie żyć długo i szczęśliwie w tym domu za milion dolarów, z twoimi tłustymi poborami i twoją odzyskaną wolnością. Może to nie jest dla mnie zbyt korzystny podział dóbr, ale mam to gdzieś. Chcę to już mieć za sobą.

Adwokat Nicka spojrział na swojego klienta, po czym skinął głową.

– No, myślę, że po uzgodnieniu tego punktu, już gładko dojdziemy do wniosków końcowych.

– Jeszcze jedno – przerwał nagle Nick, podnosząc dłoń. Patrzył przy tym na Zoey, jakby chciał ją zahipnotyzować.

– Moglibyśmy na chwilę zrobić przerwę? Chciałbym omówić pewne sprawy z Zoey sam na sam.

Prawnicy wstali i zaczęli zbierać ze stołu teczki i papiery. Merlin syknął tylko.

– Co jest?

Zoey wzruszyła ramionami. Pewnie Nick chce mieć ostatnie słowo. Coś w rodzaju: „Wygrałem” albo „A nie mówiłem?”.

Gdy wszyscy wyszli, Nick starannie zamknął drzwi i oparł się o nie.

– Zoey... – powiedział nieoczekiwanie miękkim głosem. – Coś ty zrobiła z włosami?

– Zgoliłam je. To peruka.

Siadł u szczytu stołu i roześmiał się.

– Wciąż to twoje gryzące poczucie humoru. Tęskniłem za nim. Tęskniłem za tobą.

Wzruszyła ramionami.

– Mogłeś o tym pomyśleć wcześniej, zanim zacząłeś te swoje skoki na boki... I jakoś żyłeś bez^e mnie...

– Nie – powiedział powoli. – Nie potrafię żyć bez ciebie, Zo. Nie ma nikogo takiego jak ty, nigdzie. A teraz... gdy zobaczyłem ten ogień w twych oczach. – Nie masz pojęcia, jak mi na tobie zależy...

Zoey nagle zachciało się śmiać. Rany boskie, z jakiej mydlanej opery on ściągnął te teksty!

– Co o tym sądzisz, Zo? Odeślemy prawników do domu i spróbujemy jeszcze raz?

Spojrzała na niego nie wierząc własnym uszom. Rany boskie, miał łzy w oczach. Prawdziwe. No, łzy były prawdziwe, ale co do emocji, które się za nimi kryły – tego już pewna nie była. Co ten pajac sobie myśli? Że po tym wszystkim ich małżeństwo ma jeszcze jakąś szansę?

– Niestety, to już koniec – usłyszała własny, wyraźny, czysty głos. Powiedziała to.

– Ja tak nie uważam – nalegał Nick. – Sądzę natomiast, że naszym przeznaczeniem jest być

razem.

Zoey wstała, z lekka odurzona i skołowana.

– Nigdy nie spotkasz kogoś takiego jak ja – oznajmił stanowczo Nick.

I dzięki Bogu! – pomyślała i nagle roześmiała się głośno i szczerze.

– Powtarzam, Nick: to koniec! – powiedziała, czując się niezwykle lekko, swobodnie... Tak czuje się chyba człowiek wolny! pomyślała bezwiednie. – Wiesz, udawałam sama przed sobą, że wierzę w te wszystkie bzdety o przeznaczeniu. Ale teraz widzę... a właściwie nic nie widzę. I co ja w tobie widziałam?

– Było nam dobrze razem – bąknął niepewnie.

– Było. Czas przeszły dokonany. – Śmiała się, gdy zmierzała do drzwi, gdy wyszła z sali; śmiała się jeszcze, gdy ciągnęła Merlina do windy.

– Zaczekaj! – krzyknął za nią Nick. – A co z tym wszystkim? Z ugodą?

– Pogadaj z Natalie – odkrzyknęła mu zanim drzwi windy się zatrzasnęły.

Śmiała się przez całą drogę na dół tak, że Merlin w końcu dołączył do niej. Wyszli razem na Park Avenue, w uliczny zgiełk, między klaksony aut, głosy przechodniów.

– Czyż on nie wyglądał pociesznie – spytała raczej retorycznie.

– Ale co się stało? Co on takiego powiedział? – Merlin był jednak zaskoczony.

– Chciał, żebyśmy znów byli razem, ale gdy tylko otworzył usta, sama nie wiem dlaczego, nagle zobaczyłam, jaki z niego frajer i dupiek, a cała to sprawa wydała mi się nagle tak kretyńska... I pomyśleć, że przez te wszystkie miesiące wypłakiwałam za nim oczy. A może on zawsze był takim dupkiem, tylko ja tego nie widziałam?

– Tego nie wiem – przyznał uczciwie Merlin.

– No dobrze, więc teraz jest dupkiem. – Zoey zaczerpnęła głęboki haust powietrza z lubością wdychając wszystkie smrody miasta. Mężczyzna, w którym się kiedyś zakochała już nie istniał; no, może gdzieś tam, w pokładach pamięci. Jakie to nagle stało się jasne i proste: między nią a Nickiem wszystko było skończone. Po prostu skończone. I co najważniejsze, ona sama czuła, że to wspaniale.

– Panie i panowie, oto przed wami Kleopatra!

– oznajmił z powagą Merlin, kłaniając się nisko przed Jadę, gdy winda wiozła ich w górę, do sali bankietowej.

Jadę nie zwracała na niego uwagi; cały czas sprawdzała swój makijaż w małym lusterku puderniczki.

– Czy A. J. już przyjechał? Słuchaj, jak moje włosy? Czy ten cień do powiek nie jest zbyt ostentacyjny?...

– Wyglądasz cudownie – dodała jej animuszu Zoey. Istotnie, Jadę wyglądała oszałamiająco w granatowej połyskującej cekinami sukni od Boba Mackie. Z przodu jej kreacja miała skromne wycięcie w karo, natomiast z tyłu dekolt schodził dramatycznie nisko... Zoey wygładziła swoją obcisłą zieloną sukienkę kupioną na ślub Merlina.

– No, a ja przynajmniej mam suknię drużny – zaśmiała się. – Kto wie, może wkrótce się przyda?

– Kto wie – zgodził się Merlin. Jako że wciąż był w pracy, miał na sobie swój służbowy blezer i krawat, który Zoey zawsze uważała za beznadziejny.

– Cała ta impreza jest zorganizowana na rzecz pewnej fundacji, w którą Chenowitz jest zaangażowany – Merlin tłumaczył cel tego przyjęcia. – Fundacji na rzecz rozwoju czy też popierania sztuki, coś takiego. Wpisałem wasze nazwiska na listę gości, więc nie musicie się czuć, jakbyście wchodziły na waleta.

– To świetnie, bo i bez tego mam nerwy w strzępach.

– Jadę przyłożyła dłoń do piersi i przymknęła oczy. – O rany! Mam dygotki. I ściska mnie w dołku. – Jej niebieskie oczy zdradzały prawdziwy przestach. – Nigdy nie miałam dygotek.

– Masz prawo być zdenerwowana – pocieszała ją Zoey – jako przed tobą ważna i niebezpieczna misja do wypełnienia: zdobycie swego mężczyzny.

Merlin podprowadził je aż do drzwi sali balowej, gdzie hostessa przywitała je tak entuzjastycznie, jakby naprawdę były bardzo, bardzo ważnymi osobami. Zoey z zachwytem rozejrzała się wokół, z zadowoleniem rejestrując – poza pięknymi dekoracjami i ogólnym przepychem – bardzo interesujący widok stołów, uginających się od najwymyślniejszych potraw i przekąsek.

– Świetna impreza – stwierdziła.

Jadę milczała; usta miała mocno zaciśnięte. Uważnie lustrowała wzrokiem tłum gości.

– Jest tam... O Boże – aż się zachwiała. – Nie, czekaj, nic mi nie jest.

– Śmiało – zachęcił ją Merlin. Zoey i Jadę jednocześnie spojrzały na niego lekko zdumione. Wzruszył ramionami.

– Wydawało mi się, że powinienem to powiedzieć.

– Jadę, mam pójść z tobą? – zapytała Zoey.

Jadę zastanawiała się przez chwilę, po czym potrząsnęła głową.

– Nie, dziękuję, ale muszę to zrobić sama. – Po czym, wysoko unosząc głowę, przeszła przez całą salę, wprost ku mężczyźnie o siwiejących skroniach, w okularach o grubej, czarnej oprawie. Spozrzegł ją, co prawda się nie odwrócił, ale przywitał się z nią raczej chłodno.

– O rany, czuję się jak przyzwoitka na balu maturalnym – zauważyła Zoey, łapiąc nerwowo Merlina za ramię.

– A co będzie, jak on nie zechce jej znać? Merlin był znacznie spokojniejszy.

– Bardzo trudno jest odmówić Jadę...

– Ale to przedsiębiorca. Miliarder. Potrafi odmawiać...

– Cóż, czasami trzeba zdać się na los szczęścia... Zoey nagle usłyszała głośne śmiechy w barze mieszczącym się w kącie sali.

– O rany, czy to nie Mouse? O, i Kenny? – na chwilę zamarła z otwartymi ustami. – A to mała chytruska, niech ją. Chodźmy tam.

Podeszli do baru, gdzie Kenny i Mouse prowadzili ożywioną rozmowę z dwoma mężczyznami, których Zoey nie rozpoznała. Mouse wyglądała szalowo w czerwonej sukni bez ramiączek, wspaniale uwydatniającej wszystkie jej krągłości.

– Wyglądasz oszalamiająco, złotko – powiedziała Zoey, po czym obie z Mouse ucałowały powietrze wokół swych uszu.

– Stokrotne dzięki, najdroższa przyjaciółko! – zachichotała Mouse. – A Kenny właśnie opowiada o golfie...

Zoey bezceremonialnie pociągnęła Mouse ku sobie.

– Co z tobą? – syknęła. – Godzisz się ze swoim facetem za plecami przyjaciół? Ryzykujesz, że wykopie cię z korporacji Imprezowe Dziewczyny...

– O rany, wiem, przepraszam – jęknęła przepraszająco Mouse. – Zaczęłam się z nim znowu spotykać zaraz po tym, jak naopowiadałyście mi, ty i Jadę, jak to on nie może żyć beze mnie...

– Przyprowadziłam go tutaj, bo pomyślałam, że naszemu związkowi dobrze zrobi, jak trochę zaczniemy razem bywać... No, ale nadal mam wątpliwości. Kenny wciąż ma te swoje uprzedzenia... no, na temat religii. Ten jego tatuś-pastor, i przekonanie, co porządna dziewczyna powinna, a czego nie powinna... Według niego, tylko zepsute moralnie dziewczyny czerpią radość z seksu... – Mouse podniosła kieliszek z szampanem i dodała: – Szaleję za nim, ale potrafi być taki upierdliwy... A najbardziej dręczy samego siebie.

– No, ale chyba się stara i jest wobec ciebie uczciwy?

– powiedziała Zoey.

– To chyba dobrze, nie? – Brązowe, sarnie oczy Mouse były pełne niepokoju. – Czasami wydaje mi się, że jest nam razem tak dobrze... nam obojgu. A czasami mam ochotę go ukatrupić.

– To chyba miłość – zauważył filozoficznie Merlin.

Przyjęcie powoli zmierzało ku końcowi, gdy stało się jasne, że wielka akcja Jadę pod hasłem „poderwać miliardera” zakończyła się pełnym sukcesem. Uradowana, przyprowadziła go, by przedstawić przyjaciołom. Zoey A. J. od razu się spodobał, on zaś wyraźnie był pod wrażeniem tego, czym ona się zajmuje.

– Pisarka? To zdumiewające. Nigdy nie potrafiłem sobie wyobrazić procesu pisania. Ot, tak, trzy, cztery, pięć stron ...

– Poprawił swoje okulary w grubych oprawkach. – Skąd pani bierze tematy?

Zoey przełknęła krewetkę i oblizała palce.

– Staram się zawsze czerpać je z życia. Nie dosłownie, oczywiście; nie opisuję rzeczywistych wydarzeń, raczej tworzę na ich kanwie. Jedną z moich bohaterek wzorowałam na Jadę – mówiąc to Zoey nie była pewna, czy Jadę zdaje sobie sprawę, że chodzi o heroinę jej nieszczęsnego pornosu, lecz Jadę zdawała się być pochłonięta wyłącznie wpatrywaniem w A. J. – A ostatnio tematu dostarczyła mi Marielle...

– A niech cię! – Mouse trzepnęła ją po ramieniu. – Nic mi nie mówiłaś...

– Bo wygląda na to, że książka raczej się nie ukaże – ponuro przyznała Zoey, myśląc o reakcji Skye na jej najnowszą produkcję. – Ale inspiracja pozostaje faktem...

– To fascynujące – powiedział A. J. – A o pani samej? Pisała pani kiedykolwiek o Zoey?

Znowu to nieśmiertelne, odwieczne pytanie. Czy to autobiografia? Ile z tego jest twojego? Rany boskie.

– Myślę, że swoje własne – w pewnym sensie – przeżycia opisałam w *Strażniku swej córki*. Ale na razie nie planuję powrotu na te ugory...

– A dlaczegoż to? – spytał niewinnie A. J.

– Zbyt bolesne. I zbyt świeże...

A. J. złapał ją za rękę i mocno ścisnął.

– Ależ to była wspaniała książka. I świetnie, że podjęła pani takie ryzyko. Gdy pani ból dzielią inni, pani czytelnicy, będzie dla nich w jakiś sposób poczekające, gdy dowiedzą się, że ktoś inny też przez to przechodził i przeszedł, że też próbował rozwiązywać tę samą łamigłówkę...

Zoey był zaskoczona, a nawet zaszokowana. A więc, o to chodzi! I o to cały czas chodziło! Bezwiednie kiwała głową.

Rozmowa zesłała na inne tematy, ona jednak wciąż rozmyślała nad tym, co właśnie usłyszała. Może w tym tkwiła tajemnica tej przekłetej blokady twórczej? Że chciała pisać bez zaangażowania, bez prawdziwego bólu czy emocji...

Pochłonięta myślami, nie od razu zauważyła przybycie nowego gościa. Sam. Artysta malarz. Wszedł na salę w towarzystwie innego mężczyzny i starszej kobiety. Hmm. Teraz, gdy była trzeźwa, wydał się jeszcze przystojniejszy, choć bez śladu znikła tamta tajemnicza, złocista poświata. Teraz był to zwykły mężczyzna, z krwi i kości. I cholernie atrakcyjny...

Mouse szarpnęła ją za łokieć i syknęła:

– Popatrz no tylko, kto przyszedł...

Zoey kiwnęła głową jak nakręcona. Mouse dalej się nad nią znęcała.

– Jak myślisz, mógłby zrobić parę poprawek w Rainforest? Stiuki wymagają odmalowania...

Zoey uszczypliła ją w ramię.

– Rany boskie, czy już nie dość się wygłupiłam, żebyś jeszcze ty mnie katowała? Lepiej spróbuj się czegoś o nim dowiedzieć.

Mouse zawinęła się i znikła. Zoey zaś wpatrywała się przez chwilę w Sama. Taki słodki. Ale chyba gej. No bo co u jego boku robi tamten drugi gość?

Mouse pojawiła się z powrotem.

– Ta babcia to bardzo wpływowa marszandka, a ten facio to też artysta.

– Dwaj artyści... – no tak – pokiwała smętnie głową Zoey. – Pewnie są razem. Czyli on musi być gejem.

– Sądzę, że ta sprawa wymaga bliższego zbadania – powiedział Merlin. – Przepraszam was na chwilę...

Podczas gdy on rozmawiał z Samem i drugim malarzem, Zoey przyłączyła się ponownie do Jadę i A. J.

– Musisz obejrzeć mój apartament – zaprosił ją A. J. – Wkrótce oczekujemy cię na kolacji. Zwyczajnej, nie uroczystej, bo w jadalni nie mam jeszcze stołu. Czy ja w ogóle mam jadalnię? – Tu zwrócił się do Jadę.

Jadę przytaknęła, chichocząc.

– Masz, chyba nawet dwie.

– Srasznie nudne jest to meblowanie jadalni. Może lepiej dać tam stół do pingponga? Jadę pomaga mi wybierać naprawdę fantastyczne okazy. – Ponownie zwrócił się do Jadę. – Wybierzesz się ze mną na zakupy, dobrze?

– Tak, oczywiście – odpowiedziała. – Wybierzmy się, choćby w ten weekend.

Wybermy się... Zoey, na wspomnienie chwil, gdy też o wszystkich planach mówiła jeszcze w liczbie mnogiej, westchnęła. To było tak dawno... i tak daleko stąd. Teraz muszę nauczyć się żyć chwilą, postanowiła. Popatrzyła jeszcze raz na Jadę i A. J. i uznała, że to dobrze, że ona i Merlin się wtrącili. Czasami wścibstwo i angażowanie się w cudze sprawy wychodzi na dobre.

Dostrzegła, że Merlin rozmawia z Samem. Bardzo serdecznie... Niech to szlag.

No, dobrze. Sam jest gejem. Ale ten malarz to chyba s jednak nie jego partner. Świetnie. Dla Merlina, rzecz jasna. Właściwie powinnam go zrugać, że poluje na moim terenie, ale czy Sam był albo jest mój? A niech to!

A. J. i Jadę zaczęli się żegnać. A. J. promieniał, a Zoey pomyślała, że naprawdę to miły facet. Mouse i Kenny wyszli już dawno. Zoey nagle zorientowała się, że stoi samiuteńka, pośrodku sali balowej, która powoli zaczynała pustoszeć. Zmusiwszy się do uśmiechu, ruszyła w kierunku westybulu, a stamtąd wyszła na podjazd, gdzie większość gości ładowała się właśnie do prywatnych limuzyn.

Lał deszcz, a w dodatku zaczął dąć zimny wiatr. Cholera, jak ja tu teraz znajdę taksówkę, pomyślała zirytowana. Na szczęście portier wyraźnie zlitował się nad nią. – Zaraz coś złapię dla pani – obiecał.

– O rany, ale leje – usłyszała za sobą głos Merlina. Odwróciła się. Był sam.

– A gdzie zgubiłeś Sama? Zauważyłam, że...

– Schowaj pazurki choć na chwilę. Owszem, pogadaliśmy, bo obaj potrzebowaliśmy informacji. Ja chciałem się dowiedzieć czegoś o tym drugim malarzu. Tym, który z nim był. Nazywa się Marlon Jefferson. Przystojny, nie uważasz? Marlon jest gejem i aktualnie do wzięcia – tego się dowiedziałem, ku mej wielkiej radości.

– Och.

– Nie gadaj tyle... a Sam chciał wiedzieć to i owo o tobie.

– Na przykład co?

– Wszystko. I ja, oczywiście, wyłożyłem mu wszystko jak na spowiedzi. Na przykład, że się ślinisz przez sen. A, i poradziłem mu, żeby lekturę twoich książek zaczął od tego słynnego pornola...

Zoey, śmiejąc się, trzepnęła go po ramieniu.

– A wiesz, zdałam sobie właśnie sprawę, że te moje uczone teorie na temat miłości są do potłuczenia o kant. Te wszystkie fikimiki o dwojgu ludziach sobie przeznaczonych, o ich losie, zapisanym w gwiazdach, że dwoje i tylko tych dwoje ludzi jest sobie przeznaczonych...

– Racja. Kompletnie fikimiki – zgodził się Merlin. Patrzyła na niego.

– Jak tylko skończę malowanie u Skye, przenoszę się do ciebie.

Pokiwał głową.

– Fajnie, znowu będę miał prawdziwy dom. Uścisnęła go serdecznie, a on oddał jej uścisk.

– Czuję się taka... wolna – powiedziała, okręcając się wokół. – Oj, chyba pobiegnę na ulicę i sama przywołam taksówkę.

– Zwariowałaś. Zniszczysz tę wspaniałą suknię druhny.

– To zniszczę.

– Zaczekaj – krzyknął Merlin. – A co będzie, jeśli kogoś poznam i zechcę wziąć błyskawiczny ślub?

– To znajdę inną suknię – zawołała Zoey i wybiegła w deszcz na ulicę. Strugi wody spływały jej po twarzy i nagich ramionach, ale nie dbała o to. Była szczęśliwa. Czuła jakby ten deszcz splukiwał z niej jej dawne życie, jej stare błędy... Jakby z każdą kroplą tego deszczu znikaly po kolei wszystkie jej pomyłki i błędne teorie...

Nagle usłyszała, że ktoś woła za nią. Odwróciwszy się, ujrzała Sama, biegnącego ku niej z otwartym parasolem. Dopadł jej wreszcie i zagarnął pod parasol. No, pomyślała, jeszcze nie wszyscy rycerze wymarli...

– Wyszłaś tak nagle – powiedział, walcząc z szarpanym wiatrem parasolem. – Terminy cię gonią?

– Tak. Muszę skończyć malowanie mieszkania, nie pamiętasz?

– Ach... to... ja sobie całkiem nieźle radzę z pędzlem, jeśli o to chodzi.

– Tak, słyszałam. – Niewiarygodne, że gonił za nią z tym parasolem. Zatrzymała się i wzięła go pod ramię. – To co, wchodzisz w to? Kiepsko gotuję, ale naprawdę muszę skończyć malowanie... No i w lodówce znajdzie się jakieś wino, a moja przyjaciółka ma naprawdę świetną kolekcję kompaktów...

– Brzmi wspaniale – powiedział. – A ja naprawdę chcę ci pomóc w tym malowaniu.

Zoey roześmiała się.

– Skye będzie zachwycona. Sypialnia malowana przez Sama Watsona. Jej mieszkanie może już wkrótce stać się dobrem narodowym.

– No, teraz to się ze mnie nabijasz.

– Może. Zresztą, muszę zobaczyć, co potrafisz...

– O, jest taksówka – zawołał, machając w kierunku żółtej plamy w deszczu. Taksówka ostro wjechała w kałużę przy krawężniku. Fontanną błotnistej wody skropiła ich oboje. Auto nieoczekiwanie przyspieszyło, a oni zostali na chodniku, mokrzy i ubłoceni.

– Wiesz, mam pomysł... – Sam zamknął parasol i wystawił dłoń, jakby chciał schwytać w nią krople deszczu.

Zoey popatrzyła na niego i nagle roześmiała się z całego serca. Oto wspaniała scena na początek nowej powieści.

Opowieści o dwojgu ludziach, którzy właśnie przybyli do N. Y. On jest malarzem, ona pisarką w trakcie okropnego rozwodu i...

Jej myśli pobiegły szybko dalej po różnych ścieżkach, którymi mogła rozwijać się ta opowieść. I gdy tak szli, przeskakując przez kałuże, i zlizując krople deszczu ze swych warg, Zoey przyszło do głowy jak mogłaby się ta opowieść rozpocząć. Skądś знаła te słowa:

Są rzeczy, które nigdy się nie zmieniają.

Wystarczy popatrzeć na Nowy Jork.

I dzięki Bogu.